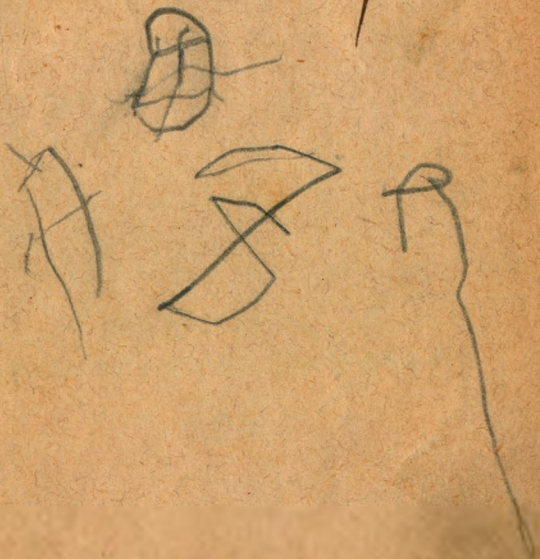
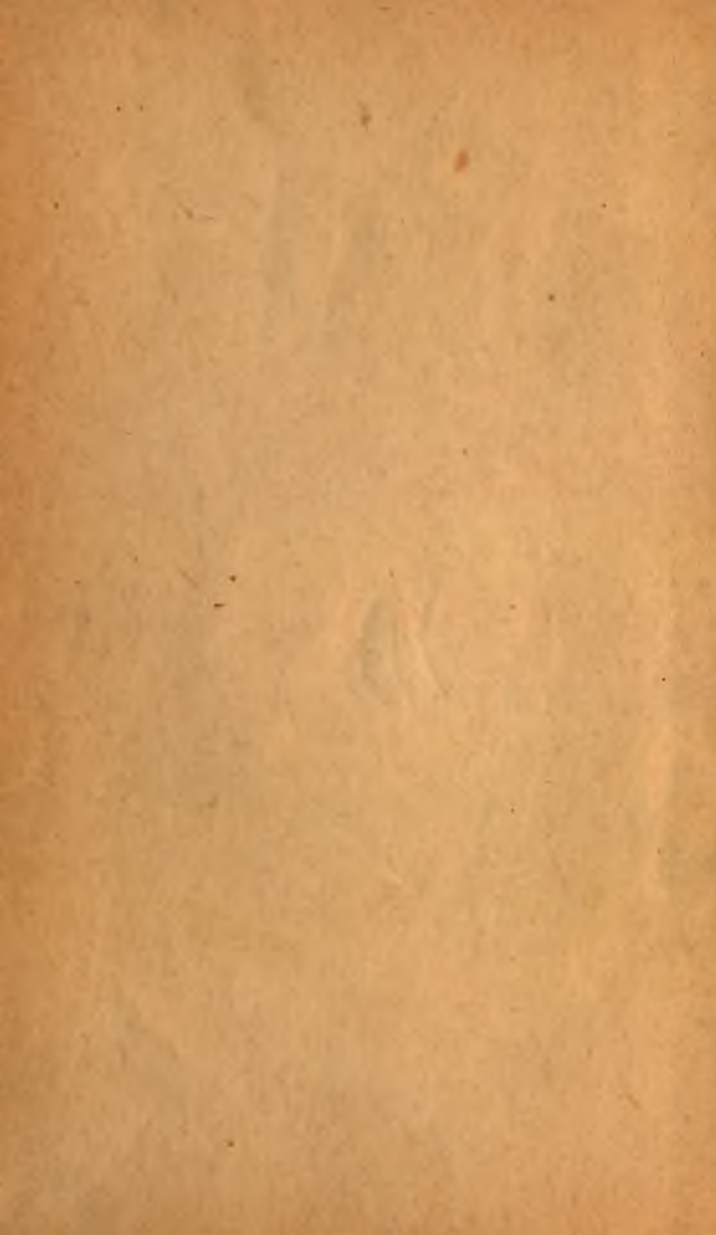




~~50~~
181

Hobbes: —





GABRYEL D'ANNUNZIO.

DZIECKO ROZKOSZY

Przekład Al. Callier. 2 W



WARSZAWA.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

1896.

СВАЯУЕЛ ДАИИИИИИИ

ДЛЕЕКО РОЖКОУ

Przekład A. Gallera.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 25 Июля 1896 года.



200932

ВАРШАВА

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego

1896

W Drukarni Przeglądu Tygodniowego Czysta № 4.

Księga pierwsza.

I.

Co środa każdego tygodnia, Andrzej Sperelli raz na zawsze zaproszony był na obiad do swej kuzynki, margrabiny d'Ateleta.

Salony margrabiny w pałacu Roccagiovine niezmiernie były uczęszczanemi. Przyciągała ona przedewszystkiem ludzi swą wesołością, dowcipem, swobodą, szczerością swych wybryków i tym niestrudzonym nigdy uśmiechem. Kwitnące rysy jej twarzy przypominały niektóre z profilów kobiecych, na rysunkach młodszego Moreau, lub winietach Gravelota. Maniery jej, upodobania, sposób ubierania się, miały w sobie coś z gustu „pompadour“ a nawet pod tym względem było z jej strony cokolwiek poży, kusiło ją bowiem szczególniejsze podobieństwo nadające pewien pozór pokrewieństwa z faworytą Ludwika XV-go.

Pewnego wtorku, wieczorem, w loży teatru Valle, odezwała się ze śmiechem do swego kuzyna:

— Tylkoż nie chyb mi jutro, Andrzej. Po między zaproszonymi znajduje się osoba *zajmu-*

jąca, co mówię? *fatalistyczna*. Helena Muti, wdowa po księciu Scerni. Uzbrój się dobrze przeciw złowrózbuemu jej czarowi... Jesteś właśnie w epoce słabości.

A on odpowiedział również ze śmiechem:

— Jeśli pozwolisz, kuzyneczko, przyjdę bezbronny a raczej z miną z góry zrezygnowanej ofiary. Ta mina jest wabikiem, którego używam już od dość dawna, bez skutku niestety.

— Obrzęd całopalenia jest blizkim.

— A ofiara gotową.

Nazajutrz wieczorem, Andrzej przybył do pałacu Roccagiovine o kilka minut wcześniej niż zazwyczaj, z wspaniałym egzemplarzem gardenii w butonierce i nieokreślonym niepokojem w głębi duszy. Karetka jego zatrzymała się przed podjazdem, tam stał już bowiem inny powóz, z którego wysiadała jakaś pani. Liberya, konie, cały ceremoniał tego wysiadania — wszystko nosiło znamię wielkiego domu. Hrabia spostrzegł w przełocie sylwetkę wysoką i smukłą, gwiazdy brylantowe we włosach i małą nóżkę, co stanęła na stopniu. Potem, kiedy wchodził po schodach, mógł widzieć panią tę z tyłu.

Wstępowała przed nim, powoli, miękko, rytmicznie poniekąd. Płaszcz jej, podszyty futrem, tak śnieżystym jak puch łabędzi, nie był już spięty na kłanrę i osuwał się z biustu, pozostawiając odstonione ramiona. Ramiona te promieniały zdala, blade jak kość słoniowa polerowana, prze-

dzielone w pośrodku delikatną bruzdą; łopatkowe kości ginęły pod koronkami stanika, pozostawiając jakieś niewytłomaczone wrażenie skrzydeł. Od ramion wykwitata szyja giętka i zaokrąglona a włosy skręcone, podjęte w górę od karku aż na wierzchołek głowy, tworzyły tam węzeł, przepięty szpilkami gemm.

Ten harmonijny pochód nieznanym pani sprawiał tak żywą przyjemność oku młodzieńca, że, aby dłużej podziwiać, zatrzymał się przez chwilę na pierwszym załomie schodów. Tren sukni szeleścił po stopniach. Za nią szedł służący, nie śladem czerwonego chodnika, po którym wstępowała jego pani, ale z boku, pod ścianą, z powagą przynależną. A kontrast między tą wspaniałą postacią a tym sztywnym automatem był tak dziwnym, że Andrzej się uśmiechnął.

W przedpokoju, kiedy lokaj odbierał futro, kobieta rzuciła przelotne spojrzenie na wchodzącego młodzieńca.

W chwilę potem postyszał oznajmienie:

— Jej eks e'encya księżna Scerni.

Natychmiast zaś zaraz:

— Pan hrabia Sperelli Fieschi d'Ugenta!

I podobało mu się to, że jego nazwisko zostało tak bezpośrednio wymienicne po nazwisku tej kobiety.

W salonie już znajdowali się: margrabia i margrabina d'Ateleta, baron i baronowa d'Isola, don Filip del Monte. Ogień płonął na kominku: kilka

kanapek było ustawionych w rejonie ciepła; kilka krzewów bananów rozścielało po nad niskimi ich poręczami szerokie swe liście, pokreślone krwawemi żyłami.

Margrabina podeszła na spotkanie przybyłych i powiedziała im z swym wdzięcznym, niegasnącym nigdy uśmiechem:

— Uprzejmy przypadek czyni już niepotrzebnem wzajemne przedstawienie. Kuzyku mój, Sperelli, schyl głowę przed boską Heleną.

Andrzej skłonił się głęboko. Księżna podała mu rękę ruchem pełnym gracyi, popatrzywszy mu w oczy głęboko.

— Bardzom rada z poznania pana. Słyszałam wiele o panu w Lucernie zeszłego lata, od pańskiego przyjaciela, Juliusza Musellaro. Byłam co prawda, wyznaję szczerze, cokolwiek ciekawa... pan Musellaro dał mi nawet do przeczytania cenną pańską „Baśń o Hermafrodyście“ i ofiarował pańską akwafortę „Sen“, próbę pierwszej miary, skarb prawdziwy. Masz pan we mnie gorącą wielbicielkę, nie zapominaj, proszę, o tem.

Mówiła z małemi odstępami. Miała zaś głos tak dziwnie narzucający się, przejmujący, że sam w sobie czynił on już wrażenie zmysłowej pieszcoty i miała ten wzrok bezwiednie mitosny, rozkoszny, który przejmuje niepokojem wszystkich mężczyzn i zapala nagle ich żądze.

U drzwi meldowano:

— Pan Sakumi!

I ósmy, ostatni z oczekiwanych biesiadników, ukazał się w progu.

Był to sekretarz poselstwa japońskiego, figurka mała, żółtawa, z wystającymi kośćmi policzkowymi, z oczyma podłużnymi i skośnymi, zabiegłymi krwią, z mrugającymi wciąż powiekami. Miał ciało za grube w stosunku do nóg zbyt wątych; chodził z palcami stóp zwróconymi do środka, jak gdyby pas jakiś krępował mu biodra. Poły jego fraka były zbyt szerokie spodnie zaginały się w niezliczone fałdy; krawat nosił ślady bardzo widoczne niewprawnej do wiązania go ręki. Powiedziałybyś *daimio*¹⁾, wyciągnięty z jednego z tych rynsztunków z żelaza i laki, podobnych do skorupy żółwiej jakiegoś potwornego skorupiaka a następnie wcisnięty w strój europejskiego marszałka dworu. Mimo swe niezgrabności jednak, miał on wyraz twarzy złośliwy, rodzaj przebiegłości ironicznej w kącikach ust.

Na środku salonu skłonił się. Szapoklak wpadł mu z ręki.

Baronowa Isola, drobniutka blondynka, z czołem całym pokrytem loczkami, wdzięczna i kokieteryjna jak młoda małpka, przemówiła cieniutkim swym, łagodnym głosem:

— Chodź pan tu, panie Sakumi, tu, obok mnie!

¹⁾ *Daimio*, do zorganizowania państwa, uprzywilejowana szlachta rycerska japońska.

Japoński szlachcic zbliżał się, z rosnącemi wciąż uśmiechami i ukłonami.

— Czy zobaczymy dziś wieczór księżną Isse?— zapytała go Franciszka d'Ateleta, która miała szczególniejsze upodobanie gromadzenia na swych salonach najdziwaczniejszych okazów różnych zamorskich kolonij Rzymu, przez zamiłowanie do małoowniczey rozmaitości.

Azyata odpowiedział w jakimś narzeczu barbarzyńskim, zaledwie zrozumiałem, zmieszanem ze słowami angielskimi, francuzkimi i włojskimi.

Nastąpiła chwila, w której wszyscy mówili razem. Był to jakby chór, z pośród którego wybiegał od chwili do chwili, niby snop srebrzysty, dźwięczny, świeży śmiech margrabiny.

— To pewna, że panią gdzieś już widziałem; nie wiem już gdzie, nie wiem już kiedy, ale widziałem z pewnością—mówił Andrzej Sperelli do księżnej, stojąc przed nią.—Kiedy szedłem za panią po schodach i przypatrywałem jej się, jakieś niejasne wspomnienie budziło się w mej pamięci, coś, co przyoblekało kształty, w miarę rytmu tego pani pochodu, jakby obraz, który występuje pod wpływem melodyi... Nie udało mi się wy prowadzić na światło tego wspomnienia; ale skoro się pani odwróciłaś, poczułem, że profil twój odpowiada niezaprzeczenie temu obrazowi. Nie mógł to być przecież dar dywinacyjny; zatem było to niejasne zjawisko pamięci. To pewna,

że ja panią już widziałem kiedyś. Kto to wie? Może we śnie, może w jakiejś kreacji sztuki a może w jakimś innym świecie... w jakiejś poprzedniej egzystencji..

Wymawiając ten ostatni frazes, zbyt sentymentalny i zbyt banalny, roześmiał się serdecznie, chcąc snąć uprzedzić jej uśmiech wątpliwy, lub ironiczny. Helena natomiast pozostała poważna.. „Czy słuchała, czy może myślała przez ten czas o czem innem zupełnie? Czy godziła się na ten rodzaj rozmowy, czy też chciała tą swoją powagą po prostu tylko zabawić się jego kosztem? Czy zamierzała popierać akcyę uwodzenia, którą on rozpoczął z taką starannością, czy też zamykała się w obojętności i w milczeniu niedbałem? Krótko mówiąc, czy to jest, lub nie kobieta nie zdobyta dla niego?...” Andrzej, niepewny, rozbiierał w myśli tę zagadkę. Wszyscy ci, co z nawiąknienia są uwodzicielami, zuchwali zwłaszcza, znają bardzo dobrze tę niepewność, jaką pewien rodzaj kobiet roznieca swoim milczeniem.

Służący rozwarł wielkie drzwi, łączące salon z jadalnią.

Margrabina ujęła pod ramię Filipa del Monte i pierwsza dała przykład. Za nią poszli inni.

— Chodźmy—rzekła Helena.

Andrzejowi wydało się, że się opiera na jego ramieniu z pewnem zaniedbaniem. „Nie byłoby to złudzenie tylko jego pragnień?—Być może...” Był w ciąż-

głej niepewności; ale z każdą sekundą czuł, że go pociąga więcej do niej, ten dziwny jakiś, jej wrodzony czar; z każdą sekundą wzrastała w nim trwożna żądza przejrzenia nawskroś duszy tej kobiety.

— Tu, mój kuzynku—mówiła Franciszka, wskazując mu miejsce na jednym z końców owalnego stołu.

Pomieszczony był między baronem d'Isola z jednej a księżną Scerni z drugiej strony, naprzeciw niego siedział Sakumi; ten ostatni znów miał miejsce między baronową d'Isola i Filipem del Moute. Margrabia i margrabina zajmowali honorowe miejsca. Na obrusie połyskiwały porcelany, srebra, kryształy i kwiaty.

Bardzo niewiele kobiet zaledwie mogło rywalizować z margrabinią d'Ateleta w sztuce dawania obiadów. Układała ona bez porównania staranniej *menu* obiadowe, niż obmyślała jakąś tualetę. Wytworny gust jej przejawiał się w najdrobniejszych szczegółach takiej uczyty i była też ostateczną wyrocznią w kwestyach elegancyi stołu. Fantazyje jej i wyszukanie subtelne pomysły, na tychmiast rozpowszechniały się pośród całej rzymskiej arystokracji. Tej zimy właśnie, ona to wprowadziła modę kwiecistych łańcuchów, zwieszających się od jednego do drugiego końca stołu, między wielkimi kandelabrami a także modę wysmukłych wazoników ze szkła, wyrabianych

w Murano ¹⁾, cienkiego, mlecznego i mieniącego się barwami opalu, ozdabianych jedną jedyną orchideą i ustawianych przed każdym biesiadnikiem pomiędzy baterią kieliszków.

— Kwiat szafański — ozwała się Helena Muti, ujmując w rękę wazonik i przypatrując się z bliska orchidei krwawej i bezkształtnej.

Miała głos bogato uposażony w dźwięki, tak że najpospolitsze nawet słowa, najbanalniejsze zdania zdały się w jej ustach nabierać tajemniczego jakiegoś wyrazu i nowego zupełnie uroku. Tak jak ów król Frygii, pod dotknięciem dłoni którego wszystko zamieniało się w złoto.

— Kwiat symboliczny w ręku pani — szepnął Andrzej, patrząc na sąsiadkę, która w tej pozie była piękną jak cud prawdziwy.

Miała na sobie suknię nadzwyczaj blado błękitną, posianą srebrnymi punkcikami, które migotały z pod starych koronek z Burano ²⁾, białych tą nieokreśloną białością z odcieniem zlekka płowym, tak lekkim, że zaledwie był dostrzegalny. Kwiat niemal potworny, zda się wytwór jakichś czarów, falował na wątlej łądydze, po nad tą kruchą rurką, którą rzemieślnik ukształtował chyba jednym tchnieniem z roztopionego drogiego kamienia.

¹⁾ Fabryki szkła weneckiego i luster.

²⁾ Koronki weneckie

— Ale ja wolę róże — rzekła Helena, stawiając napowrót orchideę z gestem wstrętu, który przeczył poprzedniej jej ciekawości.

I wzięła udział w ogólnej rozmowie. Franciszka mówiła o ostatniej recepcyi w ambasadzie austriackiej.

— Czy widziałaś panią de Cahen?—spytała ją Helena.— Miała kostium z żółtego tiulu, upstrzony całą masą kolibrów o oczach z rubinów. Wspaniała klatka tańcząca... A lady Uless, czy ją spostrzegłaś? Miała suknię z białego tarlatanu, zarzuconą morskimi porostami i czerwonymi rybkami, na porostach zaś i rybkach, drugą spódnicę z tarlatanu, koloru morskiej wody. Nie widziałaś jej? Dziwnie efektowne akwarium...

I po tych drobnych ploteczkach, śmiała się smiechem serdecznym, od którego drgały jej zlekką broda i nozdrza. Wobec tej wymowy dla niego niezrozumiałej, Andrzej czuł się formalnie zwątpiałym. Te błahostki, te złośliwości wychodziłyż istotnie z tych samych ust, które przed chwilą, wymawiając najprostszy frazes, umiały przejąć go do głębi? Wychodziły z tych samych ust, które przed chwilą milczące, wydały mu się ustami Meduzy Leonarda, tego ludzkiego kwiatu duszy, co stał się boskim przez ogień namiętności i udręczenie śmierci. „Jakaż więc była właściwa treść tej istoty? Czy miała ona świadomość i pojęcie bezustannej swej metamorfozy, czy też pozostawała nieprzeniknioną dla siebie samej,

tajemniczą zarówno dla siebie, jak dla innych? W wyrażeniach jej i objawach, ileż było sztuczności a ile szczerości rzeczywistej?“ . Dreczyła go potrzeba dokładnego poznania nawet w tej rozkoszy, jaką mu sprawiało sąsiedztwo tej kobiety, którą czuł, że już kochać poczyna. „Czy nie lepiej może przeciwnie, poddać się z prostotą, niezmaczonej, pierwszej słodyczy tej rodzącej się miłości?“ Zobaczył, że Helena umaczała usta w winie jasnym jak miód roztopiony. Wybrał z pomiędzy swoich kieliszków ten, w który lokaj nalał mu tegoż samego wina i wypił z nią równocześnie. Oboje razem postawili na stole kryształowe czariki. Współczesność tego aktu sprawiła, że zwrócili się razem ku sobie. I spojrzenie to rozpląmieniło ich oboje daleko więcej niż wypite wino.

— Pan nie mówi? — przemówiła doń Helena z udaną lekkomyślnością która mąciła nieco dźwięk jej głosu. A przecież masz podobno opinię wytwornego *causeura*.. No! zbudź się pan!

— O! mój kuzynku, mój kuzynku! — zawołała Franciszka z miną ubolewania, kiedy równocześnie Filip del Monte szeptał jej coś do ucha.

Andrzej począł się śmiać.

— Panie Sakumi, obadwaj coś jesteście milczący. Zbudźmy się!

Podługne czy azyaty zaiskrzyły się złościwością, jeszcze czerwieńsze na tle ciemnej czerwoności, jaką wina rozpląmieniły mu policzki.

Do tej chwili przyglądał się księżnej Scerni, z wyrazem ekstazy bonzy, znajdującego się w obliczu bóstwa. Szeroka twarz jego, która zdawała się wyciętą z jednej z klasycznych kart O-Kusai, wielkiego ilustratora - humorysty, świeciła czerwoną plamą z pośród kwietnych łańcuchów, jak księżyc sierpniowy.

— Sakumi jest zakochany — podjął Andrzej z cicha, pochylając się ku Helenie.

— W kim?

— W pani. Czyś pani dotąd jeszcze tego nie spostrzegła?

— Nie.

— Przyjrzyj się więc, proszę.

Helena odwróciła głowę. I miłośna kontemplacya przebranego po europejsku *daimia* wywołała nagle na jej usta śmiech, tak mało ukryty, że japończyk został nim zraniony boleśnie i widocznego doznał upokorzenia

— Masz pan! — zawołała, by go wynagrodzić i, odrywając z awieszanej przed nią girlandy białą kamelię, rzuciła ją po przez stół posłowi „wschodzącego słońca“. — Znajdź jakieś poetyczne porównanie na moją cześć.

Azyata podniósł kamelię do ust z gestem komicznej dewocyi.

— Ach, ach, Sakumi — ozwała się drobniutka baronowa d'Isola — stajesz mi się pan niewiernym!

Wybąknął kilka słów z twarzą coraz to bardziej zapłonioną. Wszyscy śmieli się bez naj-

mniejszej ceremonii, tak jakby ten cudzoziemiec nie po co innego był tu zaproszony, jak po to, aby dostarczyć innym przedmiotu rozrywki. Andrzej ze śmiechem zwrócił się do Heleny.

Ta, z głową podniesioną a nawet nieco w tył przechyloną, mierzyła przelotnem spojrzeniem swego sąsiada, z pod wpeł przymkniętych powiek, jednym z tych niedostrzegalnych spojrzeń kobiecych, które zdają się pochłaniać. Powiedziałbym niemal poić się wszystkim, co w człowieku wyróżnionym przez nie, jest najpojętniejszem, najpożądanyszem, najbardziej godnem zachwyty, tem wszystkim, co zbudziło u kobiety ten poryw instynktu miłosnego, w którym namiętność bierze źródło. Rzęsy jej, niezmiernie długie, przysłaniały tęczęwkę nieco pochyloną ku kąciom orbitów a białka jej oczu tonęły w jakimś rodzaju błękitnawego, rzekłbyś płynnego światła; drżenie niedostrzegalne niemal poruszało zlekka dolną wargę. Promień jej spojrzenia zdawał się biec wprost ku ustom Andrzeja, niby ku słodkiej zdobyczy.

Te usta w samej rzeczy znęciły Helenę. Czyste kształtem, gorejące kolorytem, wexbrane zmysłowością, cokolwiek okrutne wyrazem, skoro były zamknięte, te usta młodzieńcze przypominały szczególnem podobieństwem portret tego nieznanego szlachcica, który się znajduje w galerii Borghese, owo głębokie a tajemnicze dzieło sztuki, w którym podniecone wyobrażenie dopa-

trywały się wizerunku boskiego Cezara Borgia, uwiecznionego przez boskiego Sanzio. Skoro jednak usta te rozchyłały się uśmiechem, wyraz ów nikał a zęby białe, zgrabne i równe, czystości niepokalanej, rozświecały wargi tak świeże i wesołe, jak usta dziecka.

Jak tylko Andrzej się zwrócił, Helena odwróciła oczy, niedość jednakże szybko, tak że młodzienci e pochwylił jeszcze ich błysk. I sprawiło mu to taką radość, że poczuł jak płomień na twarz mu uderza.

„Pożąda mniel Pożąda!“ — pomyślał podniecony, pewien już, że podbił niezwykłą tę kobietę. I myślał dalej: To rozkosz nigdy niezaznana.

Dokoła nich rozmowa ożywiła się. Helena spytała go:

— Pan pozostanie w Rzymie przez całą zimę?

— Całą zimę, dłużej nawet—odpowiedział Andrzej, dla którego proste to pytanie zdawało się zawierać nieomal przyrzeczenie miłości.

— Jesteś więc pan tu zainstalowany?

— Tak, w pałacu Zuccari: *domus aurea*.

— Na Trivita de Monti? Jakiś pan szczęśliwy!

— Dlaczego szczęśliwy?

— Bo zamieszkujesz miejsca, które ja kocham.

— Tam znajduje się, nieprawdaż, zebrany niby esencya w naczyniu, cały potężny urok Rzymu?

— To prawda. Między obeliskiem Trinita a kolumną Immaculata, ja zawiesiłam niby pobożne votum, moje serce katolickie i pogańskie.

Rozśmiał się z tego frazesu. Miał już madrygał na ustach w przedmiocie owego zawieszonoego serca, ale go nie wymówił, bo nie rad był przedłużać rozmowy w tym tonie, brzmiącym fałszywie i lekkim i psuć sobie przez to radość głęboką. Zamilkł.

Ona na chwilę zamysliła się. Potem wzięła udział w ogólnej rozmowie z żywością jeszcze większą, niż poprzednio, rzucając żartami i śmiechem, błyskając żąbkami i słowami. Franciszka obmawiała cokolwiek księżnę Ferentino, nie bez dowcipu, robiąc aluzye do jej niedawnej, nieco drastycznej awanturki.

— A propos, księżna zapowiada na Trzech Króli nową wentę dobroczynną — ozwała się baronowa d'Isola — nie wiecie panie nic o tem jeszcze?

— Jestem jedną z patrones — odpowiedziała Helena Muti.

— A jesteś pani patronesą nieopłaconą — rzekł Filip del Monte, człowiek lat około czterdziestu, niemal zupełnie łysy, wytworny w wymierzaniu złośliwych docinków, z twarzą poniekąd sokratesowską, w której prawe oko wiecznie ruchliwe, iskrzyło się tysiącem wyrazów przeróżnaitych, podczas gdy lewe pozostawało wciąż nieruchomem, niemal szklanem poza szybką monoklu, tak jakby jedno służyło mu do wyrażania wrażeń, drugie zaś do patrzenia. — Na wencie majowej ze brałaś pani istny deszcz złota...

— Oh, wenta majował Cóż to było za szaleństwo! — zawołała margrabina d'Ateleta.

Służba rozlewała szampaun mrożony.

Potem margrabina dodała:

— Przypominasz sobie, Heleno? Nasze sklepy sąsiadowały z sobą.

— Pięć luidorów za haust! Pięć luidorów za kaseki! — począł krzyczeć Filip del Monte, naśladując żartobliwie obwoływanie wędrownego kramarza.

Helena Muti i margrabina zaśmiewały się.

— Tak, tak, to prawda. Pan podbijałeś cenę, panie Filipie — wymówiła Franciszka. — Co to za szkoda, że ciebie tam nie było, mój kuzynku! Za pięć luidorów byłbyś mógł zjeść owoc, na którym jabym pierwiej pozostawiła ślad moich zębów a za pięć innych znowu luidorów byłaby ci Helena dała się napić szampana z swej dłoni.

— Co za skandal! — przerwała baronowa d'Isola, krzywiąc się z minką zgorszoną.

— Oh, Mary, a ty czyżes nie sprzedawała tak samo po pięć luidorów papierosów, które, zapalając, zwilżyłaś poprzednio w ustach porządnie? — ozwała się Franciszka wciąż ze śmiechem.

I margrabina dodała sentencyjonalnie:

— Wszelki czyn miłosierdzia jest świętym. Ja, nagryzając owoce, zebrałam coś około stu luidorów dla ubogich.

— A pani? — spytał Andrzej Sperelli Helenę, zadając sobie gwałt, żeby się uśmiechnąć. — A pani swoją czarą z żywego ciała?

— Ja dwieście siedemdziesiąt luidorów.

Wszyscy żartowali na ten temat, z wyjątkiem margrabięgo. Był to człowiek stary już, dotknięty nieuleczalną głuchotą, połyskujący od kosmetyków, pomalowany na blondyna, sztuczny od stóp do głowy. Podobny on był do jednego z tych manekinów, jakie się widuje w muzeach figur woskowych. Od czasu do czasu, niemal zawsze niewporę, wydawał z siebie rodzaj suchego jakiegoś, bezbarwnego śmiechu, podobnego do zgrzytu zardzewiałej maszyneryi umieszzonej we wnętrzu automatu.

— Były chwile, w których cena haustu dochodziła do dziesięciu luidorów. Słyszysz pan? A w samym końcu ten waryat Galeas Secinaro przyszedł ofiarować mi banknot na pięćset franków za to, abym sobie otarła ręce o jego blond brodę...

Jak zwykle w domu Ateletów, ostatnie danie było wystawne; bo prawdziwy zbytek stołu okazuje się dopiero przy deserze. Tysiące rzeczy wyszukanych i rzadkich, ułożonych umiejętnie na talerzach kryształowych zdobnych srebrem zachwycały zarówno oko jak podniebienie. Girlandy kamelii i fiołków, więdnąc, uginały się między kandelabrami z XVIII wieku, gdzie wśród liści winogrodu igrały fauny i nimfy. Na ścia-

Dod. do „Prz. Tyg.” — G. D’Annunzio „Dziecko rozkoszy” 2

nach gobeliny powtarzały znowu postacię nimf i faunów i wszystkie urocze kreacje tej sielskiej mitologii, Filidy i Rozalindy, ożywiające miłosnemi scenami jedną z tych jasnych krain cyte-ryjskich, zrodzoną w wyobraźni Antoniego Watteau.

Lekkie podniecenie erotyczne, co ogarnia zwykłe umysły pod koniec uczty, którą kraszą kobiety i kwiaty, zdradzało się w rozmowach i we wspomnieniach tej wenty, gdzie panie sprzedające, pod wpływem gorącej emulacyi zebra-
nia sum jak największych, przyciągały nabywców w niestychanemi zuchwałstwami.

— I pani przyjąłась? — spytał Andrzej Sperelli księżnę.

— Poświęciłam me ręce na rzecz dobroczynności—odpowiedziała.—Dwadzieścia pięć luidorów więcej.

— All the perfumes of Arabia will not sweeten this litle hand... ¹⁾.

Śmiał się, powtarzając słowa lady Macbeth; ale w głębi duszy doznawał nieokreślonego cierpienia, niejasnej jakiejś męki, wielce podobnej do zazdrości. **W** jednej chwili dostrzegł w niej teraz to coś, niepochwytne rażącego, rzekłbyś, coś z zalotnicy, co w niej chwilami mąciło dystyngowane maniery arystokratki. Pewna intonacya

¹⁾ Wszystkie wonności Arabii nie ohoją smród tej drobnej rączki.

głosu jej, śmiechu, pewne ruchy, pewne pozy, pewne spojrzenia, tchnęły zbyt zmysłowym urokiem. Rozrzucała ona zbyt łatwo rozkosz widoku swych wdzięków. Chwilami, w oczach wszystkich przybierała gest jakiś, pozę, wyraz, który w sypialni przejąłby dreszczem kochanka. Kto tylko patrzył na nią, mógł jej wykraść iskierkę rozkoszy, mógł ją owionąć nieczystymi obrazami wyobraźni, odgadnąć najtajniejsze jej pieszczoty. Zdawała się stworzoną wyłącznie do szafów miłości a powietrze, którem oddychała, bezustannie płonęło żądzami, jakie budziła dokoła.

Andrzej myślał: „Ilu też mężczyzn ją posiadało? Ile wspomnień zachowała w swem ciele i w swej duszy?“

Serce jego wzbierało gorzką jakąś falą, w głębi której wrzał wciąż tyrański, nieznośny dręczący ból, co jest nieodłącznym od wszelkiego niezupełnego posiadania. I nie mógł się przemódz, by oderwać oczy od rąk Heleny.

Z tych rąk nieporównanych, delikatnych i białych, idealnie przezroczych, poznaczonych modre mi, zaledwie dostrzegalnymi żyłkami, z tych dłoni, cokolwiek wgłębianych, zacięniowanych zlekka różowawo, na których chiromanta byłby odkrył tajemnicze komplikacje linii, dziesięciu, piętnastu, dwudziestu mężczyzn piło kolejno za cenę złota. Widział głowy tych ludzi nieznanych. pochylające się i chlipiące wino. Otóż taki Galeas Secinaro, jeden z jego przyjaciół, piękny, trzpiot

i zuchwały, z iście cesarską brodą niby jaki Luciusz Verus, był straszliwym rywalem!

Wówczas, pod wpływem podrażnienia, jakie w nim wywołały te obrazy, żądza jego wzrosła, tak dzika okropnie i ogarnęła go niecierpliwość tak dręcząca, że wydawało mu się, iż ten obiad nigdy już chyba się nie skończy. „Dziś wieczór jeszcze, myślał, muszę mieć od niej przyrzeczenie“. Wewnętrzna trwoga dręczyła go, jak kiedy człowiek lęka się, że może mu się wymknąć dobro, o które ubiegają się liczni współzawodnicy. I próżność jego, nieuleczalna i nienasycona przedstawiała mu upojenie zwycięstwa.

— Ty, co jesteś tak znakomitą we wprowadzaniu wszelkich inowacyj — mówiła Helena do Franciszki, maczając palce w letniej wodzie, podanej w czarce z kryształu lazurowego i oprawnej w srebro — powinnabyś przywrócić ten zwyczaj podawania wody do rąk, kiedy się wstaje od stołu z dzbanem i miednicą, jak bywało dawniej. Jaka to rzecz szkaradna ta nowoczesność. Nieprawdaż, panie Sperelli?

Franciszka powstała. Wszyscy za nią. Andrzej z ukłonem podał ramię Helenie; ona zaś wsuwając powoli rękę pod jego ramię, patrzyła nań bez uśmiechu. Ostatnie jej słowa były wesole i lekkie; ten wzrok natomiast tak był poważny, tak głęboki, że Andrzej uabrał otuchy.

— Jutro wieczorem — spytała go — będziesz pan na balu w ambasadzie francuzkiej?

— A pani? — pytał Andrzej z kolei.

— Ja, tak.

— Ja również.

Uśmiechnęli się jak para kochanków. Ona do-
dała, zabierając miejsce:

— Siadaj pan.

Kanapka stała dość daleko od kominka, przy-
sunięta do końca fortepianu, pokrytego w części
drogocenną makatą. U jednego jej rogu stał zó-
raw z brązu, trzymający w podniesionym dzio-
bie szalkę, zawieszoną na trzech łańcuszkach jak
u wagi; na szali tej leżała świeża powieść i ma-
ła szabla japońska, *waki-zashi*, której pochwa,
garda i rękojeść przyozdobione były srebrnymi
kwiatami chryzantemów.

Helena wzięła do ręki książkę, rozciętą zaledwie
do połowy i odczytała jej tytuł; potem odłożyła
ją napowrót na szalę, która zachwiała się. Sza-
bla spadła na dywan. Ona i Andrzej pochyłili się
równocześnie, żeby ją podnieść i ręce ich się
spotkały. Podniosłszy, poczęła się z zajęciem
przypatrywać pięknej broni i zatrzymała ją w rę-
ce przez czas, kiedy Andrzej mówił jej o tej no-
wej powieści.

Skoro umilkł, oczy jego utkwione były upornie
w ramieniu Heleny, odkrytem aż po wycięcie su-
kni. Ramiona te były tak doskonałe kształtem
i proporcją, że przywiodły mu na myśl porówna-
nie Firenzuoli „wazon starożytny, wykonany ręką
mistrza“; i takimi musiały być „ramiona Pallady“.

Palce jej bawiły się rzeźbami broni a wygładzone połyskujące paznokcie zdawały się być dalszym ciągiem tylko drogich kamieni, które zdobiły palce.

— Pani musisz mieć, jeśli się nie mylę — rzekł nagle Andrzej, obejmując ją wzrokiem jak płomieniem — musisz mieć budowę Danae Corregia. Czuję to a nawet widzę, wnioskując z kształtu rąk.

— Oh, panie Sperelli!

— Czyż nie wyobrażasz sobie pani, patrząc na kwiat, ogólnej figury całej rośliny? Bez wszelkiego wątpienia jesteś pani podobną do córki Akrizosa, chwytającej deszcz złoty, tylko nie ten, co padał podczas majowej wenty, nie ten na Bogal. Czy pani znasz obraz z galeryi Borghese?

— Znam.

— Czym się omylił?

— Dość, panie Sperelli; proszę.

— Dlaczego?

Umilkła. Teraz czuli jak się zaciska obręcz, która miała ich opasać, okuć nagle oboje. Ani jedno, ani drugie nie miało samowiedzy tej nagłości. We dwie czy trzy godziny od chwili, w której zobaczyli się po raz pierwszy, oddawali się już sobie wzajem w myślach, i to obustronne zrzeczenie się praw osobistych na rzecz drugiego wydawało im się zupełnie naturalnem.

Po chwili milczenia, Helena wymówiła, nie patrząc na niego:

— Pan jesteś bardzo młody. Czy też kochałeś już wiele?

Odpowiedział innem pytaniem:

— Który zdaniem pani, jest wyższym w miłości, czy ten, którego wyobraźnia jest dosyć potężną na to, by w jednej, w jedynej kobiecie odnaleźć wszystko to, co „wieczyście niewieście“, czy też ten, który przebiega zlekka w przelocie wszystkie usta jak klawisze idealnego fortepianu, dopóki nie natrafi na ten szczytny akord, którego szuka?

— Nie wiem. A pan?

— Ja również nie mogę rozwiązać wielkiego tego problemu. Ale instynktowo przebiegałem klawisze i obawiam się, że znalazł ten akord, sądząc przynajmniej z wewnętrznego przecucia.

— Obawiasz się pan?

— Obawiam się tego, czego się spodziewam.

Mówił tym językiem wymuszonym z całą świadą, jakby po to, by złagodzić sztucznością wyrazów siłę swego uczucia. A Helena czuła jak ten głos oplątuje ją w sieć i ciągnie gdzieś daleko od tego życia, co ich tu otacza.

Lokaj oznajmił:

— Jej ekscelencya księżna Micigliano!

— Pan hrabia Gissi!

— Pani Chrysoloras!

— Pan margrabia i pani margrabina Massa d'Alba.

Salony się zaludniały. Długie różnobarwnie mieniące się treny sukien przesuwwały się po purpurowym dywanie; ze staników, posianych brylantami, haftowanych perłami, udekorowanych kwiatami, wychyłyły się obnażone ramiona; włosy iskrzyły się wszystkie niemal przepięknymi dziecinnymi klejnotami, których ogólnie tak zazdroszczą rzymskiej arystokracji.

— Jej ekscelencya księżna Ferentino!

— Jego ekscelencya książę Grimiti!

Już poczęły się tworzyć różnorodne grupy, ogniska światowej złośliwości i zalotności. Główna grupa, w której byli sami mężczyźni, zebrała się koło fortepianu, dokoła księżnej Scerai, która śnać, by lepiej mózdz stawić czoło temu rodzajowi szturmowi, podniosła się i stała teraz.

Księżna Ferentino zbliżyła się, by powitać swą przyjaciółkę wymówką:

— Czemu nie przyszedł dziś do Nini Santamarta? Czekaliśmy cię tam wszyscy.

Była wysoka i chuda z dziwnymi oczyma ciekawymi, które zdawały się gdzieś bardzo dalekie w głębi ciemnych orbitów. Ubrana była czarno, wydekoltowana w głęboki żąb na piersiach i plecach; we włosach, popielatej blond barwy, miała wielki półksiężyc z brylantów jak Dyana; szerokim wachlarzem z piór czerwonych poruszała szybko, niecierpliwemi ruchy.

— Dziś wieczór Nini idzie do pani Van Huffel.

— I ja tam pójde cokolwiek później, na chwilę — odpowiedziała Helena. — Zobaczę się z nią.

— Słuchaj pan, Ugenta — zwróciła się księżna do Andrzeja—szukałam pana, żeby ci przypomnieć nasze rendez-vous. To jutro czwartek przecież. Licytacya po kardynale Immenraet rozpoczyna się w południe. Przyjedź pan po mnie o pierwszej.

— Stawię się akuratnie, księżno.

— Muszę za jaką bądź cenę otrzymać ten kryształ górski.

— Ale ostrzegam że będziesz pani mieć współkonkurentki.

— Kogo?

— Moją kuzynkę.

— I kogo jeszcze?

— Muie — ozwała się Helena.

— Ciebie? Zobaczymy.

Dokoła nich mężczyźni pytali o wyjaśnienie. Andrzej Sperelli oznajmił uroczyście:

— Wielkie zapasy dam w XIX stuleciu o wazon z kryształu górskiego, który należał niegdyś do Niccolo Niccoli; wazon, na którym wyrzuęty jest trojańczyk Anchizes, rozwiązujący jeden z sandałów Venus Afrodyty. Widowisko to darem będzie bezpłatnie jutro w godzinach popołudniowych na sali licytacyjnej, przy ulicy Sy-

kstyńskiej. Współzawodniczkami będą: księżna Ferentino, księżna Scerui, margrabina Ateleta.

Wszyscy poczęli się śmiać z tej zapowiedzi. Gritti spytał:

— Czy zakłady są tu dozwolone?

— Zakłady, zakłady! — wrzeszczał Don Filip del Monte, naśladując piskliwy głos bookmakera Stubbs.

Księżna Ferentino uderzyła go po ramieniu czerwonym wachlarzem. Ale farsa podobała się ogólnie.

Poczęto robić zakłady. Ponieważ cała ta grupa śmiała się i krzyczała, inne panie i inni znów mężczyźni zbliżyli się, by wziąć udział w jej wesołości. Nowina o damskim turnieju wprędce rozeszła się po salonach, przybierała rozmiary ważnego wyderzenia w arystokratycznym świecie, zajmowała wszystkie umysły.

— Podaj mi pan ramię i przejdźmy się — ozwała się Helena Muti do Andrzeja.

Skoro oddalili się nieco od całej tej hałaśliwej grupy, przeszedłszy do sąsiedniego salonu, Andrzej uścisnął zlekka jej ramię i szepnął:

— Dzięki.

Ona opierała się niedbale, zatrzymując od czasu do czasu, by odpowiadać na powitania i ukłony. Zdała się cokolwiek zmęczoną; była tak niemal blada, jak perły jej naszyjnika. Cała młodzież elegancka zasypywała ją powszednimi komplementami.

— Ta głupota mnie zamęcza.

Odwróciwszy się, zobaczyła, że Sakumi idzie za nią, z białą kamelią w butonierce, milczący, z rozrzwinięciem w oczach i niema odwagi przybliżyć się. Przesłała mu uśmiech litosny na pościechę.

Biedny Sakumi!

— Nie zwrócisz pani dotąd jeszcze nanięgo uwagi.

— Nie.

— Kiedy siedzieliśmy obok fortepianu, on stał w niszy okna i uporczywie podziwiał ręce pani bawiące się bronią rodzinnego jego kraju, zdegradowaną dziś do przecinania kartek europejskiej książki.

— Tam, przed chwilą?

— Tak, przed chwilą. Kto wie, może myślał sobie: „Jakże przyjemnie byłoby sprawić sobie *harakiri*, ¹⁾ tą małą szablą, zdobną w chryzantemy, które zdały się wykwiąć pod pieczęcią jej palców!...”

Nie usmiechnęła się bynajmniej. Twarz jej przysłonił welon smutku, niemal cierpienia. Oczy jej, zlekką oświetlone pod nawpół opuszczonemi powiekami, jakby białem światłem lampy, nabrały jakiejś głębszej jeszcze ciemności; bolesny wyraz pochylił w dół nieco kąćki ust. Ramię prawe opuściła w dół na suknię, ręka trzymała wachlarz i rękawiczki. Nie podawała już teraz dłoni tym

¹⁾ Samobójstwo japońskie

co ją witali lub mówili komplementy; nie słuchała już nikogo.

— Co pani jest? — spytał Andrzej.

— Nic. Trzeba mi pójść do pani Van Huff-l. Muszę pożegnać się z Franciszką. Zaprowadź mnie pan do niej a potem zechcesz może towarzyszyć mi do powozu.

Powrócili do pierwszego salonu. Ludwik Gulli młody muzyk, przybyły z rodzinnej Kalabrii, by w Rzymie szukać karyery, czarny i kędzierzawy jak arab, wykonywał z wielkiem zrozumieniem i czuciem sonatę z cis minor Beethovena. Margrabina Ateleta, jedna z jego protektorek, stała obok fortepianu z oczyma utkwionemi w klawiaturę. Zwolna poważna i słodka muzyka poczęła wplatać w swe kręgi wszystkie te lekkomyślne umysły, niby wir powolny, ale głęboki.

— Beethoven! — wymówiła Helena, z religijnym niemal akcentem, zatrzymując się i wysuwając rękę z pod ramienia Andrzeja.

By posłuchać, przystanęła w pobliżu bananu. Wysunęła naprzód lewą rękę i naciągała rękawiczkę z niezmierną powolnością. W tej pozycji wygięcie jej krzyża zdawało się wysmuklejszem jeszcze; cały kontur, przedłużony trenem sukni zdawał się wyższym i prostszy; cień rośliny kładł na nią jakąś zasłonę, uduchowiał błądź jej ciała. Andrzej patrzył na nią a w jego oczach stró zlewał się w jedno z osobą.

„Będzie moja! — myślał z pewnego rodzaju upojeniem, bo sonata patetyczna podniecała jeszcze szła jego. „Będzie moja! Będzie mnie trzymać w uścisku swych ramion, na swem sercul“

I w wyobraźni zdawało mu się, że przyciska swe usta do ramienia Heleny. „Czy też jest zimną ta skóra przezrocza podobna do mleka prześwieconego złotem jakimś światłem?“ Przeszedł go lekki dreszcz i przymknął do połowy powieki, jakby pragnąc przedłużyć rozkosz tego złudzenia. Wdychał woń tej kobiety, wyziew jakiś nieokreślony, świeży a przecież nabawiający zawrotu głowy, jak gorąca para aromatów. Cała jego istota zbuntowana, rwała się z nieprzepartą gwałtownością ku tej zdumiewającej kobiecie. Byłby chciał ogarnąć ją, wciągnąć w siebie, pochłonąć, wypić całą, osiąść w jakiś sposób nadludzki.

Niemal zagnana tą żądzą gwałtowną, niepoahamaną młodzieńca, Helena odwróciła się nieco i uśmiechnęła się doń tym dziwnym, niepochwyconym, nieomal duchowym uśmiechem, który zdał się nie wynikać z poruszenia warg, ale raczej z promieniowania duszy biedz na usta, kiedy równocześnie oczy, wciąż smutne, zdawały się zatopione w jakimś w głębi duszy snującym się marzeniu. Tak powleczone cieniem, były one prawdziwie oczyma Nocy, takimi, jakimi wymarzył się bezwątpienia Leonardo da Vinci dla tej alegorycznej postaci, ujrzawszy poprzednio w Medyolan e Lukrecję Crivelli.

I w ciągu sekundy, przez którą trwał ten uśmiech, Andrzej poczuł się sam z nią jedną, pośród całego tłumu. Niezmierną dumą wezbrało mu serce.

Potem, kiedy Helena zrobiła ruch jakby zamierzając naciągnąć drugą rękawiczkę:

— Nie, tej nie! — prosił cichuteńko.

Zrozumiała go i pozostawiła rękę obnażoną.

Miał nadzieję ucałowania tej ręki przed odjazdem Heleny. Nagle jednak w duszy jego stanęła wizya owej majowej wenty, kiedy to męczycyjni pili szampana z tych dwu drobnych dłoni. I po raz drugi przejęła mu do żywego serce dojmująca zazdrość.

— Teraz idźmy — rzekła, ujmując napowrót jego ramię.

Sonata była skończoną, podjęto na nowo rozmowy, z większem jeszcze ożywieniem. Lokaj oznajmił coś ze trzy czy cztery jeszcze nowo przybyłe osoby; między nimi zaś księżnę Isse, która wchodziła drobnym, niepewnym kroczeniem, ubrana po europejsku, z uśmiechem na owalnej twarzy, białej i drobnej jak u porcelanowej figurki. Ciekawość salonu skierowaną została w tę stronę.

— Adieu, Franciszko; do jutra — rzekła Helena, żegnając się z margrabiną Ateleta.

— Wychodzisz tak wcześnie?

— Czekają mnie u państwa Van Huffel. Przyrzekłam, że tam będę.

— Co za szkoda! Mary Dyce będzie śpiewać.

— Żegnam cię. Do jutra.



— Weźże to na pożegnanie. A ty, uprzejmy kuzynku, przeprowadź ją, proszę.

Margrabina ofiarowała jej bukiet podwójnych fiołków, potem zwróciła się w stronę drzwi wchodowych, by powitać z całą uprzejmością księżnę Isse. Mary Dyce, w czerwonej tualecie, wysoka i powiewna jak migotliwy płomień, rozpoczynała śpiew.

— Taka jestem zmęczona! — szepnęła Helena, opierając się silniej na ramieniu Andrzeja. — Załadaj pan, proszę, mego futra.

Wziął futro z rąk służącego, który mu je podawał. Pomagając Helenie we wkładaniu zlekką musnął końcami palców jej ramię i poczuł, że drży cała. Przedpokój pełen był lokai w najrozmaitszych liberyach. Namiętny głos Mary Dyce przynosił tutaj słowa romansu Schumana: „Ich kann's nicht fassen, nicht glauben...“

Zeszli ze schodów w milczeniu. Służący poszedł naprzód, aby kazać podjechać powozowi pod kolumnadę pałacu. Słuchać było niecierpliwie uderzenia kopyt końskich, rozlegające się dźwięcznym echem pod sklepieniem podjazdu. Na każdym stopniu Andrzej czuł lekkie ściśnienie ramienia Heleny, wspierającej się niedbale na nim, z głową podniesioną a nawet nieco w tył odrzuconą, z nawpół przymkniętymi oczyma.

— Kiedyś pani wchodziła na te schody, uwielbienie moje szło niedostrzeżone za tobą. Teraz, gdy z nich schodzisz, miłość moja ci towarzyszy—

wymówił cicho, pokornie niemal, z pewnem wahajacem ociąganiem się domawiając słów ostatnich.

Nie odpowiedziała mu nic. Podniosła tylko bukiet fiołków do drżących nozdrzy, wciągając woń ich głęboko. W tym ruchu szeroki rękaw płaszcza osunął się wzdłuż ramienia aż po za łokieć. Widok tego żywego ciała, wychodzącego z pośród futra, niby pęk róż białych z pod śniegu, zapalił w piersi młodzieńca jeszcze większe pożądanie zmysłów, dzięki tej dziwnie wyzywającej właściwości, którą posiada obnażone ciało kobiece, źle ukryte pod grubą i ciężką materją. Wargi zadrżały mu zlekka i z najwyższym trudem tylko pohamował płomienne słowa, co mu wybiegały na usta.

Ale powóz czekał pod wjazdem, przy samym podnózu schodów i lokaj stał u drzwiczek.

— Do pani Van Huffel — rozkazała księżna, wstępując na stopień, wsparta o ramię bratniego.

Lokaj skłonił się, opuścił drzwiczki i zajął swe miejsce. Konie uderzyły kopytami o kamienne płyty podjazdu, syjąc z pod nóg iskry.

— Ostrożnie, uważaj pani! — zawołała Helena, wyciągając rękę do młodzieńca.

Jej oczy i brylanty migotały w ciemności.

„Być z nią tam, w tym półcieniu karety i ustami szukać jej szyi pod przesiąkłym perfumami futrem!“
Już chciał powiedzieć:

— Zabierz mnie pan!

Konie znów uderzyły niecierpliwie kopytami.

— Uważaj pan, ostrożnie! — powtórzyła Helena.

Ucałował jej rękę; przycisnął usta swe tak silnie, jak gdyby chciał pozostawić na jej skórze piętno palącej swej namiętności. Potem zamknął z trzaskiem drzwiczki i szybko, z wielkim łoskotem, powóz potoczył się z podjazdu na Forum.

II.

Pod szarym potopem demokratycznego błota, które zatapia tak nędznie tyle rzeczy rzadkich i pięknych, schodzi także, znikając z wolna, po trochu, ta szczupła klasa starej włoskiej arystokracji, w której przechowywano z ojca na syna żywą tradycję rodzinną wysokiej kultury, wytworności i sztuki. Do klasy tej, którą radbym nazwać arkadyjską, ponieważ rzuciła ona głównie blask swój na pełne uroku życie XVIII-go stulecia, należała rodzina Sperellich. Wyszukana grzeczność, attycyzm iście grecki, zamętowanie w tem wszystkim, co wyższe i wytworne, upodobanie w naukach szczególnych, głęboka ciekawość estetyki, namiętność do archeologii, wyrafinowana galanterya — były w rodzie Sperellich dziedzicznymi przymiotami. W roku 1463 Aleksander Sperelli powiózł Frydeykowi Aragońskiemu, synowi Ferdynanda, króla Neapolu a bratu Alfonsa księcia Kalabryi, manuskrypt in folio, zawierający niektóre „moje rubaszne“ poezye starych pisarzy toskańskich, które przyrzekł mu był Wawrzyniec Medyceusz w Pizie w r. 1465; ten-

że sam Aleksander również napisał na śmierć pięknej Simonetty elegię łacińską, pełną melancholii na wzór utworów Tibulla. W tymże samym wieku inny Sperelli, Stefan, udał się do Flandryi, pośród pełnego przepychu życia, wytwornej elegancyi i niesłychanej okazałości burgundczyków i osiadł tutaj przy dworze Karola Śmiałego, dzięki połączeniu z jedną z rodzin flamandzkich.

Jeden z jego synów, Justyn, oddawał się malarstwu pod kierunkiem Jana Gossaert¹⁾; następnie zaś powrócił do Włoch, wraz z swym mistrzem, w świącie Filipa burgundzkiego, ambadora cesarza Maksymiliana u dworu papieża Juliana II w r. 1508. Osiedlił się we Florencyi, gdzie główna gałąź jego rodu, zajmowała zawsze zaszczytne stanowiska; drugim jego mistrzem był Piero di Cosimo, malarz wesoły i łatwy, potężny i harmonijny kolorysta, którego pędzel odtwarzał tak swobodnie baśnie pogańskiego świata. Justyn ów nie był bynajmniej pospolitym artystą, ale wyczerpał się w daremnych wysiłkach pogodzenia pierwotnej swej edukacyi goetyckiej z nowym duchem renesansu.

Około drugiej połowy XVII wieku, rodzina Sperellich przeniosła się do Neapolu. Tam to, w 1679 roku, jeden z nich Bartolomeo Sperelli,

¹⁾ Jan Gossaert, zwany Acabuse, malarz mitologiczny i kościelny.

wydał traktat astrologiczny „de Nativitatibus“; tam również w r. 1720, inny znów, Jan Sperelli, wystawił na scenie teatru operę buffo, zatytułowaną „Faustyna“, następnie zaś tragedję liryczną „Prokne“; w Neapolu także Karol Sperelli wydał tomik poezyj erotycznych, w których z horacyuszowską wytwornością, ubrał w szatę rymu sporo swywolnych żartów. Ludwik Sperelli, u dworu króla-lazzarona i królowej Karoliny, był lepszym daleko poetą a prócz tego mężem, znanym z wykwintnej galanteryi. Wierszował nadzwyczaj zgrabnie, z pewnym rzewnym epikureizmem; miłostki uprawiał z zamiłowaniem wytwornego amatora, miał ich też moc niezliczoną, niektóre nawet stały się sławne, jak naprzykład z margrabiną Bugnano, która struła się z zazdrości lub hrabiną Chesterfield, która umarła na suchoty i którą oplakiwał w kantatach, odach, sonetach i elegiach, bardzo ładnych, choć cokolwiek napuszonych.

Jedyny dziedzic, hrabia Andrzej Sperelli Fieschi d'Ugenta, w dalszym ciągu uprawiał tradycje rodzinne. [Był to istotnie idealny typ młodego włoskiego magnata z XIX-go wieku, prawowita odrośl rasy szlacheckiej wykwintnych artystów, ostatni potomek intelektualnego plebienia.

Był on, rzec można, nawskroś przesiąkły sztuką. Dzieciństwo jego, karmione różnorodnemi i głębokiemi naukami, zapowiadało na przyszłość

iście cudowne rezultaty. Aż do dwudziestego roku życia, oddawał się w towarzystwie ojca kolejno to długim czytaniom, to długim znowu podróżom i mógł dopełnić pod ojcowskim kierunkiem tego niepowszedniego estetycznego wykształcenia, bez wszelkiego pedagogicznego przymusu. Ojciec to właśnie wpoił weni to zamiłowanie do sztuki, ten kult namiętny dla piękna, pogardę paradoksalną dla wszelkich przesądów i niezmiernie pragnienie użycia.

Ten ojciec, który wzrósł pośród ostatnich okazałości dworu burbońskiego, umiał żyć pełną piersią; miał on głęboką umiejętność przyjemnego życia, w połączeniu z pewną skłonnością bajroniczną do wyegzaltowanego romantyzmu. Małżeństwo jego nawet zawarte zostało w tragicznych niemal okolicznościach, po szalonej namiętności. Następnie znów, niejednokrotnie zakłócał on wszelkiego rodzaju rozterkami, spokój małżeński. Ostatecznie, rozstał się z żoną, ale syna zatrzymał zawsze przy sobie, obwoząc go z sobą po całej Europie.

Wykształcenie więc Andrzeja było to wykształcenie żywe, daleko mniej oparte na księgach, niż na przypatrywaniu się wszystkiemu, co realnie ludzkie. Umysł jego popsuty był nietylko wysoką cywilizacją, ale i doświadczeniem a u niego ciekawość zaostrzała się o tyle, o ile rozszerzała się jego wiedza. Z zasady już marnotrawnym był w rozrzucaniu samego siebie:

wielka bowiem siła uczucia, jaką był obdarzony, nie przestawała nigdy dostarczać jego rozrzutności coraz to nowych skarbów. Ale wylew tej siły powodował u niego zniweczenie innej znów siły, siły moralnej, którą ojciec poniżał bez wszelkiego skrupułu. I nie spostrzegał się bynajmniej, że jego życie było postępującem wciąż zacieśnianiem się jego zdolności, nadziei, uciech nawet; rodzajem wzrastającego wciąż zrzekania się — i że dokoła niego zacieśniało się coraz więcej, nieubłagane, koło, co go ścisnęło coraz mocniej, chociaż powoli.

Ojciec między innemi dał mu tę podstawową maksymę: „Trzeba, byś sam tworzył sobie życie, tak, jak się tworzy jakieś dzieło sztuki. Trzeba, aby życie człowieka in'elektualnego, było własnem, wyłącznem jego dziełem. Istotna wyższość w tem cała leży jedynie“.

Ojciec również powtarzał mu zawsze tę radę: „Trzeba za każdą cenę zachować całkowitą wolność i swobodę, nawet w najwyższem upojeniu. *Habere non haberi*; taką jest reguła człowieka wyższego umysłem“.

Mawiał mu: „Żal jest bezużyteczną karnią leniwego ducha. I aby uniknąć żalu, najlepszym sposobem jest zajmować zawsze swój umysł coraz to nowemi wrażeniami i fantazyami nowemi“.

Ale te własnowolnie wytworzone maksymy, które, dzięki swej dwuznaczności, mogły uobudzić

za reguły wysoce moralne, padały właśnie na nieszczęście na grunt natury bezwłasnowolnej, to jest na umysł człowieka, u którego osobista energia była wielce wątłą.

Inny znów posiew ojca wydał w duszy Andrzeja zdradzieckie owoce; to posiew sofizmu: „Sofizmat, mówił ten nieopatrzny wychowawca, jest podstawą wszelkiej przyjemności życia i wszelkiej ludzkiej boleści. Wydoskonalic i pomnożyć zatem sofizmaty jest równoznaczne z wydoskonaleniem i pomnożeniem własnych przyjemności życia lub własnego cierpienia. Być może, że sztuka życia polega na zaciemnianiu prawdy. Słowo jest rzeczą niezmiernie głęboką, gdzie zakopane są dla człowieka wyższego umysłowo—nieprzebrane bogactwa“.

Posiew ten trafił w niezdrowym charakterze młodzieńca, na grunt podatny. Potroszę, u Andrzeja kłamstwo wobec samego siebie, bardziej jeszcze niż kłamstwo wobec innych, stało się zwyczajem tak ściśle zakorzenionym w jego sumieniu, że w końcu nie mógł już zupełnie zdobyć się na szczerłość, że nie mógł nigdy już odzyskać swobodnej władzy nad samym sobą.

Przedwczesna śmierć ojca pozostawiła go w dwudziestym roku życia, zupełnie osamotnionego na świecie, w posiadaniu nieograniczonem znacznego majątku, w niezgodzie i rozłączeniu z matką, zdanego na wolę swych namiętności i upodobań. Przeżył coś piętnaście miesięcy

w Anglii. Matka wyszła powtórnie za mąż za dawnego swego kochanka. On zaś powrócił do Rzymu, przez upodobanie do tego miasta.

Rzym był jego wielką miłością; nie ten Rzym cesarów, ale Rzym papieży; nie Rzym łuków tryumfalnych, termów, forum, ale Rzym will, wodotrysków, kościołów. Oddałby był Kolosseum za willę Medicis, Campo Vaccino za plac di Spagna, łuk Tytusa za fontannę di Trevi. Okazałość książęca Colonnów, Doriów, Barberinich, czarowała go daleko więcej, niż majestat cesarski w zwaliskach. A najwyższem jego marzeniem było posiadać pałac uwieńczony gzemsem Michała Anioła a zdobny we freski Carraciów, tak jak pałac Farnese; galerję pełną Rafaelów, Tycyanów, Dominichinów, jak galerya Borghese; willę w rodzaju willi Aleksandra Albani, gdzie głębokie gaje, różowy granit Wschodu, biały marmur z Luni, statuy greckie, malowidła renesansu i wspomnienia, przywiązane do samychże tych miejsc, stanowiłyby czar potężny, służący za dekoracyę własnej jego wielkiej, nadludzkiej jakiejś miłości. U margrabiny d'Ateleta, w jakimś albumie wyznań światowych, obok pytania: „Czem chciałbyś być?“ napisał kiedyś: „Śięciem rzymskim“.

Przybywszy do Rzymu pod koniec września 1884 roku, założył sobie swój *home* w pałacu Zuccari na Trinita de'Monti, na wyżynach tego ciepłego i rozkosznego katolickiego ustronia,

gdzie obelisk Piusa VI znaczy swym cieniem upływające godziny. Poświęcił cały październik na urządzenie się i umeblowanie pałacu; potem, kiedy już pokoje przyozdobione były i gotowe, przez kilka dni w tem nowem swem mieszkaniu uległ niepokonanemu smutkowi. Był to właśnie ostatni przebłyk lata na św. Marcin, „wiosna umarłych“, poważna a piękna, podczas której Rzym odpoczywa, ołożony cały, niby miasto leżące gdzieś na odległym krańcu Wschodu, pod sklepieniem nieba mlecznem niemal, tak przezroczem jak nieba, co się odzwierciedlają w morzach australskich.

Ta dziwna jakaś niemoc tęskna powietrza i światła, w której wszystkie przedmioty zdają się utracać swą rzeczywistość i uduchawiać się w przestworzu, przygnębiała młodzieńca głęboko wrażeniem jakiegoś nieusprawiedliwionego niezadowolenia, zwątpienia, osamotnienia, próżni nostalgii.

Tak, to prawda, wchodził on teraz w inną fazę swego życia. Czyż znajdzie w niej nakoniec kobietę i dzieło, godne podbić jego serce i stać się dla niego celem? W sobie samym nie miał ani pewności siły, ani przecucia sławy lub szczęścia. Cały przejęty, przesiąknięty sztuką, nie dokonał jeszcze dotąd żadnego dzieła istotnej wartości. Chciwy miłości i rozkoszy, nigdy jeszcze nie pokochał zupełnie, z całym oddaniem się, ani cieszył czemkolwiek naiwnie. Dręczony pragnie-

niem ideału, nie miał jeszcze w myśli wyraźnego jego obrazu. Mając wstręt do cierpienia z natury i wychowania, dostępny był ze wszech stron cierpieniu.

W zgiełku swych skłonności, wzajem sobie przeciwnych częstokroć i szarpiących się z sobą, utracił zupełnie wolę, utracił całą moralność. Wola, abdykując, ustąpiła swego berła instynktom a zmysł estetyczny podstawił się na miejsce moralnego zmysłu. Ale właśnie ten zmysł estetyczny wydelikacyony niezmiernie, wielce potężny, wiecznie czynny, utrzymywał umysł jego w pewnej równowadze, tak że powiedzieć można, iż życie jego było walką bezustanną sprzecznych sił, zamkniętych w granicach tej zmiennej równowagi. Ludzie inteligentni, wychowani w ubóstwieniu piękna, zachowują zawsze, nawet w największych swych deprawacyach, pewien rodzaj ładu.

Na smutek ten składał się potroszę jeszcze i wspomnienie Konstancyi Landbrooke, niejasne, jak perfumy, co się ulotniły. Miłość jego dla Konstancyi było to uczucie niezmiernie słabe. Konstancya była kobietą pełną uroku. Przypominała kreacye Tomasza Lawrence; posiadała całą pieśczośliwość wdzięków kobiecych, tak drogich temu malarzowi falbau, koronek, aksamitów, błyszczących oczu, ust rozchylonych; było to powtórne wcielenie hrabiny Shaftesbury. Żywa, szczebiotliwa, ruchliwa niesłychanie, rozrzutna

w nazwach dziecięco-pieszczotliwych i śmiechach hałaśliwych, skłonna do niespodziewanych pieszczot, do nagłych rozrzewnień, do wybuchów gniewu, wносиła w miłość wiele ruchu, wiele różnaitości, wiele kaprysów. Najmilszą u niej zaletą była świeżość, ta świeżość niezuzyta, wytrwała, nieustanna w każdej chwili. Kiedy budziła się po nocy rozkoszy, była tak rzeżwa czysta, jak gdyby wychodziła z chłodnej kąpieli. Andrzejowi obraz jej najczęściej tak przychodził na myśl: widział ją z włosami w części rozpuszczonemi i opadającemi na szyję a w części podniesionemi w górę i na wierzchołku głowy przytwierdzone mi greckim, złotym grzebieniem, z żrenicą koloru bladego fiołka, z czwartemi, wilgotnemi usty, rozświeconemi dwoma rzędami śmiejących się ząbków w różowej oprawie dziąseł, w cieniu firanek, które rzucały na łożo brzask błękitno srebrzysty, podobny do światła w pieczarze morskiej.

Ale melodyjny szczebiot Konstaacyi Landbrooke prześliznął się po duszy Andrzeja, jak ta lekka muzyeczka, co na czas jakiś pozostawia w pamięci wciąż powtarzającą się w niej zwrotkę. Niejednokrotnie, podczas wieczornych, ogarniających go smutków, mówiła z oczyma nabiegłemi łzą: „I know you love me not...“ W samej rzeczy, on jej nie kochał: nie zapełniała ona jego pragnień. Jego ideał kobiecy był mniej północnym. To, co go pociągało ku sobie jako ideał,

była to jedna z tych kurtyzan XVI-go wieku, których twarze zda się przysłaniać welon, utkany nocnymi jakiemiś czary.

Spotkawszy Helenę Muti, księżnę Scerni, pomyślał „To ona!“ I cała jego istota przejętą została radosnem uniesieniem, w przeczuciu przyszłego posiadania tej kobiety.

III.

Następnego dnia, sala licytacyjna przy ulicy Sykstyńskiej pełną była arystokratycznego towarzystwa, przybyłego dla oglądania zapowiedzianego turnieju.

Deszcz padał mocny. Do sal wilgotnych i niskich, wpływało szare światło; wzdłuż murów rozstawione były porządkiem różne meble z rzeźbionego drzewa, kilka wielkich dyptyków i tryptyków szkoły toskańskiej z XIV-go wieku; cztery gobeliny flamandzkie, przedstawiające „Historję Narcyza”, zwieszały się aż do podłogi; majoliki z okolic Metaure zajmowały dwie długie witryny; materye po większej części kościelne, bądź rozłożone były na krzesłach, bądź nagromadzone na stołach; najrzadsze starożytności: wyroby z kości stoniowej, emalie, kryształy, gemmy rzeźbione, medale, monety, chorały, manuskrypty kolorowane, srebra cyzelowane, zebrane były razem w wysokiej szafie oszklonej, po za stolikiem komornika i taksatora; dziwny jakiś wyziew, będący wynikiem wilgoci miejsca i wszystkich tych rzeczy starych, napełniał powietrze.

Kiedy Andrzej Sperelli wszedł w towarzystwie księżnej Ferentino, przejęło go mimowolne drżenie. „Czy też przybyła już?“—myślał ciągle. I co prędzej oczy jego szukały jej w tym tłumie.

Już była. Siedziała przed stolikiem komornika, między panem Davila i Don Filipem del Monte. Położyła na brzegu tego stolika swe rękawiczki i mufkę z futra wydry, z której wyglądał bukiet fiołków. Trzymała w ręku małą płaskorzeźbę srebrną, przypisywaną Caradossu Foppa i badała ją z całą uwagą. Przedmioty przechodziły z rąk do rąk, wzdłuż stołu; komornik zachwalał każdą rzecz głośno; osoby stojące po za szeregiem krzesel, pochylały się, by się im lepiej przypatrzeć; potem rozpoczynała się licytacja. Cyfry szły szybko jedna po drugiej. Komornik krzychał bezprzestannie:

— Dobrze już obejrzane, rozumie się?

Kilku amatorów, podnieconych tym krzykiem, rzucało znacznieszą cyfrę, spoglądając na swych współzawodników. Wtedy komornik wołał z podniesionym młotkiem:

— Po raz pierwszy! po drugi! po trzeci!

I uderzał młotkiem w stół: przedmiot należał wówczas do ostatniego licytanta. Szmer dawał się słyszeć dokoła; potem licytacja rozpoczynała się na nowo. Pan Davila, szlachcic neapolitański, olbrzymiej postaci a manier niemal kobiecych, słynny kolekcjonista i znawca majolik,

wydawał sąd o każdej ważniejszej sztuce. Na tej licytacji kardynalskiej były trzy przedmioty rzeczywiście cenne: gobeliny z historią Narcyza, czara z kryształu górskiego i hełm z cyzelowanego srebra, roboty Antoniego Pollaiuolo, dany przez sinioryę Florencyi hrabiemu d'Urbino w roku 1472, jako nagroda za zasługi położone w czasie wzięcia Volterry.

— Otóż i księżna — rzekł Filip del Monte do Heleny.

Helena podniosła się, by przywitać przyjaciółkę.

— Już na arenie — zawołała księżna Ferentino.

— Już.

— A Franciszka?

— Jeszcze dotąd nie przyszła.

Czterech czy pięciu eleganckiej młodzieży: księżę Gritti, Robert Casteldieri, Ludovic Barbarisi, Jan Rutolo, podeszli do nich. Inni poszli za ich przykładem. Plusk deszczu o szyby głuszył słowa rozmowy.

Helena wyciągnęła rękę do brabiego Sperelli serdecznie, otwarcie, jak do wszystkich innych. Doznał wrażenia, że ten uścisk ręki oddala go od niej. Helena wydała mu się chłodną i poważną. Wszystkie jego marzenia, zmrożone zostały nagle i gmach ich cały runął w jednej sekundzie; wspomnienia poprzedniego wieczoru zamętiły się, nadzieje zgasły. Co jej było? To nie

była już też sama kobieta. Ubrana była w długie futro z wydry a na głowie miała płaską czapkę z tegoż samego futra. W wyrazie jej twarzy było coś cierpkiego i niemal wzgardliwego.

— Na czarę—rzekła do księżnej—przyjdzie nam jeszcze poczekać.

I usiadła napowrót.

Każdy przedmiot przechodził przez jej ręce. Centaur wyrzeźbiony wkłęśło w sardonyksie, dzieło niezmiernie misterne, delikatne w obrobieniu, które pochodziło może z rozproszonego muzeum Wawrzyńca Wspaniałego, zajęło ją bardzo; wzięła udział w licytacyi. Oznajmiała podawaną przez siebie sumę po cichu komornikowi, nie podnosząc na niego oczu. Przyszła chwila, w której współzawodnicy jej umilkli i kamień przysądzony został na jej rachunek.

— Znacomity nabytek—ozwał się Andrzej Spirelli, który stał za krzesłem nabywającej.

Helena nie mogła powstrzymać się od lekkiego drgnienia. Wzięła sardonyks i podała mu go do obejrzenia, podniósłszy rękę do wysokości ramienia, nie odwracając się jednakże. Była to istotnie rzecz wielkiej piękności.

— Może to być centaur skopiony przez Donatellę—dodał Andrzej.

I w duszy jego, w tej samej chwili co uwielbienie dla rzeczy pięknej, wystąpił zachwyt dla szlachetnego smaku kobiety, która ją teraz po-

siadała. „Jest więc we wszystkim tą wybraną, myślał. Jakąż rozkosz dałaby wyrafinowanemu kochankowi! I urastała ona w jego wyobraźni; ale w miarę jak urastała, wymykała mu się również. Zupełna pewność poprzedniego wieczoru zamieniła się w pewien rodzaj zwątpienia i pierwotne wątpliwości budziły się w nim napowrót. Zbyt wiele przemarzył w ciągu nocy, zbyt wiele prześnił z otwartymi oczyma, skąpany w bezgranicznem szczęściu, gdy wspomnienie jakiegoś jej gestu, uśmiechu, wyrazu twarzy, załomu sukni, chwyciło go i oplątywało jak sieć zdradliwa. Teraz cały ten świat wymarzony padał w gruzy przy zetknięciu się z rzeczywistością. Nie dojrzał w oczach Heleny tego osobnego, dla niego tylko przeznaczonego powitania, które tak zajmowało myśl jego; zmieszany z tłumem innych, nie otrzymał od niej przywileju żadnego wyróżnienia. „Dlaczego?“ Czuł się upokorzonym. Cały ten tłum głupi drażnił go, drażniły go również wszystkie te rzeczy, co więziły uwagę Heleny; drażnił go ten Filip del Monte, który od czasu do czasu pochylał się ku niej, by jej szepnąć niezawodnie jakąś ploteczkę. Nadeszła margrabina d'Ateleta. Była wesołą jak zazwyczaj. Posłyszawszy śmiech jej wśród młodzieży, co ją zaraz otoczyła kołem, odwrócił się żywo Don Isidoro.

— A zatem trójca już w całym komplecie—
rzekł, powstając.

Doł. do „Pra. Tyg.“—G. D'Annunzio „Dziecko rozkoszy“. 4

Andrzej zajął czemprowadzej opróżnione miejsce obok księżnej. Dobiegł go lekki zapach fiołków i szepnął:

— To już nie wczorajsze.

— Nie — odparła Helena chłodno.

W jej zamienności falującej i przeszechotliwej, jak nikt wód, była zawsze niejasna groźba nieprzewidzianego chłodu. Podlegała nagłym napadom surowości. Andrzej umił, nie mogąc nic zrozumieć.

— Oberżane już dobrze? — wołał komornik.

Cyfra coraz podnosiła się. Walka toczyła się zacięta o hełm Pollajuca. Nawet pan Davila wstąpił w szranki. Zdało się, że powietrze rozgrzewa się p. trochu i że żądza posiadania wszystkich tych pięknych i rzadkich przedmiotów ogarnęła umysły. Szał rósł jak zaraza.

W Rzymie tego roku zamłowanie w kosztownych fraszkach wzrosło aż do wybryków; wszystkie salony arystokracji i bogatego mieszczaństwa zawalone były „rzadkosciami“; wszystkie panie wykrawały poduszki swych otoman z ornatów lub kap i wkładały bukiety róż w słoik apteczny umbryjski lub czarę z chalcedonu. Sale licytacyjne były ulubionem miejscem schadzki a częstszanie na wyprzedaje modną zabawką. Po południu, w porze herbaty, eleganckie damy przybywały, mówiąc: „Powracam z licytacji malarza Campos. Ogromnie była ożywiona. Misy hisz-

pańsko-arabskie wspaniałe. Dostał mi się klejnot po Maryi Leszczyńskiej. Patrzcie.“

— Obejrzane już dobrze?

Cyfry wciąż szły w górę. Amatorzy cisnęli się dokoła stołu. Między „Narodzeniami“ i „Zwiastowaniami“ w guście Glotta, wytworna młodzież przypuszczała szturm wymowy i komplementów. W tę woń stęchlizny i starożytności damy wносиły zapach swych futera zwłaszcza też fiótków, każda mufka bowiem zawierała ich bukietek, zgodnie z uroczą modą ówczesną. Obecność wszystkich tych osób rozlewała w powietrzu ciepło przyjemne, jak w wilgotnej kaplicy, w której byłoby liczne zgromadzenie wiernych. Na dworze deszcz wciąż padał i ściemniało się. Zapalono gazowe płomyki i dwa te światła różne walczyły z sobą.

— Po raz pierwszy, po drugi, po trzeci!

Uderzenie młotka uczyniło lorda Humphrey Heathfield szczęśliwym posiadaczem florentyńskiego hełmu. Rozpoczęła się licytacja drobnych przedmiotów, które przechodziły wciąż z ręki do ręki dokoła stołu. Helena ujmowała je delikatnie w palce, przypatrywała im się i kładła przed Andrzejem w milczeniu. Były to emalie, wyroby ze słoniowej kości, zegarski z XVIII go wieku, klejnoty złotniczej sztuki medycyjskiej, czołagi pisane złotem literami na kolorowanym lazurze welinie. W rękach księżnej kosztowne te przed-

mioty zdawały się nabierać większej jeszcze ceny. Drobne rączki czasami drżały cokolwiek, dotykając rzeczy godniejszych pożądaniami. Andrzej przypatrywał im się upornie a jego imaginacya przemieniała w pieśczętę każdy ruch tych rąk.

„Ale dlaczego kładła zawsze ohejrzane przedmioty na stół zamiast wprost mu je podawać?“ — Uprzedził ruch Heleny, wyciągając rękę. I odtąd kość słońska, emalie, biżuterye przechodziły z palców ukochanej bezpośrednio w jego ręce, co mu sprawiało rozkosz niewymowną. Wydawało mu się, że w te przedmioty wnika cząsteczka miłosnego urku tej kobiety, jak udziela się żelazu cząstka własności magnesu. Było to prawdziwie magnetyczne wrażenie rozkoszy, jedno z tych wrażeń dojmujących a głębokich, których doznaje się tylko w samym początku miłości a które różne w tem od wszelkich innych, zdają się nie mieć ni fizycznego, ni moralnego siedliska, ale mieścić się gdzieś w jakimś neutralnym żywiole naszej istoty, w żywiole pośrednim i nieznanym natury.

Andrzej pomyślał po raz drugi: „To rozkosz nigdy niezaznana!“

Ogarnęło go jakieś zdrętwienie; zwolna tracił świadomość miejsca i czasu.

— Radzę panu nabyć ten zegarek — odezwała się do niego Helena ze spojrzeniem, którego znaczenia nie zrozumiał zrazu.

Była to mała trupia główka, wyrzeźbiona z kości słoniowej z niezwykłą, potężną wiernością anatomiczną. Każda szczeka miała wprawiony rząd brylantów a dwa rubiny połyskiwały w głębi orbitów. Na czole wyryta była dewiza: RUIT HORA ¹⁾ a na tyle czaszki: TIBI, HYPPOLYTA. Trupia głowa otwierała się jak tabakierka, jakkolwiek zameczek był prawie niedostrzegalny. Ruch zegarka w głębi nadawał tej miniaturowej czaszce niepojęty pozór życia. Ten klejnot żałobny, dar tajemniczego artysty dla ukochanej, musiał niegdy zapewne mierzyć godziny upojen a swym symbolem stanowić przestrozę dla dusz szalejących.

W samej rzeczy do mierzenia czasu rozkosz nie mogła życzyć sobie nic wytworniejszego, ani nic bardziej natchnionego. Andrzej pomyślał: „Czy mi go doradza dla nas?“ I na tę myśl zmartwychwstały w nim wszystkie poprzednie nadzieje i wypłynęły znów tłumnie z pośród powodzi zwątpień. Z pewnego rodzaju zapałem stanął do licytacyi. Dwóch czy trzech współzawodników zażartych podjęło z nim walkę, między innymi Jan Rutolo, którego kochanką była Donna Hipolita Albonica, widocznie podniecony napisem: TIBI, HYPPOLYTA.

Niebawem już tylko Rutolo i Sperelli pozostali sami jedynymi współzawodnikami. Cyfry rosły ciągle, przewyższyły o wiele rzeczywistą wartość

¹⁾ Wstrzymaj się, godzino.

przedmiotu, z czego uśmiechał się zlekka ko mornik. Nakoniec Rutolo, zwyciężony uporem swego rywala, zamilkł.

Kochanek H polity, cokolwiek błady, rzucił ostatnią cyfrę, Sperelli ją podniósł wyżej jeszcze. Nastąpiła cisza. Komornik patrzył na współzawodników; potem podniósł z wolna swój młotek, wciąż patrząc na obu.

— Po raz pierwszy, po drugi, po trzeci!

Trupia czaszka przybitą została hrabiemu Ugenta. Smer przebiegł po sali. Fala zachodzącego słońca wpadła przez szyby i rozświetliła złoczone tła tryptyków, ożywiła czoło bolesne jakiejś Madonny sienieńskiej i maleńki popielaty kapelusik księżnej Ferentino, cały pokryty stalowymi łuskami.

— Kiedyż przyjdzie kolej na czarę? — spytała księżna niecierpliwie.

Znajomi jej rozjrżeli się w katalogu. Nie było najmniejszej nadziei, by czara florenckiego dziwaka humanisty dziś sprzedaną została. Liczna konkurencyja była powodem, że licytacya postępowwała bardzo powoli. Pozostawała jeszcze długa lista drobnych przedmiotów, kamei, monet, medali. Kilku antykwaryuszów i książę Strogonow staczali zacięte walki o każdą sztukę. Wszyscy oczekujący doznali rozczarowania. Księżna Scerni powstała, zabierając się do wyjścia.

— Adieu, panie Sperelli — rzekła. — Do widzenia może wieczorem.

— Dlaczego dodajesz pani: „może“?

— Nie jestem zupełnie zdrową.

— Co pani jest?

Nie odpowiadając, zwróciła się ku innym, żegnając ich ukłonem. Ale i reszta poszła za jej przykładem. Młodzież żartowała na temat niedoszętego do skutku widowiska, margrabina d'Atelleta śmiała się, tylko księżna Ferentino była w okropnie złym humorze. Lokaje, oczekujący w kurytarzu przywoływali kolejno pojazdy, jak u bram teatru lub koncertowej sali.

— Nie pójdziesz wcale do Laury Miano? — pytała margrabina Helenę.

— Nie, wracam do domu.

Czekała na brzegu trotuaru, nim karetka jej podjedzie. Deszcz ustawał; z pomiędzy szerokich płatów chmur białych, tu i owdzie widać było kawałki błękitu, snop słonecznych promieni kładł się jasnym blaskiem na płyty kamienne. I młoda kobieta, oblana tą jasnością blado- różową, w wspaniałym płaszczu spływającym w fałdach prostych, nieomal symetrycznych, dziwnie była piękna. Andrzej, stojący nieopodal, dojrzał wewnątrz jej karetki, wybitej aksamatem, jak buduar kobiecy; połyskiwał w niej srebrny cylinder napełniony ciepłą wodą i przeznaczony do rozgrzewania drobnych nóżek księżnej; marzenie poprzedniego wieczora opano-

wało go nanowo. „Być tam z nią, tak blisko, sam na sam, w tem łagodnem cieple, wytworzonym z jej oddechu, pośród woni wędnących fiołków, poza szybami zapotniałemi, z poza których zaledwie dojrzeć można ulice pokryte błotem, szare dony i ten motłoch ciemny, snujący się po nich“.

Ale ona zlekka tylko skinęła głową z okna karety, bez śladu nawet uśmiechu — i powóz potoczył się ku pałacowi Barberini, pozostawiając w sercu młodzieńca nieokreśloną tęsknotę i jakąś niemoc zniechęcenia.

Powiedziała mu „może“. Mogła zatem nie przybyć zupełnie do pałacu Farnese. A wtedy co?

Ta wątpliwość przygnębiała go. Myśl, że może jej nie zobaczy więcej, była dlań nie do zniesienia; już mu ciążyła każda godzina, zdala od niej spędzona. Zadawał sobie pytanie: „Więc ja ją tak już bardzo kocham?“ Myśl jego zamkniętą była w kole, w którem krążyły bezładnie wszystkie widma wrażeń doznanych w obecności tej kobiety. Nagle wyłaniały się z jego pamięci, z szczególniejszą dokładnością, bądźto jakies jej zdanie, bądź intouacya słów wyrzeczonych, poza, spojrzenie, kształt kanapki, na której usiadł, finał sonaty Beethovena, tou jakis piosenki Mary Dyce, twarz służącego, który stał u drzwiczek powozu, jakiskolwiek szczegół — i obrazy te zaćmiewały swą żywością bieżącą chwilę istnienia, podstawiały się

na miejsce zdarzeń współczesnych. Przemawiał do niej w duszy: mówił jej myślą to wszystko, co jej później, kiedyś wypowie w rzeczywistości, w przyszłych z nią rozmowach. Przewidywał sceny, przypadki niespodziewane, odmiany różne, wszystkie niepokoje, nieodłączne od miłości tak, jak mu je poddawała kapryśna jego żądza... „W jaki sposób odda mu się ona po raz pierwszy?”

Wchodząc na schody pałacu Zuccari, kiedy powracał do domu, myśl ta przebiegła mu nagle przez głowę: „Ona tu przyjdzie, niema wątplenia... Ulica Sykstyńska, ulica Gregoryńska, plac Trinita de'Monti były opustoszałe niemal zupełnie, zwłaszcza też w niektórych dnia godzinach. Dom zamieszkiwali wyłącznie tylko cudzoziemcy. Mogła więc odważyć się na to bez obawy Ale jak ją tam wciągnie?” — Niecierpliwość jego była tak wielką, że pragnął móż powiedzieć już teraz „Ona przyjdzie tu jutro!”

I myślał dalej: „Wolna jest. Nie strzeże jej czujność męża. Nikt nie może zażądać od niej zdawania sprawy ze spędzonego poza domem czasu, choćby nieobecność jej niewiedzieć jak była długą, niezwykłą. Jest panią wszystkich swych czynności zawsze“. I nagle myśl jego przedstawiła mu dnie całe, noce całe rozkoszy. Obejrzał się dokoła po ciepłym, głębokim, tajemniczym pokoju i ten zbytek niezmierny a rzadki, na który

wyłącznie złożyła się sztuka, podobał mu się ze względu na nią. To powietrze czekało jej oddechu, te dywany błagały, by je deptała swemi stopy; te poduszki pragnęły odcisnięcia na nich jej ciała.

„Polubi mój dom—myślał sobie.—Polubi rzeczy, które ja lubię“. Ta myśl przejmowała go nieopisaną błogością i zdawało mu się już, że nowa dusza, świadoma przyszłych uciech, nulsuje pod temi wysokimi plafonami.

Zażądał, by mu służący podał herbatę i usiadł przed kominkiem, aby rozkoszować się do woli złudzeniami swej nadziei. Wyjął z futerału czaszkę, zdobną drogiemi kamieniami i począł się jej przypatrywać uważnie. Przy blasku ognia wazkie szeregi brylantowych zębów świeciły na żółtawem tle słoniowej kości a dwa rubiny oczu ciemnem, gorącym światłem rozświecały orbity. Pod wygładzoną, polerowaną czaszką drgał ruch bezustanny zegarowych sprężyn, bieg nieustający czasu: RUIT HORA.—Co to za artysta mógł mieć dla swej Hapolity tę wspaniałą i swobodną fantazyę śmierci, w wieku, w którym emalierzy przyozdabiali czułemi idyllami małe zegarki, przeznaczone do wskazywania godziny miłosnych schadzek w parkach à la Watteau? Rzeźba zdradzała rękę wprawną, silną, posiadającą styl sobie właściwy: godną była mistrza XV go wieku tak przejmującego jak Verrocchio.

„Radzę panu nabyć ten zegarek”. Andrzej uśmiechał się z lekka, przypominając sobie te słowa Heleny, wymówione w tak dziwny sposób, po tak długim, chłodnym milczeniu — Z pewnością, kiedy wymawiała te słowa, myślała o miłości; myślała niezawodnie o przyszłych miłosnych spotkaniach. Ale dlaczego później napowrót przybrała chłód swój nieprzenikniony? Dlaczego nie troszczyła się już o niego zupełnie? Co jej było? Andrzej błąkał się w tych poszukiwaniach i domysłach. Jednakże ciepło pokoju, miękkość fotelu, przyćmione światło, migotliwe błyski płomieni, woń herbaty, wszystkie te przyjemne wrażenia zwróciły umysł jego napowrót w krainę rozkosznych złudzeń. Szedł wciąż w tem bezcelowem marzeniu, przez fantastyczny jakiś labirynt. Myśl przybierała dlań czasami własności opium: była w stanie upajać go.

— Pozwolę sobie przypomnieć panu brabiemu, że jest oczekiwany na siódmą w pałacu Doria — rzekł mu półgłosem kamerdyner, do którego obowiązków należało dopomaganie pamięci pana. — Wszystko już gotowe.

Przeszedł się przebrać do ośmiokątnego pokoju, najbardziej eleganckiej garderoby, jakaby mógł wymarzyć młody arystokrata współczesny. Ubierając się, poświęcał on tej czynności niezmierną moc drobiagowych starań. Na wielkim sarkofagu rromańskim, przeobrażonym z wyszukany gustem w tualetę, znajdowały się rozłożone we wzorowym

porządku chustki batystowe, balowe rękawiczki, pugilaresy do bitetów wizytowych, papierośnice, flakony z perfumami i pięć, czy sześć świeżych gardenij w maleńkich wazonikach z błękitnej porcelany; wszystkie te drobnostki, tak próżne treścią i wątłe na tym kamiennym złomie, na którym wyrzeźbiony był orszak pogrzebowy, dzieło mistrzowskiego dłuta.

IV.

W pałacu Doria, ponieważ rozmowa toczyła się o tem i o owem, stara księżna Angelieri ozwała się z powodu niedawno odbytej słabości Laury Miano:

— Jak się zdaje, Laura i Helena Muti poróżniły się z sobą.

— Może z powodu Jerzego? — spytała inna z pań ze śmiechem.

— Tak mówią. To historia, co się rozpoczęła tego lata w Lucernie...

— Ależ Laura nie była przecież w Lucernie.

— W samej rzeczy. Mąż jej jednak tam się znajdował..

— Zdaje mi się, że to złośliwość tylko, nie więcej — przerwała florencka hrabina Blanka Dolcebuono. — Jerzy jest teraz w Paryżu.

Andrzej słyszał wszystko, mimo paplaniny Eugenii Starnina, która, siedząc obok niego, zajmowała go sobą bezustannie.

Słowa Blanki Dolcebuono nie wystarczały, by złagodzić ostrość tego ukłócia. Radby był przynajmniej znać całą tę sprawę do głębi. Ale

księżna Angeleri zaprzestała dalszej w tym kierunku rozmowy i poczęto mówić o czem innym.

„Kto to był ów Jerzy? Może ostatni kochanek Heleny? Spędziła istotnie w Lucernie część lata. Powracała z Paryża. Kiedy wychodzono z licytacji, dała odmowną odpowiedź na propozycję odwiedzenia Laury Miano“. W umyśle Andrzeja pozory były przeciw niej, wszystkie. Ogarnęła go dojmująca żądza zobaczenia jej teraz, pomówienia z nią. Zaproszenie do pałacu Farnese brzmiało na godzinę dziesiątą; o wpół do jedenastej był już tam i oczekiwał.

Czekał długo. Salony zapełniały się z niezmierną szybkością; bał się rozpoczynać. W galerji Anibala Carraci, boginie rzymskie rywalizowały pięknnością z Ariadnami, Galateami, Aurorami i Dianami fresków; pary wirowały, roztaczając woń odurzających perfum; opięte w rękawiczki rączki pięknych dam przyciskały ramiona tancerzy; głowy, ugwiażdżone brylantami, pochylały się lub prostowały wyniośle, widać tam było rozchylone usta połyskujące purpurą, obnażone gorsy, co świeciły z po za wilgotnej zastony, zawistej w powietrzu, tona, co zdawały się rozrywać staniki głębokim, dyszącym oddechem.

— Nie tańczysz pan dziś wcale, hrabio Sparelli?—spytała Gabryela Barbasisi, młoda dziewczyna, brunatna jak *oliva speciosa*, z dwoma rozkosznymi doteczkami i znamieniem w kącie

ust. przechodząc wsparta na ramieniu dansera i poruszając szybko wachlarzem.

— Trochę później — odpowiedział Andrzej — później.

Niedbale wymieniając prezentacje i powitania, czuł jak wzrasta w nim niepokój, w tem bezowocnem oczekiwaniu; błąkał się kolejno z salonu do salonu, na los przypadku, bez celu. Owo „może“, kazało mu się obawiać, że Helena nie przyjdzie wcale. A jeśli istotnie przyść nie zechce? Kiedyż ją wówczas zobaczy? Przechodziła Blanka Dolcebuono i sam niewiedząc dla czego, zbliżył się do niej i począł uprzejmie z nią rozmawiać; towarzystwo to sprawiało mu pewną ulgę. Chciałby był mówić z nią o Helencie, zapytać jej o nią, uspokoić się, upewnić. Orkiestra zagrała jakąś omdlewającą mazurkę i florencka hrabina puściła się w taniec z swym dauserem.

Wówczas Andrzej skierował się ku grupie mężczyzn, stojącej w pobliżu drzwi. Była to sama młodzież: Ludowico Barbarisi, książę de Beffi wraz z Filipem del Gallo i Gino Bomminaco. Przypatrywali się wirującym parom i zabawiali przytem w obmowę, cokolwiek rubaszną. Barbarisi opowiadał, że tańcząc walca z hrabiną Lucoli widział dokładnie dwie wypukłości jej piersi.

— Ale jak?

— Spróbuj. Wystarczy zapuścić wzrok w wycięcie stanika. Zapewnię cię, że trud się opłaci...

— Czy zauważyliście panią Chrysoloras? Patrzcież!

Księżę Beffi ukazywał tancerkę, która podobna do kapłanki Almy Tademy, miała płomieniste rude włosy po nad czołem białem, jak marmur z Lunni. Stanik jej przytrzymały na ramionach dwie tylko proste wstążki.

Bomminaco począł rozprawiać na temat szczególniejszego wyziewu, będącego właściwością kobiet rudych.

— Ten zapach ty znasz dobrze—wtrącił Barbarisi złośliwie.

— Dlaczego?

— A Micigliano...

Młodemu człowiekowi widocznie pochwlebiło to wymienienie nazwiska jego kochanki. Zamiast zaprzeczyć, rozśmiał się. Potem zwracając się do Sperellego:

— Co tobie jest dziś wieczór? Przed chwilą szukała cię tu twoja kuzynka. Tańczy teraz z moim bratem. O, widzisz.

— Patrzcie! — zawołał Filip del Gallo — Pani Albonico powróciła. Tańczy teraz z Janem.

— Helena Muti powróciła również od tygodnia—wtrącił Ludovico. Cóż to za uroczo piękne stworzenia!

— Czy znajduje się tutaj?

— Nie widziałem jej jeszcze.

Andrzej poczuł, jak mu trwogą drgało serce; przerażała go myśl, że które z tych ust wymó-

więby mogły jakąś złośliwą uwagę o Helenie. Ale ukazanie się księżnej Isse, wspartej na ramieniu ministra duńskiego, zwróciło rozmowę na inne tory. Niemniej przeto, by się czegoś dowiedzieć, by coś odkryć, czuł nieprzewartą chęć skierowania rozmowy napowrót na nazwisko ukochanej; nie śmiał tego uczynić jednak. Mazurka kończyła się; grupa u drzwi poczęła się rozpraszać. „Nie przychodzi! Nie przychodzi!“ Tajemny niepokój jego wzrastał tak już bardzo, że miał wielką ochotę opuścić salony; stykanie się z tym tłumem stało się dlań niemożliwie nieznośnem.

Odwracając się, spostrzegł nagle na progu galeryi księżną Scerni, prowadzoną pod rękę przez posła francuzkiego. Na chwilę spotkały się z sobą ich spojrzenia i przez tę chwilę oczy ich zdały się przyciągać wzajem, przenikać nawskroś, pić spojrzeniem. Oboje poczuli, że jedno szukało drugiego; była chwila, w której odczuli oboje jak wśród tego rozgwaru zstąpiła na dusze ich wielka cisza i rozwarła się przepaść, w której głębiach znikł cały świat otaczający pod czarem potęgi jednej, wyłącznej myśli.

Szła zwolna w jego stronę galeryą o małowidłach Carraccia, gdzie ścisk był mniejszy; długi tren z białego brokatu włókł się za nią po posadzce, jak ciężka wód fala. Tak biała i pełna prostoty szła odwracając wciąż głowę, by odpowiedzieć na liczne okłony, z widocznem na twarzy zmęczeniem, z uśmiechem nieco wymuszono-

Dod. do „Prs. Tyg.“ — © D'Annunzio. „Dziecko rozkoszy“. 5

nym, który marszczył jej zlekka kąciki ust, kiedy tymczasem oczy zdawały się jeszcze większe pod bezkrwistem czołem. Ta bladłość nadzwyczajna nadawała nietylko czołu ale wszystkim liniom twarzy, przezroczość jakiegoś księżycowego zjawiska. Nie była to już ta sama kobieta, co siedziała u stołu d'Ateletów, ni też owa z licytacyjnej sali, ni ta, co przez chwilę zatrzymała się na trotoarze ulicy Sykstyńskiej. W tej chwili piękność jej miała wyraz jakiejś wszechwładnej idealności, która odbijała tym większym urokiem pośród innych kobiet, rozgrzanych tańcem, podnieconych, zbyt ruchliwych, cokolwiek zdenerwowanych. Mężczyźni, patrząc na nią, zamysłali się. Nawet w umysłach najbardziej tępych i pustych, widok jej budził niepokój, zamęt, jakąś nieokreśloną aspiracyę. Kto tylko miał serce wolne, wyobrażał sobie, z głębokim dreszczem miłość tej kobiety; kto miał kochankę doznawał niejasnego żalu, marząc dla swego niezupełnie zadowolnionego serca, o takiej nieznanej rozkoszy; kto nosił w sobie zadaną przez kobietę ranę zadośćci lub zdrady, czuł, że mógłby być uzdrowionym.

Szła pośród hołdów, owionięta spojrzeniami mężczyzn. Na końcu galeryi przyłączyła się do grupy pań, które rozmawiały z ożywieniem, powiewając wachlarzami, pod freskiem Perseusza. Była tam księżna Ferentino, Hortensya Massa

d'Albe, margrabina Daddi-Tosinghi, Blanka Dolcebuono.

— Dlaczego tak późno? — spytała ją ta ostatnia.

— Wahałam się bardzo, nim tu przyszłam; nie czuję się zdrową.

— W samej rzeczy, jesteś bardzo blada.

— Zdaje mi się, że znów dostanę, jak przeszłego roku, newralgii w twarzy.

— Niech Bóg broni!

— Patrz na panią de la Boissière, Heleno— zawołała Giovanella Daddi, dziwacznym swym zachrypłym głosem. Czy to nie istny wielbłąd przebrany za kardynała w żółtej peruce?

Panie poczęły się śmiać chórem, żywo poruszając wachlarzami. Z sal sąsiednich, dołatywały pierwsze nuty jakiegoś węgierskiego walca. Młodzież zaczynała angażować do tańca. Andrzej mógł wreszcie podać ramię Helenie i wprowadzić ją z sobą.

— Zdawało mi się, że życie uchodzi ze mnie w tem nieskończonym oczekiwaniu. Gdybyś nie była przyszła, Heleno, byłbym chyba poszedł szukać cię, mniejsza o to gdzie. Kiedym panią zobaczył wchodzącą, potrzebowałem całej siły, aby powstrzymać okrzyk. Dziś to zaledwie drugi wieczór, w którym cię widzę, ale zdaje mi się, że cię już kocham całą wieczność. Myśleć o tobie, o tobie jednej tylko, zawsze, to teraz życie mego życia...

Wymawiał te słowa wyznań gorących po ci-
chu, nie patrząc na nią zupełnie, z oczyma utkwio-
nemi wprost przed siebie a ona słuchała go tak
samo, zapatrzona gdzieś w dal, pozornie oboję-
tna, niemal marmurowa w tym spokoju. Mało
ludzi pozostało w galeryi. Wzdłuż ścian, między
biustami cesarów, matowe kryształy lamp w kształ-
cie kielichów lilii zlewały jednostajne, łagodne
światło. Obfitość roślin zielonych i kwitnących
czyniła z tej galeryi jakąś wspaniałą cieplarnię.
Fala muzyki wbiegała w to ciepłe powietrze,
rozlegając się pełnemi dźwięki pod akustycznem
sklepieniem sal, ślizgając się po tej zakłętej w bar-
wy mitologii pogańskiej, jak wonny wietrzyk po
okazałym ogrodzie.

— Czy pokochasz mnie pani? — spytał. — Powiedz
mi, że pokochasz!

Odpowiedziała powolnie:

— Przyszłam tu wyłącznie tylko dla pana.

— Powiedz mi, że mnie pokochasz! — powta-
rzał a wszystka krew żył radosnym strumieniem
napływała mu do serca.

Odpowiedziała mu:

— Być może.

I popatrzała nań tem samem spojrzeniem, które
poprzedzającego wieczora wydało mu się czaro-
wną obietnicą, tem nieujętem, nieokreślonem ja-
kiemś spojrzeniem, które sprawiało wrażenie aksa-

mitnego, miękiego, pieszczotliwego dotknięcia. Potem umilki oboje i słuchali owijającej ich swym czarem tanecznej muzyki, chwilami powolnej i cichej jak szept omdlewający, to znów porywającej jak orkan nagły wichru.

— Czy zechcesz pani tańczyć? — spytał i przejął go dreszcz lekki na myśl, że będzie mógł otoczyć ją swoim ramieniem.

Zawahala się przez chwilę, potem odparła.

— Nie, nie będę.

A zobaczywszy księżną Bugnara, swą ciotkę, wchodzącą w tej chwili do galeryi z księżną Alberoni i żoną ambasadora Francyi:

— Teraz bądź pan rozsądnym — dodała — rozstań się ze mną.

Podala mu rękę, opięta w rękawiczkę i podeszła, sama już, do trzech pań, krokiem rytmicznym i lekkim. Długi tren jej biały dodawał jej ruchom i osobie jakiegoś majestatycznego, królewskiego wdzięku a ciężkość draperyi brokatu stanowiła dziwny kontrast z cienkością jej w pasie. Andrzej ścigał ją oczyma a w duszy brzmiał mu wciąż frazes wypowiedziany przez nią: „Przyszłam tu wyłącznie dla pana“. Taka piękna i przyszła dla niego jedynie, dla niego samego! — Nagle z głębi serca spłynęła resztką jakaś gorzycy, którą tam wsaczyła rozmowa starej księżnej Angelieri i uderzyła mu falą do mózgu. Zuowu dobiegły jego ucha bałaśliwe dźwięki orkiestry...

I nigdy nie zapomniał ani tej muzyki, ni tego nagłego ściśnienia serca, ni postawy tej kobiety, ni przepychu materyi co się wlokła za nią po ziemi, ni najdrobniejszej fałdki, najmniejszego cienia, ani żadnego, żadnego szczegółu tej szczytnej życia chwili.

V.

Wkrótce potem Helena opuściła pałac Farnese niemal nagle, nie pożegnawszy się ani z Andrzejem, ani z nikim. Była zatem na balu pół godziny załedwie. Daremnie zakochany szukał jej długo jeszcze po wszystkich salonach.

Nazajutrz rano posłał swego służącego do pałacu Barberini, aby się dowiedzieć o zdrowiu księżnej i oznajmiono mu, że jest chora. Nad wieczorem poszedł tam sam, w nadziei że zostanie przyjętym; ale jedna z pokojowych powiadziała mu, że pani bardzo jest cierpiącą i nie chce widzieć się z nikim. W sobotę około piątej po południu powrócił tam z nową wciąż nadzieją.

Wyszedł pieszo z pałacu Zuccari. Zmrok błękitnawo popielaty, ponury jakiś, zwolna kładł się nad Rzymem, niby gęsty welon. Już na placu Barberini dokoła fontanny świeciły się latarnie blademi bardzo, drobnemi płomykami, jak woskowe gronnice dokoła trumny; a Tryton, pozbawiony płynnej i rozgłosnej swej duszy, nie tryaskał strumieniem wody. Po spadzistej ulicy to-

czyły się wózki, w parę lub trzy konie zaprzężone rzędem a gromady robotników wracały z górnej części miasta. Niektórzy szli pod ręce, śpiewając na całe gardło bezecne piosenki.

Zatrzymał się, aby ich przepuścić. Dwie czy trzy z tych brunatnych, zezowatych twarzy, pozostały mu wryte w pamięć. Zauważył, że jeden z powożących wózkiem miał rękę obandażowaną i że na bandażu tym były plamy krwi. Zauważył również innego, klęczącego na wózku z twarzą szaro-błądą, z zapadłymi oczyma, z ustami, wykrzywionymi bólem, jakby pod działaniem trucizny. Słowa piosenki mieszały się z gardłowymi okrzykami, z trzaskiem biczów, turkotem kół, brzękiem uprzęży, klątwami, bluźnierstwami, lub wybuchami rozgłośnego śmiechu.

Smutek jego wzrósł i zaostrzył się jeszcze. W dziwnym znajdował się usposobieniu umysłu. Wrażliwość jego nerwów była tak wielką i dojmującą, że najmniejszy wpływ, który na nim wywarły rzeczy zewnętrzne, podobny był do głębokiej rany. Jedna, jedyna myśl stała, dręcząca zajmowała jego istotę a równocześnie każde wrażenie otaczającego świata było dlań jakby potrąceniem bolesnem. Mimo że umysł jego rozrywały te rzeczy zewnętrzne, mimo całej bezwładności woli, zmysły jego pozostawały czujne i czynne; a działalności tej miał on zaledwie niejasną świadomość. Całe szeregi wrażeń przechodziły przez duszę jego najniespodziewaniej, niby

wielkie fantasmagorye w zaćmionym, czarnym po-
koju i to go dręczyło, przerażało. Chmury za-
chodu, ciemna masa Trytona w kręgu blasków
płowych, ten barbarzyński pochód zbydlęconych
ludzi i zwierząt rozrosłych, te krzyki, te pieśni,
te bluźnierstwa—do rozpaczki doprowadzały smu-
tną i tak już jego duszę, budziły w sercu
jakąś nieokreśloną obawę, coś w rodzaju tragi-
cznego przecucia.

Kareta zamknięta wyjeżdżała z ogrodu. Zo-
baczył jak z poza jej szyby pochylała się twarz
kobieca ukłonem; ale nie poznał jej. Przed nim
wznosił się pałac, obszerny jak królewska rezy-
dencya; okna pierwszego piętra połyskiwały fio-
letowym odblaskiem; u szczytu słabe światelko
zapóźnione złościło szyby; inny znów powóz, ró-
wnież zamknięty, wyjeżdżał z podjazdu.

— Gdybym ją mógł zobaczyć!—pomyślał, za-
trzymując się.

Zwolnił kroku, aby przedłużyć niepewność a z nią
razem swoją nadzieję. W tym gmachu, tak roz-
ległym, wydawała mu się taką gdzieś oddaloną,
daleką, nieomal zgubioną dla niego.

Powóz zatrzymał się i jakiś mężczyzna wysu-
nął głowę z okienka karety, wołając nań:

— Andrzej!

Był to książę Grimi, jeden z jego krewnych.

— Idziesz do księżnej? — spytał z domyślnym
uśmiechem.

— Tak—odpowiedział Andrzej—chciałbym do wiedzieć się coś o jej zdrowiu. Wiesz pewnie: czy jeszcze jest cierpiącą?

— Wiem. Wracam ztamtąd. Cokolwiek jej już lepiej.

— Czy przyjmuje?

— Mnie nie przyjęła. Ale ciebie może przyjmie...

I Gritti uśmiechnął się złośliwie z po za obłoku dymu papierosa.

— Nie rozumiem cię — odparł Andrzej poważnie.

— Dostał Już obiega pogłoska, że jesteś u niej w łaskach. Mówiono mi o tem wczoraj wieczór u Pallavicinich. Jedna z twoich przyjaciółek, słowo ci daję!

Andrzej wzruszył ramionami niecierpliwie i zwrócił się, by odejść.

— Życzę ci szczęścia! - zawołał za nim książę.

Andrzej wszedł w bramę. W głębi jego duszy, próżność rada była z tej pogłoski, tak szybko rozpuszczonej. Czuł się teraz daleko śmielszym, niemal rozradowanym, lekkim, pełnym utajonego zadowolenia. Słowa Grittiego nagle podnieciły jego odwagę, jak haust takiegoś kordyału. W miarę jak wchodził po schodach, nadzieja jego rosła. Kiedy wreszcie stanął u drzwi, zaczął, aby uspokoić swe wzruszenie. Zadzwoił.

Służący poznał go natychmiast i rzekł zaraz:

— Jeżeli pan hrabia zechce zaczekać chwilę, pójde oznajmić o jego przybyciu „pannie“.

Począł przechadzać się z jednego końca w drugi, po olbrzymim przedpokoju, gdzie, jak mu się zdawało, wzburzenie krwi jego poczęło się uspakajać nieco. Pochoduie z kutego żelaza oświetały nieregularnie skórzane obicie ścian, skrzytnie rzeźbione, starożytne biusty na piedestałach, pokrytych draperyami brokateli. Pod baldachimem, bogato haftowanym, połyskiwały książęce herby: jednorożec złoty. Na środku stołu stał półmisek z bronzu, pełen biletów wizytowych; na pierwszy rzut oka, Andrzej spostrzegł na wierzchu pozostawiony przez Grimitego bilet... „Życzę ci szczęścia!“ Ta ironiczna wróżba wciąż jeszcze brzmiała mu w uszach.

„Panna“ ukazała się nareszcie i rzekła:

— Księżna pani czuje się cokolwiek lepiej. Zdaje mi się, że pan hrabia może wejść na chwilę. Proszę za mną, jeśli łaska.

Była to kobieta już dobrze przywiąda, szczupła, ubrana czarno, z oczyma migoczącemi dziwnie, pomiędzy blado blond przyprawnemi lokami. Krok jej i gesty były lekkie jakies, jakby ukradkowe, jak u ludzi, którzy nawykli żyć pośród chorych lub spełniać tajemne rozkazy.

— Proszę, chodź pan, panie hrabio.

Szła naprzód przed gościem, długą amfiladą pokoi, zaledwie oświetlonych, po grubych dy-

wanach, które zgłuszały szmer wszelki i młodzień-
niec, mimo całą niedającą się opanować rozterkę
duszy w tej chwili, mimo całego ogarniającego
go niepokoju, czuł do niej jakiś wstręt instyn-
ktowy, sam nie wiedząc dlaczego.

Doszedłszy do drzwi, które przysłaniały dwa
gobeliny z epoki Medyceuszów w ramach z czer-
wonego aksamitu, zatrzymała się i rzekła:

— Pójdę naprzód, żeby oznajmić pana trabilego.
Proszę zaczekać tutaj.

Głos jakiś, głos Heleny, zawołał z wewnątrz:

— Krystyno!

Na ten dźwięk niespodziany, Andrzej poczuł
gorącą falę krwi, tętniącą mu w żyłach tak sza-
lenie, że pomyślał: „Chyba zemdleję“. Jakieś nie-
wyraźne owładnęło nim przecucie nadzwyczaj-
nego, niepojętego szczęścia, przechodzącego wszelkie
jego oczekiwania, zaćmiewającego wszelkie
dotychczasowe marzenia, przechodzącego jego si-
ły. „Ona tam była, poza temi drzwiami“. Wszelkie
poczucie rzeczywistości wymykało mu się.
Zdawało mu się, że kiedyś już, czy to jako ma-
larz, czy jako poeta, wymarzył podobną miłosną
przygodę, w takich samych okolicznościach,
w temże samem otoczeniu, na temże tle, z taką
samą tajemniczością; tylko inny jakiś, osobistość
fikcyjna, stworzona przez niego, była jej bohate-
rem. W tej chwili, dziwnem zjawiskiem imagi-
nacyi, ta zmyślona fikcja sztuki wikłała się
i mieszała ze zdarzeniem rzeczywistym; a w tem

wrażeniu czuł się dziwnie zbłąkanym jakimś, nie mogąc rozdzielić dwu tych rzeczy. Każdy gobelin miał postać symboliczną, „Ciszę“ i „Sen“, dwu efebów smukłych strzegło drzwi tej sypialni. A przed temi drzwiami on, on sam, nie kto inny, czekał teraz; po za tym progiem zaś, w łożu może, spoczywała czarowna, ukochana przez kobietę. Zdawało mu się, że słyszy jej oddech w każdej pulsacyi arteryi.

Nakoniec „panna“ wyszła napowrót. Cicho, z uśmiechem, podnosząc ręką ciężką zasłonę:

— Racz pan wejść — rzekła.

I zniknęła. Andrzej wszedł.

Naprzód zabrakło mu tchu, tak panujące tu powietrze gorącym było i dławiącem nieomal; w powietrzu tem rozróżnił charakterystyczny zapach chloroformu; wśród cienia dojrzał coś czerwonego, czerwony adamaszek obicia i firanek nad łożem; postłyszał osłabły, znurzony głos Heleny, prawie szeptem wymawiający te słowa:

— Dziękuję ci, żeś przyszedł, panie Andrzeju. Lepiej mi cokolwiek.

Zbliżył się aż do łoża z pewnem wahaniem; wśród tego półświatła nie rozróżniał dokładnie przedmiotów.

W tym zmroku Helena uśmiechała się z głową zanurzoną w poduszkach, osłabiona widocznie. Opaska z białej wełny pokrywała jej czoło i część policzków, łącząc się pod brodą jak welon mniszki a cera twarzy była również białą jak ta opaska. Zewnętrzne kąciki powiek zaciskały się

pod wpływem kurczu nerwów rozdrażnionych; od czasu do czasu dolną powieką wstrząsało mimowolne drganie; oko było wilgotne, pociągające swym wyrazem, niby przyémione łą, co się nie mogła stoczyć, zda się, błagalne jakieś z pod drżących rzęsów.

Kiedy młodzieniec zobaczył ją zbliska, dziwne ośwładnęło nim rozrzewnienie. Chora wyciągnęła rękę z pod kołdry i podała mu ją niezmiernie powolnym ruchem. Pochylił się, ukląkł niemal u brzegu łóżka i począł okrywać szybkimi, zaledwie muskającymi pocałunkami tę drobną, palącą rączkę, o przyśpieszonej pulsacyi.

— Heleno, Heleno moja ukochana!

Helena przymknęła oczy, jak gdyby chcąc swobodniej kosztować tej fali rozkoszy, co biegła ku niej wzdłuż ramienia, zalewała piersi i wnikała w najtajniejsze fibry. Obracała rękę pod dotknięciem tych warg, aby czuć wszędzie: na dłoni, na odwrotnej stronie, między palcami wszędzie dokoła ręki, na każdej żyłce, we wszystkich porach tę ulewę pocałunków.

— Dosyć! — szepnęła, otwierając napowrót oczy.

I ociężałą nieco dłonią dotknęła zlekka włosów Andrzeja. W tej tak ukradkowej pieszczocie tyle było pełnego wdzięku zaniedbania, że dla duszy zakochanego był to ów listek róży, na przepelnionej czarze, co ją przelewa ostatecznie; namiętność jego wybuchnęła. Wargi mu

drżały pod nawałem słów splątanych, których nie zdołał, nie umiał wypowiedzieć. Doznawał gwałtownego, potężnego wrażenia jakiegoś życia, co by się rozszerzało gdzieś po za obręb jego organizmu.

— Co za rozkosz, nieprawdaż? — wymówiła z cicha Helena, ponawiając ruch swój pieszczotliwy.

I dreszcz cichy przebiegł po jej ciele, dostrzegalny po przez ciężkie koldry łoża. Andrzej spróbował napowrót ująć jej rękę. Ale ona błagała:

— Nie... Tak, tak pozostań! Podobasz mi się.

Oparłszy dłoń na jego skroni, zagnęła go tem dotknięciem, że położył głowę na brzegu łożka, tak, iż czuł obok twarzy kształt jej kolana. Potem przypatrywała mu się przez chwilę, wciąż dłonią zlekka muskając jego włosy i głosem zamierającym z rozkoszy, kiedy pod przymkniętymi powiekami zdały się przebiegać białe błyskawice, wymówiła, przewlekając każde słowo:

— Jak ty mi się podobasz!

Niedający się opisać rozkoszny urok leżał w rozchyleniu ust jej, kiedy wynawiała tych słów niewiele, tak zmysłowych w ustach kobiety.

— Jeszcze, ach, jeszcze! — szepnął zakochany, którego zmysły omdlewały roznamietnione, pod pieszczotą tych palców i większą jeszcze pieszczotą słów. Powiedz raz jeszcze! Mów!

— Podobasz mi się—powtarzała, widząc oczy Andrzeja utkwione w swych ustach, świadoma może fascynacyi, jaką wywierała temi słowy.

Potem zamilkli oboje. Każde czuło, jak obecność drugiego napływa i miesza się z krwią jego własną — tak, że wreszcie krew ukochanego stała się życiem kobiety a krew kobiety jego życiem. Głęboka cisza, zda się, rozprzestrzeniła komnatę; obraz Gwido Reniego, używał cieniem draperyi łoża jakiegoś niezwykłego majestatu; z dołu szmer miasta dochodził tu, niby szept bardzo dalekiej gdzieś fali.

Wtedy, nagłym ruchem, Helena uniosła się na łożu, ujęła w dwie dłonie głowę Andrzeja, uściśnęła ją mocno, tchnęła mu w twarz swą żądzę, ucałowała, opadła napowrót na posłanie.

....Następnie przejętą została niezmiernym smutkiem, tym niewyjaśnionym smutkiem, co leży na dnie wszelkiego ludzkiego szczęścia, niby gorzka fala u ujścia każdej rzeki. Bezwładna, leżąc trzymała opuszczone wzdłuż bioder ramiona na kołdrze, ręce odwrócone zdały się martwe, gdyby nie słaby dreszcz, co wstrząsał niemi od chwili do chwili i wpatrywała się w Andrzeja szeroko rozwartemi oczyma, wzrokiem nieruchomym, bezprzestannym, nie do zniesienia. Z oczu jej jedna za drugą poczęły biedz łzy, ściekając po policzkach, zwolna, cicho...

— Co ci Heleno? Powiedz mi co ci jest? —

pytał, pochwyciwszy jej dłonie i pochylając się, aby zcałować łyzy na jej rzęsach.

Zaciskała zęby i wargi, by stłumić łkanie.

— Nic. Żegnaj. Pozostaw mnie, proszę! Zobaczymy się jutro. Odejdź.

Głos jej i gest były tak błagalne, że Andrzej posłuchał.

I ucałował jej usta z uczuciem serdecznym, czując na swoich wargach łyzy jej palące, słone.

— Żegnaj! Kochaj mnie! Pamiętaj!

Kiedy przekraczał próg, wydało mu się, że po za sobą słyszy wybuch głośnego łkania. Oddał się, cokolwiek niepewny, chwiejnym krokiem, jak człowiek, co nie widzi dobrze. Czuł wciąż uparty zapach chloroformu, co mu pozostał niby para poprzedniego odurzenia; ale za każdym krokiem wymykało mu się coś z wrażeń doznanych, rozpraszało się w powietrzu, coś, co instynktownie pragnął pochwyć, zamknąć w sobie, przeszkodzić temu rozproszeniu. Przed nim leżał szereg sal opustoszałych i niemych. Na progu jednych z drzwi, „panna“ ukazała się bez najmniejszego szelestu kroków, bez szmeru sukien nawet, jak cień.

— Tędy, panie hrabio; zmyliłeś pan drogę.

Uśmiechała się dwuznacznym jakimś, drażniącym uśmiechem; ciekawość, błyskająca z szarych oczu, czyniła je przenikliwszemi jeszcze. Andrzej nie odpowiedział nic. I znów poczuł, jak bardzo natrętną była mu obecność tej kobiety, jak

go niepokoiła, budziła w nim wstęt nieokreślony, gniew niemal.

Zaledwie stanął w bramie podjazdu, odetchnął jak człowiek wyswobodzony z ciężkiego snu dręczącego. Fontanna wśród drzew odzywała się stłumionym pluskiem, który przerywał chwilami dźwięk jasny, donośny; całe niebo iskrzyło się gwiazdami, przysłanionemi tu i owdzie strzępami chmur, niby długimi, popielatemi zwojami włósów lub gęstemi czarnemi sieciami; z pomiędzy kamiennych kolosów okratowania ukazywały się i znikwały latarnie przesuwających się powozów; w chłodnem powietrzu rozlewało się tchnienie miejskiego życia; dźwięki dzwonów dobiegały, dalekie i bliskie. Nakoniec odzyskał zupełną świadomość swego szczęścia.

VI.

Od owej chwili szczęśliwość w całej pełni, niepa-
miętna na nic, rozkiełznana, wiecznie nowa, po-
chwyciła ich oboje w swe koło. Ogarnęła ich
sobą namiętność, uczyniła niedbającymi o nic, co
nie byłoby dla jednego i drugiego bezpośrednio,
natychmiastowem szczęściem. Cudownie ukształ-
towani ciałem i umysłem do najwyższych i naj-
rzadszych uniesień, oboje ścigali bez wy-
technienia ową absolutną szczytność miłości, ów
niedościgły jej ideał; i w tym pochodzie zacho-
dzili tak daleko, że czasami nieokreślony jakiś
ogarniał ich niepokój, nawet w chwilach naj-
większego zapomnienia, jak gdyby gdzieś tam,
w głębi ich istoty, głos jakiś podnosił się, ostrze-
gający o nieznaną karzę, o niedalekim już może
kresie tej szczęśliwości. Z samegoż znużenia od-
radzała się dla nich żądza subtelniejsza jeszcze,
jeszcze zuchwalsza, nieopatrzniejsza; w miarę im bar-
dziej się upajali, wzrastała jeszcze więcej serc ich
ułuda, rodząc sny nowe; nie mogli zda się, zna-
leźć już ukojenia tylko w wysiłku i nadmiarze,

tak, jak silny płomień nie osiąga całej swej intensywności inaczej, jak pod gwałtownym podmuchem wichru. Czasami niespodziewane źródło rozkoszy wytryskiwało w ich duszach, jak żywy wód strumień wytryska z pod stopy wędrowca błędzącego na los szczęścia w labiryntach lasu; pili wówczas zeń bez miary aż do zupełnego wyczerpania. Czasami pod podmuchem żądz w duszach ich, szczególniejszą halucynacją rodził się zwodniczy obraz jakiegoś szczerego, swobodniejszego, potężniejszego istnienia, jakiejś „nadrozkoszy“ i zagłębiali się w nim, zanurzali, poruszali i oddychali swobodnie, jak w rodzimej swej atmosferze. Wytworuści i subtelności uczucia i wyobraźni ustępowały miejsca kolejno ślepego szałowi zmysłowości.

Nie przynosili z sobą, ni jedno ni drugie, żadnej wstrzeźliwości, żadnego ograniczenia we wzajemnej rozrzutności ciała i ducha. Doznawali nieopisanej radości w zrywaniu wszelkich obłon, w odsłanianiu i gwałceniu wszystkich tajemnic.

— Jakaż to dziwna miłość! — mówiła mu Helena, przypominając sobie pierwsze dni ich poznania, swoją chorobę, tę chwilę, w której uległa mu tak szybko. — Byłabym oddała się tobie tegoż samego wieczora, kiedym cię zobaczyła po raz pierwszy.

Fakt ten przejmował ją pewnego rodzaju dumą. A kochanek mówił jej:

— Tego wieczora, na progu salonu, kiedy posłyszałem jak oznajmiano twe nazwisko, tak bezpośrednio zaraz przed mojem, miałem — dlaczego? sam nie wiem — ale miałem odrazu już tę pewność, że życie moje połączone jest z twojem na zawsze.

Wierzyli w to, co mówili. Odczytywali razem rzymską elegię Goethego:

„Lass dich, Geliebte, nicht reuen dass du mir so schnell dich ergeben.. Nie żałuj tego, o ukochana, żeś mi się tak szybko oddała!“

Dla nich, jak dla boskiego piewcy Faustyny, Rzym zapalał się nowem całkiem światłem. Wszędzie, gdzie przechodzili pozostawiali jakieś wspomnienie miłości.

Odległe kościoły Awentynu: świętej Sabiny z pięknymi kolumnami z paryjskiego marmuru, wspinały ogród Santa Prisca dzwonnica Santa Maria in Cosmedin, podobna do żywego różowego słupa na tle błękitu, znały dobrze ich miłość. Wille kardynałów i książąt: willa Pamfili, co się przegląda w swych fontannach i jeziorze, pełna wdzięku i miękości, gdzie każdy gaik zda się przystaniać jakąś szlachetną idyllę, gdzie balustrady kamienne i kolumny drzew współzawodniczą z sobą w liczbie; willa Albani, zimna i milcząca jak klasztor, gaj rzeźbionego marmuru i muzeum drzew stuletnich, gdzie wśród westibulów i portyków, wśród granitowych kolumn, karyatydy i statuy, symbole nieruchomości, przy-

glądają się niewzruszonej symetrii zieleni; i willa Medicis podobna do lasu szmaragdów, rozkładająca swe konary w jakimś nadnaturalnem świetle i willa Ludovisi, cokolwiek dzika, cała przesiąknięta wonią fiołków, uświęcona obecnością Junony, uwielbianej przez Goethego, w czasach, kiedy jawory i cyprysy, które uważać można było za nieśmiertelne, drżały już w przeczuciu wykupna i śmierci; wszystkie te patrycyuszowskie wille, szczytna chwała Rzymu, znały dobrze ich miłość. Galerye obrazów i posągów: sala pałacu Borghese, gdzie przed obrazem Danae Helena uśmiechała się, jak przed rewelacją samej siebie, i sala zwierciadlana, gdzie obraz jej rysował się wśród amorów Ciro Ferri i girland Mario de' Fiorri; sala Heliodora, cudownie ożywiona najsilniejszym drganiem życia, jakie Rafael mógł tchnąć w nieruchomość murów, i apartamenty Borgiów, gdzie fantazya Pinturicchia roztacza się w czarodziej-skiej tkance dziejów, baśni, snów, kaprysów i śmiałych artystycznych poprysków; i sala Galatei, gdzie się rozlewa niewiedzieć jaki już powiew czystej świeżości myśli, jakiej niewygastej pogody światła; i gabinet Hermafrodyty, gdzie uroczy ten potwór, zrodzony z rozkoszy nimfy i półboga, roztacza zagadkowe swe formy, wśród blasku drogich kamieni; wszystkim tym osamotnionym przybytkom piękna znana była doskonale ich miłość.

Pojmowali zupełnie szczytny okrzyk poety: „Eine Welt zwar bist Du, o Rom!... O, Rzymie, wprawdzie jesteś światem! Ale bez miłości świat nie byłby światem, Rzym nawet nie byłby Rzymem“. I schody Trójcy, które co dnia otaczało glorią zwolna wstępujące na nie słońce, stały się wschodami Jedynej od czasu wstąpienia na nie przepięknej Heleny Muti

Bardzo często po stopniach tych schodów szła Helena odwiedzać uroczą samotnię w pałacu Zuccari. Wstępowała po nich powoli, smugą cieniu; ale dusza jej biegła chyżo aż do ich szczytu. Licznymi były godziny rozkoszy, które miała czaszka z słoniowej kości, ofiarowana niegdy jakiejś Hipolicie, znaczyła teraz kochankom; ta czaszka, którą ona czasami przykładła do ucha dziecinnym ruchem, opierając drugie ucho na piersi ukochanego, aby równocześnie słyszeć bieg ulatujących sekund i bicie oddanego sobie serca. Andrzej wydawał jej się coraz to nowym. Czasami prawdziwie była zdumioną wobec żywotności tego umysłu i tego ciała. Czasami pod jego pieczęcią wydzierał się z ust jej krzyk, w którym znajdowało ujście całe te straszliwe odręczenie jej istoty, zgnębionej zbyt gwałtownem wrazeniem. Czasami w ramionach ukochanego ogarniał ją rodzaj ekstatycznego odrętwienia, w którym zdawało jej się, że ta transfuzja innego życia czyni z niej jakąś istotę bezcielesną, eteryczną, lotną, uduchowioną, przezrystą; kiedy znów

drgnienia życia, w swej ilości niezliczonej, przywodziły jej na myśl spokój morza w lecie, pełen drgań bezustannych. Czasami na tej piersi ukochanej, po ukojonych pieszczotach, czuła, że w niej samej uspokaja się rozkosz, że się łagodzi, przygasza—jak wraca woda, co opada po trochu; ale wystarczało, by on odetchnął tylko mocniej lub uczynił ruch najłżejszy a odczuwała na nowo ni-by falę niewypowiedzianej tęsknoty, przebiegającą ją od stóp do głowy, drgającą w niej coraz słabiej i zamierającą wreszcie. To „uduchowienie“ cielesnej rozkoszy, wynik doskonałego powinowactwa, harmonii dwu ciał, było może, wśród wszystkich zjawisk ich namiętności, najbardziej zastanawiającym fenomenem. Była to broń Heleny, słodsza niż pocałunki.

A w pocałunkach jakaż słodycz głęboka! Są usta kobiece, co się zdają rozpłomieniać miłością oddechy w przelocie. Usta takie ożywiają się krwią bogatszą niż purpura lub lodowacieją białością konania; rozbłyskują dobrocią zezwolenia, lub zaciemniają się cieniem pogardy; rozkwitają rozkoszą lub wiją cierpieniem; ale zawsze noszą w sobie zagadkę, co mać spokój marzycieli, co ich pociąga i trzyma na uwięzi. Rozdźwięk bezustanny między wyrazem tych ust i oczu tworzy tę tajemniczą zagadkę; zdaje się, że dwoista dusza przejawia się tu dwoistą pięknoscia: wesola i smutna, lodowata i płomienna, okrutna i łagodna, pokorna i wyniosła, uśmiechniona i iro

niezna; a ta dwulicowość wyrazu budzi niepokój w tych, którzy się lubują w tajemniczości, w rzeczach niewyjaśnionych. Dwu artystów XV-go wieku, zagłębiających się w rozmyślanie, ścigających bez zmęczenia ideał niezwykły, najszczytniejszy, dwu wielkich, dziwnie przejmujących psychologów, którym zawdzięczamy może najsubtelniejszą analizę ludzkiej fizyognomii, zatopionych wieczyście w studyach, w poszukiwaniu najnieodostępniejszych trudności, najskrytszych tajemnic, Botticelli i Vinci pojęli i oddali, różnorakiemi sposobami swej sztuki niepochwytny urok tych ust niewieścich.

Andrzej w pocałunkach Heleny odnajdował kwintescencję rozkoszy. Żaden związek miłości nie wydawał im się zupełniejszym ani doskonalszym. Czasami czuli, zda się, żywy kwiat dusz własnych, z którego osypywały się listki pod dotknięciem ich warg. Kiedy się rozłączyli, wydarli z tego pocałunku, poglądali na siebie oczyma zatopionymi gdzieś w chmurze odrętwienia. I ona mówiła wówczas cokolwiek schrypłym głosem, bez najlepszego uśmiechu:

— My umrzem z tego!

I nagle wzięła swemi ramiony szyję ukochanego, okuwała go jak łańcuchem splotami swych włosów, dławiała go pocałunkami, niby drgającą zdobycz. A on, znużony, szczęśliwy, że może się poddawać, spoczywał obezwładniony w tych więzach. Ona zaś wołała wtedy:

— Jakiś ty młody! Jaki młody!

W nim mimo całe zepsucie, mimo całą rozrutność, istotnie została się młodość i opierała wytrwale; młodość, ten kruszec nieskażony, ta woń uporczywa, trwała. I przepych ten prawdziwej młodości był najcenniejszą jego zaletą. W wielkim płomieniu namiętności, jak na ofiarnym stosie spłonęło wszystko, co w nim było sztucznością, fałszem, próżnością. Po rozprzężeniu, wywołanem nadużyciem analizy, powracał teraz do jedności sił, czynów, życia; odzyskiwał pierwotną ufność w siebie i ludzi; kochał prawdziwie młodzieńczo. Oddawał się czasami tak jak łatwowierne dziecko, miewał fantazyje wdzięczne, pełne młodzieńczej świeżości.

— Są chwile — mówiła mu Helena — w których miłość moja dla ciebie bywa delikatniejszą jakąś, rzewniejszą niż miłość kochanki. Staje się ona... jakżebym ją określiła? nieomal macierzyńską.

Andrzej śmiał się, ponieważ o trzy lata zaledwie była od niego starszą. I mówił jej:

— Czasami zlanie się naszych duchów zdaje mi się tak nieskalanem, że pragnąłbym móżdż cię nazywać moją siostrą, całując drogie twe dłonie.

Te chwile przeczyste, te zwodnicze porywy uczucia nachodziły ich zawsze w chwilach krótkotrwałej, rozemdlonej ciszy, co następowała po szatach rozkoszy, kiedy w odpoczynku ciała, dusza doznawała niejasnej potrzeby jakichś idealniejszych uczuć.

W takich chwilach również zmartwychwstawały u młodzieńca idealne aspiracye do sztuki, którą ukochał: i zrywał się w duszy jego wówczas orkan wszystkich form, niegdyś poszukiwanych i podziwianych, które domagały się odtworzenia i podniecały go wtedy słowa monologu Goethego: „Do czego służyłaby w twych oczach wręca przyroda, co pomogłyby dokoła ciebie piękne kształty sztuki, gdyby siła twórcza nie napęłniała twej duszy namiętnością, gdyby nie napływała ona do twoich palców bezustannie, dla przyszłego dzieła? Myśl ucieszenia kochanki jakimś wierszem większych rozmiarów, lub szlachetnym rysunkiem, popchnęła go do pracy. Napisał „Simonę“ i zrobił dwie akwaforty „Zodyak“ i „Czarę Aleksandra“.

W sztuce, gdy się do niej zabrał, wolał on trudniejsze instrumenty, dokładniejsze, doskonalsze, nieulegające tak łatwo zepsuciu: wiersz metryczny i sztych. I miał ambicyę odrodzenia tradycyjnych form włoskich, z całą surowością, trzymając się poetów „stil novo“ i malarzy poprzedników renesansu. Umysł jego przeważnie był czcicielem formy. Wyrażenie, wcielenie stawał wyżej niż myśl samą. Jego szkice literackie były ćwiczeniami, grą, studyami, poszukiwaniami, doświadczeniami technicznymi, unikatami w swoim rodzaju. Twierdził on wraz z Tainem, że trudniej jest napisać sześć prawdziwie pięknych wierszy, niż wygrać szeregowaną bitwę. Jego „baśń

o Hermafrodycie“ naśladowała swą budową „baśń Orfeusza“ Angelo Poliziano i mieściła strofy nadzwyczajnej wytworności, potężne jak harmonia muzyki, zwłaszcza w chórach potworów, hybrydów, centaurów, syren i sfinksów. Nowa jego tragedia „Simona“, jędrna formą, miała szczególniejszy wdzięk. Cała przeprowadzona w rymach, na sposób starożytny toskański, wydać się mogła nieświadomemu utworem jakiego angielskiego poety z wieku Elżbiety, napisanym na tle którejś noweli Decamerona i posiadała też coś z tego dziwnego a słodkiego uroku, właściwego niektórym małym dramatom Szekspira. Na tytułowej karcie jedyne go egzemplarza poeta tak podpisał swój utwór: A. S. CALCOGRAPHUS AQUA FORTI SIBI TIBI FECIT.

Miedź pociągała go więcej niż papier, kwas saletrzany więcej niż atrament, rylec więcej niż pióro. Już jeden z jego przodków, Justynian Sperelli, próbował sztycharstwa. Niektóre z jego rycin, wykonane około 1520 wykazywały wyraźnie wpływ Antoniego Pollaiuolo swą głębokością i ostrością rysunku. Andrzej posługiwał się swobodnym układem Rembrandta i manierą czarną, tak drogą akwafortystom angielskim ze szkoły Greena, Dixona, Earloma. Kształcił się według wszelkich modeli, studyował z osobna efekt poszukiwany przez każdego z miedziorytników, badał szkołę Albrechta Dürera, Parmesana i Holbeina, Anibala Carracci, Mac Ardella, Gwida i Cal

lota, Toschi i Gerarda Audrana; ale w obec płyty miedzi taką była własna jego intencya: rozświetlić efektami Rembrandtowskiego światła elegancyę rysunku artystów florenckich XV-go wieku, należących do drugiej generacyi, jak Sandro Botticelli, Domenico Ghirlandajo i Filippino Lippi.

Dwie jego ostatnie akwaforty przedstawiały w dwóch epizodach miłosnych, dwukrotnie piękność Heleny; tytułu swego zaś zapożyczyły u akcesoryów.

Pomiędzy najcenniejszemi zabytkami, jakie posiadał Andrzej Sperelli, znajdowała się kapa na łożo z cienkiej jedwabnej materyj, koloru blade błękitnego, w około której umieszczono haftowane dwanaście znaków Zodyaku, każdy z odnośną legendą, wyhaftowaną gotykiem: „Aries“, „Taurus“, „Gemini“, „Cancer“, „Leo“, „Virgo“, „Libra“, „Scorpius“, „Arcitenens“, „Caper“, „Amphora“, „Pisces“. Słońce złote zajmowało środek tego koła; znaki zwierzęce, zrobione archaicznym rysunkiem, przypominającym mozaiki, miały dziwną świetność barw. Cała materya godną była służyć za draperyę do cesarskiego łoża. I w rzeczy samej pochodziła ona z wyprawy Blanki Maryi Sforza, która wyszła za mąż za cesarza Maksymiliana.

Nagość Heleny nie mogła zaprawdę mieć bogatszej draperyi. Zdarzało się czasami, że kiedy Andrzej był w przyległym pokoju, ona, narzucawszy tylko na siebie tę wspaniałą kapę, przy-

woływała swego poetę. A kiedy przybiegał zastawał ją niby bóstwo owiniętą w jedną ze stref niebieskich. Czasami wstawiała, by stanąć przed ogniem kominka, ciągnąc za sobą tę gwiazdzistą materję. W obawie zimna, owijała się oburącz mocno w jedwab i szła ostrożnie, by się nie zaplątać w obfite jego zwoje. Słońce świeciło na jej ramionach poprzez rozsypane włosy; strzelec przebijał jej gardło swym oszczepem; ogromny strzęp Zodyaku włókł się za nią po dywanie, unosząc za sobą chmurę róż, oskubanych przez nią poprzednio.

Jedna z akwafort przedstawiała właśnie Helenę, uśpioną pod niebieskimi znakami. Kształty niewieście ukazywały się jak wyrzeźbione pod zwojami materji, głowa stoczona była na brzeg łoża, cokolwiek na zewnątrz, włosy spływały kaskadą do ziemi, jedno ramię spuszczone poza krawędź, drugie spoczywające spokojnie na biodrze. Partye odkryte: twarz, górna część piersi i ramiona były nadzwyczaj mocno oświeczone a rytec oddał z nadzwyczajną potęgą migotliwość haftu w półcieniu i tajemniczość symbolów. Wielki chart biały, Famulus, rodzony chyba brat tego, który kładzie głowę na kolonach hrabiny Arundel na obrazie Rubensa, wyciąga szyję ku kobiecie, z wyężonemi oczyma, zda się na czatach, na czterech łapach, narysowany z dziwnie szczęśliwą śmiałością skrócenia. Głębia pokoju, bogato przystrojona i całkiem ciemna.

Druga akwaforta miała za temat wielki basen srebrny, który Helena odziedziczyła po swej ciotce Flaminii.

Był to basen historyczny a nazywano go czarą Aleksandra. Został on ongi ofiarowany księżnej Bisenti przez Cezara Borgię, w czasie jego wyjazdu do Francyi, gdzie książę ten miał wręczyć Ludwikowi XII bullę rozwodową i dyspensę małżeństwa. Przypisywano Rafaelowi rysunek figur, otaczających basen i tych, co się ukazywały z jego brzegu, jedne naprzeciw drugich.

Nazywano go „Czarą Aleksandra“, ponieważ pomysł jego poczerpnięty był ze wspomnień owej zdumiewającej czary, z której król Macedoński podczas wielkich festynów zwykł był pić niemniej zdumiewająco. Gromady łuczników tworzyły kontur boków naczynia, zmieszane z sobą, z naciągniętymi łuki, w wdzięcznych pozach tych, których Rafael malował nagich i wypuszczających strzały na Hermesa we fresku sali pałacu Borghese. Tu ścigali oni Chimere, która skokiem wydostawała się poza brzeg, tworząc ucho naczynia, kiedy tymczasem po przeciwnej stronie wysuwał się w skoku młody łucznik Bellerofon, z łukiem napiętym i wymierzonym ku bajecznemu potworowi. Ornamenty podstawy i brzegów odznaczały się rzadką elegancją. Wnętrze było wyłoczone, jak wnętrze cymboryum. Metal zaś dźwięczny był jak instrument muzyczny. Wagi

trzechset funtów. Całokształt niezmiernej harmonii.

Często bardzo przychodziła Helenie fantazyja brania z rana kąpeli w tym basenie. Mogła ona, jeśli już nie wyciągnąć się w nim, to przynajmniej zanurzyć całkowicie i w samej rzeczy nie nie wyrównywało wdziękowi tego ciała ujętego w krąg wody, którą złocenie zabarwiało jasnymi refleksami, nieopisanego efektu: po tylu latach bowiem metal nie był jeszcze srebrem a złoto w nim zamierało.

Oczarowany trzema formami tak rozmaicie szlachetnymi: kobiety, basenu i charta, akwaforcista znalazł istotnie piękne połączenie linii: kobieta, stojąca w basenie, oparta jedną ręką na wysuniętej postaci Chimery, drugą na postaci Belle-rofena, wysuwająca się nieco naprzód, by drażnić psa, który zgięty w łuk ze skulonemi tylnemi nogami a przedniemi wyprostowanemi, gotów, zda się do skoku, wyciąga do niej swój pysk długi i wysmukły, jak u szczupaka.

Nigdy Andrzej Sperelli nie zaznał tyle twórczej rozkoszy, ani tyle wycierpiał bacznej trwogi artysty, nadzorującego ślepe a niedające się już naprawić działanie kwasu; nigdy nie przyłożył tyle cierpliwości do delikatnej pracy suchego ryłca w zbyt chropawych partyach. Istotnie, urodził się chyba miedziorytnikiem, jak Łukasz z Leydy. Posiadał dziwną biegłość w sztuce—a może tylko zmysł rzadki—unormowania najdrobniejszych właściwo-

ści czasu i stopnia, które mogą wpłynąć tak niesłychanie na skuteczność płyty miedzianej. Nie tylko wprawa, pilność i inteligencya, ale przede wszystkim ten zmysł wrodzony, prawie nieomylny, ostrzegał go o chwili właściwej, o tym momencie właśnie, w którym wgryzanie kwasu dochodziło do nadania pożądanego cienia, jaki zgodnie z intencją artysty rycina powinna była osiągnąć. I to panowanie ducha nad siłą brutalną materji, ta potęga wiania w nią, że tak powiemy, duszy estetycznej, to poczucie tej niewiedzieć jakiej tajemniczej łączni między pulsacją własnej dłoni a postępowem wżeraniem się kwasu, były dlań najbardziej upajającą dumą, udręczającą go rozkoszą.

Helenie zdawało się, że została ubóstwioną przez swego kochanka, jak Izotta Rimini w wieczuotrwałych medalach, które Zygmunt Malatesta na jej cześć bić kazał. W te dnie wszakże, kiedy Andrzej zabierał się do pracy, ona stawała się smutną, milczącą, wzdychała, jak pod wpływem jakiegoś tajemnego udręczenia. I miała takie jakieś nagłe wylewy czułości, ze łzami i źle powstrzymywanemi wybuchami łkania, że młodzieniec, zdumiony, nie mógł jej pojąć i że mimowolnie budziły się w nim podejrzenia.

Pewnego wieczora powracali konno z Awentynu pochyłością ulicy św. Sabiny a w oczach

Dod. do „Prs. Tyg.“ — G. D'Annunzio „Dziecko rozkoszy“. 7

mieli jeszcze oboje wielką wizję cesarskich pałaców, w pożarze zachodzącego słońca, czerwonych płomiennie wśród czerniejących cyprysów, przenikniętych złotym pyłem. Smutek Heleny udzielił się jej kochankowi i jechali obok siebie w milczeniu. Przed kościołem św. Sabiny Andrzej odezwał się, powstrzymując konia:

— Czy pamiętasz?

Gromadka kur, co dziobały spokojnie w kępach trawy, rozbiegła się na szczekanie Famulusa. Placyk był cichy i skromny jak cmentarz przed wiejskim kościółkiem; ale mury miały ten szczególniejszy odblask światła, co to mają zwykle pomniki Rzymu „w godzinie Tycyana“.

Helena zatrzymała również konia.

— Jakże dalekim już wydaje się ten dzień! — wymówiła z lekkim drżeniem w głosie.

W istocie było to wspomnienie, tak zapadłe już w nieskończoność czasu, jak gdyby miłość ich trwała miesiące całe, lata .. Słowa Heleny zbudziły w duszy Andrzeja to dziwne złudzenie a z niem równocześnie niepokój. Poczęła przypominać sobie wszystkie szczegóły ich odwiedzin w kościele św. Sabiny, w pewne styczniowe popołudnie, przy blaskach przedwczesnego słońca. Zatrzymywała się upornie na drobnostkach a chwilami przerywała mowę, jak kiedy ściga się, prócz słów wymawianych, jakąś myśl niewyrażoną. Andrzejowi wydało się, że w głosie Heleny brzmi żal jakiś.

„Czegóż ona mogła żałować? Alboż ich związek namiętny nie miał przed sobą jeszcze dni najpiękniejszych? Nie byłże to już ten Rzym wiosenny, tak podatny dla wszelkiej miłości?“ Zaniepokojony, nie słuchał jej już. Konie szły stępą, jeden obok drugiego, buchając kłębami pary z nozdrzy, lub zbliżając ku sobie łby, jakby zamierzały czynić sobie wzajem zwierzenia. Famulus biegł to z przodu to z tyłu, w bezustannym pościgu.

— Czy pamiętasz — ciągnęła dalej Helena — czy pamiętasz tego braciszka, co nam przyszedł otworzyć furte?

— Tak, tak...

— Jakiemi zdumionemi oczyma patrzył na nas. Idąc po klucze od kościoła, pozostawił nas samych w przedsionku a tyś mnie pocałował wtedy. Pamiętasz?

— Tak.

— A wszystkie te bezki w przedsionku! A ten wyziew w... a, kiedy braciszek tłumaczył nam znaczenie rzeźb na drzwiach z cyprysowego drzewa! A potem ta Madonna Różańcowa! Przypominasz sobie? Jego wyjaśnienie rozśmieszyło cię a ja słysząc cię śmiejącego się, nie mogłam również powstrzymać się od śmiechu i śmieliśmy się tak bardzo w twarz biedakowi, że zmięszał się i już ust nie otworzył, aż do samego końca, nawet na podziękowanie za twój datek...

I po chwili milczenia, podjęła znów:

— A u św. Aleksego, kiedy to nie chciałeś mi pozwolić obejrzeć kopuły przez dziurkę od klucza! Jakże śmieliśmy się i tam oboje!

Znowu umilkła. Orszak jakiś szedł szosą z trumną, za którą jechał powóz publiczny, pełen płaczących krewnych. Zmarłego wieziono na cmentarz izraelski. Był to pogrzeb niemy i zimny. Wszyszy ci ludzie z haczykowatemi nosami, z drapieżniami oczyma podobni byli wzajem do siebie jak bracia.

Aby pozostawić wolne przejście orszakowi pogrzebowemu, oba konie rozłączyły się, usunąwszy na bok, tuż pod mury a kochankowie poglądali na siebie po nad temi zwłokami, wzruszeni, głębszym jeszcze jakimś, wzrastającym przejęci smutkiem.

Kiedy zbliżyli się napowrót do siebie, Andrzej spytał:

— Co tobie jest? O czem ty myślisz?

Nim odpowiedziała, zawahała się. Miała oczy spuszczone na szyję wierzchowca, którego pieściła gałką szpicruty, niezdecydowana i blada.

— O czem myślisz? — powtórzył młodzieniec.

— A więc dobrze! powiem ci o czem. Wyjeżdżam w srode; nie wiem na jak długo; może na długo, może na zawsze; nie wiem... Nasza miłość zrywa się przez moją winę; ale nie pytaj mnie, jak się to staje, nie pytaj mnie dlaczego, nie py-

taj o nic, błagam cię! Nie mogłabym ci odpowiedzieć.

Andrzej popatrzał na nią niedowierzająco niemal. Rzecz wydawała mu się tak niemożliwą, że nie doznał nawet z tego powodu bóleści.

— To żart, nieprawdaż, Heleno?

Wstrząsnęła głową przecząco. Gardło ścisnęło jej się i nagle puściła swego konia truchtem. Poza nimi dzwony kościoła św. Sabiny i Santa-Parisea poczęły bić na wieczorny „Anioł Pański“. Jechali truchtem teraz, oboje w milczeniu, budząc echa pod sklepieniami łuków, w murach świątyń i opustoszałych ruinach. Pozostawili na lewo św. Grzegorza w Velabre, który zachował jeszcze różowawy blask zachodu na ceglach swej wieży, jak ongi, w owym tak odległym dniu szczęścia. Okrążyli Forum romanum i Forum Nerwy, na które już zapadał cień błękitnawy; podobny do cienia lodowców wśród nocy. Zatrzymali się u Łuku Pantani, gdzie na nich czekali ich masztalerze i powozy.

Zaledwie zsiadłszy z konia, Helena podała rękę Andrzejowi, wymijając jego spojrzenie. Zdawało się, że jej pilno jest się oddalić.

— A zatem?—zapytał, dopomagając jej wsiąść do powozu.

— Do jutra! Dziś wieczorem, nie.

VII.

Krajobraz sabiński rozciągał się przed nimi, w blaskach idealnego światła, jak jeden z tych wysnionych pejzażów, w których przedmioty zdają się być widzialne gdzieś zdala przez promieniowanie, co wydłuża ich kontury.

Powóz zamknięty toczył się równym turkotem, zwolna; mury starych patrycyuszowskich willi przesuwwały się przed jego szybami, białawe, niby chwiejące się w tym ciągłym a łagodnym ruchu. Od czasu do czasu ukazywała się wielka brama żelazna, z poza której widać było aleję, obsadzoną wysokimi drzewami, szpaler zieleni, przybytek starożytnych posągów, lub długi portyk roślinny, poprzez który tu i owdzie wyglądają uśmiechnione promienie bladego słońca.

Helena milczała, otulona w obszerne futro wydry, z woalką spuszczoną na twarz, z rękami w gienzowych rękawiczkach. Andrzej wdychał z upodobaniem delikatny zapach heliotropu, który roztaczało kosztowne jej futro, czując dokładnie u swego ramienia kształt ramienia Heleny.

Zdawało im się obojgu, że są gdzieś zdala od ludzi, sami zupełnie; niespodzianie jednak wymijała ich to czarna karoca prałata lub *buttero* na koniu, to znów gromadka duchownych w fioletach lub trzoda wołów.

W niejakiej odległości od mostu, ona ozwała się:

— Zejdźmy.

Na równie światło zimne i jasne przypominało wodę źródlaną a ponieważ drzewa falowały w wicherze, falowanie to zdawało się udzielać wszystkim przedmiotom.

Ona, przyciskając się do niego i chwiejąc na pełnym wybojów gruncie, wymówiła:

— Wyjeżdżam dziś wieczór. To po raz ostatni...

Potem umilkła; następnie po chwili milczenia, wśród ciągłych pauz, mówiła wciąż jeszcze o konieczności wyjazdu, o konieczności zerwania, głosem pełnym smutku. Szalony wicher wyrывał z jej ust słowa, wdał je unosząc. Ona ciągnęła dalej. Przerwał, ująwszy jej rękę i palcami szukając pod guziczkami rękawiczek ciała jej dłoni.

— Milcz! Milcz!

Szli naprzód, walcząc z wichrem. I tak zbliżony do tej kobiety, w tej głębokiej i uroczystej samotności, poczuł nagle jak w duszę jego wstępuje duma jakiegoś wolniejszego, szerszego życia, niby nadmierna fala sił nowych.

— Nie, nie, nie odjeżdżaj! Ja cię pożądam wciąż jeszcze, zawsze...

Odłonił jej rękę i wsunął swe palce pod rękaw, ujmując ramię pieszczotą niepokojącą, żądz pełną.

Ona rzuciła mu jedno z tych spojrzeń, co go upajały zawsze, jak puhar wina. Most, tuż przed nimi teraz, czerwieniał w blasku słońca. Rzeka zdawała się nieruchomą i metaliczną w całej długości swych zakrętów. Sitowie pochylało się na brzegu a woda wstrząsała zlekka żerdziami, wętkniętymi w glinę dla podtrzymania sieci.

Wtedy spróbował z kolei wzruszyć ją wspomnieniami. Począł jej mówić o pierwszych dniach ich poznania, o owym balu w pałacu Farnese, o polowaniu na wsi, w którym brali udział oboje, o porannych spotkaniach "na placu di Spagna, przed witrynami jubilerów, lub na spokojnej i arystokratycznej ulicy Sykstyńskiej, kiedy wychodziła z pałacu Barberini, ścigana przez kwiatarki, co jej ofiarowywały róże w koszykach.

— Pamiętasz! Pamiętasz!

— Tak.

— A ten wieczór kwiatowy, w samym początku... kiedy to ja przyszedłem z całą masą kwiatów... Byłaś sama, we wgłębieniu okna; czytałaś. Czy pamiętasz?

— Tak, tak, pamiętam wszystko.

— Wszedłem. Tyś się zaledwie odwróciła; przyjęłaś mnie szorstko. Co ci było? Nie wiem

Złożyłem pęk kwiatów na stoliczku i czekałem. Zrazu mówiłaś o rzeczach obojętnych, bez ochoty i przyjemności. Pomyślałem zniechęcony: „Nie kocha mnie już!” Ale zapach był silny; wypełniał cały pokój. Widzę cię jeszcze w tej chwili i widzieć będę zawsze, jak oburącz pochwyciłaś kwiaty i zanurzyłaś w nich twarz, wdychając tę woń. Kiedyś podniosła głowę, wszystka krew, zdawało się, zbiegła ci z twarzy, oczy twoje zatopione były w jakimś upojeniu...

— Mów dalej, mów dalej! — zawołała Helena słabym głosem, pochylona przez poręcz mostu, jakby zamagnetyzowana fascynacją wód wciąż bieżących.

— A potem, na otomanie... czy pamiętasz? Przechyliłem cię i okryłem kwiatami piersi, ramiona, twarz. Podnosiłaś się co chwila, by mi podać do pocałunku usta, szyję, współprzymknięte powieki. Między twą skórą a memi wargami czułem listki róż, chłodne i miękie. Kiedy całowałem cię w szyję, drżałaś całym ciałem i wyciągałaś ręce, by mnie usunąć. Oh! wtedy... Głowa miałaś zanurzoną w poduszki, pierś ukrytą pod pokładem róż, ramiona obnażone po łokcie i nie było nic rozkoszniejszego, nic słodsze go chyba nad lekkie drżenie twych białych dłoni na moich skroniach. Czy pamiętasz?

— Tak, pamiętam. Mów dalej!

On mówił dalej z wzrastającym rozrzewnieniem. Upojony własnymi słowy, tracił prawie świadomość.

mość tego, co wypowiadał. Helena z ramionami zwróconemi do światła pochylała się zwolna ku niemu. Poprzez odzież czuli niewyraźny kontakt ciał. W dole, u stóp ich, wody rzeki ślizgały się powolne i zimne; wysokie, wątle trzciny zarośli, podobne do rozpuszczonej fali włosów, chwiały się pod każdym wiatru podmuchem, zaturzając w wodzie.

Przestali mówić; ale patrzyli na siebie i w uszach im brzmiał szum przeciągający się w nieskończoność, który zdał się unosić z sobą jakąś część ich istoty, jak gdyby coś dźwięcznego wydarło się z samegoż ich mózgu i rozprzestrzenione nappełniło tym odgłosem całą równinę.

Helena wyprostowała się.

— Wracajmy — rzekła. — Pić mi się chce. Gdzieby tu dostać wody?

Skierowali się ku oberży, po za mostem. Przed oberżą woźnice wyprzęgali konie z hałaśliwemi kłatwami. Zachodzące słońce obrzucało snopem światła tę grupę zwierząt i ludzi.

Ich wejście nie wywołało w oberży najmniejszego zdziwienia. Trzy czy cztery indywidua, wstrząsane febrą, siedziały dokoła kwadratowego ogniska, ponure i żółte. Jakis drab, o rudym zaroście drzemał w kącie, trzymając jeszcze w zębach fajkę zagasłą. Dwóch młodych chłopców, wynędzniałych i zezowatych grało w karty i śledziło się wzajem, podczas przerw, wzrokiem zwierzęcego jakiegoś zapachu. Gospołyni, kobieta otyła,

trzymała na rękach dziecko, które chuśtała z rozmachem.

Kiedy Helena piła wodę z ordynarnej szklanki kobieta wyrzekała wciąż, ukazując jej dziecko.

— Patrz pani! Patrz pani!

Wszystkie członki biedactwa były okropnej chudości; wargi sine pokryte były białawymi plamami; wnętrze ust pokrywały gruczoły ciekące. Zdawało się, że życie opuściło już to drobne, wątłe ciało, pozostawiając tylko materię, na której wegetowała pleśń.

— Dotknij pani, patrz jakie rączki jego są zimne. Nie może już pić, nie może połykać, nie może sypiać...

Kobieta łkała. Chorzy dokoła ogniska poglądali oczyma pełnemi bezgranicznej prostracyi. Płacz dziecka wywołał zniecierpliwienie w dwóch chłopcach.

— Chodź, chodź! — powiedział Andrzej do Heleny, ujmując jej rękę, rzuciwszy poprzednio na stół pieniądz.

I pociągnął ją ku wyjściu. Powracali razem ku mostowi. Obecnie wody Anio przemykały się, płomienne światłem zachodu. Linia połyskująca przecinała arkadę mostu a w oddali fale przybierały barwę rudawą, bardziej błyszczącą, jak gdyby na powierzchni płynęły plamy oliwy lub smoły ziemnej. Równina cała, podobna do oceanu w ruinach, otulona była jednostajnym fioleto

wym całunem. W stronie miasta niebo było czerwieniejsze.

— Biedne stworzenie! — szepnęła Helena z akcentem głębokiego współczucia w głosie.

I przytuliła się mocniej do ramienia Andrzeja.

Wiatr szalał; gromada wron przeleciała w płomienistym powietrzu, bardzo wysoko, z krakaniem.

Wtedy nagle, na widok tego osamotnienia, tej pustki wielkiej, rodzaj namiętnego uniesienia ogarnął ich dusze. Jakiś pierwiastek tragiczny i bohaterki zarazem zdał się wstępować w ich miłość. Szczyty ich namiętności zapłonęły pod odblaskami burzliwego zachodu. Helena zatrzymała się.

— Nie mogę iść dalej — wymówiła zdyszana.

Powóz był daleko jeszcze, stał tam, gdzie go opuścili.

— Jeszcze trochę tylko, Heleno! Kawaleczek mały! Czy pozwolisz, żebym cię podtrzymał?

Uniesiony niepohamowanym wybuchem uczucia, puścił teraz wodze słowom.

„Dlaczego chciała wyjeżdżać? Dlaczego chciała zerwać ten czar potężny? Czyliż odtąd losy ich nie były połączone nierozzerwanymi węzły? Ona mu była potrzebną do życia; potrzebnymi mu były jej oczy, jej głos, myśl jej... Cały nawskroś przejęty był tą miłością; cała krew jego przepojona nią była, przepalona jak trucizną, bez ratunku. Dlaczegoż ona chciała uciec? On się jej

uczepi, oplącze, obwinie, zadusi ją na swem sercu. Nie, to być nie może. Nigdy, nigdy!”

Helena słuchała go z głową spuszczoną, walcząc z wichrem, w milczeniu. Po upływie kilku minut, podniosła rękę, by dać znak stangretowi, aby podjechał. Konie uderzyły kopytami.

— Zatrzymasz się przed bramą Porta Pia — rzekła, wsiadając do powozu z Andrzejem.

I nagle, porywem objęła ramieniem kochanka, który całował jej usta, czoło, włosy, oczy, szyję, chciwie, pośpiesznie, bez tchu.

— Heleno! Heleno!

Żywy blask wpadł w głąb powozu, refleks domów, koloru cegły. Na drodze rozlegał się donośny odgłos kilku pędzących koni.

Helena, pochylając się na ramię kochanka z niezmierną słodyczą poddania, wymówiła:

— Żegnaj, mój najdroższy. Żegnaj mi, żegnaj!

Kiedy podnosiła głowę, z prawej i lewej strony powozu, przebiegło w pełnym galopie dziesięciu, czy dwunastu jeźców w czerwonych frakach, powracających widocznie z polowania na lisy. Jeden z nich, księżę Beffi, mijając powóz, podniósł się w strzemionach, by zajrzeć przez okno karety.

Andrzej nie już nie mówił. Czuł teraz, jak cała jego istota obezwładnioną jest niezmiernem przynębieniem. Skoro opadł w nim bunt pierwszy, dziecięca słabość jego natury domagała się łez.

Radby był ugiąć się, upokorzyć, prosić, wzruszyć swemi łzami, wywołać niemi litość tej kobiety. Doznawał niejasnego, tępego wrażenia zupełnego zawrotu, i przejmowało go zimno przenikające, aż do włosów.

— Żegnaj — powtórzyła Helena.

Powóz zatrzymał się pod sklepieniem bramy Porta Pia. Musiał wysiąść.

VIII.

To pożegnanie pod gołem niebem, z woli Heleny, nie rozwiązało żadnej z wątpliwości, jakie miał Andrzej w duszy. „Jakie być mogły tajemne powody tego nagłego odjazdu?“ Daremnie starał się przeniknąć tajemnicę, ogarniało go zwątpienie.

Przez pierwsze dni, ataki boleści i żądzły były tak gwałtowne, że sądził, iż umrze. Zazdrość, która po pierwszych napadach ustąpiła pod wpływem gorących a wytrwałych objawów miłości Heleny, zmartwychwstała w nim na nowo, wywołana własną jego fantazyą, co mu poddawała dręczące obrazy—a podejrzenie, że w głębi tej tajemniczej ucieczki, kryć się musi jakiś męczczyzna, udrećzało go nie do zniesienia. Chwilami czuł jakiś gniew niski, niegodny przeciw nieobecnej, czuł jakiś żal do niej gorzki, niemal potrzebę zemsty, jak gdyby zwiódła go i zdradziła po to, aby się oddać innemu kochankowi. Czasami znowu zdawało mu się, że jej już nie pożąda, nie kocha, że jej nie kochał nigdy. Nie było dla niego bynajmniej nowem zjawiskiem, to wrażenie przelotne uczucia, ten rodzaj duchowe-

go omdlenia, które w gwarze balu naprzykład, czyniło mu zupełnie obojętną, obcą niemal kobietę ukochaną, pozwalało brać udział w wesołej kolacyjce w godzinę zaledwie po scenie, w której pił łyżę tej kobiety kochanej. Ale te zapomnienia nie trwały długo. Wiosna rzymska rozkwitła niezmiernem weselem barw i woni, miasto z cegły i wapiennego kamienia pochłaniało światło jak las chciwy; fontanny papieskie tryskały kolumną w niebo, przezroczyście niż kamień drogocenny; plac di Spagna wonny był jak ogród różany a Trinita de' Monti, zaludniona u wierzchołka schodów tłumem dzieci, zdawała się katedrą ze złota.

Pod wpływem tego podniecenia, które wywoływała w nim nowa piękność Rzymu, wszystko, co pozostało z napoju miłosnego Heleny w jego krwi i duszy, nowem rozkwitało życiem, zapalała się na nowo. I niepokoiły go do głębi niepokonane jakieś udręczenia, zaburzenia nieubłagane, nieokreślona bezsilność, jakby dziwne odnowienie pierwszej epoki dojrzałości męskiej.

Pewnego wieczoru u Blanki Dolcebuono, po herbacie, ponieważ pozostał ostatni w salonie pełnym kwiatów, gdzie drżały jeszcze tony „Kaczuczy“ Raffa, począł mówić Blance o miłości i nie potrzebował żałować tego kroku ani tego wieczora, ani później.

Przygoda jego z Heleną Muti nadała mu natychmiast w oczach kobiet wysoki stopień uroku.

Owionął go powiew niepowszechnych względów niewieścich i niebawem, skutkiem dość częstej zresztą zarazy pożądań, powodzenie jego u kobiet stało się zdumiewajacem. Zresztą posłużyła mu w tem również opinia tajemniczego artysty; napisał w albumie księżnej Ferentino dwa sonety, które stały się sławne, gdzie jak w dwoistym dyptyku, sławił kolejno usta szatańskie i usta anielskie, te, co gubią dusze ludzkie i te, co szepczą: *Ave*.

Odpowiadał na każdy pierwszy krok ze strony kobiety bez minuty wahania. Po epoce skupienia w sobie, wywołanego przez wyłączną władzę nad nim Heleny, następowała teraz epoka rozwiązłości poniekąd. Niepowstrzymywany przez więzy ogniste, co go okuwały silnie, powracał teraz do pierwotnego swego bezładnego życia. Nie mogąc już przystosowywać się i naginać do formy wyższej, umiejącej nią zawładnąć, dusza jego, chwiejna i zmienna, kształtowała się, przetwarzając, przybierała wszelkie formy. Przechodził z jednej miłostki w drugą z niesłychaną lekkością; uprawiał po kilka miłostek równocześnie; tkał bez najmniejszego skrupułu wielki wątek zwodzicielstwa, forteli, kłamstw, oszukaństw, byle tylko złapało się weń jak najwięcej ofiar. Nawykniecie do fałszu, przytępiało w nim głos sumienia. Ale przetrwał w nim instynkt trwały, nielitościwie trwały: niesmak, wstręt do wszystkiego, co go pociągnęło, nie mogąc przecież równocześnie znie-

Dod. do „Prz. Tyg.” – G. D’Annunzio. „Dziecko rozkoszy”. 8

wolić ducha. Wola jego, bezużyteczna jak szabla źle hartowna, była orężem, wiszącym u boku człowieka pijanego lub bezwładnego.

Czasem jednakże wspomnienie Heleny pojawiające się niespodziewanie, przepęłniało mu serce i wówczas bądźto usiłował się uchronić od smutku i żalu, bądź też wprost przeciwnie czynił sobie przyjemność z tego, by na nowo przeżywać w wyobraźni szczegóły tego życia i znajdować w niem podniecenie do nowych miłostek. Powtarzał sobie chętnie słowa niemieckiej piosenki: „Przypominaj sobie dni zagasłe! I kładź na usta drugiej pocałunki równie słodkie jak te, któremi darzyłeś nie tak dawno *pierwszą!*” Ale przez ten czas już drugiej nie miał w sercu. Z początku mówił Blance Dolcebuono o miłości, niemal nie myśląc o tem, ponieważ instynktownie odczuwał urok jakiegoś odblasku, ponieważ ta kobieta była przyjaciółką Heleny. Może też leżało w sercu jego uśpione ziarenko sympatyj, zasiane tam słowami florenckiej hrabiny na obiedzie u Doriów. Kto mógłby określić, jakim tajemniczym postępem, jakiegokolwiek bądź zetknięciem, duchowe czy materyalne, częstokroć nie znaczące, między mężczyzną a kobietą, może wyrodzić i podsycać u obojga uczucie ukryte, niepostrzeżone, niepodejrzewane, które w długi czas potem nagle okoliczności wyprowadzą na jaw?

Blauka była idealnym typem piękności florenckiej, takim, jakim go oddał Ghirlandajo w por-

tracie Joanny Tornabuoni, który się znajduje w Santa-Maria Nuova. Miała twarz jasną, owalną, czoło szerokie, wysokie i czyste, usta ujmujące wdziękiem, nos cokolwieczek zadarty, oczy tego koloru ciemno-brązowego, sławionego przez Firenzuolę. Lubiła układać włosy w fale spadające na skroniach aż do połowy policzków, według dawnej mody. Imię jej przystawało do niej doskonale: wносиła w życie światowe wrodzoną dobroć, wielką wyrozumiałość, uprzejmość jednako dla wszystkich, mowę melodyjną. Wogóle była to jedna z tych kobiet miłych, acz nie głębokich, ni inteligencyą, ni duszą, cokolwiek ociężałych, które zdają się zrodzone na to, by żyć wśród wesołości, kołyszając się dyskretnymi miłośkami, jak ptaki na okrytych kwieciami gałązkach.

Kiedy postyszała wyznania Andrzeja, zawołała z pełnem wdzięku zdziwieniem:

— Jakto, tak prędko zapominasz pan o Helenie?

Potem, po kilku dniach uroczych wahań, podobą jej się uledez i często mówiła o Helenie niewiernemu jej kochankowi, bez zazdrości, z prostotą.

— Ale co to się stało, że tego roku wyjechała wcześniej niż zazwyczaj? — spytała pewnego dnia z uśmiechem.

— Nie wiem—odpowiedział Andrzej, który nie mógł ukryć cokolwiek zniecierpl

— A zatem wszystko skończone, naprawdę skończone?

— Proszę, Blanko, mówmy o nas samych tylko! — przerwał jej głosem zmienionym.

Te rozmowy niepokoiły go i drażniły.

Na chwilę zamysliła się, jak gdyby usiłowała odgadnąć jakąś zagadkę; potem uśmiechnęła się, wstrząsnawszy głową, jak ktoś, co się zrzeka odgadnienia, z cieniem przelotnej melancholii w oczach.

— To jest miłość! — wyrzekła.

Andrzej, posiadając ją, posiadał z nią razem wszystkie ładne damy fiorenckie z XV wieku, te, dla których śpiewał Wawrzyniec Wspaniały:

E' si vede in ogni lato
 Che'l proverbio dice il vero
 Che ciascun muta pensiero
 Come l'occhio é separato.
 Vedesi cambiare amore;
 Come l'occhio sta di lunge,
 C'asi sta di lunge il core:
 Perché appresso un altro il punge.
 Col qual tosto e'si congiunge
 Con piacere et con diletto...¹⁾

¹⁾ „Widzi się wszędy słuszność przysłowia: że zawsze myśl się zmienia tam, gdzie już oko nie dosięga. Widzi się niestałość w miłości i z kądem oko się oddala, oddala się również i serce; bo następnie inny przedmiot je znęci, do którego niezadługo przywiąże się z przyjemnością i rozkoszą...”

Za nadejściem lata, kiedy już zamierzała Rzym opuścić, w godzinie rozstania, rzekła mu, nie ukrywając swego rozrzewnienia:

— Skoro się zobaczymy ponownie, nie będziesz mnie już kochał, wiem to dobrze. Taką jest miłość. Ale pamiętaj, że masz zawsze przyjaciółkę!

Nie kochał jej. Jednakże w ciężkie dni nudów, niektóre miękie nagięcia tego głosu, powracały mu do duszy, niby magiczny dźwięk rymu i wtedy stawał przed nim wizya ogrodu, ochłodzonego bijącymi fontannami, w którymby Blanka w towarzystwie innych kobiet przechadzała się, grając na wioli i śpiewając jak na wianietach co zdoła „Sen Polyphila“.

I Blanka zniknęła, zatarł się jej obraz. I zastąpiły ją inne, częstokroć po dwie razem: Barbarella Viti, zwana *mascula*, wspaniała głowa efeba, taka, jakaby wymalował Euphronios w głębi jakiejś czary; hrabina Lucoli, dama w turkusach, istna Circe Desso-Dossiego, z niezmiernie wielkimi oczyma, półnemi zdrad, mieniącemi się jak morze jesienią, szaremi, niebieskiemi, zielonemi, nieokreślonymi; Liliana Theed, dwudziesto-dwu letnia lady, promieniejąca tą zdumiewającą karnacją, złożoną z światła, róż i mleka, którą posiadają wyłącznie „baby“ arystokratycznych domów angielskich, malowane przez Reynoldsa i Gainsborougha; margrabina de Chaunay, piękność z czasów dyrektoryatu, rodzaj pani Récamier o długim i czystym owalu, o szyi łabę-

dziej, o piersiach wyniosłych i ramionach bachantki; donna Isotta Cellesi, dama w szmaragdach, która obracała z majestatyczną powolnością bawołu swą cesarską głowę wśród odbłasków olbrzymich dziedzicznych kamieni; księżna Kalliwoda, dama bez klejnotów, która pod pozorną wåtłością kształtów, miała nerwy ze stali tam, gdzie szło o rozkosz a z której delikatnej, woskowej niemal twarzyczki poglądały żarłoczne oczy lwicy.

Każda z tych miłostek przyniosła mu z sobą nowe spodlenie; każda upajała go tem szkodliwym upojeniem, co to nie daje zadowolenia; z każdej wyniósł kilka nowych właściwości, nowych subtelności zepsucia, dotychczas mu jeszcze nieznanych. Nosił sam w sobie zarodki wszelkich skażeń. Sam zaszczepiający zepsucie, z kolei ulegał mu znowu. Fałsz powlekał jego duszę, niby jakąś materyą lepka i zimną, której pokład z dniem każdym stawał się grubszy; skażenie zmysłów było przyczyną, że poszukiwał i pielęgnował w swych kochankach wszystko to, co w nich było mniej szlachetnego i mniej czystego. Nędzna ciekawość popychała go do wybierania kobiet, które miały najgorszą reputacyę; okrutne upodobanie w kalaniu skłaniało do uwodzenia kobiet, uważanych za najuczciwsze. W uściskach jednej przypominał sobie pieszczoty innej. Czasami zaś—zwłaszcza było to wówczas, kiedy wiadomoć o powtórnem małżeństwie Heleny z lor-

dem Humphrey Heathfield, na czas pewien odświeżyła jego ranę—znajdował przyjemność w podstawianiu w miejsce obecnej nagości wymarzoną nagość Heleny, w nadawaniu pochwytniej formie podpoły z idealnej rozkoszy i podtrzymywał to złudzenie z taką usilnością, że wreszcie imagina-cya jego dochodziła nieomal do posiadania złudy jako rzeczywistości.

Z drugiej strony wszakże, nie kultywował bynajmniej wspomnień ni pamiątek dawnego szczęścia a nawet te wspomnienia dostarczały mu pretekstu do nowej jakiejś miłosnej przygody. Tak naprzykład w galeryi Borghese, w owej pamiętnej zwierciadlanej sali, otrzymał on od Liliany Theed pierwsze przyrzeczenie; w willi Medicis znowu, na uświęconych wspomnieniem schodach, które prowadzą do Belwederu, splótł swe palce z długimi palcami Anieli de Chauny; a znowu trupia główka ze słoniowej kości, co należała niegdy do kardynała Immenraet, grobowy klejnot, oznaczony imieniem jakiejś nieznaney Hipolity, zbudził w nim kaprys pokuszenia się o donnę Hipolitę Albouico,

IX.

Donna Hipolita Albonico miała w całej swej postaci wielką dystynkcyę arystokratyczną i przypominała cokolwiek podobieństwem Maryę Magdalenę Austryaczkę, żonę Cosimy II Medyceusza, której portret, pędzla Justyniana Suttermanna, znajduje się we Florencyi w pałacu Corsnich. Lubiła okazałe stroje, brokaty, aksamity, koronki. Szerokie frezy medycejskie zdawały się najodpowiedniejszą modą dla uwydatnienia całej piękności królewskiej jej głowy.

Pewnego dnia wyścigów, na trybunie, Andrzej Sperelli usiłował otrzymać od donny Hipolity przyrzeczenie, że nazajutrz przyjdzie do pałacu Zuccari, zabrać tajemniczy zegarek, oznaczony jej imieniem. Ona broniła się, powodowana ostrożnością, choć równocześnie była zaciekawioną. Za każdym zdaniem, cokolwiek śmielszem, młodego człowieka, marszczyła brwi, jednocześnie przecież, uśmiech mimowolny występował jej na usta. Kapelusz, zdobny białemi piórami i wewnętrzna strona parasolki, przystrojona białemi koronkami,

tworzyły dokoła jej głowy ramę szczególnej harmonijności.

— Tibi, Hippolyta! A zatem pani przyjdiesz? Czekać będę całe popołudnie, poczawszy od drugiej godziny, aż do wieczora. Umowa stoi?

— Ależ pan jesteś szalony!

— Czegóż możesz się pani lękać? Przysięgam Waszej Królewskiej Mości, że nie poważę się nawet zabrać jej bodaj jednej rękawiczki. Wedle swego królewskiego obyczaju, zasiądzie Wasza Królewska Mość na tronie; i wówczas nawet gdy raczy przyjąć filiżankę herbaty będzie mogła, jeśli taką będzie Jej wola, nie składać niewidzialnego berła, które nosi w swej władczej dłoni. Czy pod temi warunkami raczy Jej Królewska Mość przychylić się do wyświadczenia mi tej łaski?

— Nie.

Ale uśmiechała się, bo bawiło ją to podnoszenie majestatycznego jej układu, który stanowił jej chwałę. A Sperelli kusił ją dalej, wciąż, to w tonie żartu, to w tonie prośby, łącząc do zwodnych słów potęgę spojrzenia uporczywego, sięgającego do głębi i przenikliwego, które zdawało się rozbierać kobiety, widzieć ich nagość po przez suknie, sięgać żywego ciała.

— Nie chcę, żebyś pan tak patrzył na mnie— ozwała się donna Hipolita, niemal obrażona, z lek kim rumieńcem na twarzy.

Mało już osób było na trybunie. Panowie i panie przechadzali się po trawniku, wzdłuż baryery, lub otaczali gromadnie zwycięzkiego wierzchowca, to znów robili zakłady u krutek wyjących bookmakerów, na słońcu niepewnym, co ukazywało się i znikło pomiędzy jasnymi wysepkami chmur.

— Zejdźmy—rzekła—nie spostrzegłszy czujnych oczu Jana Rutolo, który stał oparty o poręcz schodów.

Kiedy, schodząc, mijali go, Andrzej zawołał:

— Do widzenia, Rutolo, niezadługo! Wkrótce nasz bieg, nieprawdaż?

Rutolo skłonił się głęboko przed donną Hipolitą i nagły płomień zabarwił mu oblicze. Przywidziało mu się, że w układzie hrabiego odczuwa pewien odcień szyderstwa. Oparty o poręcz schodów, wciąż ścigał oczami odchodzącą parę. Widocznie cierpiał mocno.

— Rutolo, strzeż się pan! — rzekła mu ze złośliwym uśmiechem hrabina Lucoli, schodząca po żelaznych schodach z Filipem del Monte pod rękę.

Cios wymierzony trafił go w same serce.

Donna Hipolita i hrabia Ugenta, doszedłszy aż do samej platformy sędziów, powracali teraz ku trybunie. Hipolita trzymała rączkę swej parasolki na ramieniu i obracała ją w palcach, tak że biała kopuła wciąż wirowała jak ruchoma aureola dokoła jej głowy a fala koronek podnosiła

się i opadała bezustannie. W pośrodku tego ruchomego kręgu, ona śmiała się chwilami z tego, co jej mówił młody człowiek; lekki rumieniec zarbarwiał szlachetną bladłość jej twarzy. Od czasu do czasu zatrzymywali się oboje.

Jan Rutolo, pod pretekstem baczujejszego przypatrzenia się koniom, które wprowadzano na tor, zwrócił na nich swą lornetkę. Ręce mu drżały. Każdy uśmiech, gest każdy, każda poza Hipolity sprawiały mu boleść straszliwą. Kiedy odjął od oczu lornetkę, był śmiertelnie blady. W oczach ukochanej, utkwionych teraz w twarzy Andrzeja, dopatrzył tych samych właśnie spojrzeń, które go niegdyś przejmowały nadzieją. Zdało mu się, że świat cały zapada się dokoła niego. Długoletnią miłość jego przecinało to spojrzenie, to był jej nieodwołalny koniec. Słońce nie było już słońcem; życie nie było życiem.

Już miaro dać sygnał do trzeciego biegu i trybuna napelniała się napowrót z szybkością. Pannie stawały na ławeczkach. Szmer rozlegał się po amfiteatralnie wzniesionych siedzeniach, jak wietrzyk ranny po spadzistym tarasie ogrodu. Ozwał się dzwonek. Konie puściły się, jak wypuszczone z łuku strzały.

— Ja staję do biegu na cześć pani, donna Hipolito—powiedział jej Andrzej, kiedy się zęgnął, by się przysposobić do następnego biegu, biegu „gentlemanów”. *Tibi, Hippolyta, semper.*

Uścisnęła mu mocno rękę, jakby na dobrą wróżbę, nie pomyślawszy, że w tym biegu bierze również udział Rutolo. Cokolwiek później, kiedy spostrzegła swego kochanka, który schodził sam, blady bardzo, niewinne okrucieństwo absolutnej obojętności świeciło w pięknych, ciemnych jej oczach. Pod władzą nowej miłości, dawna miłość opadała z jej duszy, jak bezwładne zwłoki. Nie należała już do tego człowieka; żaden już z nim nie łączył jej węzeł, skoro przestała go kochać.

„Odebrał mi ją“, myślał Rutolo, idąc ku trybunie Jockey klubu, trawnikiem, w którym zdało mu się, że więzną mu nogi, jak w głębokim piasku. Przed nim, w niewielkiej odległości, szedł tanteu krokiem pewnym i swobodnym. W długim popielatym anglezie, postać jego wysoka i smukła miała w sobie tę elegancję specjalną i niedającą się naśladować, którą wyłącznie tylko daje rasa. Palit — a Rutola idącego po za nim za każdym nowym kłębem dymu, dolatywała woń jego papierosa, a była to dla niego woń nieznosna, wstrętna, sprawiająca mu mdłości, jak gdyby wraz z tym dymem wchłaniał jakąś truciznę.

Księżę Beffi i Paweł Caligaro, stali we drzwiach budynku, gdzie się odbywało ważenie, już w stroju wyścigowym. Księżę chcąc snac wypróbować elastyczność skórzanych swych spodni, czy też siłę własnych mięśni, pochylał się na rozstawionych nogach ruchem gimnastyka. Mały

Caligaro przeklinał deszcz nocny, który utrudnił teren.

— Z twoim „Mallecho“—ozwał się do Sperello—masz niemałą szansę.

Jan Rutolo postyszał tę przepowiednię i ścisnęło mu się serce. Na spodziewanem zwycięstwie fundował on niejaką nadzieję. Wyobrażał sobie tę wyższość, jakaby mu dał nad rywalem bieg wygrany i szczęśliwy pojedynek. Kiedy zmieniał ubranie, każdy ruch jego zdradzał jakąś nieopuszczającą go myśl wyłączną.

— Otóż człowiek, który nim dosiędzie konia, widzi przed sobą grób otwarty — zawołał księżę Beffi, kładąc mu rękę na ramieniu, z komicznym gestem.— *Ecce homo novus*

Andrzej Sperelli w tej chwili był wesóło usposobionym i wybuchnął serdecznym śmiechem, który u niego był najczarowniejszym objawem młodości.

— Czego się śmiejesz?—spytał go Rutolo, bładny, niemogący zapanować już nad sobą, wpatrując się z pod zmarszczonych brwi surowo w swego wroga.

— Zdaje mi się — odparł Sperelli bynajmniej niewzruszony — że mówisz do mnie cokolwiek za bardzo zirytowanym tonem, mój kochany.

— Więc cóż ztąd?

— Myślę sobie o moim śmiechu, co ci się podobą.

— Myślę, że jest strasznie głupi.

Sperelli skoczył naprzód z podniesioną szpicrutą. Cudem tylko Caligaro powstrzymał mu ramię. Potem nastąpił szereg słów gwałtownych. Don Marek Antoniusz Spada nadszedł na to i sły-
szał całą zwadę.

— Dosyć, moje dzieci — odezwał się. — Wie-
cie dobrze obadwaj, co wam jutro uczynić na-
leży. Na teraz chodzi o to, żeby stanąć do
biegu.

Dwaj przeciwnicy dokonczyli ubierać się w mil-
czeniu. Następnie wyszli. Już pogłoska o za-
szłym nieporozumieniu rozbiegła się po arenie
i przedostawała do trybun, to też z tem większą
niecierpliwością oczekiwano tego biegu. Hrabina
Lucoli, przez wyrafinowaną złośliwość, oznajmiła
o całej tej sprawie donnie Hipolicie Albonico.

Ta, nie okazując najmniejszego pomięszania,
odpowiedziała:

— To szkoda. Sądziłabym, że to tacy serde-
czni przyjaciele.

Nowina obiegała ładne usteczka niewieście.
przetwarzając się w najrozmaitsze warianty. Tłum
snuł się dokoła bookmakerów. „Mallecho“ koń
hrabiego Ugenta i „Brummel“, koń margrabiego
Rutolo, były faworytami; po nich następowały
dopiero: „Satirist“ księcia Beffi i „Carbonilla“
hrabiego Caligaro. Jednakowoż wytrawni zna-
wcy mało pokładali nadziei w dwu pierwszych,
przekonani, że podniecenie nerwowe ich jeźdź-
ców, przyniesie nieuniknioną szkodę biegowi.

Ale Andrzej Sperelli był spokojny, niemal rozradowany. Uczucie wyższości, jaką miał nad swym współzawodnikiem dodawało mu zaufania w siebie. Zresztą, jego rycerskie upodobanie w niebezpiecznych przygodach, odziedziczone po bajronicznym ojcu, ukazywało mu sytuację w świetle pewnej aureoli sławy; wrodzona zaś szlachetność krwi młodzieńczej rozbudziła się wobec niebezpieczeństwa. Nagle gdzieś na wyżynach jego duszy, stanęła donna Hipolita, tem piękniejsza i tem godniejsza pożądania.

Z bijącym sercem postąpił na spotkanie swego konia, jak na spotkanie przyjaciela, któryby mu niósł wieść oczekiwanego szczęścia. Pogłaskał zlekka jego nozdrza; a oko rumaka, to oko, w którym szlachetność rasy zapalała płomień niewygasły, upoiło go, jak magnetyczne spojrzenie kobiety.

— To wielki dzień dzisiaj, „Mallecho“—szepnął mu, gładząc jego skórę.—Trzeba zwyciężyć!

Jego trener, mały rudy człowieczek, który w przejściu wpatrywał się bystro w inne konie, prowadzone przez masztalerzy, ozwał się zachrypłym głosem:

— *No doubt!*

„Mallecho“ był to wspaniały gniadosz, pochodzący ze stajen barona Schicklera. Łączył on z elegancją wysmukłości form, nadzwyczajną moc w krzyżu. Szerść jego lśniaca i delikatna, z pod której ukazywała się na piersiach i bokach sieć

żyłek, zdała się wyziewać z siebie płomień, tak wielkim był ogień jego żywotności. Znakomity w skoku, nieraz już przesadzał z swoim panem na polowaniach przez wszelkie przeszkody rzymskiej Kampanii, na jakimkolwiek terenie, nie unikając ani potrójnej baryery, ni muru, zawsze tuż za psami nieustraszenie. Jedno „hop!“ jeźdźca podniecało go więcej, niż spięcie ostrogą a drżał pod każdą pieszczołą.

Nim dosiadł konia, Andrzej obejrzał starannie uździennicę i rzemienie strzemion, sprawdził każdą sprzączkę.

Obok tablic zakładowych tłoczył się wciąż tłum grających. Obrócił się w stronę prawej trybuny, aby spojrzeć na donnę Hippolitę Albónico, ale w tej gromadzie kobiet, nie mógł nic rozróżnić. Ukłonił się w przelocie Lilianie Theed, która doskonale znała „Mallecha“ z pościgów jego pana za lisami i złudzeniami. Margrabina d'Ateleta, poinformowana już o zaszłej sprzeczce, gestem zrobiła mu wymówkę.

— Ile stoi na „Mallecho“? — spytał Ludwika Barbarisi.

Kiedy dojeżdżał do słupa z kąd miał się bieg rozpocząć, zastanawiał się zimno nad metodą, którą mu przyjąć należy, by osiągnąć zwycięstwo; przypatrywał się bacznie jadącym przed nim współzawodnikom, obliczając siłę i umiejętność każdego z nich. Paweł Caligaro był to demon złościwości, nałożony jak jockey do wszystkich

podstępów rzemiosła; ale jeśli „Carbonilla“ miała szybkość biegu, brak jej było wytrwałości. Księżę Befi, jeździec wysokiej szkoły, który wygrał niejedną *match* w Anglii, kierował rumakiem dziwnie kapryśnym, trudnym niezmiernie do powodowania, który w danej chwili mógł odmówić przesadzenia przez przeszkodę. Jan Rutolo przeciwnie, miał wierzchowca znakomitego i tresowanego doskonale; ale jeśli był on silny, zbyt wiele miał znowu ognia; a potem Rutolo po raz pierwszy stawał do wyścigów publicznych. Co więcej, znajdował się on w stanie straszliwego zdenerwowania, jak to widocznem było z licznych oznak.

Andrzej patrzył na niego, myślał: „Niezawodnie moje dzisiejsze zwycięstwo wpłynie na jutrzejszy pojedynek. Tu i tam on straci głowę zupełnie. Trzeba mu przedewszystkiem na obu terenach zachować krew zimną“. Potem pomyślał znowu: „Co też doznawać będzie w duszy donna Hipolita?“ Zdawało mu się, że dokoła niego panowała niezwykła cisza. Zmierzył okiem przestrzeń, która go oddzielała od pierwszej przeszkody, zauważył na torze świecący kamyczek; spostrzegł, że Rutolo obserwował go również; przebiegł go dreszcz po całym ciele.

Dzwon dał znak; ale „Brummel“ puścił się przed innemi i wyjazd uzdany został za nieprawidłowy. Drugi raz, znowu z winy „Brummela“, wyruszenie

okazało się złem. Sperelli i księżę Beffi zamienili z sobą przelotny uśmiech.

Naknecie trzeci wyjazd był dobry. Natychmiast niemal „Brummel“ odłączył się od gromadki, pędząc wzdłuż baryery. Trzy inne konie biegły jednostajnie razem niemal przez chwilę, przeskoczyły płot pierwszy, potem drugi. Każdy z trzech jeźdźców miał odrębny widocznie plan kampanii. Księżę Beffi usiłował utrzymać się w gromadce dlatego, aby jego „Satirist“ podniecony był przykładem wobec przeszkód. Caligaro poskramiał zapędy swojej „Carbonilli“ dlatego, aby oszczędzić jej siły na ostatnie pięćset metrów. Sperelli powiększał stopniowo szybkość w zamiarze, że dogna swego przeciwnika w pobliżu najtrudniejszej przeszkody. W rzeczy samej „Mallecho“ wkrótce wyprzedził dwu towarzyszy i począł z bardzo blizka już dopędzać „Brummela“.

Rutolo postyszał po za sobą ten galop przyśpieszony i taka przejęła go trwoga, że wzrok mu się zaćmił. Wszystko nagle spłynęło w jego oczach w jedną całość niewyraźną, jak gdyby blizkim był zemdlenia. Potrzebował niezmiernego wysiłku, by wspiać ostrogami wierzchowca, przejęty strachem na myśl, że siły mogłyby go zawieść. W uszach miał szum zmieszanych głosów a wśród tego szumu rozróżniał tylko okrzyk krótki i suchy Andrzeja Sperelli:

— Hop! hop!

„Mallecho“, wrażliwszy na głos, niż na wszelką inną ekscytację, pędził jak strzała; był już za- ledwie o jakie dwie lub trzy długości konia od „Brummela“; już miał go dopędzić i wyprzedzić, to było widoczne.

— Hop!

Wysoka baryera przecina tor. Ponieważ Rutolo stracił wszelką świadomość i pozostawał mu tylko instynkt jakiś szalony utrzymania się na koniu i pędzenia naprzód, mniejsza już o to jak, nie dostrzegł jej zupełnie. „Brummel“ przeskoczył, ale niepoparty przez swego jeźdźca, uderzył o baryerę tylnymi nogami i upadł nieszczęśliwie z drugiej strony tak, że jego jeździec wypadł ze strzemion, nie opuściwszy przecież siodła. Niemniej przeto pędził dalej. Teraz jednak Sperelli wiódł cały orszak; Jan Rutolo, nie zdoławszy pochwycić strzemion jechał drugi, tuż za nim biegł Caligaro; księżę Beffi był ostatnim, dzięki opóźnieniu wywołanemu przez jego wierzchowca, który odmówił przeskoczenia jednej z przeszkód. W tym też porządku przejechali pod trybunami; słyszeli szmer zmieszany, który zwolna cichł w dali.

Na trybunach wszyscy byli w gorączce oczekiwania. Kilku widzów oznajmiało głośno przebieg wyścigu. Za każdą zmianą w porządku koni, liczne okrzyki podnosiły się wśród długiego pomruku, na który panie dreszcz przebiegał. Donna Hipolita Albonico, stojąc wyprostowana

na ławeczce, oparta dłońmi na ramionach męża, stojącego przed nią, przypatrywała się bez najmniejszego z pozoru wzruszenia, z cudownem prawdziwie panowaniem nad sobą; jednakże wargi jej, zbyt mocno zaciśnięte i niedostrzegalne niemal zmarszczenie czoła mogłyby obserwatorowi dać miarę wysiłku. W niektórych chwilach usuwała ręce z ramion męża, obawiała się bowiem zdradzić jakims mimowolnym ruchem.

— Sperelli spadł z konia — oznajmiła na cały głos hrabina Lucoli.

Skacząc, „Mallecho“ zrobił fałszywy krok w oślizgłej trawie i zgiął kolano, ale natychmiast zaraz się podniósł. Andrzej osunął się po jego szyi, bez żadnego przecież wypadku i z piorunującą szybkością napowrót był już w siodle; Rutolo i Caligaro doganiali go. „Brummel“, jakkolwiek potluczone miał mocno tylne nogi, dokazywał prawdziwych cudów, dowodząc szlachetności rumaka czystej krwi. „Carbonilla“ nakoniec rozwijała całą swą szybkość, kierowana przez swego jeźdźca z podziwienią godną sztuką. Było jeszcze coś około ośmiuset metrów do mety.

Sperelli widział, że zwycięstwo mu się wymyka i aby je pochwycić napowrót, zebrał wszystkie władze ducha. Podniósłszy się w strzemionach, pochylony na grzywie, od chwili do chwili wydawał ten okrzyk urywany, suchy, przejmujący, który miał taką nad szlachetnym rumakiem władzę.

Kiedy „Brummel“ i „Carbonilla“, zmęczone ciężkością gruntu, utracaly siłę, u „Mallecha“ przeciwnie wzmagał się zapał; lada chwila a odzyska utracone miejsce, oddechem nozdrzy, zda się, chwytając już zwycięztwo. Wziąwszy ostatnią przeszkodę, wyprzedzał teraz „Brummela“, dosięgał głową piersi „Carbonilli“. W odległości około stu metrów od mety puścił się cwałem wzdłuż baryery i pędził, pędził, pozostawiwszy w tyle karą klacz Caligara o dziesięć długości. Dzwonek ozwał się; oklaski rozległy się ze wszystkich trybun, niby głuchy trzask gradu; szmer rozległ się w tłumie, na trawnikach zalaonych falą słońca.

Powracając do budynku wagi, Andrzej myślał sobie: „Dziś szczęście jest za mną. Czy i jutro będzie równie przychylnem dla mnie?“ I czując jak go owiewa wiatr tryumfu; głuchy gniew podniósł się w jego piersi przeciw temu niejasnemu jutrzejszemu niebezpieczeństwu. Gdybyż można było natychmiast stawić mu czoło, dziś zaraz, ejże godziny, bez żadnej odwłoki, aby móżdż cieszyć się już podwójnem zwycięztwem a potem móżdż swobodnie rozkoszować się szczęściem, wziętem z ręki donny Hipolity. Cała jego istota zapłonęła dziką dumą na myśl posiadania prawem gwałtownego podboju tej wspaniałej kobiety. Wyobrażenia przedstawiała mu szczęście całkiem nowe dla niego, niby rozkosz dawnych czasów, wówczas kiedy to rycerze rozwiązywali

włosy swych bohdanek rękoma krwią ociekłemi, co od morderstwa przechodziły do pieszczot i zanurzali w ich splotach czoła, uznojone jeszcze od walki i usta gorzkie od miotanych przekleństw. Upojony był formalnie tem niewytlómaczonym upojeniem, którem darzą niektórych ludzi, umysłowo wyższych, ćwiczenia siły fizycznej, doświadczenie własnej odwagi i przejaw zwierzęcości. To, co istnieje dzikości i wrodzonego okrucieństwa w głębi naszej istoty, wypływa czasami na powierzchnię z dziwną gwałtownością a nawet i pod śmieszłą elegancją nowoczesnego stroju serce nasze wzbiera czasami niewiedzieć jaką zajadłością krwawą i marzy o rzeziach. Andrzej Sperelli wdychał ciepły i ostry wyziew swego rumaka i ze wszystkich subtelných woni, dotychczas dlań upodobanych, żadna nigdy chyba nie sprawiła złysom jego większej przyjemności.

Zaledwie zsiadł z konia, otoczyły go przyjaciółki i przyjaciele, winszujący na wyścigi. „Mallecho“ zdyszany, okryty potem i buchający parą, paraskał, wyciągając szyję i wstrząsając uździenicą. Boki jego zapadały i wznosiły się nieustannym ruchem tak mocno, że zdało się rozsodzi je zmęczenie, pod skórą drżały mu mięśnie, jak cięciwa łuku po napięciu; oczy, rozwarłe szeroko i nabiegłe krwią, miały wyraz okrucieństwa dzikich zwierząt, szerść jego poznaczona teraz w szerokie, ciemniejsze pręgi, jak u tygrysa, miejscami po-

skręcała się pod strumieniami ściekającego potu; bezustanne drżenie całego jego ciała przejmowało litością i rozrzewniało jak cierpienie ludzkiej jakiejś istoty.

— *Poor fellow!*—szepnęła Liliana Theed.

Andrzej obejrzał mu kolano, by zobaczyć, czy się nie zranił przy upadku. Ale kolana nie były drażnione nawet. Wtedy zlekka gładząc szyję zwierzęcia, rzekł mu z nieopisanym akcentem słodczy:

— Idź, Mallecho, idź!

I ścigał oczyma odchodzące ku stajniom zwierzę.

Następnie, zmieniwszy ubiór, udał się na poszukiwanie Ludovica Barbarisi i barona de Santa-Margherita.

Obadwaj przyjęli misję sekundowania mu w sprawie z margrabią Rutolo. Prosił ich, aby się stawali przyspieszyć rzeczy.

— Ułóżcie to wszystko do dzisiejszego wieczora: jutro na godzinę pierwszą popołudnia muszą być wolny koniecznie. Tylko pozwólcie mi dospać co najmniej do godziny dziewiątej. Na obiedzie będę u księżnej Ferentino; potem zajdę do pałacu Giustiniani, następnie do klubu, ale już późno. Będziecie wiedzieli, gdzie mnie znaleźć. Dziękuję wam, moi drodzy i do widzenia niedługo.

Wszedł na trybunę, ale unikał, by się nie zbliżyć zaraz do donny Hipolity. Uśmiechał się wi-

dząc, jak go ścigały spojrzenia kobiet. Niejedna ładna rączka wyciągała się ku niemu; niejeden głosik wdzięczny zawołał nań po imieniu poufale; niektóre nawet czyniły to ostentacyjnie nieco. Kobiety, które stawiały na jego konia, wymieniały mu cyfrę swej wygranej: dziesięć ludorów, dwadzieścia ludorów. Inne pytały go z ciekawością:

— Pan się bijesz?

Zdawało mu się, że w ciągu jednego jedyne go dnia dosięgnął szczytu światowej sławy. Wyszedł zwycięzko z istic bohaterskiego wyścigu; zdobył nową kochankę, wspaniałą i pogodną jak dogaresa, wyzwiał męczyznę na pojedynek śmiertelny; a teraz cto przechodzi spokojny i uprzejmy, ni mniej ni więcej, jak zwykle pośród śmiechów tych kobiet, których znał najtajniejsze wdzięki. Czyliż nie widział na lewem ramieniu u Isotty Cellesi poprzez całą tę świeżą jasność materyj wiosennych, znamienia jasno blond podobnego do drobnej złotej monety; lub nieporównanej piersi Juli Moceto, wygładzonej jak podwójna czara ze słońcовой kości, czystej jak tors starożytny? Czyliż nie słyszał w dźwięcznym głosie Barbarelli Viti, tego innego, nieokreślonego głosu, który powtarzał bezprzestannie jedno jedyne upajające słowo; albo w dziecięco niewinnym śmiechu Aurory Seymour, innego znów dźwięku, nieokreślonego, nieujętego, schrypłego i gardłowego, który przypominał nieco mruk kota przed ogniskiem

lub gruchanie synogarlicy w krzakach? Czyliż nie znał wszystkich deprawacyj hrabiny Lucoli, która czerpała natchnienia do nich z wszystkich nowoczesnych romansów i starych rzeźb na kamieniach albo niezwalczonej wstydlivosti Franciszki Daddi? Były tu one wszystkie niemal te kobiety, które zdradził lub które go zdradziły i wszystkie uśmiechały się do niego.

— Otóż i bohater! — zawołał mąż Hipolity, wyciągając do niego rękę i seiskając ją z całej siły z uprzejmością niezwykłą.

— Tak, prawdziwy bohater — dodała donna Hipolita w tonie zwyczajnego, banalnego wymagalnego komplementu, udając, że zgoła nic nie wie o odbywającym się dramacie.

Sperelli pochylił się ukłonem i minął ich; doznawał jakiegos mimowolnego zakłopotania wobec tej szczególniejszej uprzejmości męża. W duszy nosił się z podejrzeniem, że ten mąż był mu wdzięcznym za to, iż szukał zaczepki z kochankiem jego żony i podłe tchórzostwo tego człowieka wywoływało na usta jego uśmiech. Kiedy się odwrócił, wzrok Hipolity spotkał się z jego spojrzeniem.

Za powrotem, jadąc na mail-coach księcia Ferrentino, widział jak Rutolo pędził ku Rzymowi w małym dwukołowym powoziku, zaprzężonym w wielkiego dereszowatego konia, pędzącego przyspieszonym truchtem, którym powoził pochyłony naprzód, z głową spuszczoną i cygarem

w zębach, nie zwracając uwagi na policyantów, wołających, by nie opuszczał szeregu. W głębi Rzym rysował się czarnymi kontury na świetle żółto siarczanem nieba a ponad tym pasem światła, u szczytu bazyliki św. Jana posągi wznosiły się na fioletowym tle, urastając w niezwykłe rozmiary. I patrząc na ten pełen majestatycznego spokoju krajobraz, Andrzej zdał sobie wreszcie sprawę z tego całego złego, które wyrządził tej duszy, z cierpienia, na które ją skazał.

X.

Wieczorem w pałacu Giustiniani zagadnął Andrzej Hipolitę Albonico:

— Zatem umówionem już jest, że jutro między drugą a piątą będę czekał na panią.

Miała ochotę spytać go:

— Jakto pan nie pojedynkujesz się jutro?

Ale nie śmiała.

— Przyrzeczone już — odpowiedziała tylko.

W chwilę potem mąż zbliżył się do Andrzeja i ujął go pod rękę z nadzwyczajną serdecznością, aby go wypytać o szczegóły przyszłego pojedynku. Był to młody jeszcze człowiek, blondyn, elegancki, o włosach bardzo rzadkich, bladawem, wypełzłem oku, z dwoma sterczącymi z poza warg kłami. Jąkał się zlekka.

— I cóż? I cóż? Więc to jutro?

Andrzej nie mógł pokonać swego doń wstrętu i z umysłu spuścił w dół ramię, by tem zaznaczyć, że ta poufałość nie była mu zbyt przyjemną. Spostrzegłszy wchodzącego w tej chwili barona Santa Margherita, uwolnił się, rzekłszy:

— Wybacz pan. Potrzebuję pomówić z baronem.

Baron przywitał go temi słowy:

— Wszystko ułożone.

— Dobrze. Na którą godzinę?

— Na wpół do jedenastej, w willi Sciara. Szpada i rękawice fechtunkowe. Walka na ostrze.

— Kto są dwaj tamci sekundanci?

— Robert Casteldieri i Karol de Souza. Załatwiliśmy szybko całą sprawę, unikając, o ile można, bezpotrzebnych formalności. Rutolo wybrał sobie już był sekundantów. Zredagowaliśmy protokół w klubie, bez wszelkich dyskusyj. Pamiętajże tylko nie położyć się dziś zbyt późno, proszę cię bardzo. Musisz być porządnie zmęczony.

Z całą lekkomyślnością, wyszedłszy z pałacu Giustiniani dość już późno, Andrzej poszedł do klubu myśliwskiego i siadł do gry z sportsmanami neapolitańskimi. Około drugiej nad ranem, Santa Margherita zastał go tam, znaglił do opuszczenia sali gry i postanowił sam pieszo odprowadzić do pałacu Zuccari.

— Mój drogi — przekładał mu w drodze — tyś doprawdy zbyt zuchwały. W tych okolicznościach jedna iakaś drobna nieostrożność może się okazać fatalną. Ażebym zachować siły w całej pełni, dobry fechtmistrz powinien tak dbać o swoją osobę, jak o nią dba dobry tenor, co chce głos

zachować. Ręka u kostki jest niemniej delikatnem narzędziem jak krtań; stawy nóg w niczem nie ustępują w delikatności strunom głosowym. Cały mechanizm odczuwa najmniejszy nieporządek; instrument fałszuje i nie jest już posłusznym. Po nocy spędzonej na miłości, grze, lub hulance, oręż samego nawet Kamilla Agryppy nie byłby zdolnym trafić wprost do celu, nie będzie już odhijał ciosów, ani tak dokładnie, ani tak szybko. Otóż omyłka o jeden milimetr wystarcza, by ci wpakowano trzy cale żelaza w ciało.

Wchodzili w ulicę Condotti i widzieli w głębi plac di Spagna oświetlony pełnią księżyca, wschody zalane mleczno białem światłem i gmachy Trinita de'Mouti wznoszące się na przeczystym lazurze.

— Bezwątpienia — ciągnął dalej baron — masz niemało wyższości nad twym przeciwnikiem: między innymi krew zimną i praktyczną znajomość terenu. Widziałem cię w Paryżu, kiedy stawałeś do pojedynku z Gavaudanem. Pamiętasz? Wielki i piękny to był pojedynek! Biłeś się jak młody bóg!

Andrzej począł się śmiać z zadowoleniem. Pochwała z ust tego wytrawnego pojedyńkowicza napełniła serce jego dumą, nerwy przejmowała jakimś sił nadmiarem. Instynktownie ścisnął w ręku laskę i szkicował w powietrzu powtórzenie tego słynnego ciosu, który przebił ramię margrabiego Gavaudan 12-go grudnia 1885 r.

— Była to — mówił — riposta wprost po odparowaniu tercyą.

Baron ciągnął dalej:

— W sali fechtunku Rutolo jest ostrożnym zapaśnikiem, ale na placu się wikła. Bił się raz tylko jeden z moim krewnym Cassibile i nie udało mu się wówczas. Pół-wolty dobrze ci z nim posłużą. Właśnie takim ciosem pół-wolty, za drugim natarciem kuzyn mój go ranił. A to także twoje for takie cięcie. Zatem należy ci tylko dobrze patrzeć i staraj się zachować zawsze odpowiedni dystans. Nie powinienes przytem zapominać, że masz przed sobą człowieka, któremu, jak mówią, zabrałeś kochankę i na którego podniosłeś szpicrutę.

Dochodzili właśnie do placu di Spagna. Barcaccia odzywała się zciszonym, chrapliwym jakimś pluskiem, srebrząc się w świetle księżyca, który odbijał się w niej migotliwie. Cztery czy pięć dorożek stało szeregiem z zapalonymi latarniami. Od ulicy Babuino dochodził dźwięk dzwoneczków i głuchy łoskot stąpań, jak gdyby pędzono tędy trzodę.

U stóp schodów baron pożegnał się.

— Dobranoc. Do jutra. Przyjdę z Ludowikiem na kilka minut przed dziewiątą. Zrobisz przy nas małą próbę dla wprawy. O lekarza ja już się postaram. Idźże i śpij mi dobrze.

Andrzej począł wstępować na schody. Na pierwszym ich tarasie, zatrzymał się, przysłuchując

dźwiękowi dzwonek, co się wciąż przybliżał. Prawdę mówiąc, czuł cokolwiek znudzenia; gorzej, czuł w głębi serca trochę nieusprawiedliwionego może smutku. Po podnieceniu chwilowem, w które go wprowadziła ta rozmowa o szermierce i wspomnienie jego odwagi, poczęło go ogarniać coś jakby niepokój, niejasny jeszcze, połączony z powątpiewaniem i niezadowolaniem z siebie. „Dlaczego, bez wymówki nawet namiętności, przez prosty kaprys, przez czystą próżność tylko, jedynie przez zarozumiałość, przyszła mu ochota wzbudzenia nienawiści i zranienia do głębi serca innego człowieka?“ Myśl o okropnym bólu, który udęczać musi w tej chwili jego wroga, wzbudziła w nim rodzaj litości w tę noc, tak ciebia, spokojną. Obraz Heleny przesunął się przed duszą jego jak błysk nagły; pamięć stawiała mu przed oczy chwile mąk i strapiień, przez które przechodził rok temu, kiedy ją utracił i wszystkie te zazdrości i gniewy, i zniechęcenia okropne.

Wówczas noce były równie świetlane, równie czyste, spokojne, przesiąknięte wonią kwiatów, a przecież jakże mu one ciążyły! Wciągnął w płuca powietrze, w którym płynęły technienia róż rozkwitłych od strony małych ogródków bocznych ulic i spojrzął w dół na plac, na przechodzącą nim trzodę.

Gęsta, biaława wełna owiec, które zbitą gromadą postępowały w ruchomej masie, podobną

była do zmaconej błotnistej fali wód, coby zalała bruk uliczny. Słaby bek tu i owdzie łączył się z dźwiękiem dzwoneczków, inne znów odpowiadały echem, jeszcze słabsze, jeszcze nieśmielsze zda się; od czasu do czasu pastuchy idący z tytu i po bokach wydawali jakiś okrzyk lub trzaskali z batów. A księżyc nadawał temu pochodowi cwiec pośród wielkiej, uspiętej stolicy jakąś tajemniczość rzeczy widzianej we śnie.

Andrzej przypomniał sobie taką samą noc pogodną lutową, kiedy wychodząc z balu w ambasadzie angielskiej, oboje z Heleną napotkali na ulicy trzodę, przez którą powóz ich zmuszony był się zatrzymać. Helena, pochylona u okna karety, przyglądała się defilującym obok kół powozu owcom i pokazywała palcem małe jagnięta z prawdziwie dziecięcą uciechą; a on trzymał twarz swą tuż obok twarzy Heleny, z oczyma nawpół przymkniętymi, uważnie przysłuchując się tupaniu, bekowi i odgłosowi dzwoneczków.

Czemu wszystkie te wspomnienia odnoszące się do Heleny przychodziły mu dziś właśnie na pamięć? Począł iść dalej powoli. Wchodzenie po schodach jeszcze bardziej dało mu poczuć ciężar zużycia; kolana uginały się pod nim. Nagle myśl o śmierci wyłoniła się z jego duszy i olśniła go jak błyskawicą. „A gdybym został zabity? Gdybym miał otrzymać niebezpieczną ranę, która uczyniłaby mnie może kaleką na całe życie?“ Jego chciwa żądza życia i używania zbuntowała się

na tę myśl posępna. Powiedział sobie w duszy: „Trzeba zwyciężyć“. I stanęły odrazu przed nim wszystkie korzyści, któreby mu przyniosło to powtórne zwycięstwo: urok powodzenia, sława męstwa, pocałunki Hipolity, nowe znów miłości, nowe przyjemności, nowe kaprysy.

Wtedy zapanowawszy nad wszelkiem wzruszeniem, przypomniał sobie, czego domagała się od niego higiena sił. Spał aż do chwili, w której został rozbudzony przez przybycie sekundantów; wziął zwykły swój tusz, kazał rozciągnąć na podłodze matę z linoleum i poprosił barona Santa-Margherita, żeby mu na chwilę posłużył za plastron, potem Barbarisiego, aby z nim spróbował krótkiej utarczki, podczas której z wielką precyzją wykonał kilka manewrów.

— Znakomicie ułożona ręka — ozwał się baron, wieszając mu.

Po odbytej próbie, Sperelli wypił dwie filiżanki herbaty i zjadł kilka biszkoptów. Wybrał sobie spodnie bardzo szerokie, parę wygodnego obuwia, o bardzo niskich obcasach, koszulę mało krochmalną; przysposobił sobie rękawicę, zwilżając ją zlekką na dłoni a następnie obsypując sproszkowaną kalafonią; przystosował ramię, podtrzymujący gardę szpady; obejrzał klingę i ostrze obu szpad; nie pominął żadnej ostrożności, żadnego szczegółu.

Kiedy już był gotów:

— Jedźmy — rzekł — dobrze byłoby na miejsce spotkania przyjechać przed tamtymi. A doktor?

— Czeka już tam na nas.

Na schodach spotkał Andrzej księcia Gritti, przybyłego z polecenia margrabiny Ateleta.

— Pojadę za wami aż do willi — ozwał się książę — natychmiast zawiozę wiadomość o wyniku sprawy pani Franciszce.

Zeszli wszyscy razem. Książę wsiadł do swego „buggy“, przesyłając jeszcze ukłon. Inni zajęli miejsca w zakrytym powozie. Andrzej nie udawał bynajmniej dobrego humoru; sadzić się na dowcipy przed poważnym pojedynkiem wydawało mu się zawsze rzeczą wielce niesmaczną; ale był najzupełniej spokojnym. Palił papierosa, przysłuchując się rozprawom Santa-Margherity i Barberisiego, z powodu świeżego właśnie wypadku, czy dozwolonem jest lub nie użycie lewej ręki w pojedynku. Od czasu do czasu wychylał się przez szybę, przypatrując się mijanym ulicom.

Rzym w ten poranek majowy kąpał się w blaskach pod pieszczotą słońca. W ciągu całej drogi jedna tylko fontanna rozweselała srebrzystym swym uśmiechem mały placyk, pograżony jeszcze w cieniu; brama jakiegoś pałacu dozwalała widzieć w głębi wnętrze dziedzińca, zdobnego w portyki i statuy; u architrawów, w stylu baroko któregoś kościoła zwieszały się chorągwie z barwami miesiąca Maryi. Na moście ukazał się

Tyber, migotliwy, wijący się pośród zielonawych domów, uciekając ku wyspie św. Bartłomieja. Po przebyciu kawałka wzgórzystej drogi, odsłonił się widok na całe miasto, olbrzymie, wspinałe, rozkoszne, najeżone wieżami, dzwonicami, kolumnami i obeliskami, uwieńczone kopułami, zarysowane najczystsze kontury na лазurze nieba, jak jakaś wielka cytadela.

— *Ave, Roma, moriturus te salutat!* — zawołał Andrzej Sperelli, ciskając niedopalonego papierosa.

A potem dodał:

— W samej rzeczy, moi drodzy, pchnięcie szpady byłoby mi strasznie nie ręką dzisiejszego ranka.

Przybyli do willi Sciarda, już nawpół zbezczeszczonej przez budowniczych nowych domów, i puścili się aleją drzew laurcwych, wysokich i smukłych między dwoma żywopłotami róż. Santa-Margherita, wychyliwszy nieco głowę przez okno karety, zobaczył inny powóz stojący przed willą, u podjazdu i rzekł:

— Czekają już na nas.

Spojrzał na zegarek. Brakowało jeszcze dziesięciu minut do naznaczonej godziny. Santa-Margherita kazał zatrzymać się powozowi i skierował się ku przeciwnikom wraz z drugim świadkiem i z chirurgiem. Andrzej czekał w alei. W myśli począł przechodzić niektóre sposoby atakowania i obrony, które, jak się spodziewał,

zapewnićby mu powinny powodzenie; ale cudowne efekty światła i cienia wśród gąszczu laurów rozrywały jego uwagę. W tejże samej chwili, kiedy dusza jego rozmyślała nad zadaniem wrogowi rany, wzrok rozkoszował się widokiem gałązek, chwiejących się pod powiewem rannego wietrzyka a uroczę drzewa, jak w miłosnych alegoryach Petrarcki wzdychały ponad tą głową, zajętą zadaniem śmiertelnego ciosu.

Barbarisi przyszedł go wezwać.

— Wszystko gotowe. Custode otworzył wille. Mamy do naszego rozporządzenia parterowe pokoje; będzie to bardzo wygodne. Chodź się zobaczyć.

Andrzej poszedł za nim. Kiedy się rozbierał, dwaj lekarze otwierali swoje futerały, w których połyskiwały całe szeregi drobnych stalowych narzędzi. Jeden z nich, młody jeszcze, blady był, łysy z prawdziwie kobiecemi rękoma, ustami, o nieco surowym, zimnym wyrazie, z nerwowym bezustannym i bardzo widocznym ruchem dolnej szczęki, niezwykle rozwiniętej. Drugi był już człowiekiem dojrzałym, z twarzą poznaczoną plamami piegów, brodą rudawą i karkiem byka. Pierwszy zdawał się być fizyczną antytezą drugiego a różnorodność ta domagała się gwałtownie ciekawej uwagi Sperellego. Przynosisi na stoliku bandażę i wodę karbolową do dezynfekowania kling. Wyziew kwasu karbolowego rozchodził się po pokoju.

Kiedy Sperelli już się przygotował wyszedł na dziedziniec wraz ze swym świadkiem i lekarzami. Raz jeszcze widok Rzymu z po za gałęzi laurów pociągnął jego oczy i przyspieszył bicie serca. Ogarnęła go niecierpliwość. Chciałby już stanąć na placu walki i czekać komendy natarcia. Zdawało mu się, że w jego ręce w tej chwili spoczywa cios decydujący zwycięstwo.

— Czyś już gotów?—spytał go Santa-Margherita, idąc ku niemu.

— Tak, gotów.

Wybrany teren z bocznej strony willi, leżał w cieniu i wysypany był cienkim piaskiem, mocno ubitym. Rutolo stał już na jednym końcu w asystencyi Roberta Casteldieri i Karola Souza. Każdy z nich przybrał minę poważną, nieomal uroczystą. Dwaj przeciwnicy ustawieni zostali naprzeciw siebie. Patrzyli sobie w twarze. Santa-Margherita, który przewodniczyć miał pojedynkowi, spostrzegł, że koszula Rutola mocno była nakrochmaloną, zbyt sztywną i kołnierz u niej nadto wysoki, zwrócił też na to uwagę świadka Casteldieriego. Casteldieri zamienił kilka słów z swym paukantem a Sperelli zobaczył jak nagle twarz Rutola nabiegła płomieniem i stanowczym gestem zerwał koszulę. On sam z zimnym spokojem poszedł za tym przykładem; zawinął spodnie; wziął z rąk barona rękawicę, ramię i szpadę; uzbrajał się bardzo starannie, potem poruszył w powietrzu bronią, by się prze-

knąć, czy mu dobrze przystaje do ręki. W tym ruchu górny mięsień, biceps, wystąpił mu bardzo widocznie, zdradzając długą wprawę ramienia i nabytą siłę.

Kiedy dwaj przeciwnicy wyciągnęli szpady, celem dobrania odpowiedniego dystansu, broń chwiała się w konwulsyjnie zaciśniętej dłoni Rutola. Po zwykłym przemówieniu o prawidłowości walki, baron Santa-Margherita zakomenderował głosem gromkim i dźwięcznym:

— Panowie, baczność!

Dwaj przeciwnicy rzucili się do ataku równocześnie, Rutolo z nogą wysuniętą naprzód — Sperelli, uginając ją zlekka. Rutolo był średniego wzrostu, niezmiernie drobny, cały, zda się, złożony z nerwów, z twarzą oliwkową, której dodawały zuchowatości wąsy podkręcone w górę i mała muszka śpiczasta na brodzie w rodzaju tej, jaką widzimy u Karola I-go na portretach Van Dycka. Sperelli był znacznie wyższy wzrostem, wysmuklejszy, poprawniejszy w układzie i bardzo pięknej postawy, spokojny i pełen równowagi wdzięku i siły; cała jego osoba wyrażała wzgardę wielkiego pana. Patrzyli sobie wzajem w oczy a każdy z nich doznawał nieokreślonego dreszczu na widok tego obnażonego ciała, w które mierzył cienkim ostrzem swej broni. Wśród ciszy słychać było szmer fontanny wraz z szelestem wietrzyka

krzewach różanych, na których chwiała się niezliczona moc białego i żółtego kwiecia.

— Naprzód! — zakomenderował baron.

Andrzej Sperelli spodziewał się ze strony Rutola niepomiarkowanego natarcia; ale ten nie ruszył się z miejsca. Przez minutę stali obaj naprzeciw siebie, badając się wzajem, niemal nieporuszeni. Sperelli ugiął więcej jeszcze kolana, gotów do odporu dołem, odsłaniał się zupełnie, aby się szpadą zastawić w tarczy i prowokował swego przeciwnika wyzywającym zuchwałem spojrzeniem. Rutolo postąpił o krok, mierząc pozornie w prawą stronę, zamachowi temu towarzyszył okrzyk, tak jak to czynią sycylijscy szermierze i zaczęła się walka.

Sperelli nie rozpoczynał żadnej akcji stanowczej, zadawałając się zawsze prawie parowaniem ciosów, zmuszając tym sposobem przeciwnika do odkrycia wszystkich swych sposobów, rozwinięcia całej różnorodności swej gry. Parowania jego szybkie i stanowcze nacechowane były podziwu godną precyzją, jak gdyby znajdował się w sali fechtunku, przed zabezpieczonem ostrzem floretu. Rutolo natomiast nacierał z gwałtownością, wydając za każdym natarciem zdławiony okrzyk, podobny do tych, które wydają drwale przy każdym zamachu siekiery.

— Halt! — zakomenderował Santa-Margherita, którego baczne spojrzenie nie straciło żadnego z poruszeń obu szpad.

Podszedł do Rutola.

— Jesteś pan ranny — rzekł — jeśli się nie mylę.

W samej rzeczy Rutolo miał zadraśnięcie na ramieniu, ale tak lekkie, że nie potrzeba było nawet angielskiego plastra. Jednakże dyszał a bladość jego nadzwyczajna, matowa aż do siności niemal, zdradzała gniew powstrzymywany. Sperelli, uśmiechnięty, rzekł po cichu do Barbarisiego:

— Teraz znam go już na wylot. Trzeba mu będzie wpiąć gwoździć pod prawą piersią. Patrz dobrze na drugie natarcie.

Nieuważnie wsparł o ziemię ostrze swej browi. Łysy doktor, ów jegomość z wielką dolną szczęką przybliżył się natychmiast z gąbką nasyconą wodą karbolową, ponownie dezynfekując klingę.

— Do licha! — mruknał Andrzej do Barbarisiego — ten wygląda mi zupełnie na czarownika. Klinga gotowa mi się złamać jeszcze.

Kos zaświstał gdzieś w gęstwinie drzew. Tu i owdzie na krzakach róża jakaś opadała z liści, które wietrzyk rozwiewał. Kilka obłoczków płynęło przestworzem na spotkanie słońca, lekkich, podobnych do runa jaguiat, potem rozsypywało się w kłęby a wreszcie rozpraszało zwolna gdzieś na niebie.

— Bacność!

Rutolo, świadomy swej niższości, postanowił z rozpaczki przeszkadzać w działaniu swemu prze-

ciwnikowi, atakując go z bardzo blizka, skracając dystans tak, by niemal pierś o pierś się ocierała i odcinając mu tym sposobem całą ciągłość akcji. Ku temu celowi miał pewną wyższość, jaką mu nadawała drobna figura, zwinność ciała, cienkiego, giętkiego, które przedstawiało bardzo niewiele celu dla broni.

— Naprzód!

Sperelli przewidywał już, że Rutolo postępować będzie w ten sposób, że zwykłemi sobie fałszywemi manewrami. Miał się na baczności, zgięty jak łuk o napiętej cięciwie, czatując tylko na sposobną chwilę.

— Halt! — krzyknął baron.

Pierś Rutola krwawiła cokolwiek. Szpada przeszła pod prawą pierśią niemal do boku. Lekarze padli. Ale ranny, szorstkim głosem, w którym czuć było drżenie tłumionego gniewu, ozwał się zaraz do Casteldieriego:

— To nie. Nie chciałbym przestawać.

Odmówił, gdy mu zaproponowano, by wszedł do willi dla opatrunku. Łysy doktor, wycisnąwszy ranę zaledwie krwawiącą i dokonawszy antyseptycznego obmycia przyłożył kawałek zwykłego plastra i rzekł:

— Możesz pan teraz bić się dalej.

— Na wezwanie hrabiego Casteldieri, baron zakomenderował bez zwłoki trzecie natarcie.

— Baczność!

Sperelli spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo. Naprzeciw niego stał teraz jego przeciwnik, wyprostowany, w skupieniu, zasłonięty ostrzem swej klingi, widocznem było, że zdecydowany jest na ostateczny wysiłek. Oczy jego miały szczególniejszy jakiś połysk a z powodu niezmiernego naprężenia mięśni, lewe jego udo drżało silnie. Tym razem, aby uniknąć starcia, Andrzej sposobił się uskoczyć na bok i powtórzyć ów cios stanowczy, który się udał był krewnemu barona; krążek biały plastra na piersi przeciwnika służył mu za cel. Tam to chciał go zranić raz jeszcze, ale po to, aby tym razem napotkać na przestrzeń między żebrami nie zaś skórę na powierzchni boku. Dokoła cisza zdała się głębsza jeszcze; wszyscy obecni zrozumieli mordercze zamiary, ożywiające dwu tych ludzi; i zdjął ich niepokój, ścisnęło im się serce na myśl, że będą musieli może odwozić do domu trupa lub konającego. Słońce przysłonięte zwielonionemi obłoczkami zlewało na ziemię mleczone nieomal światło; chwilami słychać było szmer roślin, to znowu zupełna nastawała cisza; kos wciąż niewidzialny gw zdał gdzieś w oddali.

— Naprzód!

Rutolo przypuścił szarżę na swego przeciwnika dwoma cięciami szpady i sekundą. Sperelli odparował, cofając się o krok wstecz. Rutolo, rozwścieczony, następował wciąż szybkimi nacierając ciosy, teraz nie wydawał już jak poprze-

dnio owych tłumionych okrzyków. Wobec tej zacie-
kłości szalonej, Sperelli bynajmniej nie tracił głowy;
starał się unikać zbytniej bliskości, parował dzielnie
i ripostował z taką siłą, że za każdym razem mógł
był chyba na wylot przeszyć swego przeciwnika.
Udo Rutola krwawiło przy pachwinie.

— Halt! — krzyknął Santa Margherita, skoro
tylko to spostrzegł.

Ale w tejże samej chwili Sperelli parował w kwar-
cie dolnej a nie napotkawszy na żelazo Rutola,
otrzymał cios w same piersi. Padł zemdlony
na ręce Ludovica Barbarisi.

— Rana głęboka w piersi, na wysokości czwartej
lewej międzyżebrowej przestrzeni, atakująca po-
wierzchnie płuca — oznajmił doktor z byczym kar-
kiem w pokoju, do którego przeniesiono rannego.

Księga druga.

I.

Po okropnej ranie, po rodzaju agonii długiej i powolnej, Andrzej odradzał się wreszcie ciałem i duchem, jako całkiem nowy człowiek, jak istota, któraby po skąpaniu się w lodowatej toni śmierci, wyszła z niej niepamiętna niczego, opustoszała zupełnie. Przeszłość miała dla niego jakąś odległość bez perspektywy, jak dla oczu niebo posiane gwiazdami rozciąga się, ponad płaszczyznę pola, jakkolwiek gwiazdy w nierównych świecą odstępach. Poprzedni zgiełk w duszy się uspokajał, męty błotniste opadały gdzieś w głąb, dusza jego oczyszczała się. Wracał na powrót na łono matki natury i czuł, że ona wsączyła weń materyalnie dobroć i siłę.

Jako gość swej kuzynki w zamku Schifanoia, powracał on do istnienia, w pobliżu morza, które tu miał przed oczyma. Mierzył oddech swój szerokim i spokojnym fal morskich oddechem; myśl mu pogodniała pogodą horyzontów. Zwolna wśród chwil odpoczynku, w których wnikał w samego

siebie, umysł jego rozprzestrzeniał się, rozwijał, rozkwitał, podnosił zwolna, jak trawa zgnieciona ludzką stopą na ścieżce.

Było to w ostatnich dniach sierpnia. Spokój idealny panował na morzu; toń wód była tak przejrzystą, że powtarzała każdy obraz z doskonałą dokładnością a ostateczna jej linia gubiła się gdzieś w dali na horyzoncie, tak że dwa te żywioły: niebo i woda zdały się być jednym tylko nierozdzielnym, niedosięglym. Obszerne półkole wzgórzy, pokrytych drzewami oliwnymi, pomarańczowemi, sosnami, wszystkimi najszlachetniejszymi formami italskiej roślinności, pełne religijnej jakiejś ciszy, nie było już czemś złożonym z rozlicznej ilości przedmiotów, ale jakąś rzeczą jednolitą, jedyną pod blaskiem wspólnego słońca.

Młodzieniec, rozciągnięty na trawie w cieniu, lub oparty o pień drzewa, czy wreszcie siedzący na omszałym kamieniu, patrząc w ten obraz uroczy, czuł jak napływał mu do serca nowy strumień życia.

W cóż obróciła się jego próżność i okrucieństwo, jego sztuczki i kłamstwa? Co się stało z owemi miłostkami, złudzeniami i rozczarowaniami i z tym niesmakiem, z tym nieprzepartym wstrętem, co następował zwykle po każdej rozkoszy? Co stało się z temi ulotnemi, skalanemi miłostkami, które mu pozostawiały w ustach dziwną cierpkość, jakby owocu rozkrojonego stalowym nożem? Nie chciał już przypominać sobie nic

z owych chwil okropnych. Dusza jego wyrzekła się, aktem wielkiej rezygnacyi, całej tej mętej przeszłości a przestawszy pożądać—znalazła wreszcie odpoczynek.

Die Sterne, die begehrt man nicht,
Man freut sich ihrer Pracht.

„Gwiazd się nie pożąda, ale się tylko cieszy ich wspaniałością“. Wówczas po raz pierwszy młodzieniec poznał całą harmonijną poezję nocy letnich.

Były to ostatnie noce sierpnia, bezksiężycowe noce. Nieobliczone w głębinach niebieskiej kopuły drgały gorące światy licznych konstelacyj. Niedźwiedzice, Herkules, Wóz, Kassiopeja—migotały tak szybkim i silnem drżeniem, że zdawały się niemal zbliżać do ziemi, chwiać już w ziemskiej atmosferze. Droga mleczna płynęła jak wielka, królewska rzeka napowietrzna, jak zbiorowisko wszystkich rzek raj, jak cicha fala olbrzymia, której nurt toczy tłumy pyłków niebieskich minerałów po kryształowem łożysku, pośród roju kwiatów. Od chwili do chwili świetny meteor przerywał świetlaną bruzdą nieruchome powietrze, niby kropla wody staczająca się po płycie dyamentu. Oddech morza, powolny i uroczysty, wystarczał do wymierzania ciszy nocy, nie mącąc jej przecież a chwile przerwy słodsze były niż harmonia muzyki.

On puszczał wodze marzeniom i temu urokowi dziwnemu rekonwalescencyi. Odnajdował zapo-

mniane zdawna wrażenia młodości, to poczucie świeżości sił, jaką daje krwi młodej powiew słonego wiatru morskiego, te niewypowiedziane skutki, jakie wywierają na duszę dziewiczo czystą, gra światła i cieniów, barwy, zapach wód. Morze było dlań nie tylko rozkoszą oczu, ale i źródłem niewyczerpanem spokoju, w którym kąpały się jego myśli, magiczną fontanną wieczystej młodości, w której ciało jego odzyskiwało siły a duch szlachetność. Morze miało dla niego atrakcyę tajemniczą jakby ojczyzny; oddawał się mu z istic synowską ufnością, niby syn schorzały, rzucający się w objęcia wszechpotężnej matki. I odbierał też odeń wzmocnienie: nikt nigdy w samej rzeczy daremnie nie powierzał morzu swej boleści, pragnienia lub marzeń.

Dla niego język fal morskich miał zawsze głębokie znaczenie, pełny był nagłych rewelacyj, objawień niespodziewanych, nieoczekiwanego znaczenia. Za jego sprawą odkrywał w tajnikach własnej duszy ranę niezagojoną jeszcze, acz ukrytą i pod wpływem tej fal wymowy rana owa poczynała krwawić; tem miłszym za to był balsam, którem koił ją następnie. Ta mowa morskich toni budziła w jego sercu przyczajoną chimerę i podniecała ją tak, że czuł napowrót jej szpony; ale choć ją zbudziła do życia, następnie zaraz zabijała ją i pogrzebywała nazawsze w jego sercu. Wywoływała ona w pamięci jego jakieś wspomnienia, wywoływała je do życia tak, że czuł całą go-

rycz żalu za rzeczami nieodwołalnie minionemi; ale zaraz potem obdarzała go słodyczą wieczystego zapomnienia. W obliczu tego wielkiego pocieszyciela nic w tej duszy nie pozostało utajonego.

Były godziny, gdzie pod bezustanną władzą takiego wpływu, pod ustawiczną tyranią takiej fascynacji, rekonwalescent doznawał pewnego rodzaju obłędu, nieomal przestachu, jak gdyby ta władza i ta tyrania były nie do zniesienia dla jego słabości. Były godziny, gdzie bezustanna ta rozmowa duszy jego z morską głębiną, napełniała go pewnem uczuciem prostracyi, jak gdyby ten język wzniosły zbyt wiele zadawał gwałtu ciasnocie jego umysłu, chciwego zrozumienia tego, co niedocieczone. Smutek wód wstrząsał nim jak jakieś osobiste nieszczęście.

Pewnego dnia usposobienie to doszło do kulminacyjnego punktu. Krwawe opary, rozplamienające widnokrąg, rzucały odbłaski krwi i złota na ciemne tonie, na niebie kłębiły się obłoki purpurowe w tych oparach, podobne do potwornych centaurów na wybuchającym wulkanie a w tragicznem tem świetle, grobowy jakiś orszak złożony z szmat chmur czarnych sunął na samym krańcu horyzontu, u skraju wód, niby żałobne jakieś welony. Niepodobna opisać barwy tych welonów, ponurych, jak symbole śmierci, poznaczonych krzyżami i złowrogimi jakimiś znakami: rzekłbyś żagle statków, wiozących trupy zmarłych na zarazę

ludzi i pędzące gdzieś ku jakiejś wyspie przekłętej, zaludnionej przez zgłodniałe sępy. Iście ludzkie uczucie bóleści i trwogi unosiło się nad tem morzem; w powietrzu czuć było ciężar agonii. Fala, nabrzmiała ciekącemi ranami tych splątanych z sobą potworów toczyła się i toczyła wciąż bez przerwy, bez końca; wzbierała w potok olbrzymi, krwawiła wody w całej ich rozciągłości, aż po same brzegi, nabierała tu i owdzie odblasków fioletowych i zielonkawych, jak krew zepsuta. Od czasu do czasu cała ta splątana masa widziadła rozsypywała się, rozbijała na inne znów wizye; krwawe strzępy zwieszały się od brzegów krateru lub znikały, pochłonięte w przepaści. Następnie po owem wielkiem rozbiciu, olbrzymy odrodzone podnosiły się znowu, zda się gotowe do walki, dziksze jeszcze, straszniejsze; poczynaly się na nowo ich zapasy, krwawsze niż poprzednio aż do chwili, gdy straszni szermierze, pozbawieni ostatnich krwi kropli, nieżywi i poszarpani na sztuki, zapadali w zmrok spopielały, na łono nawpół wygasłego wulkanu.

Był to jakiś epizod walki barbarzyńskich tytanów, bohaterskie widowisko, widziane, rzekłbyś, poprzez długi szereg wieków na bajecznem niebie. Andrzej z zapartym oddechem śledził wszystkie fazy olbrzymich tych zapasów. Nawykły do spokojnych słońca zachodów w pogodnych ostatnich lata, czuł tego wieczora jak go wstrząsała do głębi ta niezwykła rozterka otaczającej go przyrody

Dod. do „Prs. Tyg.” — G. D'Annunzio. „Dziecko rozkoszy”. 11

jak unosiła go z sobą i wzburzała z dziwną gwałtownością. Naprzód było to udręczenie niejasne, wywołujące silniejsze jakies trwożne bicie serca bez świadomej przyczyny. Oczarowany tym bojowniczym słońca zachodem nie zdołał nic widzieć jasno w samym sobie. Ale kiedy deszcz popiołu o zapadającym zmroku zagasił wizję strasznej walki i kiedy morze zamieniło się w olbrzymie bagnisko, barwy ołowiu, w jakąś topiel straszną, zdało mu się, że z głębi cieniów dobiegł jego ucha krzyk własnej jego duszy, krzyk straszny dusz innych.

I w nim samym nastąpiło coś jakby rozbitcie, jak zatonięcie wpośród ciemności. Tysiące głosów wołało ratunku, wzywało pomocy, przeklinało śmierć: były to głosy znane, głosy, których słuchał niegdyś—głosy istot ludzkich, czy głosy widm—nie umiał już teraz rozróżnić jednych od drugich! Przyzywały one, błagały, złorzeczyły daremnie, czując, że giną; zgłuszane żarłoczną falą słabły ciągle; coraz były cichsze, dalekie już, urywane, trudne do rozpoznania; zamieniały się w jęk, wreszcie głuchły zupełnie.

I pozostawał sam, sam jeden. Z całej jego młodości, z całego poprzedniego istnienia, ze wszystkich aspiracyj do ideału nic się ostawało. Jedyną rzeczą, co się w nim opierała zagładzie, była zimna, pusta przepaść a wkoło niego przyroda obojętna, niewzruszona, źródło wieczyste cierpienia dla opuszczonej, samotnej duszy.

Wszelka nadzieja zamarła; wszelki głos zamilkł; ostatnia kotwica się zerwała. Po cóż więc żyć?

Nagle obraz Heleny zmartwychpowstał w jego pamięci. Potem inne znów obrazy kobiet przedstawiały się w miejsce tamtego, poczęły się zlewać z nim, zaćmiły go, wreszcie same znikły. Nie udało mu się zatrzymać z nich żadnego. Wszystkie, niknąc, zdawały się uśmiechać doń wrogim jakimś uśmiechem a każdy z nich, znikając, zdawał się zabierać i unosić z sobą jakąś cząsteczkę jego istoty. Co? Nie wiedział. Nieopisana rozpacz ogarnęła go i przygniotła do ziemi; coś jakby wrażenie, jak poczucie lodowate starości przejęło go całego, oczy jego napełniły się łzami. Jakaś przestroga tragiczna ozwała się dźwiękiem w jego sercu: „Zapóźno!”

Dotychczasowa słodycz spokoju i melancholii wydała mu się złudą ubiegłą już i daleką. Wyobraził ją sobie, jak rozkosze innego jakiegoś ducha, ducha nowego i obcego mu całkowicie, który, wstąpiwszy weń na czas jakiś, już teraz go opuścił napowrót. Wydało mu się, że odtąd dusza jego postarzała niezdolną już będzie do odrodzenia się i podniesienia. „Zapóźno! Zapóźno!” I oczyma, które przysłaniała mgła, poglądał w gwiazdy zapalające się kolejno na niebieskim stropie, ponad biedną jego głowę w tę noc pełną głębokich ciemności.

O świecie przyjemnem było przebudzenie, jedno z tych przebudzeń świeżych i czystych, które zna tylko pierwsza młodość w tryumfalnych swych wiosnach. Ranek był precudny a samo odechnienie jego powietrzem dawało już niezmierną błogość. Wszystkie przedmioty żyły w szczęśliwej atmosferze porannych blasków, wzgórze, zda się, przysłoniły srebrzyste zasłony, powiewne i drgające; morze wyglądało jak poprzerzynane mlecznymi strumieniami, to znów rzekami kryształu, potokami szmaragdu, tysiącami jakichś źródeł przeróżnych, które tworzyły ruchomą sieć ciekłego labiryntu. Rodzaj jakiejś weselnej radości i religijnego wdzięku wydzielał się z tej harmonii morza, ziemi i nieba.

Oddychał z rozkoszą, patrzył, słuchał, cokolwiek zdziwiony. Przez ciąg snu widocznie uleczonym został z wczorajszej gorączki. W nocy, kołysany przez szmer wód, niby przez jakiś głos przyjazny a wierny, zamknął do snu powieki. Ktokolwiekbaż zasypia przy dźwiękach tej pieśni, we śnie znajduje kojący spokój. Nawet śpiew matki u kołyski nie sprowadza cierpiącemu dziecku snu równie czystego i dobroczynnego.

Patrzył, słuchał, zatopiony w milczeniu, skupiony, rozrzewniony, pozwalając wnikać w swą duszę tej fali nieśmiertelnego życia. Nigdy uświęcona muzyka wielkiego mistrza, ni to ofertorium Haydna, ni *Te Deum* Mozarta, nie przejęło go takim wzruszeniem, jak teraz prosty odgłos

dzwonnów w oddalonych kościołach, witający wstąpienie dnia na niebiosa Pana. Był jeszcze młodym! Czuł, że mu dusza nabrzmiewa wzruszeniem, czuł jak fala uczucia występuje tam z brzegów. Coś jak sen nieujęty ale wzniosły, spowijało jego serce—tajemniczy skarb szczęścia. Dotychczas miał zawsze wszystko, czego zapragnął i nie znajdował nigdy przyjemności w daremnem pożądaniu. Teraz nie umiałby był wyrazić czego pragnie; sam tego nie wiedział. Ale bez wszelkiego wątpienia rzecz upragniona musiała być niesłychanie przyjemną, kiedy samo pożądanie jej już stanowiło przyjemność.

Wiersz z „Króla Cypru“, wiersz stary, niemal zapomniany, powrócił mu na pamięć, dźwięcząc niby pieszczotliwe wezwanie:

„...Chcesz walczyć?... zabijać? ujrzeć rzeki krwi? — olbrzymie stosy złota? gromady kobiet—pojmanych? niewolnic? inne, inne jeszcze zdobyczne? Chceszże ożywić marmur twem tohnieniem? wnieść świątynię? stworzyć hymn nieśmiertelny? Chcesz może (słuchaj—o młodzieńcze, słuchaj!) chceszże bosko—kochać?...

I głos jakiś powtarzał mu gdzieś w tajniach serca, wśród przerw ciemnych:

Słuchaj—o młodzieńcze, słuchaj! Chceszże ty bosko — kochać?

Uśmiechnął się zlekka i pomyślał: „Ukochać kogo? Sztukę? Kobietę? Jaka kobietę?“ Helena ukazała mu się daleka gdzieś, zginiona dlań,

umarła, obca całkowicie; inne ukazały mu się, jeszcze gdzieś dalsze, umarłe na zawsze. Zatem był wolny. Dlaczego rzucać się ponownie w pościg bezużyteczny a grozący zagubą? To, czego pożądał w głębi serca była to możność swobodnego oddania się przez wdzięczność istocie jakiejś wyższej i czystszej. Ale gdzież znaleźć tę istotę?

Zszedł do parku; przechadzał się zwolna pod jego drzewami bez żadnej ściśle określonej myśli. Lekki wietrzyk muskał szczyty drzew; chwilami drżące listki poruszały się jakby wśród nich przeskakiwały gromady wiewiórek; strzępy nieba ukazywały się z poza gałęzi, niby lazuruwe oczy z pod zielonych powiek. Doszedłszy do ulubionego swego ustronia, w którym panował Hermes, o czterech obliczach, pogrążony w poczwórnej zadumie, zatrzymał się i usiadł na murawie, wsparty plecami o cokoł statuy, z twarzą zwróconą ku morzu. Przed nim pnie proste, smukłe a nieregularne niby trzcina, zapełniały przestrzeń po brzeg; dokoła niego akauty pełne wdzięku rozwijały pęki swych liści, jak w kapitelach Kallimacha.

Całe to otoczenie przywiodło mu na pamięć cały tłum różnych wierszy. Dusza jego zapełniła się całą muzyką rymów i rytmicznych sylab. Szczęśliwy był: niespodziewana, sama z siebie nasza go ta chwila poetycznego natchnienia, dając nieopisaną rozkosz. Słuchał odzywających się w nim dźwięków, lubując się bogactwem

obrazów, niezwykłością epitetów, świetlanemi metaforami, rzadką harmonią, wszystkiemi temi wyrafinowanemi subtelnościami, tajemniczą sztuczością zapożyczoną u godnych podziwu poetów XIV-go stulecia a zwłaszcza u Petrarcki. Ponownie magiczny wpływ wiersza opanował jego umysł i sentencya jednego z współczesnych poetów uśmiechnęła mu się dziwnie:— „Wiersz jest wszystkim“.

Wiersz jest wszystkim. Aby stworzyć piękno marzeń i odłączyć esencję wszech rzeczy żadne z narzędzi sztuki nie jest potężniejszym, subtelniejszym, dosadniejszym, bardziej różnorakiem, dokładniejszym, wierniejszem. Wiersz jest wszystkim, wiersz wszystko może. Może on cddać najtajniejsze odruchy ludzkiego uczucia i odsłonić dźwiękiem kilku zaledwie sylab najgłębsze analogie; może określić to, na co niema definicyi i wyrazić to, co się nie daje wyrazić; może objąć sobą co bezgraniczne, zgłębić przepaść, przekroczyć granice istoty, zejść do samychże źródeł życia; może upajać jak wino, porywać jak ekstaza; może jednocześnie zawładnąć duszą naszą i ciałem; może nakoniec dosięgnąć absolutu. Wiersz doskonały jest sam w sobie absolutem, czemś niewzruszonym, nieśmiertelnem, zachowuje w sobie słowo, oraz krystalizację dyamentu; zamyka myśl jakby w określonym ściśle kole, którego nigdy żadna siła nie zdoła przełamać; wyzwala się od wszelkich pęt, od wszelkiej podle-

głości; nie należy już do artysty, ale należy do wszystkich i do nikogo, jak przestrzeń, jak światło, jak wszystkie rzeczy niewzruszone i wieczyste. Myśl dokładnie oddana w doskonałym wierszu jest myślą, która już istniała, drzemała nie wypowiedziana w głębiach ciemnych języka. Wyrwana ztamtąd przez poete istnieje dalej w świadomości ludzi. Największym zatem poetą jest ten, który umie odkryć, wydrzeć, oswobodzić i wcielić największą ilość tych drzemających wśród ludzi idei. Kiedy poeta ma odkryć jeden z tych wieczystych wierszy, ostrzega go o tem boski strumień radości, który nagle ogarnia całą jego istotę. Jakaż radość byłaby nad tę silniejsza?

Wśród tej tęsknoty krwi, słabości ciała, wobec szlachetnych i pełnych spokoju krajobrazów, Andrzej doznawał złudzenia, że nowe życie moralne budzić się poczynało zwolna w głębinach jego zdumionej duszy. Teraz jednak, sterowany magicznym wierszem odzyskiwał świadomość samego siebie, odzyskiwał uczucie, które miało pozostać na zawsze jego władcą prawdziwym i wyłącznym: poczucie rozkosznego Piękną.

Począł uważać Hermesa za urojonego słuchacza i postanowił złożyć sonety. Ponad budzącą się aspiracją do kobiety unosiła się niby mgła jakaś mistyczna. Pobożne marzenie czystości przysłańało nieokreślone jego pożądanía. I w cieniu pogańskiej postaci znajdował upodobanie

w wywoływaniu obrazu Madonny, promieniejącej niewinnością w uroczystej postawie komunikantki.

Układając sonet, studyował się sam z ciekawością. Od dawna już nie stworzył żadnego wiersza. Ta przerwa odpoczynienia czyliż nie przyniosła szkody jego technice? Zdawało mu się, że rymy, wyłaniające się pojedynczo z jego mózgu, miały wdzięk jakiś nowy zupełnie, współdźwięk przychodził sam przez się, nie potrzebował go szukać a myśli rodziły się wraz z rymem. Potem nagle jakaś przeszkoda powstrzymywała cały bieg; wiersz jakiś opierał się, wszystko rozprasało się jak mozaika niespojona; sylaby walczyły przeciw przymusowi miary; słowo muzyczne i świetlane, które mu było miłym wykluczone zostawało surowością rytmu na przekór wszystkim jego usiłowaniom; rym rodził myśl nową, niespodziewaną, która go porywała, odwracała od pierwotnej idei; jakieś określenie, acz rzadkie i wierne, miało dźwięk niedość mocny i strofa była jak medal źle wyszły z winy niedoświadczonego gisera, któryby nie umiał obliczyć ilości roztopionego metalu, potrzebnego do napełnienia formy. Z niesłychaną wtedy cierpliwością składał napowrót metal do tygla i rozpoczynał wszystko na nowo. Nakoniec strofa była pełną i dokładną; tu i owdzie wiersz któryś miał dziwną jakąś, ale przyjemną zarazem przecieź chropawość; poprzez falowanie rytmu symetria budowy występowała z całą jasnością. Cały sonet,

w swej jednolitości żył i oddychał, jak istota wolna i doskonała.

Tak tworzył szybko, to znów powolnie, z rozkoszą nigdy dotąd nieodczuwaną a ustroń ta spokojna zdawała się jakby umyślnie stworzoną dla wyobraźni samotego piewcy. W miarę jak dzień się posuwał, morze ciskało groty swych błyskawic między pnie drzew, jak między kolumny jaspisowego portyku; akanty korynckie były jak kapitele odchyłone tych roślinnych kolumn; w powietrzu modrem, jak cień jaskini bagnistej, słońce chwilami rzucało strzały, pierścienie i kręgi złota. Alma Tadema byłby niezawodnie na tem tle stworzył jakąś Safo w wieńcu fiołków na głowie, siedzącą pod tym marmurym Hermesem, improwizującą przy dźwiękach siedmiostrunnej liry, otoczoną chórem dziewic o płomiennych włosach, bladych i uważnie chwytających w adoniecznym wierszu czystą harmcnie każdej strofy.

Kiedy wykończył sonety, westchnął i powtórzył je w myśli. Potem nakreślił je na czworogrannym piedestale Hermesa.

I.

Ku dalekim miłośnikom dziś uczucia drogą,
 Uśmiech politowania splywa i słońce łamie,
 Złe, co do mnie ogniste wyciągało ramię,
 Wabiąc w lasy, smysłową płonąca pożogą...

I gdy duch mój miał upaść znękany i chory,
 Wchodzi ona, praezaysta, z hyacyntem u czoła,

I z labiryntu złudzeń do siebie mnie woła,
Gdzie nie płoną szkarłatem pogańskie potwory.

I nie dławią mnie złote już sfinksowe sapy,
Ani strachem przejmuje straszna twarz Gorgony,
Ni syrena mnie czarem swych pieśni ocienia...

U szczytu tego nimbu wyniosła i biała,
Liturgicznej królowej postawę przybrała,
Trzymając w czystych dłoniach Hostyę ukojenia.

II.

I mówi: wiecznej wiosny i wiecznego maja
Jestem różą mistyczną, wykwitłą z Piękności,
Która w duszach nadludzkiem upojeniem gości,
Jestem tą, co porywa i co uspokaja...

— O Ty!... która kierujesz burzami morskimi,
I na Twoje skinienie wichry w miejscu stoją,
U stóp Twych składam los mój, całą przyszłość moją,
Zezwól na to królowo i nieba i ziemi...

Jak słońce w Twojem ręku płomieje ona,
Ta nadzieja ukojenia bólów, upagniona,
Ja pokutnik, na Twoje czekam przyzwolenie...

Niech tak bądźcie, królowo, przez łzy i nadzieje;
Strumień krwi z mego serca niech świat ten zaleje,
By świat w tym wiecznym bólu znalazł odrodzenie.

DIE XII SEPTEMBRIS. MDCCCLXXXVII.

II.

Schifanoia ¹⁾ wznosiła się na wysokości, w miejscu, gdzie łańcuch wzgórz, opasawszy wybrzeże i ująwszy morze niby w wielki amfiteatr, wyginał się ku wnętrzu lądu i pochyłał w kierunku płaszczyzny. Zbudowany przez kardynała Alfonsa Carafa d'Ateleta w drugiej połowie XVIII wieku, pałac miał przecież (pewną czystość stylu. Tworzył on czworobok, wysoki na dwa piętra, w którym kolumnady kolejno przeplatały apartamenty a rzędy tych kolumn dodawały budowie lekkości i elegancyi: kolumny bowiem i pilastry jońskie zdawały się zarysowane chyba i zestawione w harmonijną całość przez Vignola. Był to prawdziwy letni pałacyk, stojący otworem dla morskich wichrów. Od strony ogrodów, staczających się po pochyłości, przysionek prowadził na piękny peron o podwójnych wschodach, które zbiegały na taras, otoczony kamienną balustradą i zdobny dwoma wodotryskami. Z każdego końca tego tarasu inne znów schody, przerywane inne-

¹⁾ Równoznaczne z nazwą *Sans-Souci*.

mi tarasami, przedłużały się aż do samego stoku pochyłości, kończąc się niemal u samego morską brzegu; z dolnego tarasu widocznymi były siedm ich zagięć węzowych, pośród wspaniałej zieleni i gęstwiny róż. Osobliwością Schifanoi były róże i cyprysy. Róż wszelkich gatunków, wszelkich pór roku była tu moc nieprzebrana. Cyprysy spiczaste i ciemne, bardziej tajemnicze, niż piramidy Egiptu, bardziej zagadkowe niż obeliski, nie ustępowały w piękności ani cyprysom willi Este, ani słynnym swym braciom z willi Mondragone, ni tylu innym olbrzymom, co wznoszą się w sławnych willach rzymskich.

Margrabina d'Ateleta miała zwyczaj spędzać w Schifanoi lato i część jesieni. Jakkolwiek była jedną z najbardziej światowych kobiet, lubiła wieś, wiejską swobodę zwłaszcza; i lubiła tu także przyjmować swych przyjaciół. Podczas rekonwalescencyi Andrzeja okazywała mu ona przywiązanie i troskliwość starszej ziostry, nieomal matki, nieustrudzona nigdy w swych staraniach. Serdeczne uczucie przyjaźni łączyło ją z kuzynem. Miała ona dla niego zawsze najgłębsze wyrozumienie, zawsze skłoną była przebaczyć mu wszystko, była to przyjaciółka prawdziwie dobra i szczerą, żywą, zawsze wesolą, zawsze zajmującą; posiadała ona równocześnie dowcip i duszę. Od roku już blisko przeszła trzydziestkę; ale zachowała zachwycającą żywość młodości i wdzięk niezmierny, posiadała bowiem to, co było tajemni-

cą uroku pani Pompadour, tę „piękność bez rysów“, która ożywia się nieprzewidzianym nieoczekiwanym jakimś wdziękiem. Posiadała również rzadką zaletę, tę, którą powszechnie zwie się „taktem“. Subtelny geniusz niewieści był jej nieomylnym zawsze przewodnikiem. W licznych swych stosunkach z ludźmi, umiała zachować zawsze we wszystkich okolicznościach wobec każdego to stanowisko, jakie było właściwe, nigdy nie popełniła żadnego błędu, nigdy nie zaciążyła na niczyjem życiu, nigdy nie stała się natrętną nikomu, co czyniła, czyniła zawsze w sposób właściwy i w stosownej porze, tak samo właściwem było każde jej słowo. Jej stosunek do Andrzeja, który podczas tej rekonwalenscencji był dziwaczny i niezmiernie niejednostajnego usposobienia, nie mógł chyba być już doskonalszym. Naginała się wszelkimi sposobami, aby mu tylko nie przeszkadzać w niczem, i wpływać tak na innych, by mu wogóle nikt nie był przeszkodą; pozostawiała mu absolutną swobodę; udawała, że nie spostrzega bynajmniej jego dziwactw ni smutków; nie nudziła go nigdy niedyskretnymi pytaniami, urządzała się w taki sposób, by jej towarzystwo było mu znośnem w chwilach nieuniknionego zbierania się; doprowadziła do tego nawet, że w jego obecności zrzekała się wszelkiej dowcipnej rozmowy, aby mu oszczędzić trudu wymuszonego uśmiechu.

Andrzej rozumiał dobrze tę jej niezmierną delikatność i był jej za nią wdzięczny.

Dnia 12-go września, po owych sonetach, które nakreślił na piedestale Hermesa, kiedy powracał do pałacu, niezwykle wesoły, spotkał Franciszkę na schodach i ucałował jej ręce, wyrzekłszy tonem żartobliwym:

— Kuzyneczko, znalazłem drogę i prawdę.

— Alleluja!—odparła Franciszka, wznosząc ku niebu piękne swe ręce. — Alleluja!

I zeszła do ogrodu, kiedy tymczasem Andrzej podążył na górę do swoich pokojów z ulgą w sercu.

Cokolwiek później posłyszał, jak zapukano zlekka do jego drzwi i głos Franciszki spytał:

— Czy wolno wejść?

Weszła, niosąc w podniesionej spódniczce ogromny pęk róż, różowych, białych, żółtych, amarantowych, purpurowych. Jedne rozkwitłe i jasne jak owe w willi Pamphili, świeżutkie i operlone rosą miały w głębi swych kielichów coś kryształicznego; inne miały listki skupione i bogactwo kolorów, które przypominało sławną wspaniałość purpury Tyru i Sydonu; inne zdawały się wonnymi kulami śniegu i przejmowały dziwną ochotę ugryzienia ich i zjedzenia; inne wreszcie miały barwę żywego ciała i rozkoszne kontury kobiecego ciała o subtelnej siateczce żyłek. Cieniowania nieskończone czerwonego koloru, począwszy od ciemnego karmazynu aż do spęzłej barwy dojrzałej poziomki, pomieszane były z najdelikatniejszymi odmianami białości, od niepokalanej czystości śniegu,

aż do nieujętej barwy świeżo wydojonego mleka, opłatka, rdzenia trzciny, matowego srebra, alabastru i opalu.

— To dziś święto — rzekła śmiejąc się.

A kwiaty okrywały jej piersi prawie do samej szyi.

— Dzięki, dzięki, dziękil — powtarzał Andrzej, pomagając jej składać cały ten kwiecisty ciężar na stole, książkach, albumach, tekach z rysunkami. *Rosa rosarum!*

Kiedy się uwolniła od nich, pozbierała wszystkie wazony, rozstawione w całym pokoju i poczęła napełniać je różami, układając w bukiety z dobozem, który wykazywał u niej smak niepospolity. Dobierając kwiaty i wiążąc je w bukiety szczebiotała wesoło o tysiącnych rzeczach, jak gdyby chciała tą jedną chwilą wynagrodzić sobie długą przymusową wstrzemięźliwość słów i śmiechów, którą zachowywała przez wzgląd na smutek i ponure usposobienie Andrzeja.

Między innymi powiedziała mu:

— Wiesz, 15-go będziemy tu mieć pięknego gościa: Maryę Ferrès y Capdevilla, żonę pełnomocnego ministra Guatemali. Znasz ją?

— Nie sądzę.

— To prawda, ty jej znać nie możesz. Powróciła do Włoch zaledwie od kilku miesięcy; ale spędzi zimę w Rzymie, dokąd mąż jej właśnie otrzymał teraz nominację. To jedna z moich przyjaciółek młodości i kocham ją bardzo. Przez

trzy lata byliśmy razem we Florencyi u Niepokalanek; ale ona młodsza odemnie.

— Czy to amerykanka?

— Nie, włoszka, a co więcej jeszcze siennenka. Z domu Bandinelli; ochrzczono ją wodą z „wesołej „fontanny“. Z natury wszakże jest skłonniejszą do smutku niż do wesołości; a co za dobroć, jaka łagodność! Historya jej małżeństwa wcale zresztą jest niewesoła. Tea Ferrès nie ma w sobie nic zgoła sympatycznego. Ale za to córeczkę mają uroczą, cud prawdziwy. Zobaczysz; blada, przezrocza z całą falą włosów i oczyma ogromnemi. Podobna jest niezmiernie do matki... Patrz, Andrzej, czy nie powiedziałoby się, że ta róża jest z aksamitu? A ta znowu? Zjadłabym ją. Ależ patrzże: co to za idealna białość. Przepiękne!

I wybierała wciąż dalej róże, gawędząc z zwykłym sobie wdziękiem. Fala woni, tak upajająca jak wino stułetnie, unosiła się z tego stosu kwiatów; kilka kielichów róż opadło z listków i osypało jej suknię, zatrzymując się wśród fałdów; przed oknem, pod jasnym niebem, rysowała się ciemna iglica cyprysu. I w pamięci Andrzeja upornie wciąż śpiewał, harmonijny niby muzyczna fraza, wiersz Petrarcki:

Così partia le rose e le parole.

Nazajutrz zrana, chcąc spłacić dług wczorajszego daru, ofiarował margrabinie d'Ateleta, so-

Dod. do „Prz. Tyg.“ — G. D'Annunzio. „Dziecko rozkoszy“ 12

net oryginalnie ułożony, wzorem starożytnych manuskryptów wypisany na welinie z kolorowanemi rysunkami, w guście tych, które zdobią mszały Attawanty. Za temat posłużył mu ów wiersz Petrarcki:

„Tak różdzielała różę i słówka”.

III.

W pewną środę, 15-go września, nowy gość miał przybyć.

Margrabina z Ferdynandem, najstarszym swoim synem i z Andrzejem pojechała na jej spotkanie na stację kolei do Rovigliano. Kiedy powóz toczył się cienistą drogą, wśród wysokich topoli, margrabina mówiła Andrzejowi o swej przyjaciółce z serdeczną życzliwością.

— Zdaje mi się, że ci się będzie podobać— rzekła wreszcie, konkludując.

Potem zaśmiała się, jak gdyby myśl jakaś nie-spędziana przeszła jej nagle przez głowę.

— Czemu się śmiejesz? — spytał Andrzej.

— Ot, przyszło mi na myśl pewne zestawienie!..

— Jakie?

— Zgadnij.

— Nie wiem.

— No, skoro tak chcesz wiedzieć, myślałam o innym poznaniu, które ci również zapowiadałam, dodając do niego pewną wesołą wróżbę, będzie już temu dwa lata. Przypominasz sobie?

— Ach!...

— Śmieję się, ponieważ i na ten raz również chodzi o nieznaną, bo wreszcie i teraz mogła bym być... mimowolną opatrznością.

— Och!

— Tylko, że tu wypadek jest wielce różnej natury; a raczej, co w nim jest różne, to bohaterka możliwego dramatu.

— Chcesz powiedzieć...

— Marya jest to: *turris eburnea*.

— A ja jestem obecnie *vos spirituale*.

— Widzisz, zapomniałam zupełnie, żeś znalazł wreszcie drogę i prawdę! „Ku dalekim miłostkom dziś uczucia drogą — Uśmiech politowania spływa...”

— Cytujesz moje wiersze?

— Umiem je na pamięć.

— Jakże to uprzejmie!

— Zresztą, drogi kuzynku, ta twoja „biała królowa“, co trzyma w czystych swych dłoniach Hostyę, jest mi wielce podejrzana. Wygląda mi ona bardzo na formę, całkowicie pustą wewnątrz, na suknię bez ciała, zdaną na łaskę jakiegokolwiek bądź duszy, duszy anioła lub demona, która objawiłaby intencję wstąpienia w nią i udzielenia ci owej duchowej komunii „zezwalającego gestu“.

— Co za bluźnierstwo, co za bluźnierstwo!

— Strzeżże się, pilnuj dobrze tej sukni i odpraw porządną ilość egzorcyzmów... Ale znowu

popadam we wróżby! Doprawdy, wróżyć, to jedna z moich słabości.

— Przybyliśmy, kuzyneczko.

Śmieli się oboje. Przyjechali o kilka minut wcześniej przed nadejściem pociągu. Ferdynand, chłopiec dwunastoletni, chorowity, przywoził bukiet róż, aby go ofiarować donnie Maryi na powitanie. Poprzedzająca rozmowa usposobiła Andrzeja wesoło; czuł się lekki, rześki, niezmiernie rześki, jak gdyby jednym rzutem, powrócił do pierwszych czasów młodości lekkomyślnej i pełnej szaleństw; a było to niewytłomaczone zupełnie wrażenie. Zdawało mu się, że powiew jakiś niewieści, nieokreślona pokusa, przeszła mu przez mózg. Wybrał z bukietu Ferdynanda jedną tę i wpiął ją sobie w butonierkę; szybkim rzutem oka, objął letnie swe ubranie; przyjrzał się z upodobaniem swym rękom, wypielęgowanym starannie, które przez czas choroby wybielały i wydelikatniały jeszcze. Czynił to wszystko bez zastanowienia, przez instynkt próżności, nagle w nim zbudzony.

— Pociąg już przychodzi — zawołał Ferdynand.

Margrabina podążyła, aby przywitać przybyłą, która, wychylona u okna wagonu, przesyłała już ukłony skinieniem ręki i głowy, cała owinięta perłowo-szarym welonem, pod którym ni knął do połowy czarny jej słońkowy kapelusz.

— Franciszko! Franciszko! — wołała z szczerym wybuchem radości.

Dźwięk tego głosu szczególniejsze na Andrzeju sprawił wrażenie; przypomniał mu on niejasno jakiś głos już dawniej znany. Jaki to głos?

Marya Ferrès wyskoczyła szybko i zwinnie z wagonu i gestem pełnym gracyi, uniosła gęsty woal w górę, odkrywając usta dla ucałowania przyjaciółki. Nagle ta kobieta smukła i pochylona w uścisku, ta kobieta zasłonięta gazą, której widział tylko usta i brodę, nabrała dla Andrzeja głębokiego uroku. Cała jego istota, oszukiwana w ostatnich czasach pozorem odzyskanej swobody, gotową była poddać się czarowi kobiecości. Zaledwie ożywione tchnieniem kobiety, popioły stawały się napowrót iskrami.

— Maryo, przedstawiam ci mego kuzyna, hrabiego Andrzeja Sperelli-Fieschi d'Ugenta.

Andrzej skłonił się. Usta młodej kobiety rozchyliły się w uśmiechu, który wydał się jakimś tajemniczym, ponieważ połyskująca gaza welonu zakrywała resztę twarzy.

Następnie margrabina przedstawiła Andrzeja don Manuelowi Ferrès y Capdevila. Potem rzekła, pieszcząc włosy dziewczynki, która przyglądała się młodzieńcowi łagodnymi, zdziwionymi oczyma:

— A to Delfina.

W powozie Andrzej zajął miejsce naprzeciw Maryi obok Manuela Ferrès. Przybyła, nie od-

słoniła dotąd swej woalki; trzymała na kolanach bukiet Ferdynanda i od czasu do czasu podnosiła go do twarzy, wdychając woń róż, co jej nie przeszkadzało jednak odpowiadać na zapytania margrabiny. Andrzej nie omylił się; było w tym głosie kilka nut głosu Heleny Muti, tylko wytworniejszych jeszcze. Ogarnęła go niecierpliwa ciekawość ujrzenia tej zakrytej twarzy, poznania jej kolorytu i wyrazu.

Ona mówiła:

— Manuel odjedzie w piątek. Później dopiero powróci mnie zabrać.

— Jak najpóźniej, miejmy nadzieję!—wyraziła serdeczne życzenie Franciszka. Za miesiąc albo i później jeszcze może, nieprawdaż, don Manu-
lu? A najlepiej byłoby podług mnie, gdybyśmy wszyscy razem dopiero wyjechali ze wsi, jednego dnia. Pozostaniem w Schifanoia do pierwszego listopada, nie dłużej.

— Gdyby mnie nie oczekiwała moja matka, bardzo chętnie pozostałabym z tobą. Ale przyrzekłam bezwarunkowo być w Siennie na dzień 17-go października, dzień urodzin Delfiny.

— Co za szkoda! Dwudziestego października mamy tu uroczystość miejscową w Rovigliano; tak to ładne i oryginalne!

— Cóż robić? Gdybym nie dotrzymała mojej obietnicy, byłoby to niezawodnie wielkiem zmartwieniem dla mojej matki. Ona tak uwielbia Delfinę...

Mąż milczał; widocznie musiał być małomówny z natury. Był to mężczyzna średniego wzrostu, cokolwiek otyły, łysawy, o skórze szczególniejszej barwy, bladoci pośredniej między odcieniem zielonkawym a sinym, wśród której oko połyskiwało w poruszeniach spojrzeń, jak owe enaliowane źrenice u niektórych posągów z brązu. Wąsy jego twarde i czarne, przystrzyżone równo jak szczecina szczotki, przysłaniały usta o brutalnym i sardonicznym wyrazie. Człowiek ten zdał się cały przesiąkły żółcią. Mógł mieć lat ze czterdzieści lub nawet cokolwiek więcej. Miał w całej swej postaci coś zagadkowego i skrytego, co zaraz wpadało w oczy obserwatorowi; ów nieokreślony pozór zepsucia, demoralizacji, który jest udziałem pokoleń, będących produktem ras zdegenerowanych i wzrastających w zepsuciu.

— Delfino, patrz, jak te drzewa pomarańczowe całe okryte są kwiatem!—zawołała Marya wyciągając rękę w przejeździe, by zerwać kilka gałązek.

W pobliżu Schifanoia, droga biegła między dwoma gaikami pomarańczowemi a gałęzie były tu tak wysokie, że cień rzucały. W tym cieniu przeciągał wietrzyk morski, przesiąkły wonią, którą chciałoby się pić pełną piersią, jak orzeźwiająca wodę.

Delfina uklękła na poduszkach i wychyliła się z powozu, by pochwycić gałęzie. Matka otaczała ją ramieniem, podtrzymując.

— Uważnie! — wołała — Uważnie! Mogłabyś wypaść. Poczekaj cokolwiek aż zdejmę woalkę. Jeśli łaska, Franciszko, pomóż mi, proszę.

I nachyliła głowę ku przyjaciółce, by jej dopomogła w odwiązaniu welonu. W tym ruchu, bukiet róż osunął się z jej kolan. Andrzej pośpieszył go podnieść, a kiedy się wyprostował by jej go podać, zobaczył nareszcie odśloniętą już teraz całą twarz Maryi.

— Dziękuję — rzekła.

Miała ona twarz owalną, może cokolwiek zbyt mocno wydłużoną, ale niewiele zaledwie, tem arystokratycznym wydłużeniem, które tak chętnie przesadzają mistrze XV-go wieku, goniący za elegancją. Rysy delikatne miały ten subtelny wyraz cierpienia i znużenia, który nadaje Madonnom florenckim z czasów Cosimy, ów głęboko ludzki ich urok. Cień delikatny, podobny do złania się dwóch przezroczych odcieni, fioletu i błękitu, idealnie białych, otaczał jej oczy, których źrenica płowo brunatna, przeglądała z anielską słodyczą. Włosy opuszczały się na czoło i skronie, niby zbyt ciężka korona, zebrane w tył i związane w węzeł nisko na karku. Z przodu gęste ich zwoje ułożone były jak te, co to tworzą rodzaj kasku u Antinousa Farnezyjskiego. Nic nie mogło dorównać wdziękowi tej tak delikatnej głowy, która zdawała się ugiąć pod tym ciężarem, jak pod bożą karą.

— Mój Boże! — zawołała, podtrzymując ręką ciężar warkoczy zebranych i wciśniętych pod kapelusz. Całą głowę mam tak obołałą, jak gdybym przez godzinę przynajmniej była zawieszoną na włosach. Nie mogę długo pozostawać ze splecionemi włosami; męczą mnie one nadto. To prawdziwe już niewolnictwo.

— Pamiętasz — spytała Franciszka — jak to na pensyi wszystkie chciałyśmy cię czesać? Powstawały z tego codziennie wielkie sprzeczki. Wyobraź sobie, Andrzej, że w końcu nie obeszło się nawet bez krwi rozlewu. Ach, nie zapomnę nigdy tej sceny między Karoliną Fiordelisi a Gabryelą Vanni. Istny to był szal już chyba. Czesać Maryę Bandinelli było ambicyą wszystkich pensyonarek, małych i dużych zarówno. Epidemia ta ogarnęła cały pensyonat; wynikały ztąd zakazy, łajania, kary, aż wreszcie groźby, że włosy zostaną obcięte. Pamiętasz, Maryo? Wszystkie serca nasze opasywał ten piękny wąż czarny, co ci spadał aż do ziemi. A ten promień, który Gabryela Vanni z zazdrości zdradziecko ci wycięła! Doprawdy, Gabryela straciła formalnie głowę. Czy pamiętasz?...

Donna Marya uśmiechała się melancholijnym uśmiechem, z zachwytem, jak ktoś, co śni przyjemnie. Miała usta wpół przymknięte, z górną wargą nieco wysuniętą po za dolną, ale tak nieznacznie, że to było zaledwie widoczne; kąciکی ich pochylały się boleśnie a fałd ten zatopiony

był w cieniu. Wszystko to nadawało jej twarzy wyraz smutku i dobroci, ale z pewną przymieszką owej dumy, w której przejawia się wyższość moralna tych, co wiele cierpieli i umieli cierpieć.

Andrzej pomyślał sobie, że żadna z tych kobiet które go obdarzały swemi względami, nie mogła wydać na jego pieszczoty takiego bogactwa włosów, tak olbrzymiego i ciemnego lasu, w którym mógłby się gubić. Opowieść o owych młodych dziewczeczkach, przejętych uwielbieniem dla olbrzymiego warkocza, roznamiętnionych i zazdroszczących sobie wzajem sposobności zagłębienia w ten skarb życia grzebienia czy palców—wydał mu się pełnym wdzięku i poezyi epizodem klasztornego życia. I w imaginacyi jego postać tej kobiety, o włosach olbrzymich, wystąpiła niby bohaterka jakiejś baśni czy legendy chrześcijańskiej, opowiadającej o dziecięctwie którejś świętej, przeznaczonej z góry na męczeństwo przyszłe i przyszłą chwałę. Równocześnie pomysł artystyczny błysnął mu w głowie. Jakiegoż bogactwa i jakiej rozmaitości linii mogłaby dostarczyć rysunkowi twarzy kobiecej coraz to inaczej zwijana masa tych gęstych, czarnych włosów!...

Ozarnemi nie były one w zupełności. Naza jutrz przy stole Andrzej obserwował je z punktu, gdzie na nie padał odblask słońca. Miały one wyraźnie ciemno fioletowe refleksy, te błyski, które posiada stal, co przeszła przez próbę pło-

mienia, lub też czasami jeszcze jeden rodzaj politurowanego palisandru, i nie była to bynajmniej zbita masa, każdy z tych włosków był odosobniony, przesiąkły, zda się, powietrzem i jakby oddychający. Trzy promienne i melodyjne epite-ty Alkajosa, najzupełniej dały się zastosować do Maryi: *oplok, hagna, meilichomeide*¹⁾. Rozmowa jej była wytworną, wykazywała umysł subtelny i podatny do głębszego zastanawiania się nad rzeczami wiedzy, kwestyami smaku, pojmujący przyjemności estetyczne. Wykształcenie jej było obszerne i różnostronne, wyobraźnia bogata, słowo barwne, jak u tych, co zwiedzili wiele krajów, żyli w rozmaitych klimatach i poznali wiele rozmaitych ludów. I Andrzej czuł, że ją otacza jakiś powiew egzotyczny, że z niej wydziela się jakiś czar ponętny dziwnie, urok, złożony z niewyraźnych wizyj jakichś rzeczy dalekich, które oglądała, z widoków, które jeszcze zachowała w swych źrenicach, z wspomnień, które napełniały jej duszę. Był to urok nieokreślony, niedający się wytłomaczyć; było to jak gdyby w jej postaci pozostał ślad tych blasków, w których się kąpała, woni, którei oddychała, dźwięków różnych narzeczy, które się obijały o jej uszy; jakby nosiła w sobie samej, zmieszane, lotne,

¹⁾ Ciemnowłosa, niewinna, słodka — słowa te poeta zastosował do Saffony, której był wielbicielem.

niewyraźne wszystkie magiczne wizye tych krain słońca.

Wieczorem, w wielkim salonie, który wychodził na westibul, zbliżyła się do fortepianu i otwierając go, aby spróbować głosu instrumentu, rzekła:

— Czy ty grasz jeszcze, Franciszko?

— Och, nie—odparła margrabina.—Od kilku lat już zarzuciłam zupełnie ćwiczenie. Słuchać muzyki wydaje mi się po prostu daleko większą przyjemnością. Przybieram jednak chętnie pozór osoby, protegującej sztukę a zimą, u siebie przewodniczę bardzo chętnie wieczorom, na których wykonywa się trochę dobrej muzyki. Nieprawdazż Andrzej?

— Moja kuzynka jest zbyt skromną, pani. Jest ona czemś więcej niż protektorką, stara się bowiem o przywrócenie dobrego smaku. Tego roku nawet, w lutym, w jej salonie i za jej staraniem, słyszeliśmy wykonane dwa kwintety, kwartet i trio Boccheriniego a prócz tego kwartet Cherubiniego; muzyka to niemal zupełnie zapomniana, ale zawsze zachwycająca i wiecznie młoda. Adagia i menuety Boccheriniego dziwny mają urok świeżości; finały może tylko są cokolwiek przestarzałe. Zna pani zapewne coś z utworów tego mistrza...

— Przypominam sobie, że przed czterema czy pięciu laty, słyszałam jeden jego kwartet w kon-

serwatoryum w Brukselli i wydał mi się wspaniałym, całkowicie nowym w pomyśle, pełnym niespodziewanych epizodów. Pamiętam doskonale, że w niektórych przejściach kwintet sprowadzony był do dna przez użycie unisona, ale efekt, osiągnięty różnością dźwięku pojedynczych instrumentów, niesłychanej był piękności. Nie napotkałam nic podobnego w żadnej instrumentalnej kompozycji.

Mówiła o muzyce z subtelnością prawdziwego znawcy i aby wytłomaczyć uczucie, jakie budził w niej bądź to jakiś pojedynczy kawałek, bądź całe dzieło któregoś mistrza, umiała znaleźć zawsze proste a przecież dokładnie rzecz malujące wyrażenia, śmiałe obrazy.

— Sama egzekwowałam i słyszałam również niemało muzyki — rzekła — i z każdej symfonii, z każdej sonaty, z każdego nocturna, z każdej ich części wziętej z osobna, pozostał mi w pamięci jakiś obraz widzialny, ucieleśniony, jakieś wrażenie formy i barwy, twarzy, grupy postaci, krajobrazu; tak, że wszystkie ulubione moje sztuki noszą w pamięci mojej nazwę odpowiednią owemu wywołanemu obrazowi. Mam naprzykład „Nocturnem z czarowanym śpiącej księżniczki“, „Gawot żółtych dam“, „Gigę młyna“, „Preludium kropli wody“ i tak dalej.

Zaczęła śmiać się cichym śmiechem, który na tych ustach, zagiętych w wyraz bolesny, miał

wdzięk nieopisany i olśniewał jak nieoczekiwana błyskawica.

— Czy przypominasz sobie, Franciszko, na pensyi, wszystkie te komentarze, któremi opatrywałyśmy marginesy nut tego biednego Chopina, *naszego* boskiego Fryderyka? Ty bywałaś moją współniczką. Któregoś dnia, po poważnych debatach, pozmienialiśmy wszystkie tytuły drobnych utworów Schumanna a każdy tytuł nowy zaopatrzyliśmy w długą notatkę komentującą. Zachowuję do dziś dnia te nuty na pamiątkę. Teraz kiedy gram „Myrty“ i „Kartki albumowe“, wszystkie te tajemnicze adnotacye są dla mnie niezrozumiałemi, moje wrażenia i rojenia stały się już odmiennemi całkowicie; a przyjemność to prawdziwa módz porównać uczucia minione z obecnemi, obraz dawny z nowym... Przyjemność to podobną do doznawanej przy odczytywaniu własnego dziennika, lecz może jeszcze rzewniejsza i silniejsza. Powszechnie dziennik daje opis wydarzeń rzeczywistych, kronikę dni szczęśliwych i dni smutnych, ślad szary lub różowy pozostawiony przez uciekające dalej życie; te notatki na marginesach nut, przeciwnie, nakreślone za dni młodych, są fragmentami tajnego poematu rozwijającej się duszy, wylewami lirycznemi naszego nieskalanego ideału, dziejami naszych marzeń. Jakaż to mowa! Co za wyrazy! Czy ty pamiętasz, Franciszko?

Mówiła z zupełną ufnością, może z niejaką egzaltacją, jak kobieta, która długo dręczona przymusowem obcowaniem z ludźmi niższymi od siebie, lub widokiem rzeczy gminnych, czuje nieprzepartą potrzebę otworzenia inteligencji swej i serca na powiew czystszej, wyższego jakiegoś życia. Andrzej, słuchając, doznawał dla niej jakiegoś rzewnego uczucia, pokrewnego z wdzięcznością. Zdawało mu się, że mówiąc wobec niego i z nim o takich rzeczach, daje mu tem samem dowód swej życzliwości i pozwala nieomal zbliżyć się do siebie. Zdawało mu się, że wzrok jego przenika do zakątków tego wewnętrznego świata, mniej może dzięki treści słów wypowiedzianych, jak raczej dźwięku i modulacji tego głosu. I znowu odnajdował akcenty *tamtęj*.

Był to głos obojętny, dwoisty, jeśli tak powiedzieć można—dwupłciowy; głos o dwu dźwiękach, głos androginy. Dźwięk męzki, niski i cokolwiek zciszony, miękki, rozjaśniał się, niewieścił chwilami, z przejściami tak harmonijnymi, że ucho słuchacza było niemi równocześnie zdziwione, zaniepokojone i doznawało jakby pieszczoty. Jak muzyka, co przechodzi z tonu minorowego do majorowego, lub która, rozpoczynszy bolesnemi dysonansami, powraca po kilku taktach do podstawowego swego tonu, tak ten głos zmieniał się w pewnych odstępach. I właśnie ten to dźwięk niewieści w jej głosie, przypominał *tamtą*

Fenomen ten był tak szczególnym, że sam w sobie wystarczał już do zajęcia umysłu słuchacza, niezależnie od treści słów wygłaszanych. Otóż, im więcej słowa przez rytm i modulację zyskują na wartości muzycznej, tem więcej tracą na walorze symbolicznym. W samej rzeczy, po kilku minutach uwagi, dusza ulegała tajemniczemu czarowi i wyczekiwała spragniona słodkiego tego rytmu, jak go się wyczekuje, słuchając melodyi, wykonywanej na jakimś instrumencie.

— Pani śpiewa? — spytał Andrzej Maryi z pewną nieśmiałością.

— Cokolwiek — odpowiedziała.

— Zaśpiewajże nam co — prosiła Franciszka.

Przystąpiła.

— Ale — ozwała się — zanucę tylko, bo od roku przeszło głos mój utracił zupełnie siłę.

W przyległym pokoju Don Manuel grał z margrabią d'Ateleta, bez hałasu, bez słowa. W salonie światło rozlewało się, przeciekając przez wielki abażur japoński, czerwone. Powietrze morskie owiewało kolumny portyku i chwilami chwiało wysokimi portyerami, niosąc z dołu wonie egrodów. Z po za kolumn rysowały się szczyty cyprysów zwartych, czarnych jak heban, na niebie przezroczem, drgającym gwiazdami.

Marya ozwała się, siadając do fortepianu:

— Ponieważ mówiliśmy o dawnej muzyce, zanucę państwu melodyę Paisiela z „Nina Pazza“, rzecz uroczą.

Śpiewała, akompaniując sobie. W śpiewie, oba dźwięki jej głosu zlewały się jak dwa cenne metale w ogniu w jeden kruszec rozdzwicznny, gorący, czysty, giętki, drgający. Melodya Paisiella prosta, czysta, swobodna, pełna uroczej jakiejś rzewności i uskrzydłonej tęsknoty, na tle jasnego akompaniamentu, wydzieraa się z tych pięknych ust, o bolesnym zakroju i unosiła w górę z takim płomieniem namiętności, że rekonwalescent, wstrząśniony nim do głębi swej istoty, czuł jak każda z tych nut z osobna przebiega wzdłuż jego żył, jak gdyby w nim zatrzymała się krew wszystka cza-rem słuchania. Lekki dreszcz go przejmował; cień jakiś gęsty padał mu na oczy, dyszał z niepokoju. Dla nerwów jego, chorobliwie słabych jeszcze wrażenie stało się tak dojmującym, że potrzebował wysiłku woli, by powstrzymać łzy, gotowe już wytrysnąć.

— O, droga moja Maryo!—zawołała Franciszka, składając serdeczny pocałunek na włosach śpiewaczki, skoro już umilkła.

Andrzej nie był w stanie wymówić słowa; siedział w fotelu, zwrócony plecami do światła, z twarzą w cieniu.

— Jeszcze! — prosiła Franciszka.

I zaśpiewała jeszcze aryetkę Salieriego. Potem zagrała toccatę Leonarda Leo, gawot Rameau i jedną z gig Sebastjana Bacha. Pod jej palcami zdała się cudownie świeżem odkwitać życiem, owa muzyka XVIII wieku, tak melancholijna w aryach

tanecznych, tych arjach, co zda się na to powstały, by je tańczyły w obumierające popołudnie u schyłku lata, wśród opustoszałego parku, gdzie zamilkły fontanny i stoją ogołocone z posągów piedestały, na kobiercu róż powiędłych, takie pary kochanków, co za chwilę kochać się już przestaną.

IV,

— Rzuć mi pani jeden z swych warkoczy, bym mógł po nim wejść na górę! — wołał Sperelli ze śmiechem do donny Maryi, stojąc przed schodami kiedy ona znajdowała się w loggii przylegającej do jej apartamentu!

Było to rankiem. Ona stała na słońcu, susząc zmoczone włosy, które owijały ją całą jak aksamit, przepięknego, głębokiego fioletu, wśród którego przeświecała bladość matowa jej twarzy. Sztora płócienna nawpół podniesiona, mocno złotego koloru kładła ponad jej głowę piękny fryz czarny swego szlaku, w stylu tych fryzów, które zdobią starożytne wazony greckie Kampanii; a gdyby miała tylko dokoła skroni wieniec narcyzów a obok siebie jedną z tych lir dziewięciostrunnych, na których wymalowanym bywa wizerunek Apolina i charta, byłaby przypominała w zupełności jedną z uczennic szkoły Mytileńskiej lub odpoczywającą artystkę, ale taką, jakąby mógł wymarzyć tylko preraphaelista.

Odpowiedziała również żartem, cofając się wszakże w głąb nieco:

— A pan rzuc mi madrygał.

— Napiszę go na cześć pani na marmurze balustrady ostatniego tarasu. Przyjdiesz go pani przeczytać cokolwiek później, skoro już będzie gotowa.

Andrzej począł powoli schodzić po schodach, prowadzących na ostatni taras. W ten wrześniowy poranek dusza jego zdawała się rozszerzać na równi z płucami. Dzień był jakiś dziwnie uroczysty; morze połyskiwało właściwem sobie tylko światłem, jak gdyby w jego głębinach żyły magiczne jakieś źródła promieni; wszystkie przedmioty przeniknione były słońcem.

Schodził, zatrzymując się od chwili do chwili. Myśl, że sienneńka patrzy na niego może jeszcze z wysokości loggii, nabawiała go nieokreślonego niepokoju, serce biło mu gwałtownie w piersi i czuł się tak nieśmiałym, jak młodzieniaszek, co kocha po raz pierwszy. Niewinną jakąś błogością przejmowała go myśl, że oddycha temże samem ciepłem, przeczystem powietrzem, którem i ona oddycha, w którem się kąpie. Jakaś niezmierna fala rzewności napłynęła mu do serca i zalała cały horyzont, drzewa, kamienie, morze niby istoty przyjazne sobie i życzliwe. Popychała go jakby potrzeba kornego, czystego uwielbienia, uległości; zdawało mu się, że powinien ugiąć kolano, złożyć ręce i złożyć na ołtarzu tę miłość nieokreśloną i niemą, o której sam nie mógłby powiedzieć na pewno, czem ona jest w istocie.

Czuł nieomal jak dobroć wszechrzeczy wylania się z nich i mięsza z własną jego, wrodzoną dobrocią.

— Więc ja ją Kocham? — zadawał sobie pytanie. Ale nie śmiał zajrzeć w własną duszę i zastanawiać się nad tem: lękał się, by ten czar subtelny nie rozwiął się i nie zatarł jak sen z nadejściem świtu.

— Czy ją Kocham? A ona co o tem myśli? A jeśli przyjdzie tu sama, czy jej powiem o tem, że ją Kocham?—Lubował się w tem zadawaniu sobie pytań i nieznajdywaniu na nie odpowiedzi, w przerywaniu tej odpowiedzi serca nowem znów pytaniem, w przedłużaniu tej niepewności, dręczącej i rozkosznej zarazem. — Nie, nie, nie powiem jej, że ją Kocham. Ona stoi wyżej gdzieś ponad wszystkiemi innemi.

Odwrócił się a tam w górze w loggii, w pełnem słońcu, spostrzegł jeszcze postać niewieścią niewyraźnie rysującą się na tle cieniu. Może odprowadzała go oczyma i myślą, aż tutaj na sam dół tarasu. Ciekawość dziecinna kazała mu wymówić jej imię głośno na opustoszałym tarasie; powtórzył je coś dwa czy trzy razy, przysłuchując się temu dźwiękowi: „Maryo, Maryo!“ Nigdy żaden wyraz, nigdy żadne imię nie wydało mu się piękniejszym, melodyjniejszym, pieszczotliwszem. I myślał sobie, że czułby się szczęśliwym, gdyby mu pozwoliła nazywać się prosto Maryą, jak gdyby była jego siostrą.

Ta istota wybrana, która posiadała tyle ducha, natchnęła go uczuciem niezmiernego, pobożnego jakiegoś uwielbienia, czci głębokiej i bezgranicznej uległości. Gdyby go był ktoś zapytał, co byłoby dlań największą rozkoszą, odpowiedziałby z całą szczerością: „Być jej postusznym“. Nie nie sprawiłoby mu większej boleści, nad to gdyby ona uznała go za człowieka powszedniego. Nie pragnął tak nigdy przez żadną inną kobietę być cenionym i podziwianym, chwalonym, rozumianym w swej inteligencji, smaku, wiedzy, aspiracjach artystycznych, w swych ideałach, rojeniach, w najszlachetniejszej części swego ducha i życia. Najgorętszą jego ambycją było zapełnić sobą jej serce.

Od dziesięciu dni już przebywała w Schifanoia a w ciągu tych dni dziesięciu jakże go ona podbiła całkowicie! Ich rozmowy na tarasie lub na ławeczkach, rozrzuconych w cieniu, czy wzdłuż alei ujętych w różane szpalery, trwały czasami przez całe długie godziny, przez ten czas kiedy Delfina biegła jak młoda gazella po labiryntach pomarańczowego gaju. Rozmowa jej zachwycała różnaitością tematów, rozrzucała ona w niej istne skarby przenikliwych i zręcznych obserwacyj. Czasami odstaniała jakiś rąbek własnej duszy a czyniła to zawsze z niezmierną prostotą i skromnością pełną wdzięku; czasami, skoro rozmowa przeszła na jej podróże, jednym jedynym zdaniem malowniczym umiała wywołać przed oczy

Andrzeja wizję dalekich krajów i oceanów. On ze swej strony bezustannych dokładał starań, aby jej wykazać swą wartość osobistą, rozległość swego wykształcenia, wyrefinowanie smaku, rzadką delikatność uczuci niezmierną dumą wezbrało mu serce, kiedy po przeczytaniu jego „Baśni o Hermafrodyście“ rzekła mu z akcentem zupełnej szczerości:

— Żadna muzyka nie upoiła mnie tak, jak ten poemat a żaden posąg nie dał mi tak harmonijnego wrażenia piękna. Niektóre wiersze ścigały mnie bez wytchnienia i prześladować mnie będą z pewnością bardzo długo jeszcze. Takie bo też są treściwe, tak dobitne!

Teraz siedząc na balustradzie, powtarzał sobie w myśli te słowa. Marya zniknęła już z loggii i sztora przysłaniała całą przestrzeń między kolumnami.

Może zamierzała zejść. Miałże, stosownie do przyrzeczenia, napisać dla niej madrygał? Ale przykrość składania wierszy na prędcie wydała mu się niezuośną w tym wspaniałym i rozkosznym ogrodzie, gdzie wrześnie słońce czarem drugą jakąś, nadnaturalną, powoływało do rozkwitu wiosnę. Po cóż rozpraszać to rzadkie wzruszenie zabawką pośpiesznych rymów? Dlaczego zamykać to potężne, rozległe uczucie w ciasnem westchnieniu rytmicznem? Postanowił nie dotrzymać przyrzeczenia i, siedząc wciąż na zrębie balustrady, począł przypatrywać się migocą cym.

horyzoncie wód żaglom, co rzucały płomieniste smugi, niby pochodnie, okrążające słońce.

Ale w miarę jak czas ubiegał, niepokój jego rósł; odwracał się co chwila, by zobaczyć, czy na szczycie schodów, pomiędzy kolumnami portyku nie dopatrzy niewieściej postaci. „Byłaż to schadzka miłosna? Czyliż sienneńka ma tu zejść się z nim na tajemną jaką rozmowę? Czy przypuszczała choć jakim go to oczekiwanie przejmuję niepckojem?”

Serce mówiło mu: „Ona!” I była to ona w samej rzeczy.

Schodziła powoli, sama jedna. Na pierwszym tarasie, przed jednym z wodotrysków zatrzymała się. Andrzej ścigał ją oczyma i za każdym z jej gestów, krokiem każdym, każdą pozą, serce biło mu mocno, jakgdyby każde to poruszenie, krok, ruch każdy, były znakami umówionemi, jakimś dla nich tylko zrozumiałym językiem.

Puściła się drożynami, wiodącemi ze szczytu tarasów pośród drzew i krzewów. Postać jej ukazywała się i znikwała to zupełnie, to znów do połowy; chwilami głowa jej wynurzała się z ponad krzaku róż. Czasami pęk splełanych gałęzi zakrywał ją przed jego okiem na chwilę; w miejscach, gdzie gęstwa była mniejszą, migiała ciemna jej sukienka lub zabłysnęła jasna słomka kapelusza. Im więcej zbliżała się, tem szła powolniej, zapóźniając się pośród szpalerów zieleni, przystając, by się przyjrzeć cyprysom, pochylając,

by podnieść garść opadłych listków. Z przedostatniego tarasu przesłała ręką ukłen Andrzejowi, który, powstawszy, oczekiwał jej na ostatnim stopniu schodów; rzuciła wien zebranymi listkami, które rozbiegły się niby gromadka motyli i które krążąc jedne dłużej, drugie krócej opadły wreszcie na kamień z miękkością śniegu.

— I cóż? — spytała, zatrzymując się u środka poręczy schodów.

Andrzej ugiął kolano i przyklęknawszy na stopniu w wzniesionemi rękoma:

— Niel — wyznał. — Błagam przebaczenia, ale pani i słońce tego ranka zbyt bezpodzielnym urokiem zapełniście niebo. *Adoremus*.

Spowiedź była szczerą, niemniej szczerem było uwielbienie, mimo żartobliwego zwrotu, nadanego jedaej i drugiemu. I widocznie sienneńka pojęła tę szczerłość, bo zarumieniła się zlekka i wyrzekła z szczególniejszą żywością:

— Wstań pan, wstań pan!

Podniósł się. Podała mu rękę.

— Wybaczam panu—dodała — ponieważ jesteś rekonwalescentem.

Miała na sobie ubranie szczególniejszego koloru rdzy, odcienia spłowiełego szafranu, nieokreślonej barwy, jednego z tych kolorów, które nazywają estetycznemi a które widzujemy na pejzażach Rossetiego. Spódnica ułożona była w szerokie plisy, proste i regularne, które wychodziły z pod ramion. Szeroka wstęga *vert de mer*, blada

jak turkus zamierający, ujmowała w pasie te fałdy, związana w jedną jedyną wielką kokardę, opadającą na biodrach. Rękawy, bardzo szerokie, zaplissowane w liczne fałdy u góry, obciśnięte były u dłoni. Taką samą wstążką blado-zieloną, wąziutką otaczała szyję, spięta po lewej stronie kokardką. Taką również wstążką wiązała koniec wspaniałego warkocza opadającego z pod słomkowego kapelusza, dokoła którego owijał się wieniec hyacyntów jak u Pandory Almy Tademey. Jeden jedyny klejnot, wielki turkus perski, w kształcie chrabąszcza z grawirowanemi znakami, jak na talizmanie, spinał kołnierzyk pod brodą.

Ozwała się:

— Poczekamy na Delfinę. Potem pójdziemy do bramy Cybeli. Czy dobrze?

Zachowywała względem rekonwalescenta pełną względów uprzejmość. Andrzej był jeszcze bardzo blady i bardzo, mimo przychodzenia do zdrowia, wychudły a chudość ta powiększyła mu oczy niezwykle, tak że zmysłowy wyraz ust, nieco wypukłych, stanowił dziwaczny kontrast z resztą twarzy.

— Owszem — odpowiedział — A nawet jestem pani za to bardzo wdzięczny.

Potem po krótkim wahaniu dodał:

— Pozwoli mi pani być dziś cokolwiek milczącym?

— Dlaczego prosisz mnie pan o to?

— Wydaje mi się, że utraciłem dar słowa i że nie umiem nic powiedzieć. Chwilami wszakże milczenie może ciężyc bardzo, stać się nudnem a nawet niepokojącym, skoro się przedłuża. I dla tego to właśnie proszę, byś pani podczas naszej przechadzki pozwoliła mi milczeć i słuchać cię tylko.

— W takim razie milczeć będziemy oboje — wymówiła ze słabym uśmiechem.

I popatrzała w stronę pałacu, widocznie zniecierpliwiona.

— Jak też Delfina długo nie przychodzi.

Andrzej zapytał:

— Czy Franciszka już wstała, kiedy pani wychodziłaś?

— O! nie. Z niej śpioch bajeczny... Ach, Delfina. Widzisz ją pan?

Dziewczynka biegła szybko, za nią zaś szła guwernantka. Niewidzialne na spadku schodów, dziecko wynurzało się znów na tarasach, które przebywało w biegu. W tym przelocie wiatr powiewał rozsypanemi jej włosami, co się wymykały z pod szerokiego słomkowego kapelusza, otoczonego wieńcem maków. Stanąwszy na ostatnim stopniu schodów, otworzyła szeroko ramiona i całowała gwałtownie twarz matki. Potem zawołała:

— Dzień dobry, Andrzejul

I podała mu do pocałowania czoło, giestem dziecięcym, pełnym dziwnego wdzięku.

Była to istotka wątła, drobniutka, cała drgająca jak nadczuła struna. Ciało jej, zbyt delikatne, zdało się, że nie może ukryć ni przystoniec wspaniałego rozwoju ducha, który jak płomień w drogoceanej lampie, żył w niej życiem czynnym a słodkiem.

— Mój skarbie—szepnęła matka, obejmując ją spojrzeniem, w którym przeświecała cała głębia duszy, wyłącznie ogarnionej tem jedynem uczuciem.

A słowo to, to spojrzenie, ten wyraz, który mu towarzyszył, ta pieśczoćta—przejęły Andrzeja pewnym rodzajem zazdrości, zwątpienia, jak gdyby czuł, że dusza tej kobiety oddała się od niego, kryje przed nim na zawsze, staje się dlań niedostępną.

Guwernantka poprosiła o pozwolenie powrócenia do pałacu. Oni puścili się aleją drzew pomarańczowych. Delfina biegła przodem, tocząc przed sobą „cerceau“; proste jej nóżki, obciśnięte w czarne pończochy, nieco za długie tą wysmukłą długością posążków Tanagry, poruszały się z rytmiczną szybkością.

— Wydajesz mi się pan smutnym jakimś teraz—przemówiła sienneńka do młodzieńca—a przecież przed chwilą jeszcze, kiedyś tu schodził, byłeś wesoły. Może myśl jaka pana udręcza? A może też nie czujesz się dziś zdrowym?

Zadawała te pytania w sposób braterski niemal, poważny i ujmujący, który skłaniał do ufności.

Rekonwalescent doznał nieśmiałej ochoty, niby niejasnej pokusy, by wsunąć rękę pod ramię tej siostry i dać się jej prowadzić w milezeniu, wśród cienia i woni tych drzew, po drodze, zasianej opadłym pomarańczowym kwieciem, którą odgraniczały stare omszałe marmurowe kolumny, zakończone w górze biustami. Wydało mu się, że powraca do pierwszych dni po ustąpieniu choroby, do tych dni niezapomnianego osłabienia, biernego szczęścia bez troski i że potrzeba mu przyjaznej pomocy, przywiązanego przewodnika, ramienia życzliwego. Pragnienie to wzrosło w nim tak silnie, że napływały mu do ust mimowolnie słowa na ich wyrażenie. Na przekór wszakże odpowiedział:

— Nie, pani, czuję się zdrów zupełnie. Dziękuję. To ten czarowny wrzesień odurza mnie tylko cokolwiek.

Popatrzała na niego, jakby pcwątpiwała o szczerości tej odpowiedzi. Potem, aby uniknąć przykrego milezenia po tym wykrętnym frazesie, spytała jeszcze:

— Z pośród miesięcy umiarkowanych, który pan wolisz: kwiecień czy wrzesień?

— Wolę stanowczo wrzesień. Więcej w nim kobiecości, więcej jest tajemniczym i dyskretaym. Podobny on do wiosny, oglądanej we śnie. Pódczas rośliny, zwolna utracając siły, tracą też coś z swej realności. Spójrz pani tam, na morze. Nie jestże to raczej atmosfera niż zbiorowisko wód? Nigdy ten związek nieba i morza nie jest

tak poetycznym i głębokim, jak w dni wrześniowe. A ziemia? Ilekroć w tej porze roku przyglądam się wsi, przychodzi mi zawsze na myśl, nie wiem czemu, piękna kobieta, złożona niemocą po porodzie, odpoczywająca na białym łożu i uśmiechająca się słabym, zdziwionym niegasnącym uśmiechem. Czy to usprawiedliwione wrażenie? Zdaje mi się, że w takim wrześniowym krajobrazie jest coś z odrętwienia i błogości takiej chorej.

Doszli do końca niemal ścieżki. Niektóre kolumny przystawały tak szczelnie do pui drzew pomarańczowych, że tworzyły z nimi jeden pień tylko, roślinny i marmurowy razem a niezliczona ilość owoców, jednych już całkowicie złocistych, drugich procentkowanych w złote i zielone plamy, innych wrzście zupełnie jeszcze zielonych, zwieszała się nad głowami kolumn, które zdały się być stróżami, opiekuńczymi duchami świętych i nietykalnych drzew. Dlaczego Andrzeja ogarnął niepokój i niespodziewana jakaś trwoga kiedy się zbliżył do miejsca, w którym dwa tygodnie temu napisał był owe sonety wyzwolenia? Dlaczego jednocześnie obawa i nadzieja poczęły szarpać mu serce na myśl, że ona może je odkryć i odczytać? Dlaczego niektóre z tych wierszy przyszły mu na pamięć, oderwane od innych, jako wyraz obecnego uczucia, obecnych jego pragnień, tego nowego snu, który roilo jego serce?

Tak, to było prawdą, to było prawdą! Kochał ją; całą swą duszę składał u stóp tej kobiety; jedno jedyne miał tylko pragnienie, pokorne a przecież niezmierne: być ziemią pod jej krokami.

— Jakże tu pięknie! — zawołała sienneńka, wstępując do przybytku Hermesa o czterech obliczach, w raj akantów. — Jakiż tu zapach szczególny.

W samej rzeczy powietrze przepójone było wiewem piżma, tak że można było przypuścić obecność jakiegoś owadu lub płazu piżmowego. Panował tu jakiś cień tajemniczy a smugi światła, co przeciekały przez sklepienie liści, już nabierających jesiennej tu i owdzie barwy, przypominały promienie księżycowego światła, przezierające przez ozdobne kolorowe okna jakiejś katedry. Uczucie zmieszane, pogańskie i chrześcijańskie zarazem, udzielało się temu, co wstąpił do tego przybytku, jak wobec obrazu mitologicznego, malowanego przez pobożnego malarza.

— Patrz pan, patrz na Delfinę! — dodała. A głos jej wyrażał wzruszenie, którego się doznaje na widok piękna.

Delfina splotła zręcznie z ukwieconych pomarańczowych gałązek wieniec i nagłą fantazyą dziecinną wiedziona, zapragnęła uwieńczyć kamienne bóstwo. Ponieważ jednak nie mogła dosięgnąć wierzchołka, usiłowała [dokonać swego zamiaru stanąwszy na palcach, wznosząc w górę

ręce o ile tylko mogła a wąż ta postać, smukła, zdobna i żywa, stanowiła oryginalny kontrast z surowemi kwadratowemi i uroczySTEMI kształty posągu: istny obraz lilijki u stóp dębu. Daremnemi wszakże były wszystkie jej wysiłki.

Wtedy uśmiechniona matka przyszła jej z pomocą. Wyjęła z rączek jej wieniec, który złożyła na czterech pogrążonych w zadumie czołach posągu. Mimowolnie wzrok jej padł na napisy.

— Kto to pisał te wiersze?—spytała Andrzeja, zdziwiona i rozradowana razem. — To pan niezawodnie? Tak, poznaję pańskie pismo.

I aby odczytać, przyklękła szybko w trawie, zaciekawiona, chciwa nieomal. Idąc za jej przykładem i Delfina pochyliła się poza matką, otaczając ramionami jej szyję i twarz oparłszy o matki policzki. Marya czytała po cichu. I dwie te postacie kobiece, pochylone u podnóża wysokiego uwieńczonego kamienia, w niepewnym świetle, wśród symbolicznych krzewów akantu, tworzyły grupę tak harmonijną liniami i kolorytem, że poeta przez kilka chwil pozostał pod wyłącznym wrażeniem estetycznym, pogrążony w niemem uwielbieniu.

Niebawem wszakże niejasna zazdrość poczęła dręczyć go ponownie. Ta wąż istotka, przycisnięta tak szczelnie do swej matki, tak nierozwalnie zlana z matki duszą, wydała mu się osob istym jego wrogiem. Doznawał wrażenia, jak

gdyby nieprzebyta jakaś zaporą wzniosła się między jego miłością, przeciw jego pragnieniom i jego nadziejom. Nie był zazdrosnym o męża, ale był zazdrosnym o córkę. To, czego pragnął od tej kobiety, była to nietyle możność posiadania jej ciała, co możność posiadania duszy; i to posiadania tej duszy całkowicie, wyłącznie; pragnął osiąść wszystkie jej uczucia, wszystkie radości, wszystkie obawy, wszystkie niepokoję, wszystkie marzenia; krótko mówiąc osiąść zupełnie życie tej duszy i mózdz powiedzieć: „Ja jestem życiem jej życia“.

A tu przeciwnie: córka posiadała to wszystko niezaprzeczenie, absolutnie, niepodzielnie. Kiedy ta ukochana oddalała się bodaj na kilka minut, zdało się, że wówczas brakło matce istotnego, podstawowego żywiołu własnego jej istnienia. Przemiana nagła i wyraźna zachodziła w niej, skoro po krótkiej nieobecności dziewczynki, posłyszała znowu ten głos dziecięcy. Czasami, mimowolnie, przez jakiś prąd tajemny, co łączył te dwie egzystencye, jakby przez prawo wspólnego życiowego rytmu, powtarzała ona ruch jakiś córki, jej uśmiech, pozę, jej układ głowy. Czasem, kiedy jej córka odpoczywała lub zasypiała, matka miewała chwile tak głębokiej kontemplacyi, że zdała się tracić świadomość wszystkiego dokoła, by lepiej zlać się w jedno z tą uwielbianą przez się istotą. Ilekroć przemawiała do swej ukochanej, każde jej słowo było pieszczotą a na

ustach nie było już wyrazu boleści. Kiedy ją dziecko obsypywało pocałunkami, dreszcz poruszał jej wargi a oczy o drgających rzęsach napełniały się nieopisaną radością, jak oczy błogosławionej w ekstazie zachwycenia. Kiedy mówiła z innymi ludźmi lub kiedy słuchała ich rozmowy, zdawało się, że czasami miewa nagłe chwile, jakby zatrzymania się myśli, powiedziałbyś, chwilowej nieobecności ducha—a było to zawsze na rzecz tej swojej córki.

Andrzej cierpiał, jak gdyby go dotknęła niepowetowana strata, jakby dlań zagasta wszelka nadzieja: „Kto zdoła kiedykolwiek zerwać te więzy? Kto zdoła pozyskać cząstkę, mniejszą cząstkę tego serca? W tej chwili, w tej chwili nawet alboż to dziecko nie odbiera mu czegoś?”

W rzeczy samej, dla zabawy, Delfina chciała przymusić matkę, by nie powstawała z klęczek. Zwiesiła się i oplotła całym ciężarem szyję Maryi, wołając wśród śmiechu:

— Nie, nie, nie! Nie wstajesz!

A kiedy matka otwierała usta, by przemówić kładła jej na ustach drobne swe rączki, nie dopuszczając do słowa, tak, że kobieta śmiała się tylko; potem znów zawiązywała jej oczy warkoczem a upojona tą zabawką nie chciała jej skończyć.

Andrzej patrzył na nią i doznawał wrażenia, że cały ten gwar i hałas niweczy wszystko, co

może obudziło w sercu kobiety odczytanie owych wierszy.

Kiedy nakoniec udało się Maryi uwolnić od drogiego tyrana, zwróciła się do swego towarzysza, na którego twarzy czytała niezadowolenie:

— Wybacz mi, Andrzeju. Bywają dni, w których Delfina miewa takie napady szalonej wesołości.

Potem zlekka ręką doprowadziła do porządku fałdy sukni. Twarz miała lekko zarumienioną, oddech był cokolwiek przyśpieszony. I dodała z uśmiechem, któremu to niezwykle podniecenie krwi dziwnego przyczyniało uroku:

— I wybacz jej pan, wynagradzając choć tym sposobem jej bezświadome przecucie. Czyliż przed chwilą nie miała tak dobrego natchnienia, by wieńcem weselnym ukoronować pańską poezję, która sławi weselną komunie? Ten symbol niechaj będzie pieczęcią zgody.

— Dziękuję paniom obu—odparł Andrzej, którego po raz pierwszy nazwała po prostu po imieniu.

Ta nieoczekiwana poufałość i te słowa pocziwe powracały mu ufność. Delfina oddaliła się, biegnąc boczną aleją.

— Te wiersze są dokumentem moralnym, nieprawdaż? Dasz mi je pan, zachowam je jako pamiątkę.

Chciał odpowiedzieć:

— Z prawa przynależą one pani dzisiaj. Są twojemi, bo mówią o tobie, bo cię przyzywają.

Ale odpowiedział tylko:

— Dam je chętnie.

Puścili się dalej ku posagowi Cybeli. Nim opuścili gaik, Marya raz jeszcze obejrzała się na Hermesa, jak gdyby ją ztamtąd wołano a czoło jej zdało się zasnuć mgłą zamyslenia. Andrzej zapytał ją z pokorą:

— O czem pani myślisz?

Odparła:

— Myślę o panu.

— I co myślisz pani o mnie?

— Myślę o minionem życiu pańskim, któremi jest nieznanem zupełnie. Musiałeś pan wiele prze-
cierpieć?

— Zgrzeszyłem wiele.

— I wiele także kochałeś?

— Nie wiem. Może miłość nie jest bynajmniej tem, co ja czułem. Może przeznaczeniem mojem jest kochać jeszcze. Doprawdy, nie wiem.

Umilkła. Szli kawał drogi obok siebie w milczeniu. Z prawej strony ścieżka obrzeżona była wielkimi laurowemi drzewami, przerywanemi w równych odstępach czarną zielenią cyprysów; a uśmiechnione morze ukazywało się i zniknęło w głębi, między lekką koronką liścia, błękitne jak kwiecie lnu. Na lewo była spadzistość z rodzajem balustrady, podobnej do poręczy bardzo

długiej ławki z kamienia, która na wierzchołku w całej długości miała kolejno to herby rodziny Ateletów, to znów orły, na przemiany. Pod każdym herbem i pod każdym orłem był zawsze maskaron rzeźbiony, którego usta, zaopatrzone w rurkę, wylewały cienki promień wody w cały szereg postumentów, kształtu sarkofagów, przyozdobionych w mitologiczne płaskorzeźby. Maskaronów tych musiało być sto, aleję tę bowiem nazywano zwykle: „aleją stu Fontann“; niektóre wszakże uszkodzone już były i nie wylewały zupełnie wody, inne zaś skąpym zaledwie sączyły ją strumieniem. Wiele herbów było połamanych a mech pokrywał tarcze; i orzełków niemało było postrącanych, postaci zaś płaskorzeźb wynurzały się z pośród powłoki mechu, jak jakieś srebrne ozdoby, zwilgotniałe, źle pokryte poszarpanym aksamitem. W rezerwoarach na powierzchni wody, przezroczystej i zieleńszej od szmaragdu, drżały wstrząsane wietrzykiem, włosy Wenery lub chwiały się listki róż, opadłych z krzewów; pozostałe zaś fontauny szemrały ochryplą jakąś, przecież melodyjną pieśnią, która spływała z szumem fal morskich niby śpiew na tle potężnego akompaniamentu.

— Czy słyszysz pan? — spytała Marya, która się zatrzymała, przysłuchując tej dziwnej muzyce wód, przejęta zachwytem. — Muzyka wód słonych i muzyka słodkiej fali.

Stała w pośrodku ścieżki, cokolwiek pochyłona ku fontannie, cała przejęta tą podwójną me-

lodyą, z palcem przyłożonym do ust w mimowolnej pozie zasłuchanego człowieka, który się lęka, by mu nie przeszkodzą. Andrzej, bliżej basenów stojący, widział jej profil, rysujący się na tle delikatnej, mistycznej niemal zieleni, niby tle tych zieleni umbryjskich Zwiastowań lub Narodzin.

— Maryo! — szepnął rekonwalescent, którego serce przepęknęło w tej chwili jakaś rzewność niezmierna. — Maryo, Maryo...

Było dla niego niepojętą rozkoszą dołączenie dźwięku tego imienia do harmonijnej muzyki wód. Nie patrząc na niego przyłożyła palec do ust, dając mu znak, by umilkł.

— Wybacz mi pani — rzekł, pokonany wzruszeniem — ale nie mogłem się oprzeć. To dusza moja tak przyzywała ciebie.

Dziwne jakieś uniesienie nim zawładnęło, liryczne szczyty jego duszy zapłonęły i świeciły blaskiem; ta pora dnia, miejsce, wszystkie otaczające go przedmioty zdały się podszeptywać mu miłość; poczawszy od najdalszych krańców morza aż do wąziuchnych strug wodotrysków, wszystko wydało mu się ujętą w jeden krąg magiczny a środkiem tego magicznego koła, jego osią była kobieta.

— Nie będziesz pani wiedzieć nigdy — począł cichym głosem, jak gdyby lękał się ją obrazić — nie będziesz wiedzieć nigdy do jakiego stopnia moja dusza jest twoją.

Ona pobladła jeszcze mocniej, jak gdyby cała krew jej żył nagle zbiegła do serca. Nie odpowiedziała nic; unikała jego spojrzenia. Głosem nieco zmienionym zawołała:

— Delfino!

Dziecko nie odezwało się na to wołanie, widocznie zapuściło się w głąb gaju do końca ścieżki.

— Delfino!—powtórzyła głośniejsz z pewnego rodzaju przestraszeniem.

Przez czas oczekiwania, które nastąpiło po tym okrzyku, słychać było tylko w ciszy, co się jakby wzmogła, pieśń wód.

— Delfino!

Szelest dobiegł z pośród liści, jak gdyby przebiegła wśród nich koza i dziewczynka wynurzyła się z gęstwiny lekkim, spiesznym krokiem, trzymając w ręku słomkowy kapelusz pełen aż po brzegi drobnych czerwonych jagód, które narwała z krzewu mącznicy. Zmęczenie i bieg zarumieniły jej twarzyczkę, ciernie pouczepiały się u wełnianej jej sukienki a kilka listków wplątało się w buntownie rozwiane włosy.

— O, mamó, chodź, chodź ze mną!

Chciała pociągnąć z sobą matkę, aby jej pomogła w zrywaniu owoców.

— Tam, tam, toż ich jest cały las; co za masy, co za masy! Chodź ze mną, mamó, chodź tylko!

— Nie, moja dziecino, proszę cię. Już późno.

— Chodź!

— Za późno już.

— Chodź! Chodź koniecznie.

To naleganie zmusiło matkę do ustąpienia; mała wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

— Jest droga, prowadząca do tego gaiku, nie przez gąszcze — ozwał się Sperelli.

— Słyszysz, Delfino? Jest lepsza droga.

— Nie, mamó. Chodź ze mną!

Delfina pociągnęła ją w stronę morza między gęstwinię dziko rozrosłych laurów. Andrzej szedł za niemi; szczęśliwy był, że może swobodnie przypatrywać się postępującej przed nim postaci ukochanej, że może napoić oczy swe tym widokiem, chwycić każde z jej różnorodnych poruszeń, każdy rytm jej chodu przerywany po nierównej pochyłości, między przeszkodami pni lub splątanych gałęzi. Ale w tymże czasie, w którym oczy pały się tem wszystkiem, dusza zajęta była przede wszystkim jedną tylko jej pozą, jednym wyrazem jej twarzy. O, ta bladość, ta nagła bladość, kiedy wymówił cichuteńko owe tak doniosłe słowa! O, ten niedający się określić dźwięk jej głosu, przywołującego Delfinę.

— Czy to daleko jeszcze? — spytała Marya.

— Nie, nie, mamó. To tutaj, już jesteśmy.

Kiedy przybyli na miejsce, jakaś dziwna nieśmiałość ogarnęła Andrzeja. Odkąd wypowiedział to, co mu ciążyło na sercu, oczy jego nie ośmieliły się spotkać z oczyma Maryi. Co ona też

myślała? Czego doznawała teraz? Jakiemi oczyma patrzyła na niego?

— Jesteśmy już! — zawołała dziewczeczka.

W rzeczy samej laury były tu już rzadsze i widać było dokładnie morze. Nagle gaj krzewów mącznicy zabłysnął purpurą niby las koralowy, który na każdej gałęzce dźwigałby pęki kwiatów.

Marya szepnęła:

— Co za czarowny widok!

Ten gaj czarowny świecił kwiatem i owocem wygięty w arkadę niby hipodrom głęboki i przeświecony słońcem, w którym wdziek morskiego wybrzeża zda się zebrany był cały. Pnie krzewów mącznicy, smukłe i strzelające w górę, różowe po większej części, inne znów żółtawe, dźwigały korony lśniącego liścia, zielonego z wierzchu a modrawego spodem, nieruchomego w tem cichem powietrzu. Pęki kwiecica, podobne do bukietów konwalii, białe i różowe, w niezliczonej masie zwieszały się z wierzchołków młodych pędów, a w górze u starych gałęzi spadały pęki jagód czerwonych i pomarańczowych. Każda gałązka dźwigała ich ciężar, a przepych obfity tych kwiatów, owoców, liścia i gałęzi rozścielał się na żywym lazurze morza z nieprawdopodobną jaskrawością snów, niby pozostałość jakiegoś bajecznego, rajskiego ogrodu.

— Jakież to czarowne!

Marya zbliżała się powoli, nie trzymała już za rękę Delfiny, która biegła naprzód, szalenie rozradowana, przejęta jedynie myślą odarcia całego tego gaju z jego ozdoby. Andrzej ośmielił się powiedzieć:

— Czy przebaczasz mi pani? Nie chciałem cię obrazić. Nawet wyznam, że widząc cię tak wyniosłą, taką daleką gdzieś odemnie, tak czystą, sądziłem, że nigdy, nigdy nie zdołam ci wypowiedzieć tajemnicy mej duszy, że nigdy nie będę błagał twego zezwolenia i nigdy nie stanę na twojej drodze. Odkąd cię, pani, poznałem, wiele myślałem o tobie, dniem i nocą, ale bez wszelkiej nadziei, bez celu. Wiem, że pani mnie nie kochasz, i że nie możesz mnie pokochać. A przecież, wierzaj mi, wyrzekłbym się wszystkiego, co mi ofiarować może życie, byle mógł żyć w najmniejszym kąciku twego serca...

Ona szła wciąż wolno pod drzewami, na które słońce rzucało złote plamy, i z których zwieszały się na jej głowę białe i różowe kiście kwiecia.

— Wierzaj mi, Maryo, uwierz mi. Gdyby mi teraz powiedziano, bym porzucił wszelką próżność, wszelką pychę, wszelkie pragnienia i całą ambicję życia, najdroższe wspomnienia przeszłości, najśłodsze chwile szczęścia przyszłości i żył wyłącznie tylko w tobie i dla ciebie, bez jutra i bez dnia wczorajszego, bez żadnego innego łączącego mnie węzła, bez wszelkich innych względów, gdzieś poza światem, zdala od niego, cał-

kowicie zatopiony w twej istocie zaginiony w niej na zawsze, aż do śmierci, nie zawahałbym się, nie, nie zawahałbym się na chwilę! Wierz mi. Popatrzałaś na mnie i przemówiłaś, uśmiechnęłaś się i odpowiedziałaś mi; usiadłaś obok mnie i pozostałaś w milczeniu, zamysłona; żyłaś tuż obok mnie wewnętrznym twym życiem, tem niewidzialnym i niedostępnym istnieniem, którego ja nie znam, którego nigdy znać nie będę a dusza twoja zagarnęła moją, aż do głębi, nie zmaciwszy się sama, nie domyślając niczego, jak morze pochłania rzekę... Czemże dla pani moja miłość? Czem tobie miłość w ogóle? To wyraz zbyt często profanowany, uczucie zbyt często fałszowane. Ja też nie ofiaruję pani miłości. Ale czyż odmówisz przyjęcia pokornego, hołdu haraczmu pobożnego uwielbienia, który duch mój składa istocie szlachetniejszej i wyższej nad ogólną miarę?

Ona wciąż szła powoli, z głową spuszczoną, bardzo blada, zda się, bez kropli krwi w twarzy, ku ławeczce ustawionej na skraju gajku, wprost morza. Doszedłszy do niej, rzuciła się na nią niedbale, milcząc; Andrzej usiadł obok niej, wciąż mówiąc dalej.

Ławka tworzyła szerokie półkole z białego marmuru; zaopatrzona była w całej swej długości w poręcz do oparcia pleców prostopadłą, poły-skującą, bez wszelkiej innej ozdoby nad nogę lwią wyrzeźbioną u każdego końca w rodzaju podstawy; przypominała ona owe ławki staro-

żytne, na których na wyspach Archipelagu, w Grecyi i Pompei kobiety spędzały czas na przysłuchiwaniu się odeczytywanym przez poetów utworom, w cieniu różowych laurów, w obec nie-
skończoności morza. Krzewy mącznicy kładły
cień na tę ławkę a kontrast białości marmuru
ożywiał jeszcze koral ich gałęzi.

— Kocham wszystko, co pani kochasz; pani
posiadasz wszystko, czego ja szukam. Litość,
którą otrzymałbym od ciebie, byłaby dla mnie
stokroć cenniejszą, niż namiętność każdej innej
kobiety. Czuję, że pod dłonią twoją w mojem
sercu zakiełkowałyby druga młodość dla mnie,
daleko czystsza od pierwszej, daleko zasobniej-
sza w siły. Wieczysta oscylacya, którą jest do-
tychczasowe moje wewnętrzne życie, znalazłaby
wreszcie spokój w tobie, w tobie bezpieczeństwo.
Umysł mój, zawsze niespokojny i niezadowolony,
szarpany wieczną dysharmonią atrakcyi i wstrętów,
upodobań i niesmaku, wieczyste i nieuleczalnie
samotny, znalazłby w twoim duchu przystań,
schron przeciw zwątpieniu, co kła wszelki idea-
lizm, co unicestwia wszelką wolę i osłabia wszel-
ką siłę. Inni są nieszczęśliwsi, ale nie wiem,
czy istniał kiedykolwiek na ziemi człowiek, coby
był mniej szczęśliwym odemnie.

Przyswajał sobie na własność słowa Oberman-
na. W tym rodzaju uczuciowego upojenia, wszyst-
kie gnębiące go zawsze smutki napływały mu na
usta a dźwięk nawet jego głosu, pokorny i c o-

kolwiek drżący, wzmagał jeszcze jego wzruszenie.

— Nie śmiem wypowiedzieć moich myśli. Obok pani, przez przeciąg tych dni niewielu, odkąd cię poznałem, miewałem chwile takiego zupełnego zapomnienia, iż zdawało mi się, że powracam do najpierwszych dni mojej rekonwalescencji, wówczas kiedy żyło we mnie jeszcze głębokie poczucie innego jakiegoś życia. Przeszłość, przyszłość nie istniała: zdawało mi się nawet, że ta pierwsza nie istniała nigdy chyba, że druga nie miała nastąpić nigdy. Świat był dla mnie tylko złudzeniem bezkształtnem i ciemnem. Coś jak sen jakiś unosiło się nad moją duszą, coś niewyraźnego a wielkiego, zasłona co falowała, to gęsta, to znowu przezrocza, poprzez którą przeblyskiwał, to znów przestawał przeblyskiwać tajemniczy skarb jakiś. W tych chwilach cóż pani wiedziałaś o mnie? Z pewnością wówczas twoja dusza była daleką, bardzo daleką odemnie! Jednakże sama tylko obecność twoja wystarczała, by mnie upoić; i czułem jak upojenie to wraz z krwią płynęło w mych żyłach, jak ogarniało mój umysł niby nadludzkie uczucie.

Kobieta milczała, nieruchoma, z głową wzniesioną w górę, wyprostowana, z rękami złożonemi na kolanach, w pozycyi człowieka, który wyteża całą odwagę, najwyższym wysiłkiem walcząc przeciw ogarniającej go słabości. Ale jej usta, wyraz tych ust, daremnie zaciskanych gwał-

townie, zdradzał rodzaj bolesnej jakiejś rozkoszy.

— Nie śmiem wypowiedzieć moich myśli wszystkim. Maryo, Maryo, czy mi wybaczasz? Nieprawdaż, że mi przebaczasz?

Z poza ławeczki wyciągnęły się dwie drobne rączki, by zasłonić oczy matki i głosik drgający weselem, zawołał:

— Zgaduj, zgaduj!

Uśmiechnęła się, przechylając na poręcz ławki; Delfina pociągała ją wstecz drobnymi swemi rączkami, co przyciskały jej powieki. I natychmiast z dziwnie jasną świadomością, Andrzej spostrzegł jak ten lekki uśmiech rozproszył na tych ustach cały nieujęty niepokój poprzedniego ich wyrazu, jak zmazywał wszelki ślad, który mógł się wydawać wskazówką zezwolenia lub wyznania, jak przed nim pierzchał wszelki cień niepewny, który mógł zmienić się w jego duszy w błysk nadziei. I pozostał jak człowiek zawiedziony wobec puharu, który wydawał mu się pełnym a który dla ust jego spragnionych nie zawierał nic— prócz powietrza.

— Zgaduj!

Dzieweczka okrywała głowę matki nawałą szybkich pocałunków, z pewnego rodzaju frenezją, może nawet ból jej sprawiając.

— Wiem kto to jest, już wiem kto to jest — mówiła matka, oślepiąca tym uściskiem. — Puść mnie!

— A co mi dasz za to jak cię puszcę?

— Wszystko, co zechcesz.

— Więc chcę mieć konia, żeby przewiózł cały zbiór moich jagód, do domu. Chodź zobacz ile ich mam!

Okrażyła ławeczkę i ujęła matkę za rękę. Ta powstała, nie bez pewnego trudu a skoro już stała, kilkakrotnie mrugnęła powiekami, jak gdyby chciała przywrócić oczom olśnionym, pewność spojrzenia. Andrzej powstał również. Oboje poszli za Delfiną.

Kapryśna dziewczynka spustoszyła niemal do połowy gaik z owoców. Na wszystkich niższych gałęziach nie pozostało ni jednej jagody. Za pomocą trzciny, Bóg wie gdzie znalezionej, udało się jej dokonać zdumiewającego tego żniwa, potem zebrała wszystkie owoce w jeden jedyny stos, który jaskrawością swoich barw na brudnym tle ziemi przywodził na pamięć stos rozżarzonych węgli. Kiście kwiatów wszakże nie skusiły jej widocznie, bo zwieszały się jeszcze, białe i różowe na przemiany, z żółtawym czasem odzieniem z gałęzi krzewów, przezrocze niemal, delikatniejsze niż grona akacyi, ładniejsze niż konwalie, skąpane w świetle rozlanem niby w przezroczu mleka, zaprawionego ambrawą.

— O! Delfino, Delfino, co ty zrobiłaś? — zawołała Marya, ujrawszy to spustoszenie.

Dzieweczka śmiała się, uszczęśliwiona, przed tą różową piramidą.

— Trzeba to będzie wszystko tu pozostawić.

— Nie, nie...

Naprzód nie chciała się na to zgodzić żadną miarą. Potem zastanowiła się i powiedziała jakby do siebie samej z błyszczącymi oczyma:

— Sarenka przyjdzie to zjeść.

Być może, że spotrzegła przed chwilą w głębi parku błakającą się swobodnie sarnę i myśl, że dla niej nagromadziła to pożywienie zadawałniała ją, zapalając jej wyobraźnię, pełną już baśni, w których sarenki są dobrymi i potężnymi wrózkami, co odpoczywają na aksamitnych poduszkach i piją z czar z szafiru. Umilkła zamysłona, widząc może już w myśli, jak płowe zwierzątko pasie się jej jagodami pod cieńcem kwitnących krzewów.

— Chodźmy do domu — ozwała się matka — już późno.

Trzymała Delfinę za rączkę i szła wraz z nią pod kwitającymi krzewami. Na skraju lasu, zatrzymała się, by się spojrzeć na morze.

Wody, odbijające refleksy chmur, miały pozór olbrzymiego zwoju rozrzuconej jedwabnej materii, delikatnej, płynnej, mieniającej się w liczne barwy i sfalowanej w szerokie fałdy a obłoki biało-złote, odosobnione jedne od drugich, przypominały statuy przysłonięte gęstymi welonami i ustawione na moście bez arkad.

W milczeniu zerwał Andrzej pęk kwiatów z krzewu macznicy, tak obfity, że się pod jego ciężarem Ded do „Prz. Tyg.“ — G. D'Annunzio. „Dziecko rozkoszy“ 16

uginąła gałązka i podał go Maryi. Ona, odbierając ten kwiat popatrzała na niego, ale nie wy-mówiła ani słowa.

Zwrócili się napowrót ścieżką. Ale Delfina rozmawiała teraz bezprzestannie, powtarzając po sto razy jedne i też same rzeczy, opanowana myślą o swej sarence, mieszając z sobą najdziwaczniejsze fantazy, wymyślając długie monotonne opowieści, wikłając jedną baśń z drugą, płącząc ich przygody, w których sama już nie mogła się po-łapać w końcu. Mówiła, mówiła wciąż, nieomal nie wiedząc co mówi, jak gdyby powietrze poranne ją upoiło; ową swą wymarzoną sarenkę otaczała królewiczami i królewnami, kopciuszkami, magami, potworami, całym personelem królestwa wyobraźni, iście jak w bezprzestannych przemianach snu. Mówiła w taki sposób jak ptaszek świer-gocze, z melodyjnymi modulacyami, czasami wy-powiadając cały szereg dźwięków, które nie by-ły zgoła wyrazami, którymi tylko kończyła się rozpoczęta muzyczna fraza, tak jak struna, co w czasie paury dopowiada swem drżeniem takt niedokończony.

Marya i Andrzej nie mówili nic zgoła, ale też i nie słuchali. Zdawało im się jednakże, że szczebiot dziewczynki pokrywał szept własnych ich myśli; doznawali bowiem wrażenia, że wraz z przecho-dzącymi przez głowę ich myślami, coś nieokre-ślonego a dźwięcznego wymykało się z ich móz-gów, coś, co w ciszy możnaby rozróżnić fizycznie;

a jeśli Delfina zamilkła na sekundę przejmował ich jakiś niepokój i lęk niewytłómaczony, jak gdyby ta cisza groziła odsłonięciem, obnażeniem zupełnem ich dusz.

Aleja Stu Fontann ukazała się w przedłużonej perspektywie, gdzie zwierciadła wody rozerwoarów i ściekające jej strugi migotały jak drobne kryształki, jak ruchoma przejrzystość jaspisu. Paw, co siedział na jednej z tarcz herbowych wleciał z szmerem w powietrze, strącając po drodze opadające listki róż. O kilka kroków dalej, Andrzej poznał tę fontannę, przed którą Maryja mu powiedziała:

— Słyszysz pan?

W ustroni Hermesa woń piżma już się rozproszyła. Hermes zamysłony, pod ciężarem zdobiącego go wieńca, otoczony był promieniami, wciśkającymi się przez szczeliny wśród gęstwiny liścia. Kosy śpiewały, odpowiadając sobie wzajem. Delfina, zdjęta nowym kaprysem, zawołała:

— Mamo, oddaj mi mój wieniec.

— Nie. Zostawmy go. Dlaczegoż chcesz go odbierać?

— Oddaj mi, żebym go mogła dać Murielli.

— Muriella popsułaby go tylko.

— Oddaj mi go, proszę cię!

Matka popatrzała na Andrzeja. On zbliżył się do posągu i zdjął z niego wianek, który oddał Delfinie. W umysłach ich, podnieconych w tej

chwili, przesąd, jedna z tych rozterek ducha, jaką miłość obudza nawet w wysoce inteligentnych umysłach, nadał natychmiast temu małoznaczącemu epizodowi jakąś alegoryczną tajemniczość. Wydało im się, że w tym tak prostym fakcie ukrywa się jakiś symbol. Nie wiedzieli dobrze jaki, ale mimo to zajmowali się nim ciągle. Jeden wiersz sonetu dręczył ciągle Andrzeja:

„Zezwól na to, królowo i nieba i ziemi...“

W miarę jak przybliżał się już koniec ścieżki, udręczenie jego wzrastało, ściskając mu coraz bardziej serce; i dałby był połowę krwi własnej za jedno słowo tej kobiety. Ona po stokroć chciała już zacząć mówić, ale nie odezwała się ani słowem.

— Patrz tam, mamol! Czy widzisz Ferdynanda, Muriellę, Ryszarda?—zawołała Delfina, która w przeciwnym końcu alei spostrzegła dzieci margrabiny.

I pobiegła conajprędzej, wzniosłszy w górę swój wieniec:

— Muriello! Muriello! Muriello!

V.

Marya Ferrès pozostała wierną młodocianemu nawyknienu zapisywania codnia w swym dzienniku podręcznym myśli, radości i smutków, marzeń, wzruszeń, aspiracyj, żalów i nadziei, wszystkich faz wewnętrznego życia, wszystkich epizodów zewnętrznego, tworząc w ten sposób rodzaj pamiętnika duszy, który lubiła odczytywać czasami, aby zeń wyciągnąć wskazówki na przyszłą życia drogę i odnaleźć ślady rzeczy zdawna zmarłych.

Znaglona przez okoliczności do szukania w samej sobie oparcia, zawsze zamknięta w swej czystości, jako w „wieży z kości słoniowej“, niepokalanej i niedostępnej, znajdowała ulgę i wzmocnienie w tym rodzaju codziennej spowiedzi, powierzanej białej kartce tajnej książki. Tam to ubolewała nad spotykającemi ją przykrościami, tam dawała wolny bieg łzom, starała się odgadnąć zagadki swego serca, zadawała pytania swemu sumieniu, nabierała za pomocą modlitwy znów odwagi, szukała odetchnienia w rozmyślaniu, od-

dalala od siebie wszelką słabość i wszelkie prózne obrazy, oddawała ducha swego w ręce Pana nad Pany. A każda z tych kartek jaśniała temże samem światłem—światłem prawdy.

*

*

*

Dnia 15 września, Schifanoia.

Jakże się czuję znurzoną. Podróż cokolwiek mnie zmęczyła; powietrze morskie i wsi cokolwiek mnie rozstroiło. Potrzebuję wypoczynku i zdaje mi się, że z góry już kosztuję dobroczynnego wpływu snu i słodczy jutrzejszego przebudzenia. Zbudzę się w domu przyjaznym i gościnnym Franciszki, w tej Schifanoii, która ma tak piękne róże i cyprysy tak wielkie; i zbudzę się z perspektywą kilku tygodni spokoju przed sobą, dwudziestu dni duchowego istnienia, może i więcej. Jestem nadzwyczaj wdzięczna Franciszce za jej zaproszenie. Zobaczywszy ją tu znowu, zdało mi się, że spotykam siostrę. Ileż zmian we mnie i jak one głębokie w stosunku do owych pięknych, razem przeżytych, czasów florenckich!...

Dziś z powodu moich włosów Franciszka przypomniła upodobania i burze, wynikłe w owych czasach i Karolinę Fiordelise i Gabryelę Vanni i całą tę tak daleką historję, która dziś wydaje mi się nie przeżyta, ale czytana gdzieś chyba w jakiejś starej zapomnianej księdze lub widzianą we śnie. Włosy moje nie opuściły mnie, ale natomiast opuściło mnie tyle innych rzeczy, da-

leko żywotniejszych. Ile włosów na mojej głowie, tyle snopów boleści w mojej doli.

Dlaczego jednak smutek chwyta mnie napowrót w swe szpony? Dlaczego wspomnienia tak mnie bołą? Dlaczego od czasu do czasu rezygnacya moja jest zachwiana? Nic nie pomogą ubolewania na grobie a przeszłość jest jakby grobem, który już nie oddaje umarłych. Mój Boże, daj bym ją zapamiętała raz na zawsze!

Franciszka jest jeszcze młodą; zachowała tę uroczą, szczerą wesołość, która w klasztorze niegdyś drażniła tak dziwnie mój umysł, z natury poważny, smutny cokolwiek. Ma ona wielką a rzadką zaletę: jest zawsze wesołą, ale to jej nie przeszkadza bynajmniej rozumieć boleść innych, którą umie uśmierzać swem współczuciem. Przedewszystkiem jest to kobieta inteligentna, o wytwornym smaku, skończenie doskonała gospodyni domu, przyjaciółka, która nigdy nie może stać ci się ciężarem. Może być, że trochę zanadto wielkie ma upodobanie w rzucaniu dowcipów nieco ostrych, ale jej strzały miewają zawsze złote ostrze i ciskane bywają z niezrównanym wdziękiem. Niezawodnie, z pośród wszystkich światowych kobiet, jakie znałam, ta jest najwytworniejszą a ze wszystkich moich przyjaciółek ona jest mi najmilszą.

Dzieci jej w niczem nie są do niej podobne; zgoła nie są ładne. Jedna tylko córeczka, Muriella, jest miłutka; ma śmiech tak czysty dźwiękiem

i oczy matki. Ona to przyjmowała moją Delfinę z uprzejmością prawdziwej damy. Najniezawodniej też odziedziczy szlachetny układ swej matki.

Delfina, jak mi się wydaje, czuje się tu szczęśliwą. Zwiedziła już większą część ogrodu; doszła aż do morza, przebiegła wszystkie schody tarasów i przyszła opowiadać mi cuda, cała zdyszana, potykając słowa, z rodzajem olśnienia w oczach. Powtarzała często imię nowej swej przyjaciółki, Murielli. Imię to, pełne wdzięku, w jej ustach staje się jeszcze wdzięczniejszym.

Śpi teraz—i jak głęboko. Skoro jej oczy są zamknięte, rzęsy kładą na górną część policzków cień długi, tak długi. Tego wieczora kuzyn Franciszki zachwycał się tem i powtarzał mi wiersz Szekspira z „Burzy“, prześliczny wiersz o rzęsach Mirandy.

Zapach jest zbyt silny w tym pokoju. Delfina, nim zasnęła, chciała, bym postawiła przy jej łóżku bukiet róż. Teraz wszakże, kiedy śpi, zabiorę go i wyniosę na powietrze, do logii.

Jestem zmęczona a przecież napisałam coś trzy czy cztery strony. Spać mi się chce a przecież chciałabym „przedłużyć“ jeszcze ten nieokreślony półsen mojej duszy, chwiejący się na fali niewiedzieć jakiego serdecznego uczucia, rozlanego we mnie i dokoła mnie. Od tak dawna, od tak dawna już nie czułam się otoczona odrobiną choćby życziwości!

Franciszka jest bardzo dobra i jestem jej niezmiernie też wdzięczną.

Wyniosłam bukiet do logii i pozostałam tam też kilka minut, przysłuchując się szmerom nocy; żal mi było tracić w bezświadości snu te godziny, co upływają pod tak pięknem niebem. Dźwięki wodotrysków i daleki szum morza spływają się w dziwnie harmonijny akord. Cyprysy przedemną wydawały się kolumnadą, na której wspiera się strop niebios; gwiazdy świeciły tuż ponad ich wierzchołkami i zdały się je zapalać.

Dlaczego nocą fala woni ma w sobie coś, co przemawia, miałażby i ona swe znaczenie, swój język?

Nie, nocą kwiaty nie zasypiają.

*

*

*

16 wrzesień.

Rozkoszne popołudnie, spędzone niemal całkowicie na pogadance z Franciszką, w logii, na tarasach, wzdłuż alei, we wszystkich tych odstępionych miejscach zamku, zbudowanego, zda się przez księcia-poetę po to, by tu zapomnieć o wszystkich zmartwieniach... Nazwa pałacu Ferrary jest nazwą, która dlań najlepiej przypada.

Franciszka dała mi do przeczytania sonet bratniego Sperelli, napisany na welinie, drobnostka rzadkiej wytworności. Ten Sperelli, to umysł

prawdziwie wybrany i pełen treści. Przy stole, dziś rano wypowiedział kilka rzeczy bardzo pięknych. Jest jeszcze rekonwalescentem po strasznej ranie, otrzymanej w pojedynku, odbytym w maju tego roku w Rzymie. W każdej czynności swej, w każdym słowie, spojrzeniu ma ten rodzaj zaniedbania życzliwego i serdecznego, który jest zwykły rekonwalescentom, tym, co wyszli z rąk śmierci. Musi być bardzo młody, ale widocznie żył wiele i to życiem burzliwym. Nosi też ślady walki.

Wieczór przecudny, wieczór otwartej, poufalej gawędki, po obiedzie. Może i mówiłam za dużo, lub przynajmniej zanadto gorąco. Ale Franciszka słuchała mnie z zajęciem i dopomagała; tak samo i hrabia Sperelli. W rozmowie, która nie jest pospolitą, jedna z najwyższych przyjemności leży w tem właśnie, że się czuje, iż równy stopień zapалу ożywia wszystkie, biorące w niej udział, umysły. Wówczas tylko słowa nabierają dźwięku szczerości i sprawiają prawdziwą przyjemność temu, co ich słucha.

W rzeczach muzyki kuzyn Franciszki jest znawcą wyszukany. Uwielbia mistrzów XVIII wieku a głównie wśród kompozytorów fortepianowych Dominika Scarlatti. Najgorętszą jednak jego miłością jest Sebaetyan Bach. Chopin niebyt mu się podoba; Beethoven za głęboko go przejmuje i zanadto niepokoi. Co do muzyki kościelnej po Beethovenie w *Missa solemnis*, według jego mnie-

mania jeden tylko Mozart może iść w porównanie z Bachem „W samej mszy może—powiedział—głos nadziemskości nie dochodzi do religijnej grozy, która wybuchą w *Tuba mirum* i w *Requiem*. Nie, ten, co miał takie poczucie nadziemskości, tak głębokie zrozumienie, by stworzyć muzycznie widmo komandora, nie był zaprawdę grekiem, platonikiem, czystym czcicielem i poszukiwaczem wdzięku, spokoju, piękna...”

Wypowiedział te słowa i inne jeszcze z tym szczególniejszym akcentem, który przybierają, mówiąc o sztuce, ludzie, co pogrążają się w poszukiwaniu rzeczy wzniosłych i niedościgłych.

A następnie, słuchając mnie, miał dziwny wyraz, jakby zdumienia a czasami niemal niepokoju. Prawie zawsze zwracałam się oczyma ku Franciszce a jednakże czułam, że wzrok miał we mnie utkwiony z uporem, który mnie wprawiał w zakłopotanie, ale który nie obrażał mnie bynajmniej. Musi jeszcze być chorym, osłabionym i z tego powodu zbyt wrażliwym. Nakoniec spytał mnie: „Czy pani śpiewa?” Tym samym tonem, jakim byłby zapytał: „Czy kochasz mnie pani?”

Zaśpiewałam arję Paisiella i inną jeszcze Salieriego. Zagrałam coś z muzyków XVIII wieku. Miałam głos ciepły i szczęśliwą rękę w wyborze.

Nie pochwalił mnie. Pozostał milczący. Dlaczego?

Delfina spała już na górze w swoim pokoju. Kiedy poszłam zajrzeć do niej, zastałam ją śpiącą, ale z wilgotnymi jeszcze rzęsami, jak gdyby płakała przed chwilą. Biedna dziecina! Dorothy powiedziała mi, że głos mój dochodził tu wyraźnie i że Delfina rozbudziła się z pierwszego snu i poczęła szlochać, gwałtem napierając się iść na dół.

Zawsze, ilekroć śpiewam, ona płacze.

Teraz śpi. Ale od czasu do czasu, oddech jej staje się przyspieszonym, podobnym do powstrzymanego łkania i wówczas mnie samej zapiera coś oddech w piersi, jakby potrzeba odpowiedzenia na to łkanie bezwiedne, na to udręczenie, którego sen nie mógł ukoić. Biedna dziecina!

Kto to gra na dole na fortepianie? Ktoś z przyciszonym pedałem próbuje gawota Rameau, gawota, pełnego czarownej melancholii, tegoż samego, którego grałam przed chwilą. Kto to być może? Franciszka wraz ze mną poszła na górę; późno już.

Wyszłam do logii, wychyliwszy się nieco. W przysionku ciemno; światło zostało jeszcze tylko w przyległej sali, w tej, w której margrabia z Manuelem grają w karty jeszcze.

Gawot ustaje. Ktoś schodzi do ogrodu po schodach.

Mój Boże! Dlaczego jestem tak uważną, tak czujną, tak ciekawą? Dlaczego tej nocy prze-

muje mnie wewnętrznym niepokojem każdy zasłyszany szelest?

Delfina budzi się, woła mnie.

*

*

*

17 wrzesień.

Manuel wyjechał dziś rano. Odprowadziłyśmy go na stację Rovigliano. Przyjedzie po mnie około 10-go października i pojedziemy do Sienny, do mojej matki. Prawdopodobnie pozostanę z Delfiną w Sienie, aż do nowego roku; dwa lub trzy miesiące. Zobaczę znów Łożę papieżką, „Fontannę wesela“ i moją katedrę biało-czarną, ten drogi przybytek Przenajświętszej Panny, w którym jedna część mojej duszy pozostała jeszcze na modlitwie w pobliżu kaplicy Ohigi, w miejscu, które dobrze znają moje kolana.

Jasnym zachowałam zawsze obraz tego miejsca w mej pamięci. Za powrotem uklęknę w tymże samym punkcie, gdzie to czyniłam zwykle, zupełnie w tym samym; znajdę go dokładniej, niż gdyby tam pozostały dwa wyżłobienia głębokie od moich kolan. I tu odnajdę tę część mojej duszy, która tam modli się jeszcze, pod gwiaździstym lazurem sklepienia, co się przegląda w marmurach ścian, jak nocne niebo w spokojnej wód toni.

Z pewnością nic się tam nie zmieniło. W drogocennej kaplicy, pełnej drgającego cienia, ciemności, ożywionej odblaskami drogich kamieni, pło-

nęły lampy; ale światło zdało się koncentrować w ciasnym kręgu oliwy, co podsyciała drobne ich płomyki, niby w roztopionym topazie. Zwolna, pod mojem uważnem spojrzeniem, zdobny marmur przybierał gorętszą jakąś bladość i niby ciepło żółtawej słońcовой kości; zwolna wstępowało w marmur blade życie niebiańskich istot i rozlewała się w marmurowych kształtach przezroczość anielskiego ciała.

Jakże żarliwą i natchnioną była moja modlitwa! Kiedy czytałam „Philoteę“ św. Franciszka, zdawało mi się, że słowa księgi padały mi na serce jakby łyzy miodowe, jakby krople mleka. Kiedy pograżyłam się w rozmyślanie, zdawało mi się, że stąkam po najtajniejszych drożynach mej duszy, jak po ogrodzie rozkosznym, w którym słowiki śpiewają wśród drzew, osypanych kwieciami, w którym gruchają gołębie nad brzegiem strumienia przedwiecznej Łaski. Pobożność wlewała w moje serce spokój, pełen świeżości i woni, pod jej tchnieniem rozwijały się w duszy mojej święte pierwiosniki, róże mistyczne i nadprzyrodzone lilie. I w starej mojej Siennie, w odwiecznym przybytku Przenajświętszej Dziewicy, com słyszała donośniej ponad wszystkie inne odgłosy, to zawsze wołanie dzwonów.

*

* 18 wrzesień.

Godzina nieopisanej męczarni. Zdaje mi się, że jestem skazana na zbieranie, składanie, dopaso-

wywanie i odtwarzanie fragmentów snu, którego jedna część ma się za chwilę urzeczywistnić gdzieś poza mną, gdy tymczasem druga żyje jeszcze i porusza się w głębi mojego serca. I trudzę się, trudzę, nie mogąc nigdy złożyć go w jedną całość.

*

*

19 wrzesień.

Nowa tortura. Dawno już temu bardzo, ktoś zaśpiewał mi jakąś piosenkę, ale jej nie dokończył. Dziś ktoś tę piosnkę podejmuje w tym właśnie miejscu, w którym została przerwana; ale jam od dawien dawna zapomniała początku. I kiedy tak usiłuję przypomnieć go sobie, by powiązać z tem, co następuje, duch mój błąka się: nie odnajduje dawnych dźwięków i nie może cieszyć się nowemi.

*

*

20 wrzesień.

Po śniadaniu Andrzej Sperelli zaprosił nas, Franciszkę i mnie, żebyśmy przyszły obejrzyć w jego apartamencie rysunki, które mu wczoraj z Rzymu nadeszły.

Powiedzieć można, że tego popołudnia cała jedna gałąź sztuki przesunęła się przed naszymi oczyma, sztuki wystudyowanej i zanalizowanej ołówkiem rysownika. Dla mnie była to jedna z największych przyjemności w życiu.

Rysunki te, wszystkie wykonane ręką Sperellego, są jego studyami, szkicami, notatkami wspo-

wnieniami, które zbierał tu i owdzie, po wszystkich galeryach Europy, to jest, powiedziećbym mogła, jego brewiarz, cudny brewiarz, gdzie każdy ze starych mistrzów ma swą najlepszą, najwznioślejszą kartę, co wciela i streszcza jego maniery, co wyprowadza na jaw najwyższe i najoryginalniejsze piękności w jego dziełach.

Wydaje mi się, że jestem upojona sztuką; mózg mój przepelniony jest liniami i kształtami a w tem zmieszaniu, w tym chaosie, co mi najbardziej stoi przed oczyma ciągle to głowy kobiece pierwszych malarzy chrześcijaństwa, niedające się zapomnieć głowy świętych i Madon, też same, co w starej Siennie uśmiechały się witały dziecięcą mą pobożność z wysokości fresków Taddea i Simone. Wszystkie te pozy szlachetne i poważne w chwili kiedy odbierają kwiat z rąk anioła, lub przykładają palec do otwartej księgi, czy wreszcie kiedy się pochylają ku Dzieciątku, by je przyjąć na swe kolana, kiedy błogosławią, konają, wstępują do niebios, wszystkie te czyste postacie szczerze i głęboko rozrzewniają i wstrząsają duszę do głębi i odbijają się one na zawsze w pamięci, jak widok ludzkiego smutku, ujrzany w rzeczywistości życia, w rzeczywistości śmierci.

Dziś jedna po drugiej, te głowy kobiece przesuwają się przed naszymi oczyma. Franciszka i ja siedziałyśmy na niskiej otomanie, przed nami ustawiono wielki pulpit a na tym pulpicie rozłożoną była skórzana teka, zawierająca rysunki, które

autor, siedzący po przeciwnej stronie, przekładał nam zwolna i komentował w miarę pokazywania. Za każdym razem widziałam jak jego ręka ujmowała kartę i przekładała ją na drugą stronę teki szczególnie delikatnie; i za każdym razem czułam jakby zlekka przejmujący mnie dreszcz, jakby obawę, że ta ręka może mnie dotknąć. Dlaczego?

Była chwila, że dotychczas zajmowane miejsce wydało mu się widocznie, niedogodnem i przykleknął na dywanie przewracając dalej kartki. Ilekroć mówił, nieomal zawsze zwracał się do mnie i miał taką minę, jakby mnie nie pouczał, ale raczej rozprawiał z osobą, równie dobrze jak on znającą się na malarstwie i w głębi duszy czułam z tego powodu zadowolenie, połączone z wdzięcznością. Ilekroć wydawałam okrzyk zachwytu, patrzył na mnie z uśmiechem, który teraz widzę jeszcze, ale którego nie umiem określić. Dwa czy trzy razy Franciszka oparła popufale rękę na jego ramieniu, przez nieuwagę. Widząc głowę pierworodnego Mojżesza, skopiowaną z fresku Sandro Botticellego w kaplicy Sykstyńskiej, ozwała się:

— Ta głowa ma cokolwiek twojego wyrazu twarzy, kiedy jesteś smutny.

Widząc znów głowę Michała Archanioła, cząstkę Madonny Pawijskiej, malowanej przez Perugina, zawołała:

— Julia Moceto podobna do niego, nieprawdaż?

Zamiast odpowiedzieć odwrócił kartkę cokolwiek prędzej. Wówczas ona dodała z śmiechem:

— Zdala teraz odemnie, obrazy grzechu!...

Ta Julia Moceto nie byłaby kobietą, którą on kochał niegdyś? Skoro kartka została odwrócona, zdjęta mnie niepojęta ochota przypatrzenia się raz jeszcze Michałowi Archaniotowi uważniej. Czyliż była to tylko ciekawość?

Nie wiem. Nie śmiem zaglądać w tajnie mej duszy. Wolę raczej zwłóczyć i oszukiwać siebie samą. Brak mi odwagi do podjęcia walki. Jestem małoduszna.

Jednakże obecna chwila jest mi przyjemną. Umysł mój jest podniecony, imaginacya gorętsza, jak gdybym wypita sporo filiżanek bardzo mocnej herbaty. Nie mam najmniejszej ochoty położyć się. Noc jest ciepła jak w sierpniu; niebo jasne, ale zasute obłokami, podobne do tkaniny z perłę; oddech morza dobiega powolny i niski tonem, ale szmer fontann wypełnia pauzy. Loggia pociąga mnie ku sobie. Pomarzymy trochę. O czem marzyć?

Nie, bądź rozsądną. Pomódl się raczej, połóż i uśnij.

21 wrzesień.

Niestety, trzebaż więc wiecznie rozpoczynać bolesny znój wchodzenia po spadzistości, na którą już się wdarło!

*

*

22 wrzesień.

Dał mi tom swoich poezyj, „Baśń o Hermafrodyce“ dwudziesty pierwszy z dwudziestu pięciu egzemplarzy, wydrukowanych na welnie z dwoma probami tytułowej karty artystycznie wykonanemi.

Szczególniejsze to dzieło, w którem kryje się myśl tajemnicza i głęboka, jakkolwiek żywiół muzyczny w niej przeważa, unosząc duszę w magię niezastyszanych nigdy dźwięków i spowijając myśli, które migocą i iskrzą się jak pyłek złoty i kropel brylanty w przezzystych falach rzeki.

Chóry centaurów, syren i sfinksów dziwnym przejmują niepokojem, budząc w uchu i umyśle trwogę i ciekawość niezaspokojoną, będące wynikiem bezustannego kontrastu, podwójnego uczucia, razem ludzkiego i zwierzęcego. Z jakąż jednak czystością, powiedzieć można *widzialną*, forma idealna Androgyny rysuje się pośród gwarnych chórów potworów! Żadna muzyka nie upoiła mnie tak jak ten poemat, żaden posąg nie dał mi wrażenia bardziej harmonijnego piękna. Niektóre wiersze ścigają mnie bez wytchnienia i ścigać mnie będą bardzo długo jeszcze może. Takie są pełne sily!...

Z dnia na dzień, z godziny na godzinę, bezustannie zdobywa on sobie mój umysł i moją duszę, wbrew mojej woli, wbrew memu oporowi. Jego słowa, jego spojrzenia, jego gesty, jego najmniejsze ruchy—chwytają mnie za serce.

23 wrzesień.

Kiedy rozmawiamy sobą, czuję czasami, że jego słowa są jakby echem moich myśli.

Czasami zdarza mi się czuć, jak nagły czar, jakaś nagła atrakcyja niewyrozumowana, gwałtowne pragnienia—popychają mnie do wypowiedzenia jakiegoś zdania, do wymówienia słowa, które mogłoby odsłonić moją słabość. Jeśli ocalała dotąd, to prawdziwie tylko cudem; a wówczas następuje przerwa ciszy, podczas której czuję jak mną wstrząsa drżenie wewnętrzne. Kiedy napowrót zabieram głos, wypowiadam coś banalnego, nieznaczącego, tonem lekkim, słę wydaje mi się, że płomień gorący przebiega mi po skórze twarzy, jak gdybym miała się zarumienić gwałtownie. Gdyby pochwyił tę sekundę i zajrzał mi stanowczo w oczy, byłabym zgubioną...

Tego wieczora dużo grałam Bacha i Schumannna. Jak wówczas — i dziś siedział po mojej prawej stronie, nieco poza mną w skórzanym fotelu. Od czasu do czasu, przy końcu każdej sztuki podnosił się i, pochylony nad mojem ra-

mieniem przewracał kartki książki, aby mi wskazać nową, znów fugę, inne intermezzo, lub inną improwizację. Potem napowrót siadał w fotelu i słuchał, nieporuszony, zadumany głęboko, z oczyma utkwionemi we mnie, tak że czułam ciągle jego obecność:

Czyliż rozumiał, ile mnie samej, mojego smutku, mojej najtajniejszej, wewnętrznej istoty przechodziło w tę muzykę, stworzoną przez innych?

„Muzyko, srebrny kluczu, co otwierasz źródło łez, z którego duch pije aż do zbłąkania się rozumu; czarowny grobie tyłu niepokojów, gdzie ich matka Bolesć, niby dziecię śpiące, odpoczywa drzemiąca wśród kwiatów...” (Shelley).

Noc jest pełna grozy. Wiatr gorący i wilgotny powiał po ogrodzie i jęk jego ponury, rozlegający się w ciemności długiemi echem, milknie, potem znów poczyna wyć silniejszy jeszcze. Wierzchołki cyprysów chwieją się pod sklepieniem niebios, czarnem niemal, na którym gwiazdy zdają się nawpół zagasłe. Gromada chmur przebiega przestrzeń z jednego w drugi koniec horyzontu; pokrajane, porwane w szmaty, o mocnych konturach, czarniejsze jeszcze niż niebo, podobne do tragicznej rozpuszczonej kosa Meduzy. W ciemności morze jest niewidzialnem, ale słysząc jego łkanie niby łkanie niezmiernej, nieopieczzonej boleści.

Zkądże to przerażenie we mnie? Zdaje mi się, że noc ta przepowiada mi blizkie nieszczęście i że temu proroctwu odpowiada w głębi mego serca

jakiś nieokreślony wyrzut sumienia. Preludium Bacha przesładuje mnie dotąd, zlewa się w mojej duszy z jękiem wichru i łkaniem morza.

Nie było to coś za mnie samej, co przed chwilą tak płakało i skarżyło się w ciemnościach nocy?

Dusza jakaś zawodziła płaczem i jękiem, dręczona snąc niepokojem, trwogą; dusza płakała, jęczała, przyzywała Boga, błagała Jego przebaczenia, wzywała Jego pomocy, rzucała w przestrzeń modlitwę, co niby płomień biegła wprost w niebo. Przywoływała i była wysłuchiwaną; modliła się i jej modlitwa była przyjęta; spływało na nią światło z góry, okrzyk radosny wydierał się z jej piersi, wreszcie pochwyciła Pokój i Prawdę i odpoczywała w wszechłaskawości Pana.

Zawsze córka moja mnie umacnia. Leczy mnie z mej gorączki, jak balsam jakiś boski.

Śpi, w cieniu rozświetczanym przez lampę, o świetle tak łagodnem jak księżyc. Twarz jej biała śnieżną świeżością róży białej, tonie w obfitości ciemnych włosów. Rzekłbyś, że wątki tkanka powiek zaledwie wystarcza do przysłonięcia jej oczu. Pochyliłam się nad nią, wpatruję; i wszystkie odgłosy nocy zamierają dla mnie i ciszę odmierza mi już teraz tylko wyłącznie rytmiczny oddech jej życia.

Czuje bliskość swej matki widocznie. Podnosi ramię i napowrót je opuszcza, uśmiecha się ustecz-

kami, rozwijającemi się jak kwiat, operlony rosą; i przez chwilę z poza jej rzes ukazuje się przepych podobny do srebrzystego wilgotnego przepychu kwiecica złotogłowu. Im dłużej w nią się wpatruję, tem więcej przybiera ona w moich oczach pozór eterycznej jakiejś bezmateryjalnej istoty, istoty wytworzonej z żywiołu *as dreams are made on*.

Zkąd to pochodzi, że gdy chcę dać pojęcie o jej piękności i duchowości mimowolnie przychodzą mi na pamięć obrazy i określenia Szekspira, tego poety potężnego, dzikiego i okrutnego, którego usta sączą miód tak dziwnie słodki?

Wzrośnie, wykarmiona i owiana płomieniem mojej miłości, mojej wielkiej, mojej jedynej miłości...

O, Desdemono, Ofelio, Kordelio, Juliotto! O Tytanio! O Mirando!

*

*

*

24 wrzesień.

Nie mogę powziąć postanowienia; nie umiem ułożyć żadnego projektu. Poddaję się cokolwiek temu uczuciu, tak nowemu dla mnie, z oczyma zamkniętymi na oddalone niebezpieczeństwo, z uszami zatkanemi na mądre przestrogi mego sumienia, z zuchwalstwem tego, który po to, by zerwać fiołki, podchodzi nieopatrznie na sam brzeg przepaści, w głębi której słychać pomruk żarłocznego górskiego potoku.

On nie dowie się niczego z ust moich; ja z jego ust nic nie posłyszę. Przez krótką chwilę nasze dusze razem wdzierać się będą na wzgórze ideału, razem pić będą z krynicy nieprzebranych, potem każda z osobna pójdzie w swoją drogę z większą ufnością, z mniej już palącym pragnieniem.

Jakież spokojne powietrze dzisiejszego popołudnia! Morze ma błękitnąwą mleczną białość opalu, lub szkła Murrano; a tu i owdzie jest ono jak kryształ zamglony oddechem.

Czytam Shelleya, poetę, którego on uwielbia, boskiego Aryela, co się karani światłem i przemawia językiem duchów. Noc teraz. Następna alegorya staje przedemną, rzekłbyś, widoma:

„Brama z czarnego dyamentu otwiera się na wielką drogę życia, po której idziemy wszyscy: na podziemiu niezmiernie i opustoszałe. Dokoła nas szaleje bezustanna, wieczysta walka cieniów, podobnych do chmur niespokojnych, co się cisną w rozpadlinie jakiejś stromej, niebotycznej góry, gubiąc się u szczytu w wirach podniebnej strefy. I wielu ludzi przechodzi nieopatrznie przed tym portykiem nie wiedząc, że w ślad za każdym przechodniem idzie cień aż do miejsca, gdzie umarli czekają w spokoju na nowego swego towarzysza. Inni wszakże, których popycha myśl ciekawsza zatrzymują się, by popatrzeć. Tych ostatnich bardzo niewielka jest liczba i nie do-

wiaduje się też tam zbyt wiele, prócz tego tylko, że za nim wszędzie cień idzie!

Cień idzie w ślad za mną tak zbliżka, że dotyka mnie niemal. Czuję, że wzrok jego mnie ściga... Tak jak wczoraj kiedy grałam; czułam jego spojrzenie, ale go nie widziałam.

* * *

25 wrzesień.

Mój Boże, mój Boże! Jakim głosem mnie przywoływał, z jakim drżeniem! Zdawało mi się, że serce pęka mi w piersi i że lada chwila zemdleję.

— Nigdy nie będziesz pani wiedziała — powiedział mi — nigdy się nie dowiesz, do jakiego stopnia dusza moja jest twoją własnością.

Byliśmy w alei wodotrysków. Słuchałam szmeru wód. Nic już nie widziałam, nic nie słyszałam zgoła; zdawało mi się, że wszystkie otaczające mnie przedmioty uciekają gdzieś w dal, że ziemia zapada się pod memi stopami i że życie moje uchodzi wraz z tem wszystkim. Zdobyłam się na isticie nadludzki wysiłek, i imię Delfiny wybiegło z ust moich; wzięła mnie ochota biedz do niej, uciec, tam się schronić. Imię to powtórzyłam po trzykroć. Za każdym umilknięciem serce przestawało mi bić, ustawało uderzenie pulsu, ustom brakło oddechu...

26 wrzesień.

Jest-że to prawdą? Czyliż to nie złudzenie sbląkanego mego umysłu? Czemż jednak wczorajsza ta godzina tak mi się zdaje gdzieś daleką, tak nierzeczywistą?

Mówił ze mną powtórnie, długo, idąc obok mnie w cieniu drzew; ja doznawałam zawrotu głowy. Pod jakimi to było drzewami? Zda mi się, że szłam wówczas po najtajniejszych ścieżkach mojej duszy, słuchając słów jakiegoś niewidzialnego ducha, coby nigdy żywił się moją duszą.

Słyszę dotąd jeszcze rozkoszne te a straszliwe słowa.

Mówił on:

— Zrzekłbym się wszystkiego, co mi przyrzeka życie, byle żyć tylko w najciaśniejszym zakątku twego serca...

I mówił:

— Litość, któraby mi przyszła od ciebie, byłaby dla mnie droższą, niż namiętna miłość każdej innej kobiety... Sama obecność paui starczyłaby mi za upojenie. Czułbym ją krążącą jak krew tył moich, ogarniającą swą potęgą mego ducha, jak nadludzkie jakieś uczucie...

*
27 wrzesień.

Na skraju lasu, kiedy zrywał ten kwiatek i ofiarował mi go, czyliż go nie nazwałam *życiem mego życia?*

Kiedy powracaliśmy powtórnie aleją wodotrysków, przed tą fontanną, gdzie przemówił do mnie po raz pierwszy, czyliż go nie nazwałam *życiem mego życia*?

Kiedy zdjął wieniec z posągu Hermesa i zwrócił go mojej córce, czyliż nie dał mi do zrozumienia, że kobieta sławiona w tych rymach strąconą już jest z piedestału i że ja tylko, ja jedna jestem jego nadzieją? A wówczas, czyliż nie nazwałam go *życiem mego życia*?

*

28 wrzesień.

Jakże powolnie powracało zastanowienie!... Od owej chwili, ileż ja godzin zużyłam na walkę i na pcranie się, by dojść do zgody z własnem sumieniem, by widzieć rzeczy w właściwem ich świetle, by ocenić wydarzenia spokojnym i jasnym sądem, by rozplątać tę gmatwaninę myśli, rozstrzygnąć stanowczo, uznać, co jest moją powinnością! Wymykałam się sama sobie; umysł mój gubił się, wola się usuwała od współdziału; daremnemi były wszelkie wysiłki. Rodzajem instynktu starałam się unikać pozostawiania z nim samą; zawsze trzymałam się Franciszki i mojej córki, lub chroniłam się do tego pokoju, jak do bezpiecznej przystani. Ilekroć oczy moje spotkały się z jego oczyma, zdawało mi się, że czytam w jego wzroku głęboki a błagalny smutek. Ożył on nie wie jak, jak, jak ja go kocham?...

Nie wie tego; nigdy wiedzieć nie będzie. Taką jest moja wola. Takim mój obowiązek, Odwagi! Boże mój, przybądź mi na pomoc!

29 wrzesień.

Dlaczegoż przemówił? Dlaczego chciał zerwać ten czar milczący, w którym kołysał się duch mój, bez wyrzutów niemal, bez wszelkiej obawy? Dlaczego zapragnął zerwać powiewającą osłonę niepewności i stawić mnie wprost oko w oko wobec mej miłości, odartej z obłon? Odtąd nie mogę już odwlekać, nie mogę się łudzić ani pozwalać sobie na słabość, ani się poddawać obozwładnieniu. Niebezpieczeństwo mi grozi, niebezpieczeństwo pewne, zdemaskowane, wyraźne i pociąga mnie ku sobie, nabawia zawrotu głowy, jak bezdno przepaści. Jedna sekunda słabości a będę zgubiona.

Zadaję sobie pytanie: Czyliż szczerą jest ta boleść, szczerym ten żal, które budzi we mnie to niespodziewane odkrycie? Zkąd to pochodzi, że wciąż myśleć muszę o jego słowach? Zkąd pochodzi, że gdy je sobie samej powtarzam, fala niezrąconej, czystej rozkoszy zalewa mi duszę? Dlaczego dreszcz przebiega mi po krzyżu, kiedy wyobrażę sobie, że mogłabym posłyszeć inne jeszcze słowa?

Jeden wiersz Szekspira z „As you like it“:

Who ever lov'd not at first night?

Nocą.—Wzruszenia mojej duszy przybierają formę jakichś pytań, zagadek. Stawiam sobie bezprzestannie pytania i nigdy nie umiem na nie znaleźć odpowiedzi. Nie miałam odwagi zajrzeć do głębi własnej duszy, rozpatrzyć się dokładnie w jej stanie, powziąć postanowienie istotnie silne i uczciwe. Jestem małoduszna, jestem tchórzliwa; obawiam się bólu; chciałabym cierpieć o ile możności jak najmniej. Chciałabym lawirować jeszcze, odwlekać, osłaniać, szukać zbawienia w wybiegach, ukrywać się, zamiast wprost stawić czoło niebezpieczeństwu i z odkrytą przyłbicą stęczyć stanowczą bitwę.

Oto fakt: *lękam* się pozostać sama z nim, nie mieć z nim ważnej rozmowy i całe życie moje w Schifanoia jest szeregiem drobnych podstępów, nędznych wykrętów, pretekstów do unikania jego towarzystwa. Trzeba mi wreszcie wybrać: albo wyrzec się absolutnie tej miłości i wysłucha wówczas słów moich smutnych, ale stanowczych; albo też przyjmę go z tem, co w nim jest czystego i otrzyma odemnie duchowe przyzwolenie.

W tej godzinie zadaję sobie pytanie: „Czego ja chcę? Z tych dwu dróg, którą wybrać: Zrzeczenie się? Czy przyzwolenie?“

Boże mój, Boże, odpowiedz za mnie, oświeć mnie!

Wyrzee się, to teraz dla mnie wyrwzć własne-
mi paznogciami żywą część mego serca. Męka
moja będzie straszliwą, moje udrczenie przejdzie
granice wszelkiej tortury. Ale z łaską Boga, he-
roizm ten uwięziony zostanie rezygnacją, wy-
nagrodzony najwyższą słodyczą, która jest na-
stępstwem każdego energicznego wzlotu, każde-
go podnioslejszego moralnego czynu, każdego
tryumfu duszy nad obawą cierpienia.

Wyrzeknę się. Moja córka zachowa dla siebie
posiadanie całej, całej mojej istoty, całego, całego
mego życia. Tu jest obowiązek!

Siej ze łzami, duszo bolesna, aby zbierać w dni
żniwa z radosnem pieniem.

*

*

30 wrzesień.

Pisząc te kartki, czuję się nieco spokojniejsza;
odzyskuję chwilowe przynajmniej cokolwiek rów-
nowagi; jaśniej jakoś, trzeźwiej zapatruję się na
moją niedolę i wydaje mi się, że serce moje do-
znaje ulgi, jak po spowiedzi.

O, gdybym mogła się wypowiedzieć! Gdybym
mogła spytać o radę i pomoc starego mego przy-
jaciela i pocieszyciela!

W mojem utrapieniu, co jeszcze podtrzymuje
mnie więcej, niż wszystko inne, to myśl, że nie-
zadługo zobaczę znów zacnego Dem Ludwika, że
pomówię z nim, że mu ukazę wszystkie moje rany,

że przed nim zwierzę się ze wszystkich moich udręczeń, że go poproszę o balsam na wszystkie moje cierpienia, jak to niegdys, jak w czasach, kiedy jego litościwe i głębokie słowa wywoływały łzy rozrzenia z moich oczu, co nie znały jeszcze goryczy innych łez ani daleko okropniejszej jeszcze palącej oschłości ich braku.

Czy on mnie rozumieć będzie jeszcze? Czy pojmie czarne udręczenia kobiety, jak niegdys pojmował nieujęty i przelotny smutek młodej dziewczyny? Czyż go zobaczę, pochylającego się ku mnie w postawie miłosierdzia i współczucia pełnej, z tem pięknem czołem, uwieńczonem białemi włosami, błyszczącym aureolą świętości, czystem jak Hostya cymborium, pobłogosławiona ręką Pana?

W kaplicy po mszy, zagrałam na organach cokolwiek Bacha i Cherubiniego. Grałam też samo preludium, co owego wieczora.

Dusza jakaś płakała i jęczała, gnębiona niepokojem i udręczeniem; dusza jakaś płakała, jęczała, przyzywała Boga, błagała przebaczenia, zebrała pomocy, posyłała modlitwę, co biegła w niebo niby jasny płomień. Wołała i była wysłuchaną; modliła się i modlitwa jej trafiała do Boga; otrzymywała światło z góry, wydawała okrzyki radości, pochwyciła nakoniec Pokój i Prawdę, odpoczęła w wszechłascie i miłosierdziu Pana.

Organy nie są wielkie; i kaplica niezbyt obszerna a przecież dusza moja biegła ku jej sklepie-

niom, jak w wielkiej bazylice, unosiła się jak w olbrzymiej kopule, dosięgała szczytów ideału, na których w rajskim lazurze połyska Znak nad znakami.

Nocą. Niestety, niestety! Nic mnie nie uspokaja; nic mi nie daje godziny, minuty, sekundy zapomnienia. Nic nie zdoła mnie uzdrowić; żadne z marzeń mego ducha nie zatrze tego snu mego serca. Niestety!

Moje udęczenie jest śmiertelnem. Czuję, że rana moja jest nieuleczalną; serce mnie boli, jak gdyby mi je ścisano w kleszczach, dławiono, szarpano i rozrywano na zawsze. Mój ból moralny jest tak silny, że zamienia się w ból fizyczny formalnie, w dziką, nieznośną torturę. Wiem dobrze, że jestem szaloną, że rodzaj jakiegoś obłąkania mnie ogarnia; ale nie mogę się przewyciężyć, nie mogę powstrzymać, nie mogę powrócić do rozsądku. Nie, nie mogę, nie mogę!

To więc jest miłość?...

Wyjechał tego poranku konno, w towarzystwie służącego; nie widziałam kiedy odjeżdżał. Cały ranoek spędziłam w kaplicy. W godzinie śniadania nie powrócił jeszcze. Nieobecność jego sprawiała mi przykrość do tego stopnia, że zdumiona byłam dolegliwością tego cierpienia. Powróciłam do mego pokoju, aby ulżyć mej trosce, napisałam stronę w mym dzienniku, stronę przejętą religijnem uczuciem, starając ogrzać się u płomienia

wspomnień mej wiary dziewczęcej; następnie odczytałam kilka ustępów „Epipsychidiona“ Shelleya, potem zeszedłam do parku, by odszukać Delfinę. Czyniąc to wszystko, myślałam wciąż o nim, i ta myśl przemożna o władnęła mną, tyranizowała mnie, dręczyła bez przestanku.

Kiedy znów posłyszałam jego głos, znajdowałam się na pierwszym tarasie. Rozmawiał z Franciszką w przedsionku. Franciszka wyszła na próg aby mnie przywołać.

— Chodźże!

Wstępując po schodach, czułam jak uginają się podemną kolana. Skłonił mi się i wyciągnął ku mnie rękę a może i zauważył drżenie mojej, bo widziałam jak coś mignęło w jego oczach nagle, przelotnie. Usiedliśmy na trzećcinowych szeszlonych w przysionku, nawprost morza. Mówił, że jest bardzo zmęczony i palił, opowiadając nam swą przejażdżkę. Dotarł do Vicomile, gdzie się zatrzymał na odpoczynek.

— Vicomile—mówił—posiada trzy osobliwości: las sosnowy, wieżę i monstrancję z XV wieku. Wyobraźcie sobie panie, między morzem a wzgórzem, las sosnowy, pełen stawów, co mnożą drzewa w nieskończoność; i wieżycę w starym stylu lombardzkim, która niezawodnie sięga XI wieku, pień kamienny przeladowany syrenami, pawiami, wężami, chimerami, hippogryfami, tysiącami potworów i tysiącami kwiatów, a wreszcie monstrancya z złoczonego srebra, emaliowana, Dod. do „Prs. Tyg.“—G. D'Annunsio. „Dziecko rozkoszy“ 17

grawiirowana i cyzelowana, formy gotycko - bizantyńskiej, z pewnem przeczuciem już renesansu, dzieło Gallucciego, tego artysty niemal nieznanego, który jest wielkim zwiastunem Benvenutoa...

Mówiąc, zwracał się do mnie. To dziwne, jak ja przypominam sobie dokładnie każde jego słowo. Mogłabym spisać całą jego rozmowę od początku do końca z najdrobniejszymi właściwościami, z najmniej znaczącymi szczegółami; gdyby był na to sposób, mogłabym odtworzyć każdą modulację jego głosu.

Pokazywał nam dwa czy trzy małe rysunekzki ołówkowe w swym karnecie. Potem począł znów opowiadać o osobliwościach Vicomile z tym zapalem, z którym mówi zawsze, ilekroć przyjdzie mu słać rzeczy istotnie piękne, z tym entuzjazmem dla sztuki, który jest jednym z najpotężniejszych jego uroków.

— Przynależem kanonikowi powrócić jutro jeszcze. Pojedziemy, nieprawdaż, Franciszko? Trzeba, by donna Marya poznała Vicomile.

O, moje imię w jego ustach! Gdyby był na to sposób, mogłabym odtworzyć ten ruch ich najdokładniej, otwarcie ust kiedy wymawiał każdą sylabę tych dwu wyrazów: „Donna Marya“. To wszakże czego nie mogłabym nigdy wyrazić, to własnego mego wzruszenia; czego nie mogłabym odtworzyć, to tego nagromadzenia rzeczy dla mnie nieznaných, nieoczekiwanych, niepodej-

rzewanych, które budzi w mej istocie obecność tego człowieka.

Pozostaliśmy tu aż do pory obiadowej. Franciszka, wbrew swemu zwyczajowi, miała minę cokolwiek smutną. Była chwila, w której nastąpiła wśród nas cisza, jakaś dziwnie ciężka, męcząca. Ale między nim a mną rozpoczęła się jedna z tych *rozmów bez słów*, w których dusza udziela duszy to, co nie daje się wypowiedzieć i słyszy, zda się, szept myśli. Mówił mi rzeczy, które przejmowały mnie słodkiem obezwładnieniem, rzeczy, których usta jego nie będą mogły nigdy mi powtórzyć, których uszy moje nigdy postyszeć nie będą mogły.

Przed nami nieruchome cyprysy, przezrocze, lekkie, rzekłbys uduchowione w kąpielu eteru, zapalone od słońca, zdały się w górze u szczytów dźwigać płomień, niby u gromnie ofiarnych. Morze miało zieloną barwę liścia aloesu a miejscami jasno błękitne plamy roztopionego turkusy; była to nieopisanie delikatna gra bladych kolorów; fala rozlewająca się anielskiego światła, gdzie każdy żagiel płynął niby anioł z jasnymi skrzydły. I harmonia woni słabnąca jesienią była duszą tego dnia zachodzącego.

O, pogodna śmierci września!

Znów jeden miesiąc skończony, zapadły w przepaść. Żegnaj mi!

Niezmierny smutek mnie ogarnia. Jakże wielką jest ta cząstka mego ja, którą czas ten unosi

z sobą. W tych dwu tygodniach przeżyłam więcej, niżbym przeżyć mogła w ciągu lat całych; i zdaje mi się, że nigdy żaden z długich tygodni mej boleści nie wyrównał w dojmującej torturze temu krótkiemu tygodniowi namiętności. Serce mnie boli; w głowie się mąci; czuję gdzieś w głębi mnie coś ciemnego i palącego zarazem, coś, co się podniosło nagle jak śmiertelna zaraza i co poczyna rozkładać mi krew i duszę, wbrew mojej woli, wbrew wszystkim środkom zaradczym: to żądza.

Taką mnie przejmuje odrazą ta świadomość; tak się jej wstydę jak hańby, jak świętokradstwa, jak profanacyi; szaloną czuję przed nią rozpaczliwą trwozę, jak przed podstępnyim wrogiem, który, chcąc wdrzeć się do twierdzy, znałby drogi mnie samej nieznane.

I otóż czuwam pośród nocy i pisząc tę kartkę z gorączką, która ogarnia zakochanych, kiedy piszą miłosne swe listy, nie słyszę nawet oddechu mojej śpiącej córki. Śpi w spokoju; ani przeczuwa jak dusza jej matki jest daleką od niej.

* * *

1 października.

Moje oczy dopatrują w nim tego, czego nie widziały pierwej. Kiedy mówi, patrzę na jego usta; a gra, koloryt tych ust zajmują mnie daleko więcej, niż dźwięk i treść słów jego.

2 października.

Dziś sobota; oktawa tego dnia niezapomniane-
go: 25 września 1886 roku.

Szczególniejszym przypadkiem, jakkolwiek nie unikam już zostawania z nim samą, jakkolwiek pragnę nawet nadejścia chwili straszliwej, chwila ta, dziwnym przypadkiem, nie nadeszła dotąd.

Dziś Franciszka nie opuszczała mnie ani na chwilę. Rano odbyliśmy razem przejażdżkę konno drogą ku Rovigliano; popołudnie zaś całe nieomal przeszło nam u fortepianu. Życzyła sobie, abym jej grała różne tańce z XVI wieku, potem sonatę z fis minor i słynną Toccatę Muzia Clementi, później znów dwa czy trzy Capriccia Dominika Scarlatti i prosiła, żeby jej zaśpiewać kilka ustępów z „Frauenliebe“ Schumana. Co za kontrasty!

Franciszka nie jest już teraz tak wesoła jak dawniej, nie tak jak nią była jeszcze w pierwszych dniach po moim przyjeździe. Często zamysła się a kiedy się rozśmieję, kiedy żartuje, wesołość jej wydaje mi się sztuczną. Zapytałam ją:

— Czy masz jakie dręczące cię zmartwienie?

Odpowiedziała, udając zadziwioną:

— Dlaczego?

Dodałam:

— Widzę, żeś posmutniała cokolwiek.

A ona na to:

— Posmutniałam? O, nie. Mylisz się.

Potem zaczęła śmiać się, ale śmiechem mimowolnie gorzkim.

To mnie smuci i czegoś niepokoi zarazem.

Pojedziem do Vicomile jutro popołudniu... On spytał mnie:

— Czy miałabyś pani dość siły odbyć tę wycieczkę konno? Konno moglibyśmy przejechać przez cały lasek sosnowy...

Potem powiedział mi jeszcze:

— Odczytaj pani w Odach Shelleya do Jane „Rekolekcyje“.

Pojedziemy zatem konno i Franciszka również konno pojedzie. Iani a wraz z nimi Delfina pojedą w mail coach.

W jakimż szczególniejszem usposobieniu znajduję się dzisiajszego wieczora! Wre w głębi mego serca jakiś gniew głuchy i cierpki, niewiadomo z jakiej przyczyny; niecierpliwi mnie własna moja osoba, moje życie, wszystko. Moje podrażnienie nerwowe jest tak silne, że od czasu do czasu bierze mnie szalona ochota krzyać, wpić paznokcie w ciało, pałamać sobie o mur palce, wywołać jakieskolwiek fizyczne cierpienie, aby się tym sposobem uchronić od nieznośnej wewnętrznej niemocy, od tego okropnego utrapienia. Zdaje mi się, że pierś moją górażciska pierścień jakiś ognisty, że w gardle dławi mnie łkanie, co zeń wyrwać się nie chce, że

głowa moja jest pustą, raz lodowatą, to znów płonąca na przemiany i od czasu do czasu czuję jak mnie przejmują nagle rodzaj dręczącego niepokoju, strach niewyrozumowany, z którego nie mogę ani się otrząsnąć, ani nad nim zapanować. I czasami przez mózg mój przeblyskują obrazy i myśli mimowolne, wynurzające się z niewiedzieć jakich głębin mojej istoty; obrazy i myśli niegodne. I ogarnia mnie osłabienie, omdlewam jak kobieta pogrążona w krępującej ją miłości. A przecież nie, nie, to nie rozkosz.

*

*

*

3 października.

Jakże dusza nasza jest słabą i nędzną! Jak jest bezbronną wobec przebudzeń się i szturmów wszystkich instynktów najmniej szlachetnych i najmniej czystych, przyczajonych w ciemnościach naszego bezświadomego życia, w niezbadanej otchłani, gdzie ślepe sny rodzą się z ślepych wrażeń!

Sen może zatruć duszę; jedna jedyna myśl mimowolna może pozbawić nas woli.

Wyjeżdżamy do Vicomile. Delfina nie posiada się z radości. To dzień kościelnego święta: uroczystość Matki Boskiej Rożańcowej! Odwagi, biedne moje serce!

4 października.

Znikąd odwagi.

Mój dzień wczorajszy tak był pełnym drobnych wydarzeń i wielkich wzruszeń, tak radosnym i smutnym równocześnie tak dziwnie, że maćmi się w myślach, kiedy próbuję go sobie przypomnieć. I naraz wobec jednego wspomnienia, wszystkie inne bledną i rozpraszają się. Wszystkiel

Po zwiedzeniu wieżycy i zachwycaniu się monstrancją, sposobiliśmy się, by wyjechać z Vicomile z powrotem, coś około wpół do szóstej, Franciszka była zmęczona i niż dosiąść konia, wolała wracać powozem. My jechaliśmy wraz z powozem przez kawałek drogi to obok niego, to poza nim. Z wysokości pojazdu Delfina i Muriella powiewały ku nam długimi ukwieconymi trzcinami i śmiały się, grożąc nam ich pięknymi sinawami pióropuszcami.

Wieczór był nadzwyczaj spokojny, bez najłżejszego wietrzyku. Słońce chyliło się ku zachodowi, kryjąc się za pagórek Rovigliano, na niebie tak różowem jak nieba dalekiego Wschodu. Istny deszcz róż, wszędy róże, róże, i róże, tak gęste, tak miękie, że powiedziałbyś: śnieżyca w poranną zorzę. Kiedy słońce zniknęło, róże obfitsze chyba jeszcze zaległy cały horyzont rozsypując się, opadając z liści na tle bardzo jasnego lazuru nieba, srebrnawego, nieokreślo-

nego jakiegoś, niby ten, co zawisł nad śnieżystymi szczytami gór.

On mówił mi od czasu do czasu:

— Patrz pani na wieżę kościoła w Vicomile... Przyjrzyj się, proszę, tej kopule tu. Gonzalwa...

Kiedy sosny ukazały się w oddali, zapytał:

— Przejedziemy przez las?

Trakt główny okrętał lasek, zarysowując łuk szeroki i zbliżając się coraz więcej ku morzu, tak że na szczycie tego łuku nieomal dochodził on do samego wybrzeża. Las już pogrążony był w cieniu, występował ponurą, ciemną zielenią, jak gdyby wszystek cień krajobrazu nagromadził się w szczytach drzew, nie zaćmiewając przecież jeszcze przezroczności wyższych sfer powietrza. Ale wśród drzew lasu, stawy połyskiwały intensywnem i głębokiem światłem, niby strzępy poszarpane nieba, daleko czystsze, niż strop niebieski ponad naszymi głowami.

Nie czekając na moją odpowiedź, rzekł do Franciszki:

— My przejedziem przez lasek, spotkamy się z tobą po drugiej stronie na trakcie, przy moście biskupim.

I powstrzymał swego konia.

Dlaczego przystałam? Dlaczego podążyłam za nim? W oczach miałam jakiś rodzaj olśnienia; zdawało mi się, że jestem pod wpływem jakiejś nieokreślonej fascynacyi, wydawało mi się, że ten krajobraz, to oświetlenie, te wydarzenia,

cały ten zbieg okoliczności były dla mnie nie już rzeczami nowemi, ale takimi, które już zdarzyły się kiedyś w jakimś innem, dawnem poprzedniem istnieniu i że teraz spotykają mnie one poraz wtóry... Wrażenie to nie da się wytłómaczyć. Wydawało mi się więc, że ta godzina, te chwile już przeżyte nie były bynajmniej odemnie niezależnemi ale że przynależały do mojej istoty, że miały z moją osobą związek tak naturalny i nierozdzielny, iż nie mogłabym sprzeciwić się temu, by je przeżyć w tenże właśnie sam sposób, w jaki je przeżyć było dla mnie koniecznością. Konieczności tej miałam bardzo jasne poczucie. Obezwładnienie mej woli było absolutnem. Było to tak jak kiedy fakt jakiś z życia rzeczywistego ukazuje się we śnie ze szczegółami, których nie było w rzeczywistości, szczegółami odmiennymi, różniącemi się z prawdą. Nie uda mi się opisać choćby drobnej cząstki tego dziwnego zjawiska.

Między duszą moją a krajobrazem był jakiś związek utajony, powinowactwo tajemnicze. Zdawało się, że obraz lasu, wód stawów—był istotnie obrazem *śnionym* w tej scenie rzeczywistej. Tak jak w poemacie Shelleya każdy staw wydawał się skrawkiem nieba zatopionym w podziemnym jakimś świecie, firmament różanego światła rozciągniętym ponad ciemną ziemią, głębszym niż noc najgłębsza, czystszy niż dzień najjaśniejszy.

I rozkoszne widoki, takie, jakich się nigdy nie ogląda na powierzchni naszego świata malowały się w nim przez miłość wód do pięknego lasu; a strzępy te nieba w całej swej głębokości przeświecone były elizejską, isticie światłością, atmosferą bez odmian, mrokiem stokroć słodszy od naszego zmierzchu.

Z jakiejże oddali wieków powracała do nas ta godzina?

Jechaliśmy stępą w milczeniu. Rzadki krzyk srok, tentent kopyt końskich, oddech koni nie zamącały bynajmniej otaczającej nas ciszy, która od chwili do chwili zdawała się stawać większą, szerszą jakąś, magiczniejszą.

Dlaczegoż zapragnął przerwać ten czar, którego oboje byliśmy twórcami?

Przemówił, zlał na moją duszę potok słów wrących, płomiennych, szalonych, niedorzecznych niemal, które w ciszy tych drzew przerażały mnie, bo przybierały jakieś nadludzkie rozmiary czegoś nieokreślenie dziwnego i czarownego. Nie był pokornym i uległym jak wówczas w parku; nie mówił mi o nieśmiałych swych nadziejach, o swem zniechęceniu, swych aspiracyach mistycznych niemal, o swym nieuleczalnym smutku; nie błagał już, nie żebrał. Był to głos namiętności teraz, śmiały i silny: głos jakiego nie słyszałam jeszcze nigdy u niego, jakiego w nim nie puszczalam.

— Kochasz mnie pani, kochasz! *Nie możesz mnie nie kochać.* Powiedz mi, że mnie kochasz!

Koń jego szedł tuż obok mego, czułam jak pochyliwszy się niemal mnie dotykał, czułam na mojej twarzy jego oddech, żar słów wymawianych przez niego i przejmował mnie lęk, bym nie straciła sił i osłabła, nie upadła w jego ramiona.

— Powiedz mi, że mnie kochasz — powtarzał uparcie, bez litości. — Powiedz mi, że mnie kochasz!

W rozdrażnieniu okropnem, którem mnie przejmował głos jego natarczywy, zdaje mi się, że mu powiedziałam (nie wiem czy to było w okrzyku, czy w wydzierającym się łkaniu?) straciwszy formalnie głowę:

— Kocham cię, Kocham, Kocham!

I puściłam memu koniowi cugle, pędząc drogą zaledwie utorowaną, pomiędzy gęstwą sosen, nie wiedząc, co robię.

On pędził za mną wołając:

— Maryo, Maryo, zatrzymaj się! Może cię spotkać co złego...

Ja nie ustawałam w biegu. Nie wiem jak koń mój zdołał uniknąć pui drzew; nie wiem jakim sposobem nie spadłam z niego. Niezdolną jestem dać obrazu tego wrażenia, jakie sprawiał na mnie w ciągu tego biegu las ciemny, przerźnięty szerokimi plamami połyskujących stawów. Kiedy nakoniec wreszcie wyostałam się po przeciwnej

jego stronie na drogę u mostu, zdało mi się, że wychodzę z jakiejś strasznej halucynacyi.

On przemówił do mnie z gwałtownością niemal:

— Więc chciałaś się pani zabić?

Posłyszeliśmy turkot powozu, zbliżającego się i podążyliśmy naprzeciw niego. On chciał mówić mi coś jeszcze.

— Milcz pan, błagam cię, przez litość — prosłam, czując, że mnie opuszczają siły.

Umilkł. Potem z dziwną pewnością siebie, która mnie zdziwiła, rzekł do Franciszki:

— Jaka szkoda, żeś nie jechała z nami! Widok to był prawdziwie czarowny...

I mówił dalej, bez zmięszania, w sposób jak najnaturalniejszy, jak gdyby nic nie było zaszło; z pewną nawet wesołością. I byłam mu wdzięczna za to udanie, które mnie ocalało bezwątpienia, bo gdybym ja sama miała mówić, z pewnością byłabym się zdradziła; gdybyśmy zaś byli milczeli oboje, najniezawodniej byłoby to obudziło podejrzenia Franciszki.

Nieco dalej poczynała się droga po pochyłości ku Schifanoia. O, jakaż niezmierna rzewność o tym zapadającym mroku wieczora! Pierwsza kwadra księżyca błyszczała na niebie bladym, nieco zielonkawym, na którym oczy moje, może tylko moje oczy, rozróżniały jeszcze lekki od-

cień różowawy, tejże samej różowości, co rozświecała stawy, tam w lesie.

*

5 października.

Wie teraz, że go kocham; wie to z ust moich. Nie mam już innego sposobu nad ucieczkę. I oto dokąd doszłam!

Kiedy patrzy na mnie, widzę w głębi jego oczu blask szczególny, którego tam nie było pierwej. Dziś podczas krótkiej nieobecności Franciszki, wziął mnie za rękę i pochylił się, by ją ucałować. Udało mi się wysunąć mu dłoń i dostrzegłam na jego wzruszonych wargach lekkie drżenie, jakoby zatrzymanego tam pocałunku; a gest ten pozostał mi w pamięci i prześladowuje mnie, prześladowuje bez przerwy!

*

*

6 października.

W dniu 25-ym września, na marmurowej ławce, tam w gaiku, powiedział mi: „Wiem, że mnie pani nie kochasz, że *mnie kochać nie możesz*. Dnia 3-go października powiedział mi: „Kochasz mnie, kochasz, *nie możesz mnie nie kochać*.”

W obecności Franciszki zapytał mnie, czy może robić studjum mej ręki. Zezwoliłam. Rozpocznie zatem dzisiaj.

I drzę na tę myśl i przejmuję mnie trwoga jak gdybym miała ręce moje poddać jakiejś nieznaney torturze.

Noc. Rozpoczęła się zatem ta powolna, miła, nieokreślona męka.

Rysował ołówkiem i sepią. Moja ręka prawa leżała na kawałku aksamitu. Na stole stał wazon korejski żółtawy i pocentkowany a w wazonie był bukiet orchidei, tych roślin dziwacznych i różnokształtnych, do których Franciszka szczególniejszą ma predylekcyę. Jedne z nich, zielone, tą zielonością „zwierzęcą“, którą mają niektóre gatunki szarańczy, zwieszały się w kształcie drobnych urn etruskich, z wiekiem nieco podniesionem. Inne na końcu srebrzystej łodygi dźwigały kwiat o pięciu listkach z żółtym kielichem w środku a białym zewnątrz. Inne dźwigały ampułkę fioletową a po bokach tej ampułki dwa długie włókienka; przywodziły one na pamięć jakiegoś miniaturowego króla czarodziejskich baśni, pękatego z brodą rozdzieloną na dwa sploty, zgodnie z modą Wschodu. Inne nakoniec składały się z całych gron drobnych i żółtych kwiateczków podobnych do aniołków w długich sukniach, unoszących się w powietrzu z rękoma podniesionemi w górę i aureolą dokoła głowy.

Kiedy zdawało mi się niemożliwem dłużej już znosić moją torturę, wpatrywałam się w nie i niezwykła ich forma zajmowała mnie przez chwilę,

budząc we mnie przelotne wspomnienie ich ojczyzny, rozrywając umysł na chwilę. On rysował, nic nie mówiąc; oczy jego bezustannie przenosiły się z papieru na moją rękę; dwa czy trzy razy zwróciły się ku wazonowi. Raz powstał i rzekł:

— Przepraszam!

Zdjął ze stołu wazon i przeniósł go na inny. Dlaczego? Nie domyślam się. Następnie zabrał się do rysowania swobodniej, jak gdyby uwolniony od czegoś, co mu przeszkadzało.

Nie umiałabym powiedzieć, czego doznawałam pod wpływem jego wzroku. Zdawało mi się, że wydaję na pastwę jego badań nie tylko rękę moją obnażoną, ale wraz z nią i część mojej duszy i że wzrok ten jego przenika ją aż do głębi, że szpera w najtajniejszych jej zakątkach. Nigdy ręka moja nie sprawiała mi takiego wrażenia; nigdy nie wydawała mi się tak żywą, tak wyrazistą, tak mocno złączoną z mojem sercem, tak zależną od mego wewnętrznego istnienia, tak zdradziecko odsłaniającą myśli. Pod wpływem jego spojrzeń, czułam jak ją przenika dreszcz niewidzialny ale nieprzerwany i dreszcz ten dochodził aż do samych głębin mojej istoty. Czasami dreszcz ten stawał się silniejszym i widocznym; a jeśli wzrok jego zbyt silnie był utkwionym, brała mnie instynktowna ochota usunięcia ręki a ochota ta była poprostu objawem wstydu.

Chwilami oczy nieruchome utkwwszy, nie rysował a ja doznawałam wrażenia, że źrenice jego piją coś ze mnie, lub że mnie pieścą jakąś pieśczołą delikatniejszą, miększą niż aksamit, na którym spoczywała moja ręka. Od czasu do czasu, kiedy był pochylony nad kartką papieru, może dlatego, by przelać w linię to, co wypłyły oczy jego ze mnie, lekki uśmiech przebiegał po jego ustach, ale tak lekki, że za ledwie mogłam go pochwycić. I nie wiem dlaczego ten uśmiech przejmował pierś moją rozkosznym jakimś dreszczem. Dwa czy trzy razy jeszcze widziałam na jego ustach ponownie ukazującą się wizję pocałunku.

Od czasu do czasu ciekawość brała górę i pytałam go:

— I cóż, jakże?

Franciszka siedziała przy fortepianie, zwrócona do nas plecami i przesuwiała palcami po klawiszach, wybierając melodyę gawota Rameau „Gawota dam żółtych“, tego, którego ja grywałam tak często i który pozostanie muzykalnem wspomnieniem mojej wilegiatury w Schifanoi. Przyciszała tony pedałem i przerywała często. A te przerwy ary i rytmu, których luki ucho moje nawykłe, wypełniało z góry, przejmowały mnie innym znów niepokojem. Nagle uderzyła silnie w jeden klawisz kilkakrotnie, jakby pod wpływem nerwowej niecierpliwości, powstała i podeszła ku nam, pochyliwszy się nad rysunkiem.

Popatrzałam na nią. Zrozumiałam ją.

Brak mi jeszcze było tej jednej tylko goryczy. Bóg zachował dla mnie to ostatnie doświadczenie, najokrutniejsze. Niech się dzieje Jego wola!

*

*

*

7 października.

Mam tylko myśl jedną, jedyne pragnienie, jeden wyłącznie zamiar: wyjechać, wyjechać, wyjechać.

Sił mi już brak zupełnie. Słabnę, umieram z tej miłości a jeszcze to odkrycie niespodziewane pomnaża mój smutek. Co ona myśli o mnie? Co sądzi? I ona więc go kocha? I odkąd to? A on czy to wie? Lub przeciwnie może, czy nie podejrzewa nawet?...

Boże mój, Boże! Mój rozum się mąci, siły mnie opuszczają, poczucie rzeczywistości ucieka gdzieś przedemną. Od czasu do czasu ból mój miewa pauzy, jak burza, kiedy szalejący huragan dochodzi do równowagi w niemej swej nieruchomości, aby następnie rozkietznąć się z tem większą gwałtownością. Pozostaję w pewnego rodzaju odrętwieniu, z głową ciężką, z członkami zmęczonemi i zerwanemi, jak gdyby mnie obito ciężko; i kiedy ból mój skupia się w sobie, aby ponownie silniejszy jeszcze przypuścić atak, nie jestem w stanie zebrać mej woli.

Co ona myśli o mnie? Co myśli? Co przypuszcza?

Ol być niezrozumianą przez nią, przez najlepszą przyjaciółkę, przez tę, co mi była najdroższą, przez tę, dla której zawsze miałam serce naoscięż otwarte! To gorycz najwyższa, to najcięższe doświadczenie, jakie Bóg mógł zesałać na mnie. On, co z poświęcenia uczynił prawo życia.

Muszę koniecznie pomówić z nią przed odjazdem. Trzeba, żeby wiedziała o mnie wszystko i abym ja dowiedziała się o niej wszystkiego. To obowiązek konieczny.

Noc.— Około piątej zaproponowała mi przejażdżkę powozem po drodze ku Rovigliano. Pojechaliśmy same odkrytym powozem. Myślałam z przerażeniem: „Pomówię z nią“. Ale wewnętrzne drżenie odejmowało mi całą odwagę. Czy spodziewała się moich zwierzeń? — Niewiem.

Dość długo milczałyśmy obie, nasłuchując miarowych uderzeń kopyt końskich, przyglądając się drzewom i płotom obrzeżającym drogę. Od czasu do czasu krótkim frazesem lub ruchem ukazywała mi jakąś właściwość jesiennego krajobrazu.

Godzina ta miała w sobie dziwny czar jesieni. Na wzgórzu, ukośne promienie zmierzchającego światła oblewały harmonijne bogactwo obumierających liści. Pod silnym podmuchem wiatru podczas nowiu, przedwczesna agonia ogarnęła nadrożne drzewa. I złoto, ambra, szafran, amarant, fiolet, purpura, barwy najbardziej splotniałe, tony najjaskrawsze, to znów najdelikatniejsze łączyły

się w jeden akord głęboki, którego słodczy i rzewności nie wyrówna nigdy żadna z radosnych melodyj wiosny.

Ona ukazała mi akacye i rzekła:

— Patrz, czy nie powiedziałyby się, że są kwitnące?

Zeschłe już akacye srebrzyły się białością różowawą nieco, jak drzewa migdałowe w marcu, na niebie turkusowem, płowiejącem w dali.

By rozpocząć zamierzoną rozmowę, po przerwie ciszy, ozwałam się:

— Manuel przyjedzie zapewne w sobotę. Oczekuję jutro od niego telegramu. I wyjedziemy w niedzielę rannym pociągami. Byłaś tak dobrą dla mnie w czasie mego pobytu; jestem ci też nad wyraz wdzięczna...

Głos mój drżał cokolwiek; niezmiernie rozrzwienie wzbierało w mem sercu. Ona ujęła moją rękę i zatrzymała ją w swojej, nie rzekłszy nic, nie patrząc nawet na mnie. I pozostałyśmy tak przez długą chwilę w milczeniu, trzymając się za ręce.

Potem spytała mnie:

— Jak długo zamierzasz pozostać u matki?

Odpowiedziałam:

— Aż do nowego roku, jak się spodziewam, a może i dłużej.

— Tak długo?

I znowu zamilkłyśmy. Czułam już, że nie zdobędę odwagi przystąpienia do jakichkolwiek wy-

jaśnień i czułam w tej chwili także, że te wyjaśnienia nie tak koniecznie znów są potrzebne. Zdało mi się, że nakoniec Franciszka zbliżała się do mnie, poczyniała mnie rozumieć, pojmowała i stawała się dla mnie dobrą, wyrozumiałą siostrą. Mój smutek pociągał ku sobie jej smutek, jak księżyc pociąga ku sobie morskie wody.

— Słuchaj! — powiedziała mi.

Śpiew jakiś dochodził nas, śpiew wieśniaczek szeroki, rozległy, religijny jak pienia gregoriańskie.

Nieco dalej zobaczyłyśmy śpiewaczki. Opuszczały pole, obsiane zeszlęmi słonecznikami, szły sznurę jedna za drugą, jakby w kościelnej procesyi. A słoneczniki, na szczycie wysokich łodyg, siarczanej barwy i opadłych z liści, wznosiły wielkie swe tarcze, odarte z koron kwiatowych listków i ciężaru ziarna, ale podobne w swej nagości do emblematów liturgicznych, do bladych złotych monstrancyj.

Wzruszenie moje wzrosło jeszcze. Poza nami śpiew słabnął w zmroku. Minęłyśmy Rovigliano, w którego oknach poczynąły już zapalać się światełka; potem zwróciłyśmy się na główną drogę. Ogłos dzwonów gubił się w ciszy poza nami. Wilgotny wietrzyk przebiegał szczyty drzew, które rzucały na drogę mrok sinawy a w powietrzu cień jakiś przezroczy, jak woda.

— Nie zimno ci? — spytała mnie.

I kazała lokajowi położyć pled na nogi a stan-gretowi zawrócić ku domowi.

Na wieży kościoła Rovigliano dzwon bił jeszcze rozległymi tony, jak na jakąś uroczystość religijną i zdawało się, że fala dźwięków rozlewa w powietrzu falę chłodu. Jednakie wrażenie sprawiło, że obie przycisnęłyśmy się mimowolnie do siebie i podciągnęły wyżej pled na kolana, dreszcz przebiegł nas obie. Powóz wjeżdżał napowrót do miasteczka, zwolna.

— Co znaczy to bicie w dzwon? — szepnęła głosem, który zdawał się nie być jej własnym.

Odparłam:

— Jeśli się nie mylę to znak, że kapłan idzie gdzieś z wiatykiem..

W samej rzeczy, cokolwiek dalej zobaczyłyśmy księdza, wchodzącego we drzwi, kiedy ponad nim kleryk niósł baldachim a dwaj inni klerycy trzymali zapalone latarnie, wyprostowani, oparci o ramy drzwi na progu. W domu tym jedno jedyne tylko okno było oświetlone; to, w którym dogorywał chrześcianin, oczekujący na ostatnie olejem świętym pomazanie. Cienie chwiejne ukazywały się na tle światła; w prostokącie złotawym, niby rozprzestrzenionym ciszą, zarysowywał się zlekka cały tajemniczy dramat śmierci.

Lokaj pochylił się nieco z wysokości kozła i spytał cicho:

— Kto to umiera?

Zagadniony, w odpowiedzi, wymówił w swym dyalekcie jakieś nazwisko kobiety.

Pragałam przyciszyć łoskot kół po kamieniach bruku, chciałam, aby nasz przejazd nie zmącił ciszy tych miejsc, gdzie miał za chwilę ulecieć duch w przestrzeń daleką. Niezawodnie i Franciszka doznawała tegoż samego wzruszenia.

Powóz wyjechał na drogę, wiodącą do Schifanoia. Księżyc, okrążony jasną obwódką, błyszczał jak opał w pośród przezroczonego mleka. Sznur obłoków włókł się od morza i biegł linią spiralną jak dym ulatujący w górę. Morze wzburzone zagłuszało swym pomrukiem wszystkie inne odgłosy. Nie, nigdy cięższy smutek nie ścisnął chyba dwu dusz!

Poczułam na chłodnych policzkach ciepło i odwróciłam się ku Franciszce, by zobaczyć czy też dostrzegła, że płacze. Spotkałam jej oczy łez pełne. I pozostałyśmy w milczeniu tuż obok siebie, z ustami zaciśniętymi, ze splecionymi dłońmi, wiedząc obie, że on jest łez naszych przyczyną i łzy biegły nam kropla za kroplą cicho.

Kiedy już zbliżaliśmy się do Schifanoia, otarłam oczy; ona uczyniła toż samo. Każda z nas ukrywała własną słabość.

On oczekiwał nas w przysionku z Delfiną, Mariellą i Ferdynandem. Dla czego w głębi serca doznałam względem niego pewnej nieokreślonej nieufności, jak gdyby instynkt jakiś ostrzegał mnie o nieznanem niebezpieczeństwie? Jakież cierpienia

zachowuje dla mnie przyszłość? Czy będę mogła uchronić się od namiętności, co mnie przyciąga i zaślepia?

A jednak, ileż dobrego zrobiło mi te trochę łez! Mniej czuję się przygnębiona, mniej onieśmielona, więcej pokładam w sobie ufności. I doznaję niewypowiedzianego rozrzewnienia, przechodząc w myśli tę naszą ostatnią przejażdżkę, kiedy tymczasem Delfina śpi szczęśliwa z szalonych pocałunków, któremi okryłam jej twarz a na szybach połyskuje smętne światło księżyca, co przed chwilą patrzył na łzy moje.

*

*

*

8 października.

Czy ja spałam tej nocy? Czy czuwałam? Nie umiałabym powiedzieć.

Niejasno przez mój mózg, niby gęste cienie przebiegały myśli straszliwe, okropne obrazy męczarni i serce coś ścisnęło mi nagle trwogą i nagle ocuciałam się z oczyma szeroko rozwartymi w ciemności, nie wiedząc czy się zbudziłam lub czy też nie zasnęłam dotąd jeszcze zupełnie, pograżona w myślach i wizjach. I ten rodzaj półsnu, daleko więcej dręczący niż bezsenność, przedłużał się wciąż, przedłużał w nieskończoność.

Niemniej przeto skoro posłyszałam zrana wołanie mej córki, nie odpowiedziałam jej; udałam, że śpię głęboko, aby nie wstawać, aby pozostać jeszcze kilka minut dłużej w łóżku, by zyskać na

czasie i opóźnić nieco nieubłaganą pewność rzeczywistości. Męczarnie myśli i wyobrażeń wydają mi się mniej okrutnymi jeszcze, niż trudne do przewidzenia męczarnie, które mnie czekają w tych dwu dniach ostatnich.

Trochę później, Delfina podeszła na palcach, wstrzymując oddech; popatrzała na mnie i rzekła do Doroty, głosem drżącym od serdecznego rozrzwienia:

— Jak śpi mocno... Nie budźmy jej...

Noc.—Zdaje mi się, że nie mam już ni kropli krwi w żyłach. Wchodząc po schodach, wydało mi się, że za każdym wysiłkiem do przestąpienia stopnia, krew a z nią i życie ubiegają z otwartych żył moich. Jestem tak osłabiona jak konająca...

Odwagi, odwagi! Jeszcze tylko kilka godzin pozostaje do przebycia. Manuel przybywa jutro rano; wyjedziemy na niedzielę; w poniedziałek będziemy u matki.

Oddałam mu przed chwilą dwie czy trzy książki, które mi był pożyczył. W tomiku Shelleya na końcu jednej strofy zaznaczyłam paznokciem dwa wiersze i założyłam tę stronicę widocznym znaczkim. Wiersze te mówią:

And forget me, for I can never

Be thine!

„I zapomnij mnie, bo nie mogę nigdy być twoją“.

*

*

*

9 października, noc.

Cały dzień, cały dzień szukał sposobności pomówienia ze mną. Cierpienie jego było widocznem. A ja, przez dzień cały starałam się go unikać, z obawy, by mi nie rzucił w duszę nowych nasion boleści, żądz, żalu, wyrzutów sumienia. Odniosłam zwycięstwo: byłam silną bohaterką! Dzięki ci za to składam, o mój Boże!

Ta noc jest ostatnią. Jutro rano wyjedziemy. Wszystko się skończy.

Wszystko się skończy? Głos jakiś mówi mi gdzieś w głębi a ja nie mogę go zrozumieć, to tylko wiem, że mówi coś o dalekich kłęskach, nieznanach, ale niemniej nieuniknionych, tajemniczych a nieubłaganych jak śmierć. Przyszłość jest tak ponurą jak cmentarz pełen wykopanych już grobów, gotowych na przyjęcie trupów; i na tym cmentarzu, tu i owdzie, płoną blade latarnie, które oko moje zaledwie dostrzeże i nie pojmuje czy płoną one tam po to, by mnie zwabić ku niebezpieczeństwu, lub też po to, by ukazywać drogę zbawienia.

Odczytałam mój dziennik uważnie, powoli, począwszy od 15 września, dnia mego tu przybycia. Jakaż różnica między tą pierwszą nocą a tą ostatnią!

Pisałam wówczas: „Zbudzę się w domu przyjaznym i gościnnym Franciszki, w tej Schifanoi, która ma tak piękne róże i cyprysy tak wielkie; i zbudzę się z perspektywą kilku tygodni spoko-

ju przed sobą, dwudziestu dni duchowego istnienia, może i więcej..." Niestety! Gdzież się podział ten spokój? A te róże tak piękne, czemuż były dla mnie tak zdradzieckie? Może, począwszy od owej nocy w logii, zbyt otworzyłam me serce na ich wonie, kiedy to Delfina zasypiała... Teraz październikowy księżyc zalewa niebo i widzę po przez szyby okien, czarne i nieporuszone szczyty cyprysów, które tej nocy zdały się dosięgać gwiazd.

Z tego wstępu nie mogę powtórzyć nic, prócz tego jednego zdania w tym dzisiejszym smutnym finale: „Ile włosów na mojej głowie, tyle snopów boleści w mojej doli“. Snopy te mnożą się, zwiększają, urastają, falują jak morze a dotąd niewydobytem jest jeszcze z kopalni żelazo, z którego ma być ukutą kosa do ich zżęcia...

Wyjeżdżam. Co się z nim stanie w czasie mej nieobecności? Co się stanie z Franciszką?

Zmiana, zaszła w Franciszce, pozostaje zawsze niezrozumiałą, niewytłomaczoną. To zagadka, która mnie dręczy i przygnębia. Ona go kocha! *I odkąd to?* I czy on wie o tem?

Wyznaj, duszo moja, nową twą nędzę. Nowa zaraza cię zatruwa: jesteś zazdrosną.

Ale gotową jestem na najsroższe cierpienia; znam męczeństwo, które mnie oczekuje; wiem, że udręczenia dzisiejsze niczem są w porównaniu z męczarnią przyszłą a bliską, z strasliwym

krzyżem, na którym myśli rozepną moją duszę, by ją strawić doszczętnie. Ja gotową już jestem. O co Cię proszę tylko, o Boże, to o chwilę zwłoki, krótką chwilę na te godziny, co mi pozostają. Jutro potrzeba mi będzie całej mej siły.

Jakże dziwnie, w jaki sposób szczególniejszy czasami, w przemianach życia, okoliczności zewnętrzne podobne są do siebie i powtarzają się! Tego wieczora w salonie, zdało mi się, że powracam do wieczoru 16-go września, kiedy grałam i śpiewałam, kiedy on zaczął mnie zajmować. Tego wieczora również siedziałam przy fortepianie; toż samo przyémione światło oświecało salon a Manuel i margrabia siedzieli przy stoliku gry w przyległym pokoju i grałam „Gawota dam żółtych“, tego, który tak się podoba Franciszce i którego próbował ktoś w noc 16 września, kiedy czuwałam w pierwszych początkach moich nienasyconych niepokojów.

Tańczą go damy blondynki, już niezupełnie młode, ale które dopiero co wyszły z młodości, ubrane w jedwab wyblakły koloru żółtych chryzantemów; tańczą go z młodocianymi kawalerami w różowym stroju, nieco znudzonymi, którzy mają w sercu obraz innych kobiet piękniejszych, płomień żądź nowych. I tańczą go w salonie zbyt przestronym, którego wszystkie strony pokryte są zwierciadłami; tańczą po posadzce, wykładanej cedrem i amaractem, pod spływającym z góry światłem wielkiego kryształowego pająka,

w którym świece się dopalają a przecież nie mogą się dopalić nigdy. A na ustach, nieco przywiedłych, tancerki mają uśmiech słaby ale niewygasły; w oczach tancerzy zaś widać niezmiernie znudzenie. Zegar z wielkiem wahadłem wskazuje ciągle tę samą godzinę; zwierciadła powtarzają, powtarzają też same zawsze pozy; i gawot ciągnie się dalej, zawsze pełen wdzięku, zawsze powolny, zawsze jednaki, wiecznie, jak męczarnia miłości.

Smutek ten mnie pociąga.

Nie wiem dlaczego moją duszę pociągają tego rodzaju cierpienia; posuwa ją ta wiecznotrwałość, ta jednostajność, ta monotonia jednego jedynego bólu. Przyjęłaby chętnie na życie całe ciężar niezmierny ale określony i nieodmienny, zamiast zmienności, zamiast nieprzewidzianych losu kolei, nieoczekiwanych alternatyw. Acz przywykła ona jest do cierpienia, przeraża ją niepewne jutro, obawia się niespodzianek, lęka nagłych ciosów. Tej nocy, bez jednej sekundy wahania przyjęłaby wyrok, któryby ją skazywał na naj-sroższą boleść, pod warunkiem, aby ją to ustrzegło od nieznanych zasadzek przyszłości.

Boże, mój Boże, z kąd pochodzi ten lęk niepojęty? Weź mnie Ty pod swą opiekę! W Twoje ręce składam mą duszę.

Ale dość tego. Ta smutna i próżna paplania, zamiast uczynić lżejszem moje udęczenie, czy-

ni je jeszcze bardziej przygnębiającem. Oczy mnie bołą; wiem przecież doskonale, że ich nie zamknę ani na chwilę.

Pewną jestem, że i on nie śpi. Kiedy szłam na górę do mego pokoju, zamierzał zająć miejsce margrabiego przy stoliku gry, naprzeciw mego męża. Czy też grają dotąd jeszcze? Bezwątpienia, grając, myśli on i cierpi. Jakie też mogą być jego myśli? Jakiem jego cierpienie?

Nie, spać mi się nie chce. Pójdę do loggii. Muszę wiedzieć czy grają jeszcze, czy też on powrócił do swoich pokojów. Jego okna mieszczą się w narożniku, na drugim piętrze.

Noc jest jasna i przesiąknięta wilgocią. Salon, w którym grają, jest oświetlony. Pozostałam w loggii długo, z oczyma utkwionemi w tę jasność, która kładzie się na gałęziach jednego z cyprysów, zlewając się z księżycowym blaskiem. Drzę cała. Nie umiałabym powtórzyć wrażenia, tragicznego niemal, jakie na mnie sprawiają te okna oświetlone, po za którymi grają ci dwaj mężczyźni, jeden naprzeciw drugiego, w wielkiej ciszy nocy, za ledwie przerywanej stłumionem łkaniem morza. I grać tak może będą do świtu, jeśli on zechce okazać się uprzejmym i wyrozumiałym dla straszliwej namiętności mego męża. Aż do świtu będzie nas czuwało troje, bez wypoczynku, wydanych na łup naszych namiętności.

Ale co on myśli? Jaką jest jego tortura? Nie wiem co dałabym za to w tej chwili, aby go mógł zobaczyć, aby mógł na niego patrzeć aż do świtu, choćby nawet po przez szyby, wśród wilgoci nocnej, drżąc jak drzę teraz. Najszałeńsze myśli przechodzą mi przez głowę, jak błyskawice i olśniewają mnie nagłe, zmieszane bezładnie. To początek ciężkiego upojenia; doznaję jakby głuchego podniecenia do spełnienia czegoś śmiałego i niepowetowanego; czuję ten zawrót głowy, co poprzedza zgubę. Tak, czuję, że zdjęłabym sobie z serca ten ciężar niezmierny, że zdarłabym z gardła te więzy co mnie dławia, gdybym teraz w tę noc, w tę ciszę krzyknąć mogła z wszystkich sił mojej duszy: „Kocham cię! Kocham cię! Kocham!“

Księga trzecia.

I.

W kilka dni po wyjeździe rodziny Ferres, margrabiowstwo d'Ateleta a z nimi Andrzej odjechali również do Rzymu. Franciszka, wbrew swemu zwyczajowi, postanowiła skrócić tym razem letni swój pobyt w Schifanoia.

Andrzej, po krótkim pobycie w Neapolu, przybył do Rzymu 24 października, w pewną niedzielę rano, podczas pierwszego wielkiego jesiennego deszczu. Kiedy wszedł do swego mieszkania w pałacu Zuccari, do tego wytwornego i uroczego swego *home*, doznał niezwyklej przyjemności. Zdawało mu się, że odnajduje tu jakąś część samego siebie, coś, czego mu brakowało. Prawie nic się tu nie zmieniło. Każdy przedmiot zachowywał jeszcze w jego oczach ten niewytłomaczony pozór życia, jaki przybierają rzeczy, w pośród których długo kochało się, marzyło, cieszyło, cierpiało. Stara Jenny i Terencyusz pomyśleli o najdrobniejszych szczegółach; Stefan przysposobił wszystko jaknajstaraniej na przybycie pana.

Deszcz padał. Andrzej pozostał czas jakiś przy oknie, z czołem opartem o szybę, patrząc na Rzym, to wielkie miasto ukochane, które ukazywało się w głębi poszarzane, niby przysypane popiołem, z plamami srebrnymi tu i owdzie, wedle tego jak wiatr kapryśny napędził smugi deszczu w tę atmosferę jednostajnie szarą, w której od czasu do czasu rozlewała się jasność szybko gasnąca, niby uśmiech przelotny. Podziwiany za swój samotny obelisk plac Trinita de Monte był pusty. Wzdłuż muru, który łączy kościół z willą Medicis, drzewa alei poruszały się, wpół już odarte z liścia, czarniawe i czerwone naprzemian pod działaniem deszczu i wiatru. Pincio zieleniło się jeszcze, jak wyspa na mgłami zasnutem jeziorze.

Patrząc tak na tę dal miasta, Andrzej miał, nie już jakąś myśl określoną, ale cały chaos zmieszanych myśli, a uczucie, które w nim przeważało nad wszystkimi innymi, było to nagłe i potężne obudzenie się dawnej jego miłości do Rzymu, do tego Rzymu tak miłego, ogromnego, wspaniałego, jedyne dla tego miasta miast, wiecznie młodego, nowego i tajemniczego jak morze.

Deszcz nieustawał na chwilę. Na Monte Mario niebo zaciągało się mgłami, chmury gromadziły się, przybierały ciemno-błękitną barwę wód głębokich, rozciągały się ku Janiculum, zniżały nad Watykanem. Kopuła św. Piotra dotykała Dod. do „Prs. Tyg. G. D'Annunzio. „Dziecko rozkoszy“. 19

szczytem i zdawała się unosić tę chmur kłęby, podobne do dziwnego stosu ołowianego. Między niezliczonymi skośnymi smugami deszczu, mgła posuwała się zwolna, niby welon niezmiernie cienki, przesuwany między stalowymi strunami wyciągniętymi i wciąż drgającymi. Żaden odgłos silniejszy nie przerywał monotonnego szmeru ulewy.

— Która godzina?— spytał Andrzej, odwróciwszy się do Stefana.

Było około dziewiątej. Ponieważ czuł się cokolwiek zmęczonym, postanowił zasnąć, nie chcąc się widzieć z nikim i spędzić ten wieczór w skupieniu. Mając wrócić w wielkoświatowe, gwarne życie Rzymu, pragnął, zanim przystąpi do tej oddawna znanej praktyki, oddać się na chwilę rozmyślaniu, niejakiemu przysposobieniu, ponieważ postawić sobie pewną regułę, obmyślić plan przyszłego postępowania.

Rzekł do Stefana:

— Gdyby kto spytał o mnie, powiedz, że nie powróciłem jeszcze. Uprzedź odźwiernego a także Jamesowi daj znać, że nie będę go potrzebował w ciągu dnia, powiedz mu wszakże, by przyszedł po rozkazy wieczorem. Każ mi przyrzadzić na trzecią jakieś bardzo lekkie śniadanie a obiad na dziewiątą. To wszystko.

Usnął niemal natychmiast. O drugiej służący zbudził go i oznajmił, że książę Gritti był

zrana, dowiedziawszy się od margrabiny d'Ateleta, że pan hrabia powrócił.

— I cóż jeszcze?

— Książę pan powiedział, że przybędzie powtórnie przed wieczorem.

— Czy pada jeszcze? Otwórz jak szeroko żaluzye.

Nie padało już. Niebo się wyjaśniło. Snop bladego słońca wcisnął się do pokoju i zalał gobelin „Matki Boskiej z dzieciątkiem i Stefana Sperelli“, który Justynian przywiózł z Flandryi w 1508 roku. I oczy Andrzeja obiegły zwolna ściany pokoju, przeglądając wytworne kobierce i gobeliny, gustowne obicia, pobożne postacie, co były świadkami tylu chwil przyjemnych, co uśmiechały się do tylu radosnych przebudzeń, które rozweselały bezsenne smutne noce rannego. Wszystkie te rzeczy tak znajome i drogie zdawały się witać go. Przypatrywał im się z zadowoleniem szczególnem. Obraz Maryi Ferrès stanął przed jego duszą.

Podniósł się nieco na poduszkach, zapalił papierosa i puścił wodze myślom z rozkoszną gnuśnością. Niezwykła jakaś błogość obezwładniała mu członki a umysł znajdował się w jakimś dziwnie dobrem usposobieniu. Wyobraźnia ulatywała w dal wraz z kłębamii dymu w tem złągodzonym świetle, w którym barwy i kształty przybierały jakiś urok niepewności.

Zamiast zwracać się myślą ku przeszłości, ima-

ginacya jego biegła w przeszłość dobrowolnie. Ujrzy znów Maryę za dwa, za trzy miesiące najdalej... Kto to wie? Może daleko wcześniej jeszcze; a wtedy nawiąże napowrót tę miłość, która miała dla niego tyle niepochwytnych obietnic, tyle tajemniczego uroku. Będzie to dla niego druga miłość, z głębokością, słodyczą i smutkiem rzewnym „drugiej“ miłości. Dla człowieka intelektualnie wyższego taka kobieta jak Marya byłaby idealną kochanką. „Przyjaciółką o pięknie rozwiniętych biodrach“ — wedle wyrażenia Baudelaire'a, doskonałą „pocieszycielką“, tą, co umacnia i przebacza, i przebaczać umie. Z wszelką pewnością kiedy zakreślała w tomiku Shelleya owe dwa bolesne wiersze, w sercu musiała inne powtarzać słowa i czytając cały ten poemat, niezawodnie płakała i długo myślała o uleczeniu litością i cudownem wyzdrowieniu „I can never bethine!“ Dlaczego *nigdy?* Owego dnia w lasku Vicomile, odpowiedziała mu w udręczeniu namięttem: „Kocham cię! Kocham cię! Kocham!“

Słyszał jeszcze głos Maryi, ten głos niezapomniany... Wywołana tym głosem Helena Muti, ukazała się przed jego myślą, zbliżyła do tamtej drugiej, spłynęła z nią w jedno i z wolna zwróciła umysł jego ku obrazom zmysłowych rozkoszy. Łoże, na którym spoczywał, przedmioty, co go otaczały, świadkowie i współwinowajcy dawnych miłostek, wszystko to potroszę podsuwało mu

obrazy szafu zmysłów. W tem rozmarzeniu począł w myśli rozbierać siennenkę, ogarniać ją swą żądzą, nadawać pozy zaniedbania, wystawiać ją sobie w swym uścisku. I posiadanie rzeczy-wiste tej kobiety tak czystej i skromnej wydało mu się najwyższem upojeniem, całkowicie dlań nowem, najrzadszem, jakie mógłby kiedy osiągnąć; pokój zaś ten—przybytkiem najgodniejszym pomieścić w sobie tę rozkosz, nadałby bowiem tej uroczej tajemnicy szczególniejszy smak profanacji i świętokradztwa.

Pokój był pełen religijnego powiewu jak kaplica. Andrzej zgromadził w nim niemal wszystkie materye kościelne, jakie posiadał i wszystkie gobeliny o tematach religijnych. Łoże wznosiło się na podwyższeniu o trzech stopniach, w cieniu baldachimu z wytłaczanego aksamitu weneckiego wytworu z XVI stulecia, gdzie na tle srebrno-złotawem występowały desenie czerwonej przyćmionej barwy, o wypukłym rysunku z bajorku złotego; aksamit ten również musiał kiedyś służyć do kultu religijnego, desień bowiem nosił napisy łacińskie i symbole, grona winne i kłosa. Mały dywan flamandzki, bardzo wytworny, haftowany złotem Cypru, wyobrażający „Zwiastowanie“, wisiał w głowach łóżka. Inne dywany z herbami Sperellich okrywały ściany ujęte w górze i na dole pasami w rodzaju bordiur, na których wyhaftowane były

epizody z życia Najświętszej Panny, dzieje męczeństw, apostołowie i prorocy. Antepedium ołtarza, przedstawiające przypowieść o dziewicach mądrych i głupich, z dwoma kawałkami pluwiału po bokach, okrywało kominek. Kilka kosztownych mebli, pochodzących widocznie z zakrysty, z rzeźbionego drzewa z XV wieku, dopełniało pobożnego umeblowania; tu i owdzie rozstawione były majoliki Luca della Robbia i wielkie fotele, których poręcze i siedzenia pokryte były kawałkami dałmatyk, przedstawiających sceny Stworzenia. Wszędzie z gustem niezmiernym, umiejętnie spożytkowano do przyozdobienia lub komfortu najróżnorodniejsze materye kościelne: sukienki, manipularze, zasłony, stuly, ornaty. Wsparty o konsolę kominka, jakby na ołtarzu, wznosił się wielki tryptyk Hansa Memlinga „Hołd magów“, który całą komnatę napełniał blaskiem arcydzieła.

Niektóre napisy haftowane, między słowami pozdrowienia anielskiego, powtarzały imię Maryi, wielką literę M. po kilkakroć, raz nawet haftowaną perłami i granatami. „Kiedy wstąpi w te miejsca, myślał aranżer całej tej oryginalnej wspałości, czyliż nie dozna wrażenia, że wchodzi do przybytku jej poświęconego?“ I lubował się przez dłuższy czas w przedstawianiu sobie przygody światowej, pośród tych scen z dziejów świętych; i raz jeszcze zmysł estetyczny,

oraz wyrafinowana zmysłowość wzięły w nim górę i spaczyły proste a ludzkie uczucie miłości.

Stefan zapukał do drzwi, mówiąc:

— Pozwalam sobie zawiadomić pana hrabiego, że to już trzecia.

Andrzej wstał i przeszedł do ośmiokątnego pokoju, by się ubrać. Słońce, przedzierające się przez koronkowe firanki u okien, roziskrzało tafle fajansowe maurytańsko - hiszpańskie, tysiące przedmiotów z kryształu i srebra tu ustawionych, oraz płaskorzeźby starożytnego sarkofagu. Te migotliwe refleksy nadawały powietrzu pewną wesołą ruchliwość. Andrzej czuł się dziwnie wesołym, kompletnie wypoczętym, zdrowym, pełnym sił żywotnych. Doznawał niewysłowionej radości, odnajdując się napowrót w swem home. Wszystko, co było tylko w nim kapryśnego, lekkomyślnego, światowego, budziło się teraz nagle. Rzekłbyś, że rzeczy otaczające miały potęgę wskrzeszania w nim dawnego człowieka. Ciekawość jego, sprężystość, ruchliwość umysłu, wszystko to pojawiało się napowrót. Poczynał już doznawać potrzeby rozpraszania się, zobaczenia z przyjaciółmi i przyjaciółkami, rzucenia się w wir rozrywek. Zauważył, że ma porządny apetyt i polecił służącemu, aby mu podał śniadanie.

Rzadko niezmiernie jadał w domu, ale na wypadki nadzwyczajne, na jakiś lunch miłosny lub kolacyjkę wesołą miał urządzony u siebie pokój

stołowy, przyozdobiony w gobeliny neapolitańskie, sięgające niemal sufitu, które Karol Sprelli polecił niegdyś w 1766 roku wykonać rzymianinowi Piotrowi Durantiemu, tapicerowi królewskiemu, według rysunków Hieronima Storace. Siedem pól na ścianach przedstawiały epizody miłości bachicznej o rubensowskiej wspaniałości barw; portyery zaś, pasy u drzwi i okien zdobiły wizerunki kwiatów i owoców. Złocenia blade i płowe, przeważające tutaj, tworzyły wraz z ciałami perłowemi, cynobrem i ciemnym szafiirem akord równocześnie łagodny i gorący.

— Kiedy powtórnie przyjdzie książę Gritti, wpuścisz go—ozwał się do służącego.

Tu także zachodzące ku Monte Mario słońce ciskało groty swych promieni. Słychać było turkot powozów, przejeżdżających po Trinita de Monte. Po spadłym deszczu cała jasność świetlana rzymskiego października zdała się zlewać falą na odwieczne miasto.

— Otwórz okno—przemówił do lokaja.

Turkot stał się głośniejszym; ciepłe powietrze wdarło się do pokoju; firanki zachwiały się zlekka.

— Boski Rzymie!—pomyślał, patrząc w niebo przez przestrzeń wolną między firankami.

I nieprzeparta ciekawość pociągnęła go do okna.

Rzym ukazywał się zdala, barwy niezmiernie jasnego łupku o liniach konturów, nieco niepe-

wnych jak w wyblakłym malowidle, pod niebem takim, jak na obrazach Klaudyusza Lorraina, wilgotnawem i świeżem, posianem przezroczeni chmurkami, których szlachetne grupy nadawały wclaym pośród nich przestrzeniom nieopisaną delikatność jak kwiaty dodają zieleni murawy nowego wdziku. W dali na uciekających w górę wysokościach, łupek przemieniał się w ametyst. Długie i delikatne smugi pary przesuwwały się między cyprysami Monte Mario, podobne do zwoju włosów przepływających przez grzebień z brązu. Całkiem bliskie sosny na Pincio wznosiły w górę złoczone swe parasole. Na placu obelisk Piusa VI go zdał się słupem z agatu. W bogatym tem świetle jesiennem wszystkie przedmioty przybierały pozór skarbów.

— Boski Rzymiel...

Nie mógł nacieszyć się tym widokiem. Przyglądał się przechodzącej pod murami kościoła gromadce kleryków w czerwonych sukniach; potem czarnej karecie prałata, z parą karych koni o długich zamiatających ulicę ogonach; następnie innym powozom odkrytym, w których rozpierały się kobiety i małe dzieci. Poznał księżną Ferentino z Barbarellą Viti, dalej hrabinę Lucoli, powożącą parą kucyków, za którą biegł wielki jej dog duński. Powiew dawnego jego życia owiał mu duszę, zaniepokoił, obudził w niej rój nieokreślonych pragnień.

Odszedł od okna i usiadł przy stole. Słońce

zapalało gorącym blaskiem stojące przed nim kryształ; na ścianie ożywiało taniec satyrów.

Służący zameldował:

— Książę pan z dwoma jeszcze panami.

Książę Gritti, Ludovico Barbarisi i Juliusz Musellaro weszli w chwili, gdy Andrzej podnosił się, by wyjść na ich spotkanie. Uścisnęli go wszyscy trzej kolejno.

— Juliusz! — zawołał Andrzej, który od lat dwóch przeszło nie widział swego przyjaciela. — Odkądże jesteś w Rzymie?

— Od tygodnia. Chciałem pisać do ciebie do Schifanoia, ale wolałem doczekać się twego powrotu. Jakże się miewasz? Dobrze, o ile widzę; tylko zdaje mi się, żeś schudł cokolwiek. W Rzymie dopiero dowiedziałem się o twoim pojedynku i ranie, gdyby nie to, byłbym powrócił z Indyj, by ci ofiarować moje usługi. Na początku maja byłem w Padmavati, w Bahar... Mam ci tyle rzeczy do opowiedzenia...

— A ja ileż!..

Uścisnęli się powtórnie za ręce serdecznie. Sperelli zdawał się prawdziwie uszczęśliwionym. Żaden z przyjaciół nie był mu tak drogim jak ten Musellaro, tak szlachetny, inteligentny, umysłu tak przenikliwego, o wykształceniu tak wytwornem.

— Rogerze, Ludwiku, siadajcie, proszę. A ty, Juliuszu, bierz to krzesło.

Kazał podać papierosy, herbatę, likiery. Roz-

mowa zawiązała się i wkrótce stała wielce ożywioną. Gritti i Barbarisi obznajmiali go z nowinami Rzymu, powtarzali wiadomości najświeższe z miejskiej kroniki. Dym unosił się w powietrzu, zabarwiony promieniami poziomie nieomal padającego słońca; gobeliny zlewały się harmonijnie w jakiś gorący i miękki koloryt; zapach herbaty mieszał się z wonią tytoniu.

— Przywiozłem ci wór herbaty — ozwał się Musellaro do Sperellego—bez porównania lepszej niż ta, którą pijał twój sławny Kien-Lung.

— A, przypominam sobie jakieśmy, to w Londynie przyrządzali herbatę według poetycznej metody wielkiego cesarza!

— Czy wiesz—ozwał się Gritti—że jasnowłosa Klara Green jest w Rzymie. Widziałem ją w niedzielę w willi Borghese. Poznała mnie, odkloniła się i kazała zatrzymać się swemu powozowi. Zawsze jednakowo piękna! Przypominasz sobie jej słabość do ciebie i jak cię prześladowała kiedyś to był zakochany w Konstancyi Landbrooke? Najpierw spytała o ciebie, następnie dopiero o mnie.

— Z przyjemnością z nią się zobaczę. Tylko czy nie ubiera się jeszcze po dawnemu w zielone suknie i olbrzymie słoneczniki na kapeluszu?

— Nie, nie. Choć już nazawsze wyparła się wszelkiej estetyki, jak się zdaje. Teraz przepada za piórami. W niedzielę miała wielki kapelusze à la Montpensier z bajecznem piórem.

— Tego roku — ozwał się Barbarisi — mamy niezwykłą obfitość dam z półświatka. Nie licząc Klary Green, jest ze trzy czy cztery wcale jeszcze przyjemnych. Julia Arici odznacza się przesłicznym ciałem i dostatecznie arystokratycznymi kończynami. Powróciła także Silva, którą przedwczoraj zdobył sobie nasz przyjaciel Musellaro wspaniałą skórą pantery. Wróciła również Marya Fortune, ale poróżniona z Karolem de Souza, którego na teraz zastępuje Roger...

— Sezon zatem jest w pełni rozkwitu?

— Tak, ten rok jakoś wcześniej się poczyna, niż kiedykolwiek, tak dla grzesznic, jak i dla niemogących grzeszyć.

— A któreż z tych niemogących grzeszyć powróciły już do Rzymu?

— Niemal wszystkie: Moceto, Viti, obie siostry Daddi, księżna Micigliano, Laura Miano, margrabina Massa d'Albe, hrabina Lucoli...

— Hrabinę Lucoli widziałem przed chwilą z okna. Widziałem także twoją kuzynkę z Barbarellą Viti.

— Moja kuzynka bawi tu tylko do jutra. Jutro ma powrócić do Frascati. W środę urządza w swej willi rodzaj *garden-party* na sposób księżnej de Sagan. Kostium nie jest konieczny, ale wszystkie panie mieć będą kapelusze Louis XV, albo Directoire. My się tam wybieramy.

— Nie opuścisz tak prędko Rzymu, spodziewam się? — zapytał książę Gritti Andrzeja.

— Pozostanę tu aż do pierwszych dni listopada. Potem pojedę na jakie dwa tygodnie do Francji, aby świeżo zaprowadzić moją stajnię i pod koniec tegoż miesiąca będę już z powrotem w Rzymie.

— A propos, Lionet Lanza sprzedaje swego „Campomorto“ — ozwał się Ludwik. — Znasz tego konia? Przepyszne zwierzę i bierze przeszkody znakomicie. Przydałby ci się...

— A cena?

— Piętnaście tysięcy, o ile mi się zdaje.

— Wartoby zobaczyć..

— Lionet żeni się wkrótce. Tego lata w Aix-les-Bains zaręczył się z panną Ginosa.

— Zapomniałem ci powiedzieć—rzekł Musellaro—że Galeas Secinaro przesyła ci pozdrowienie serdeczne. Powracaliśmy z Indyj razem. Ach, gdybym ci opowiedział jego bohaterskie przygody w czasie podróży! Jest teraz w Palermo, ale powraca do Rzymu w styczniu.

— Gino Bomminaco kazał cię także serdecznie pozdrowić—dodał Barbarisi.

— Ach, ach — zawołał śmiejąc się książę — musisz, Andrzeju, kazać sobie opowiedzieć przygodę Gina z Julią Moceto... Ty, jak sądzę, mógłbyś nam dostarczyć niektórych szczegółowych objaśnień co do Julii...

Ludwik począł się śmiać również.

— Wiem już—rzekł Musellaro—żeś tu w Rzy-

mie zdumiewające robił spustoszenia. Najserdeczniejsze moje powinszewania...

— Opowiedzcie mi, proszę bardzo, tę ową przygodę!—wołał Andrzej zaciekawiony.

Rozmowy te podniecały go. Podbudzany przez swych przyjaciół, zapuścił się w rozprawę o piękności kobiet, daleko mniej wstrzemięźliwą niżli takąż Firenzuoli. Po długiej abstynencji następowało w nim przebudzenie dawnej zmysłowości i mówił z przejęciem, gorąco i głęboko. Będąc wielkim znawcą nagości, z upodobaniem dobierał wyrażeń jaknajbarwniejszych, wdając się w subtelności tej kwestyi jak artysta i libertyn zarazem. I w samej rzeczy, rozmowa tych czterech młodych ludzi pośród wspaniałych gobelinów o archaicznej treści, gdyby kto zechciał ją spisać, mogłaby stać się prawdziwym „Breviarum arcanum“ eleganckiego zepsucia w tym schyłku XIX wieku.

Dzień zamierał, ale powietrze, zatrzymujące jasność jak gąbka zatrzymuje wodę, przesiąkłe było jeszcze nawskroś światłem. Przez okno widać było na niebie pas pomarańczowy, na którym rysowały się cyprysy Monte Mario, wyraźnie jak zęby wielkich grabi z hebanu. Od czasu do czasu słychać było krakanie wron, ulatujących gromadami, co siadały na dachach willi Medicis, by następnie spuścić się na willę Borghese.

— Co robisz dziś wieczorem? — spytał Barbarisi Andrzeja.

— Nie wiem jeszcze.

— W takim razie chodź z nami. O ósmej zamierzamy zejść się na obiad u Doneya w teatrze Narodowym. Chodzi tu o inaugurację nowej restauracyi a raczej jej gabinetów rezerwowanych. Tam przynajmniej nie będziemy zmuszeni po ostrygach znosić podniecającej nagości „Judyty“ lub „Najady“, jak w kawiarni Rzymskiej. Pieprz akademicki posypany na sztuczne ostrygi...

— Chodź z nami—popierał Musellaro.

— Z nami trzema—zawołał książę—będzie tam Julia Arici, Silva i Marya Fortune... I, słuchaj, znakomity pomysł! Przyprowadź z sobą Klarę Green.

— Przepyszny pomysł!—zawołał Ludwik.

— Ale gdzież ją znajdę Klarę Green?

— W hotelu Europejskim, bliźsiuteńko, na placu di Spagna, słóweczko zaproszenia z twej strony uszczęśliwi ją wielce. Możesz być pewien, że rzuci wszelkie inne zobowiązania.

Projekt ten podobał się Andrzejowi.

— Lepiej chyba będzie odwiedzić ją samemu. Zapewne teraz jest w domu. Co o tem myślisz, Rogerze.

— Ubieraj się i chodźmy prędeej.

Wyszli. Klara Green przed chwilą właśnie powróciła do hotelu. Powitała Andrzeja z prawdziwie dziecięcą radością. Byłaby wołała nieza-

wodnie obiadować z nim sam na sam, ale i tak przyjęła zaproszenie chętnie. Napisała bilecik, aby się uwolnić od innego, poprzednio już przyjętego zobowiązania; posłała jakiegoś przyjaciółce klucz od łoża. Zdawała się bardzo uszczęśliwioną. Poczęła opowiadać całą moc wielce sentymentalnych historyj, przysięgała mu, że nigdy nie mogła go zapomnieć. Mówiąc to, trzymała ręce Andrzeja w swoich.

— *I love you more than can say, Andrew.*

Była młodą jeszcze. Z swym profilem czystym i prostym, uwieńczonym jasno blond włosami, co się rozdzielały ponad czołem, tworząc bardzo nisko spadającą fryzurę, wyglądała na grecką piękność z Keepsake'u. Pewna nienaturalność i wymuszona estetyczność pozostały jej z miłości z poetą-malarzem Adolfem Jeckyll, który w poezji naśladował manierę Keatsa a w malarstwie był naśladownikiem Holmana Hunt'a, rzeźbiąc sonety ciemnej, niedociekłej treści i malując tematy zapożyczone z „Vita nuova“. Pozowała do obrazu „Sibilla palmifera“ i do Madonny z lilią. Służyła raz również Andrzejowi za model do studyum głowy, które posłużyć mu miało do akwaforty, przedstawiającej Izabettę z noweli Boccaccia. Sztuka uszlachetniła ją zatem. W głębi wszakże był to umysł bardzo płytki a nawet przy dłuższem obcowaniu stawała się nieco nudną z powodu rodzaju sentymentalizmu romantycznego, dość częstego u kobiet angielskich z półświata,

który stanowi szczególniejszy kontrast z ich zepsuciem i rozwiązłością.

— *Who would have thought we should stand again together, Andrew!*

W godzinę później, Andrzej opuścił ją i powrócił do pałacu Zuccari, schodkami, które prowadzą z placu Mignanelli na Trinita. W ten łagodny wieczór październikowy, gwar miasta dobiegał aż do tych opustoszałych schodów. Gwiazdy migotały na wilgotnem i czystem niebie. U stóp pałacu Casteldelfine, po przez kratę żelazną ogrodzenia, krzewy, skąpane w tajemniczym świetle, kładły niepewne cienie, bez szelestu, niby morskie rośliny, pływające na dnie akwaryum. Z pałacu przez oświetlone okna, przysłonięte czerwonymi frankami, dochodziły dźwięki fortepianu. Jęk dzwonów kościelnych rozległ się w powietrzu. Andrzej poczuł nagle, że mu dziwnie cięży serce. Niespodziewane wspomnienie Maryi Ferrès stanęło przed nim, budząc w nim zmieszane wrażenie żalu i wyrzutu nieomal. „Co też ona robi o tej porze? Czy myśli o nim? Czy cierpi?“ Wraz z obrazem siennenki wy płynął przed oczyma jego duszy stary gród tokański, katedra biała i czarna, loggia, fontanna... Ciężki, jakiś smutek padł mu na serce. Zdało mu się, że z jego głębin uleciało coś; nie wiedział dobrze co to było, ale smuciło go to jak strata niepowetowana.

Przyszedtł mu ponownie na myśl ranny zamiar: ów wieczór w samotni jego mieszkania, do którego ona zajdzie może kiedyś; wieczór pełen smętnej rzewności, ale słodki, w towarzystwie wspomnień i marzeń, w towarzystwie duszy ukochanej kobiety; wieczór rozmyślań i skupienia w sobie! Jakże to został wiernym swemu zamiarowi pierwotnemu! Za chwilę zasiądzie do obiadu z przyjaciółmi w gronie kobiet i bezwątpienia pójdzie potem z Klarą Green...

Wyrzuty sumienia stały się dlań tak nieznośne, że zamieniły się w formalną torturę; ubrał się się śpieszniej niż zwykle, wskoczył do powozu i kazał się wieźć do hotelu, wcześniej niż było umówione. Klara była już gotowa. Zaproponował jej spacer w powozie po ulicach Rzymu, by się doczekać ósmej.

Minęli ulicę Babuino, okrążyli obelisk na placu del Popolo, zwrócili się na Corso, potem skręcili na prawo ulicą fontanny Borghese; następnie przez Montecitorio wrócili na Corso, przez które pojechali aż do placu Wenecyi, ztamąd zaś dotarli do teatru Narodowego. Klara paplała bez przerwy i pochylała się co chwila ku młodzieńcowi, zlekka muskając pocałunkiem kącik jego ust po za rozpostartym wachlarzem z białych piór, z którego unosiła się delikatna niezmiernie woń *white rose*. Ale Andrzej zdawał się nie rozumieć tego i odpowiadał

na tę pieśczołę nieokreślonym jakimś uśmiechem tylko.

— *Che pensi?* — spytała, wymawiając włoskie słowa z lekką niepewnością akcentu, będącą wdziękiem.

— O niczem—odparł biorąc ją za rękę, z której zdjętą była rękawiczka i przypatrując się jej pierścionkom.

— *Chi lo sa?* — westchnęła, nadając szczególniejszy wyraz tym trzem jednozgłoskom, których kobiety cudzoziemki uczą się najpierwej, ponieważ wydaje im się, że w nich zawiera się skoncentrowana cała melancholia włoskiej miłości.—
Chi lo sa?...

I dodała tonem prośby:

— *Love me this evening, Andrew!*

Andrzej pocałował ją zlekka w ucho, objął w pół, powiedział tysiące niedorzeczności i stał się nagle wesołym. Corso było zaludnione, witryny sklepów rzucały snopy światła, przekupnie dzienników wrzeszczeli, dorożki i powozy prywatne wymijały ich karetkę; począwszy od placu Colonna aż do placu Wenecyi, panowało wszędy ożywienie wieczorów rzymskich.

Kiedy weszli do Doneya, było dziesięć minut po ósmej. Już trzy pozostałe pary były tu zebrane. Andrzej skonił się obecnym i podprowadzając Klarę Green za rękę, rzekł:

— Oto jest miss Klara Green — rzekł, dodając parę dowcipnych wyrazów.

Kożeśmieli się chórem Musellaro, Barbarisi i Gritti.

Kobiety zaśmiały się także, nie zrozumiawszy jednak dobrze tego przedstawienia. Klara uśmiechnęła się lekko; zrzuciła właśnie płaszczyk i ukazała się w sukni białej, prostej, krótkiej, na piersiach i plecach wyciętej w ząb, z wstążką koloru *vert de mer* na lewym ramieniu, i dwoma szmaragdami w uszach; potrójny egzamin Julii Arici, Silwy i Maryi Fortune, nie wprowadził ją w kłopot bynajmniej.

Musellaro i Gritti znali ją już, Barbarisię jej przedstawiono.

— Andrzej mówił:

— Mercedes Silva, z przydomkiem *Bébé, chica pero guapa*.

— Marya Fortune, piękność czarodziejska, prawdziwa Fortuna publiczna... dla naszego Rzymu, który ma szczęście ją posiadać.

Potem zwrócił się ku Barbarisiemu:

— Zrób nam ten zaszczyt i przedstaw nas tej damie, która, jeśli się nie mylę, jest boską Julią Farnese.

— Nie; Julia Arici—przerwała ta, o którą chodziło.

— Przepraszam panią, by temu uwierzyć, potrzebowałbym wziąć na pomoc całą moją łatwo wierność i poradzić się jeszcze Pinturicchia w Piątej sali.

Mówił te wszystkie błazeństwa bez uśmiechu, bawiąc się osłupieniem lub gniewem absolutnej nieświadomości tych ładnych gąsek. Ilekroć był wśród „półświatka“, miewał specjalny styl swój i sposób traktowania tych istot. By się mniej nudzić, sadził się na najdziwaczniejsze frazesy, rzucał piramidalnemi paradoksami, okrutnemi impertynencyami, ukrytemi w dwuznaczności wyrażen, w niezrozumiałej subtelności dowcipu; darzył je madrygałami zagadkowemi a wszystko to wypowiadał w języku oryginalnym, przeplatany jak bulwarowa gwara tysiącem specjalnych wyrażen, bogatym w najrozmaitsze osobliwości, istnej *olla podrida* w rodzaju Rabelais'go, mocno pieprznej i soczystej. Nikt lepiej od niego nie umiał opowiedzieć tłustej anegdotki, skandalicznego wydarzenia, jakiejś przygody a la Casanova. W przedmiocie rozkoszy uikt nad niego nie umiał znaleźć słowa dosadniejszego i silniejszego, prawdziwej nazwy z krwi i kości, frazesu pełnego rdzenia podstawowego, frazesu co żyje, oddycha i drga jak rzecz, której formę przedstawia, mogącego udzielić słuchaczowi, zdolnemu w tych sprawach być sędzią, podwójnej przyjemności, nietylko dla umysłu ale i dla zmysłów; przyjemność cokolwiek podobna do tej, jaką dają niektóre malowidła wielkich mistrzów kolorystów, przesiąknięte purpurą i mlekiem, niby skąpane w przezroczu płynnej ambry, przesiąknięte złotem

gorącym i wiekuiście promiennem jak krew nieśmiertelna.

— Kto to jest Pinturicchio? — spytała Julia Arici Barbarisiego.

— Pinturicchio! — zawołał Andrzej.—Trzeciorzędny bazgracz murów, który niedawno temu miał fantazyę wymalowania ciebie na drzwiach w apartamentach papieża. Nie myśl o tem. On już umarł!...

— Ale jakże?...

— Och, w ekropny sposób! Żona jego była kochanką żołnierza, stojącego garnizonem w Sienne... Rozpytaj o szczegóły Ludwika. On to wie wszystko dobrze; ale nie wspominał ci o tem nigdy, z obawy, by cię nie zmartwić. *Bebé*, ostrzegam cię, że przy stole książe Walii rozpoczyna palić dopiero między drugą a trzecią potrawą; nigdy wcześniej. Ty zaś antycypujesz cokolwiek.

Bebé zapaliła była papierosa i połykała teraz ostrygi a dym równocześnie wychodził jej przez nozdrza. Było w niej coś podobnego do gimnazysty bezpłciowego, do niedojrzałego zdeprawowanego hermafrodyty; blada, chuda, z oczyma płonącemi gorączką i podkreśleniem, z wargami zbyt czerwonymi, z włosami krótkimi i włni stemi, cokolwiek kędzierzawymi, które pokrywały jej głowę jak barankowa czapeczka. Miała

wciśniętą w orbit lewego oka szybkę monoklu; nosiła wysoki kołnierzyk krochmalny, biały krawat, kamizelkę otwartą, zakiet męzkim krojem w jego kłapie, naśladowała maniery dandysa i mówiła głosem zachrypłym. A co w niej było pociągającym właśnie, co kusiło najwięcej, to owo piętno zepsucia, potworności, którem nacechowaną była jej powierzchowność, zachowanie, sposób wyrażania się. *Sal y pimienta.*

Marya Fortune, przeciwnie, była typem nieco zwierzęcym, o spokoju krowy; było to coś w rodzaju pani de Parabère, poczynającej tyć. Jak piękna kochanka regenta, miała ona ciało białe, białością matową i głęboką, jedno z tych ciał niezmęczonych i nienasyconych, które rozkosz żywi, darząc je rozkwitem. Oczy jej, blado fiołkowe, poruszały się zwolna na tle ciemnego lazuru; usta, zawsze nawpół otwarte, ukazywały w różowym półcieniu światło perłowej masy, niby muszla, co się roztwiera.

Julia Arici podobała się bardzo Sperellemu cerą swą złocistą twarzy, wśród której otwierało się dwoje ocz aksamitnych, zda się wykrojonych z miękiego brunatnego aksamitu, przybierających czasami niemal płowe odbłyски. Nos jej cokolwiek za mięsisty i usta grube, świeże, purpurowo-krwiste, bardzo twarde, nadawały dolnej części twarzy, wyraz łagodnego zbydlęcenia. Zęby ostre, trochę za wielkie, podnosiły jej ką-

ciki ust; a ponieważ wargi zawsze tym sposobem w pół otwarte osychały szybko i niezawodnie sprawiały jej kłopot, zwilżała je co chwila końcem języka. I widać było bezprzestannie ten koniuszek języka, przesuwany się po baryerze zębów, podobny do wilgotnego listka róży na szeregu drobnych, odartych ze skóry migdałów.

— Julio — ozwał się Andrzej, przypatrując się jej ustom — ktoś w jednym z swych kazań, znalazł dla ciebie bardzo trafny epitet. I pewien jestem, gotówem założyć się nawet, że go nie znasz!

Julia zaczęła śmiać się głupim ale wspaniałym śmiechem, który odsłaniał jej cokolwiek dziąsła; w tem rozweseleniu wydzielał się z niej zapach jakiś mocniejszy, jak z okrytego kwieciem krzaku, gdy nim wstrząśniemy.

— Co mi dasz za to — mówił Andrzej — jeśli tak jakby ze skarbca świątyni wyjęłoby się jakiś kamień o podniecającej własności, wyjmę z kazania nazwę rozkoszną, by ci ją przynieść w darze?

— Nie wiem — odpowiedziała śmiejąc się ciągle, z kieliszkiem wina Chablis w palcach dość delikatnych i wydłużonych. — Wszystko czego pan zechcesz.

— Rzeczownik przymiotnika.

— Co pan mówi?

— O tem pomówimy później. To słowo zaś jest: *linguatica*.

— Co to za szkoda — rzekł Musellaro — że ty nie siedzisz u stołu którego władcy XVI-go wieku, między jaką Violantą i Imperią, z Aretinem i Markiem Antoniuszem!

II.

Rok miał się zwolna ku schyłkowi. Słońce św. Sylwestra roztaczało na niebie Rzymu łagodne, przymglone ciepło, złociste, miękie, niemal wiosenne. Ulice roiły się tłumami jak w dni niedzielne w maju. Na placu Barberini, na placu di Spagna, miały gromady powozów szybko się krzyżując i z dwu tych placów zmieszany gwar bezprzerwany a ciągły dochodził aż do Trinita de Monti i ulicy Sykstyńskiej, dobiegając do pałacu Zuccari już nieco przycichły.

Pokoje napełniały się zwolna wonią kwiatów świeżych, poumieszczanych w wazonach. Ciężkie, rozkwitłe róże zanurzały się w czarach kryształowych, otwierając się w górze jak kielichy lilii z dyamentu o złotych łodygach, podobne do tych, co się wznoszą po za Madonną na *tondo* Botticellego w galeryi Borghese. Żadna inna forma czary nie dorówna temu kształtowi w elegancyi; w przezroczem swem więzieniu kwiaty zdają się być uduchowione i uwydatniają najlepiej symbol religijnej czy miłosnej ofiary.

Andrzej oczekiwał na Helenę Muti.

Spotkał ją był poprzedniego dnia zrana, na ulicy Condotti, przypatrującą się wystawom sklepów. Powróciła do Rzymu od kilku dni dopiero, po długiej nieobecności. Niespodziewane to spotkanie żywo wzruszyło ich oboje, ale w tem miejscu publicznem, zmuszeni byli zachować pozor grzecznej obojętności, ceremonialnej, chłodnej niemal. Andrzej powiedział jej z wyrazem twarzy poważnym, cokolwiek smutnym, patrząc wgląd jej oczu:

— Tyle mam opowiedzieć pani rzeczy! Czy nie zechciałabyś, Heleno, przyjść do mnie jutro? Nic się tam nie zmieniło w naszym *home*.

A ona odpowiedziała z prostotą:

— Dobrze; przyjdę. Czekał mnie około czwartej. I ja także mam ci coś do powiedzenia. Ale teraz zostaw mnie.

Przyjęła natychmiast zaproszenie, nie zawahawszy się ani na sekundę, nie stawiając żadnych warunków, zda się, nie przywiązując zbytnej wagi do całej tej sprawy. A ten pośpiech sam w pierwszej chwili nawet wzbudził cokolwiek nieufność i powątpiewanie w Andrzeju. Czy też przyjdzie w roli przyjaciółki, czy kochanki? Czy też przeciąć wszelkie nadzieje? Co działo się w tej duszy przez ciąg owych dwóch lat ostatnich? On o tem nie wiedział zgoła; ale zachował jeszcze wrażenie, które na nim wywarło spojrzenie Heleny na ulicy, kiedy jej składał

ukłon. Było to zawsze toż samo spojrzenie, tak słodkie, tak głębokie, tak pociągające i ponętne z po za rzęs długich i wspomnienie uporne tego wzroku przywoływało mu na pamięć rozkosz dawnej miłości.

Wszystkie otaczające go przedmioty mówiły o niespokojnem oczekiwaniu zakochanego. Drzewo jałowcowe płonęło na kominku; stolik do herbaty był już przygotowany z filiżankami i spodkami z majoliki, zdobnej malowidłami scen mitologicznych, wykonanych przez Luzio Dolci, istnych wzorów starożytnych niezrównanego wdzięku, gdzie heksametry Owidyusza, podpisane kursywem, objaśniały każdą scenę. Światło wpływało, złagodzone wielkimi firankami z brokateli czerwonej, posianej srebrnymi kwiatami granatu, liściem i dewizami. Ponieważ zachodzące słońce odbijało się od szyb, kwiecisty deseń franeczek koronkowych przysłaniających szkła okien, zarysowywał się na dywanie podłogi.

Zegar na Trinita de Monti wybił wpół do czwartej. Przyjdzie dopiero za pół godziny.

Andrzej podniósł się z otomany, na której leżał rozciągnięty i poszedł odemknąć okno; potem obiegł oknem wzdłuż i wszerz pokój; następnie otworzył książkę, przeczytał z niej kilka wierszy i zamknął ją napowrót; szukał czegoś dokoła siebie niepewnym wzrokiem. Niepokój oczekiwania był dlań tak bolesnym, że czuł potrzebę ruchu, działalności, rozerwania tego moralnego rozstro-

ju jakąś czynnością materyalną. Pochylił się nad kominkiem, ujął obcęgi i by podsycić ogień, dorzucił do gorejącego ogniska nowy pęk jałowcu. Stos rozprysnął się, węgle buchnęły snopem iskier i rozsypały się aż na metalową podstawkę, chroniącą dywan; płomień rozdzielił się na tysiączne drobne języczki błękitnawe, które to podnosiły się, to nikły; głównie poczęły dymić.

Wówczas w umyśle niecierpliwego kochanka błysło dawne wspomnienie. Wszakże to tutaj, przed tym kominkiem niegdyś Helena lubiła się opóźniać, zanim przystąpiła do ubierania się. Z wielką zręcznością układała stosy drzewa na żelaznych kratkach. Brała oburącz ciężkie obcęgi, odchylając nieco w tył głowę, aby uniknąć rozpryskujących się iskier. W tej pozie, nieco kłopotliwej, ruch jej mięśni i falowanie cieniów sprawiały, że na dywanie postać jej zdawała się uśmiechać wszystkimi wiązaniem ciała, wszystkimi zagięciami, dołeczkami, skąpana w bladym blasku ambry, przypominając tem oświetleniem Danae Corregia. A właśnie iście Corregiowskie miała kończyny, maleńkie ręce i stopy, smukłości, powiedziałałbyś, roślinnej, jak owa Dafne w posągach początkowej swej mytycznej metamorfozy.

Zaledwie kończyła to zajęcie, drzewo nagle zajmowało się wielkim płomieniem. W pokoju to gorące, czerwone światło walczyło przez chwilę z lodowatym zmrokiem, wpadającym przez

szyby okien. Wyziew płonącego jałowcu przyparował o lekki zawrót głowy. Helenę przed tem gorejącem ogniskiem, przejmował istny szal dziecienny. Miała nieco okrutny zwyczaj oskubywać po każdej miłosnej schadzce wszystkie kwiaty rozstawione w wazonach i rozrzucać ich listki po dywanie. A kiedy, ubrana już do wyjścia, powracała do pokoju, naciągając rękawiczki lub zapinając fermuar bransoletki, uśmiechała się pośród tego zniszczenia i nie nie dorównywało gracyi gestu, powtarzanego za każdym razem, kiedy, unosząc nieco suknię, wysuwała naprzód jedną, potem drugą nogę, by klęczący przed nią kochanek związał jej sznurowadła obuwia.

Miejsce prawie zupełnie pozostało niezmienionem. Z wszystkich tych przedmiotów, które widziała i których dotykała Helena, unosiły się tłumem wspomnienia i obrazy czasów dalekich odżywały teraz tłumnie.

Po dwóch bez mała latach, Helena miała przestąpić znowu próg tego pokoju. Za pół godziny siądzie na tym fotelu; zdejmie woalkę, cokolwiek zdyszana, jak niegdyś i przemówi. Wszystkie te przedmioty posłyszają znowu głos jej, może i śmiech, po upływie dwóch lat!

— Jakimż gestem ją powitam? Jakimi przyjmę słowa?

Doznawał szczerego niepokoju; czuł, że napowrót szczerze, gorąco kocha tę kobietę. Ale

u niego wyraz, w który ujmował uczucia, był zawsze tak sztucznym, tak dalekim od prostoty i szczerości, że przez nawyknienie przygotowywał go z góry w myśli nawet wówczas, kiedy dusza najgłębiej była wzruszoną.

Usiłował wyobrazić sobie tę scenę, układał najrozmaitsze frazesy; szukał oczyma najsposobniejszego miejsca do jej rozegrania, do rozmowy z nią. Potem, podnosząc się, poszedł popatrzeć w lustro, czy był tak bladym jak należało nim być w tych okolicznościach. I w lustrze, wzrok jego zatrzymał się na skroniach, tam, gdzie niegdyś Helena miała zwyczaj składać delikatny pocałunek. Otworzył usta, by stwierdzić nieposzlakowaną czystość zębów i świeży koloryt dziąseł, przypominając sobie, że niegdyś usta jego przedewszystkiem podobały się Helenie. Nigdy próżność jego, próżność zepsutego i zniewieściałego młodzieńca, nie zaniedbała w miłości żadnego efektu wdzięku lub tualety.

— Jakimż gestem ją powitam? Jakich słów użyję?

Minuty biegły szybko a umysł jego błąkał się ciągle jeszcze niepewny.

Już dochodziła czwarta za dwie czy trzy minuty. Niepokój jego rósł i stał się tak silnym, że dławił go nieomal. Powrócił do okna i patrzył na schody placu Trinita. Temi to schodami dawniej Helena przybywała zwykle na schadzkę. Ilekroć postawiła nogę na ostatnim

stopniu, zatrzymywała się na chwilę; potem spiesznie przebiegała plac przed pałacem Casteldelfino. Jeśli plac był pusty i spokojny, słychać było wyraźnie krok jej, nieco falujący, jak się rozlegał po kamieniach bruku.

Zegar wybił czwartą. Od strony placu di Spagna i od Pincio, dobiegał turkot powozów. Dużo było spacerujących pod drzewami przed willą Medicis. W dole, przed kościołem, dwie kobiety, siedzące na kamiennej ławeczce, nadzorowały dzieci, co biegały dokoła obelisku. Obelisk, zalany blaskiem zachodzącego słońca, cały był różowy i kładł długi, skośny, błękitnawy cień na ziemię. W miarę jak dzień się kończył, powietrze stawało się chłodniejszym. W głębi miasta rysowało się złotemi kontury na bardzo bladym niebie, na którym cyprysy Monte Mario już występowały ponurą swą czarnością.

Andrzej drgnął. Zobaczył cień jakiś, co się ukazał na szczycie wązkich schodków, biegnących obok pałacu Casteldelfino i prowadzących na plac Mignanelli. Ale to nie była Helena; była to jakaś pani, która powolnym krokiem skierowała się w stronę ulicy Gregoryńskiej.

— A jeśli wcale nie przyjdzie? — zadał sobie pytanie, odchodząc od okna. A ponieważ wynurzał się z zimnego powietrza, odczuł daleko więcej obezwładniające, miękie ciepło pokoju, daleko silniej nań podziałał zapach jałowcu i róż, daleko bardziej tajemniczym wydał mu się zmrok portyer

i firanek. W tej chwili pokój cały zdał się przygotowanym na przyjęcie upragnionej kobiety. Pomysłał o wrażeniu, jakiego dozna Helena wchodząc tutaj. Bezwątpienia, nie będzie mogła się obronić przed tym urokiem tak pełnym wspomnień; utraci w jednej chwili świadomość czasu i rzeczywistości; będzie sądzić, że znajduje się jeszcze na jednej ze zwykłych schadzek, że nie przerywała ich nigdy, że jest zawsze jeszcze tą samą dawną Heleną. Ponieważ nic nie zmieniło się w tym teatrze ich miłości, dłączegóż miałyby się zmienić sama miłość tylko? Niezawodnie ujmie ją głęboki powab wszystkich tych rzeczy, niegdyś tak lubionych.

Wówczas oczekiwanie wzbudziło w nim nową torturę. Umysły, wydelikaczone nawykniem do kontemplacyi i poetycznych marzeń, przypisują martwym przedmiotom duszę czującą i zmienną, jak dusza ludzka i w każdej rzeczy, w kształtach, w barwach, w dźwiękach, w woniach, zdaje im się, że rozpoznają symbole łatwo odgadnąć się dające, godła wzruszeń lub myśli jakiejś i w każdym przejawie, w każdej kombinacyi tych przejawów, sądzą, iż odgadują jakiś stan psychiczny lub znaczenie moralne. Czasami wizya ta bywa tak jasną, że wywołuje w umysłach tych prawdziwe udręczenie; czują jak je przytłacza, dusi ten wylew życia, nagle odślaniającego się przed nimi i przerażeni są widniami, które sami wywołali.

W widoku otaczających go przedmiotów, Andrzej widział odzwierciedlone własne udręczenie. Ponieważ własna jego żądza rozpraszała się w daremnym oczekiwaniu, ponieważ nerwy jego słabły z każdą chwilą, wydało mu się, że niemniej miłośna treść otaczających go przedmiotów ulatnia się i rozprasza w bezowocnym oczekiwaniu. W jego oczach wszystkie te przedmioty, pośród których on tak bardzo kochał, cieszył się i cierpiał, zapożyczyły dla siebie coś z własnych jego uczuć, z własnych jego wrażliwości. Nie były one wyłącznie tylko świadkami jego miłości, jego radości i smutków; brały w nich udział żywy! W jego wspomnieniu każda forma, każda barwa zlewały się z jakimś obrazem niewieścim, były jedną nutą w akordzie piękna, jednym żywiołem więcej w uniesieniu namiętności. Sama natura jego upodobań skłaniała go do poszukiwania w miłości różnorodnych rozkoszy: skomplikowanego upojenia wszystkich zmysłów, wysokich wzruszeń umysłowych, zupełnej rezygnacyi z wszelkich uczuć osobistych, porywów zwierzęcości. A ponieważ przystępował do tych poszukiwań z prawdziwą sztuką, jak estetyk, umiał oczywiście osiągnąć z swiata martwych przedmiotów również sporą część swego upojenia. Ten historyon wytworny nie pojmował zupełnie komedyi miłości, bez odpowiednich dekoracyj.

Pod tym względem mieszkanie jego było doskonałym teatrem, on zaś sam niezmiernie zręcz-

nym inscenizatorem. Ale zawsze nienal wkładał całego siebie w swą sztuczność; roztrwaniał marnotrawnie bogactwo swego ducha; zapominał się w niej tak dobrze, że często zostawał sam zwiedziony swemi własnymi szalbierstwami, wpadał w sidła, które sam zastawiał, bywał raniony własną bronią; tak jak czarownik, któryby uwiązał w kole własnych czarów.

Dokoła Andrzeja wszystko przyoblekło ten niewytłomaczony pozór życia, którego nabierają na przykład przedmioty poświęcone, godła jakiejś religii, naczynia poświęcone kościelnemu kultowi, wszystkie postacie, na których skupiają się ludzkie rozmyślenia, lub od których ludzka wyobraźnia biegnie na wyżyny ideału. Tak jak po latach nawet wielu, flakon wyziewa z siebie jeszcze woń esencji, którą niegdyś zawierał, tak samo pewne przedmioty zachowywały dla niego jakąś drobną, nieujętą cząsteczkę miłości, którą rozświecił je i napoił ten kapryśny kochanek. I przedmioty te sprawiały mu tak silne wzruszenie, podniecały tak bardzo, że czasami niepokoiły go jak obecność jakiejś nadnaturalnej potęgi.

Rzeczywiście, powiedziałbyś, że doznawał on podniecającej, ukrytej własności każdego z tych przedmiotów i że czuł, jak chwilami ona się z nich ulatnia, wydziela, rozprasza, drga dokoła niego. Wówczas, jeśli się znajdował w objęciach kochanki, oddawał się zupełnie, oddawał jej ciało i jej duszy jednym z takich porywów, któ-

rych wspomnienie wystarcza, by rozświecić życie całe. Ale, jeśli był sam, straszne udręczenie, żal niewypowiedziany przygubił go na myśl, że ten wielki i rzadki poryw miłości ginie bezpożytecznie.

Bezpożytecznie! W wysokich czarach florenckich, róże oczekują również, wyziewając cały powab swej woni. Na otomanie, na ścianach, napisy srebrne, wielbiące kobiety i wino, tak harmonijnie wplecione w nieokreślone barwy jedwabiu, w tkaninę perską z XVI wieku, migotały w promieniach zachodu, padając w jeden róg pokoju przez szyby okna i cień sąsiedni od nich wydawał się przezroczystszym. Wszędy dokoła cień ten ożywiony był, zda się, tem nieokreślonym drganiem świetlanem, które widzisz w sanktuariach ciemnych, gdzie jest skarb jakiś przechowywanym. Ogień trząsał na kominku; a wedle obrazu Shelleya, każdy z tych płomieni był jakby klejnotem, jak drogim kamieniem rozpuszczonym w wiecznie ruchomem świetle. Zdawało się Andrzejowi, że w tej chwili stanowczej każda forma, barwa, woń wydziela z siebie sam kwiat najdelikatniejszej esencji. A *ona* nie przychodził...

Wtedy to po raz pierwszy mąż stanął przed jego myślą.

Helena nie była już wolną. W kilka miesięcy po nagłym swym wyjeździe z Rzymu, wyrzekła się błogiej swobody wdowieństwa, by wyjść za

mąż powtórnie za angielskiego lorda Humphrey Heathfield. Andrzej dowiedział się o tem małżeństwie z kroniki towarzyskiej któregoś z dzienników w październiku 1885 roku; i we wszystkich willegiaturach jesiennych rzymskich słyszał wciąż do znudzenia powtarzane komentarze o nowej lady Helen Heathfield. Przypomniał sobie również, że poprzedzającej zimy spotkał z jakieś dziesięć razy owego lorda Humphreya na sobotnich zebraniach u księżnej Giustiniani-Bandini i na licytacyach publicznych. Był to mężczyzna lat około czterdziestu, blondyn z popielatym odcieniem włosów, łysiejący na skroniach, błądy, z oczyma jasnemi i przenikliwemi, z wielkiem wypukłem czołem, poprzerzynamem żyłami. Nazwisko jego Heathfield nosił również ów generał, znany bohater obrony Gibraltaru, uniesmiertelniony także pędzlem Reynoldsa.

Jakiż udział bierze ten człowiek w życiu Heleny? Jakie związki, oprócz małżeństwa, łączą Helenę z tym człowiekiem? Jakie przeobrażenia, zetknięcie fizyczne i moralne z tym mężem wywołało w niej?

Zagadnienia te stanęły teraz nagle przed jego duszą tłumnie. I pośród tej nawały zagadnień, jeden obraz ukazał mu się jasny, dokładny... I boleść, jaką on mu sprawił, była tak wielką, tak nieznośną, że zerwał się instynktowym skokiem człowieka, który się czuje zranionym najniespodzianie. Przebiegł pokój, wyszedł do

przedpokoju i natężył ucho przez drzwi w pół-otwarte. Trzy kwadranse na piątą wybił zegar w tej chwili.

Niebawem posłyszał na schodach odgłos kroków, szelest sukni, oddech zdyszany. Najwidoczniej szła po schodach kobieta. Krew napłynęła mu do głowy z taką siłą, że zdenerwowany długiem oczekiwaniem, obawiał się czy nie zemdleje i nie padnie tutaj. Posłyszał wszakże jak stopa kobieca stawiała na najwyższym stopniu schodów; dłuższe nieco odetchnienie, potem kroki w sieni, na progu—Helena weszła.

— Heleno! Nareszcie!

Był w tym okrzyku tak głęboki wyraz przecierpianego udręczenia, że na ustach Heleny pojawił się nieokreślony jakiś uśmiech, w którym zmieszane było zarazem zadowolenie i litość. Ujął prawą jej rękę, z której zdjętą miała rękawiczkę i pociągnął do pokoju. Oddychała ciężko jeszcze, ale pod czarną woalką widać było na całej twarzy lekki płomień rumieńca.

— Wybacz mi, Andrzej, ale nie mogłam uwolnić się pręcej. Masa wizyt... pełno listów, na które trzeba było odpowiadać... Bywają dnie bardzo męczące. Jestem strasznie znurzona. Jakże tu gorąco! Co za zapach!

Stała jeszcze na środku pokoju, cokolwiek niezdecydowana i jakby czemś innem zajęta, jakkolwiek słowa jej biegły szybko i żywo. Płaszcz aksamitny, którego rękawy w stylu „empire“

bardzo szerokie i bufiaste w górze, zwężały się następnie i spinały na guziczki u dłoni, z ogromnym kołnierzem z niebieskich lisów za całą ozdobę, owijał całą jej postać, nie odejmując jednak wdzięku, ani smukłości. Przypatrywała się Andrzejowi z jakimś niepewnym półuśmiechem. Podjęła znowu:

— Zmieniłeś się cokolwiek. Nie umiałabym powiedzieć w czym. Masz naprzykład teraz przy ustach jakiś fałd gorzki, którego tam dawniej nie było, o ile pamiętam..

Wymówiła te słowa tonem poufałej serdeczności. Głos jej, rozlegając się w pokoju, sprawiał Andrzejowi tak żywą przyjemność, że zawołał:

— Mów, Heleno! Mów jeszcze!

Zaczęła śmiać się.

— Dlaczego?— spytała.

On, biorąc ją za rękę, rzekł:

— Wiesz przecie...

Usunęła rękę i patrzyła w oczy młodzieńca aż do głębi.

— Ja nie wiem nic już, nic zgoła.

— Więc zmieniłaś się?

— O, tak, zmieniłam się bardzo.

Spoważnieli oboje. Odpowiedź Heleny nagle rozjaśniła zupełnie problemat. Andrzej zrozumiał i wraz z tą intuicyą nagłą a jasną, która niezadką jest 'u umysłów wyćwiczonych w analizie wewnętrznej istoty, przejrzał usposobienie

moralne odwiedzającej i odgadł rozwój dalszej sceny, nastąpić mającej. Zresztą, był już w zupełności poddanym czarowi tej kobiety, jak niegdys a prócz tego przejmowała go żywa ciekawość, rzekł więc:

— Nie siadasz?

— Siadę na chwilę.

— Tu, na tym fotelu.

„Tak, na *moim* fotelu!“ — chciała już wymówić mimowolnie, poznała go bowiem, ale powstrzymała się.

Był to fotel szeroki i głęboki, pokryty starożytną skórą wytłaczaną w rzut bladych wypukłych chimer, w tym rodzaju co obicie ścian jednej z sal pałacu Chigi. Skóra przybrała ten odcień gorący i bogaty, który przypomina tła portretów weneckich, lub piękny bronz, co ledwie cokolwiek zachował ślady złocień tu i owdzie, lub wreszcie skorupę żółwia, na której prześwieca rysunek złotego listka. Wielka poduszka, wykrojona z dalmatyki, bardzo zémionego koloru, który florencecy kupcy nazywają „rossa di gruogo“, czyniła miękiem jego oparcie.

Helena usiadła. Położyła na brzegu stolika od herbaty rękawiczkę zdjętą z prawej ręki i pugilaresik do biletów, cieniutką pochewkę z polerowanego srebra, na której wygrawerowana była jakaś dewiza. Potem zdjęła woalkę, podniósłszy w górę ręce, by rozwiązać spleątany z tyłu głowy węzeł; a wdzięczna ta poza zbudziła

refleksy i światła w aksamicie .u pach, wzdłuż rękawów i biustu. Ogień był bardzo gwałtowny. By się uchronić od żaru, wyciągnęła obnażoną rękę, która przeświecała w tym blasku jak różowy alabaster; w ruchu tym zabłysły brylanty jej pierścionków.

— Przysłoń pan ogień, proszę. Zanadto tu gorąco.

— Więc już nie lubisz pani płomienia? Ty, co niegdyś byłaś salamandrą! To ognisko zachowuje jeszcze twe wspomnienie ..

— Nie poruszaj pan wspomnień — przerwała. — Przysłoń ogień i zapal świece. Ja zrobię herbaty.

— Nie zechcesz pani zdjąć płaszcza?

— Nie; niezadługo odejść muszę. Późno już.

— Ależ za gorąco tu pani będzie.

Podniosła się z lekkim ruchem zniecierpliwienia.

— Pomóż mi pan zatem.

Andrzej, zdejmując z niej futro, poczuł zapach perfum, jakimi było przesiąknięte. Nie były to już te same, jakich dawniej używała, ale i obecne były wytworne i odurzające.

— Zmieniłaś pani perfumy— rzekł ze szczególniejszym jakimś akcentem.

Helena odparła z prostotą:

— Istotnie. A obecne czy się podobają panu?

Andrzej trzymał jeszcze w ręku płaszczyk.

Przycisnął twarz do futra kołnierza, mocno przesyconego zapachem przez ciągłe stykanie się ze skórą i włosami. Potem zapytał:

— Jak się ten zapach nazywa?

— Niema żadnej nazwy...

Usiadła napowrót na fotelu w blasku płomienia. Miała na sobie suknię czarną, całą zagarniowaną koronkami, wśród których świeciły niezliczone perełki z dżetu i stali.

Zmrok zachodu dogorywał na szybach. W kandelabrze z kutego żelaza Andrzej zapalił wyginane świece ciemno żółtego koloru. Potem zasłonił kominek ekranem.

W czasie powstałej chwili milczenia, oboje w duszy byli zaniepokojeni. Helena nie miała ani istotnego pojęcia chwili, ani panowania nad sobą; na przekór wszystkim usiłowaniom, nie mogła jasno zdać sobie sprawy z motywu swego tu przyjścia, ani odnaleźć pierwotnych swych intencji, ani wreszcie odzyskać całej swobody woli. Wobec tego człowieka, z którym ją niegdys wiązała namiętność tak silna, w tych miejscach, gdzie przeżyła najpłomienniejsze chwile swego życia, czuła jak po trochu chwieją się pojęcia, jak się rozprzegają, burzą. Niewiele brakowało, by popadła w ten stan rozkaszny uczuciowego obezwładnienia, w którym dusza bierze wszelki impuls od zewnętrznych okoliczności, przybiera narzucone sobie kształty, ruchy, jak mgła powietrzna je przybiera pod wpływem

zmian atmosferycznych. Nim się temu stanowi poddała, zawahała się.

Andrzej rzekł cichym głosem, niemal pokornie:
— Więc to tak?

Uśmiechnęła się, nieodpowiadając, słowa te sprawiły jej nieokreśloną jakąś radość, pierś jej zadrżała zlekka. Przystąpiła do swego zajęcia, zapaliła lampkę spirytusową pod kociołkiem; otworzyła pudełko z laki, w którym mieściła się herbata; wrzuciła do czajnika potrzebną ilość aromatycznych listków, potem przysposobiła dwie filiżanki. Ruchy jej były powolne, cokolwiek niezdecydowane, jak to bywa, kiedy wśród jakiejś czynności, dusza zajęta jest czem innem; ręce jej bardzo białe, o czystym niezmiernie rysunku, miały w swych poruszeniach coś z lekkości motylej i zdały się niedotykać, ale muskać zaledwie przedmioty; z tych ruchów, z tych rąk, z całego falowania gibkiej jej postaci, wymykała się niewiedzieć jaka subtelna woń rozkoszy, która owiewała dawnego kochanka niby pieśczętą.

Andrzej, siedzący tuż obok, patrzył na nią z pod wpół przymkniętych powiek, pojąc się tym rozkosznym czarem, [co śpłynął od niej. Było to jak gdyby każdy ruch tej kobiety dotykał go idealnie. Któryż zakochany nie odczuwał tej niewytłomaczonej rozkoszy, gdzie to wydaje się, że możność odczuwania dotknięcia wydoskonalą się do stopnia doznawania wrażeń bez na-

tychmiastowego bezpośredniego, nawet materialnego kontaktu?

Milczeli oboje. Helena oparła się o poduszkę fotela, czekając nim woda zawrze w kociołku. Z oczyma utkwionemi w błękitnawy płomień maszynki, zdejmowała i wkładała napowrót machinalnie pierścionki, zatopiona z pozoru w jakimś marzeniu. Nie było to właściwie marzenie, była to raczej jakby nieujęta reminiscencya, splątana, ulotna. Wszystkie wspomnienia minionej miłości przychodziły jej teraz na myśl, ale splątane niejasne, zamglone jakieś i sprawiały jej niewyraźne wrażenie, z którego nie byłaby zdołała zdać sobie sprawy, czy to jest przyjemność, czy boleść. Było to coś podobnego do nieokreślonego zapachu wielkiego bukietu zwiędłych kwiatów, gdzie każdy kwiat utracił właściwą sobie żywość barw i woni. Zdawało się, że w niej pozostało ostatnie tchnienie wspomnień już rozwianych, ostatni ślad radości już znikniętych, ostatni dreszcz już zamarłego szczęścia, coś podobnego do mgły niepewnej, z której wypływają obrazy bez nazwy, bez konturów, okaleczone. Nie wiedziała, czy to jest dla niej przyjemnością, czy boleścią, ale zwolna, potrochu, to tajemnicze wzruszenie, ten nieokreślony niepokój urastał i wzbierał w jej duszy rozkoszą a zarazem goryczą. Niejasne przeczucia, wzruszenia tajemne, żale niewyznane, przesadne obawy, aspiracye pokonane, hamowane cierpienia, sny nieziszczone, niezado-

wolnione pragnienia, wszystkie te żywioły mętne, niepokojące, z których składało się jej życie wewnętrzne, wszystko to teraz fermentowało w niej i poczynało szaleć burzą.

Milczała, skupiona w samej sobie. I kiedy serce jej przepelnione nieomal wylewało, ona znajdowała w tem upodobanie, że milczeniem wzmagała jeszcze ogarniające ją wzruszenie. Owo wzruszenie rozproszyłoby może słowo.

Woda poczęła wrzeć z cichym jakimś śpiewem.

On, na niskiem krzeselku, z łokciem opartym o kolano, z brodą na dłoni, wpatrywał się tak upornie w piękną kobietę, że Helena, nieodwracając się, czuła na swej postaci ten wzrok gorączkowy i doznawała pod jego działaniem jakiejś wprost fizycznej przykrości. Patrząc na nią myślał: „Był czas, że posiadałem tę kobietę“. I aby się o tem upewnić, powtarzał wciąż sam sobie to twierdzenie i musiał, by się sam w tem utwierdzić, użyć całego wysiłku pamięci, przypominać sobie niektóre jej pieśczoty, próbował wyobrazić ją sobie w swym uścisku. Pewność posiadania jej wszakże wciąż mu się wymykała. Helena wydawała mu się nową zupełnie kobietą, która nie należała doń nigdy, której nigdy nie trzymał w swych objęciach.

W rzeczy samej była ona jeszcze więcej ponętą niż dawniej, więcej budzącą pożądań. Zagadka plastyczna jej piękności ciemniejszą teraz była jeszcze i daleko więcej pociągającą. Głowa

o wązkim czole, nosie prostym, brwiach w regularny łuk sklepionych. o rysunku tak czystym, śmiałym, starożytnego pokroju, że zdała się występować z tarczy jakiegoś syrakuzkańskiego medalu, miała w oczach i ustach szczególniejszy kontrast wyrazu: namiętny, dwuznaczny, zagadkowy, jakiś, nadludzki, który jedynie tylko kilku mistrzów, przesiąkniętą największą korupcją sztuki, umiało nadać nieśmiertelnym typom kobiecym jak Monna Lisa i Nelly O'Brien.

„Inny teraz ją posiada — myślał, patrząc na nią—inne ręce jej dotykają, inne usta ją całują“. I kiedy nie mógł w umyśle wywołać żadną miarą obrazu ubiegłego szczęścia—dziwna rzecz, ów inny obraz stawał przed nim przeciwnie, nieubłaganie wyraźny. I ogarniała go wściekła żądza dowiedzenia się, odkrycia, pytania: wściekłość granicząca z szałem.

Para uciekała przez szczelinę pokrywki. Helena pochyliła się nad stolikiem, by na herbatę nalać kilka kropel wody; potem włożyła dwa kawałki cukru do jednej tylko filiżanki, następnie dolała jeszcze wody do czajnika, wreszcie zgasila błękitnawy płomień. Czyniła to wszystko z jakąś pełną uczucia starannością, nigdy jednak nie zwracając się w stronę Andrzeja. Obecnie chaotyczny rozdźwięk jej duszy ucichał i zamieniał się w jakieś łagodne rozrzewnienie, pod którego wpływem czuła jak ścisną się gardło i łyzy nabiegają do oczu; nie mogła się obronić temu uczuciu rzewno-

ści. Wszystkie sprzeczne myśli, niepokoje i troski serca skryształizowały się teraz w łzie.

Przy jakimś poruszeniu strąciła na dywan pugilaresik z biletami wizytowymi. Andrzej go podniósł i przeczytał umieszczoną na nim sentymentalną dewizę: „*From Dreamland — A stranger hither*“ (Z Krainy snów — obca tutaj).

Skoro podniósł oczy, Helena podawała mu filiżankę dymiącej herbaty z uśmiechem, który ta łza przyćmiewała nieco.

On zobaczył tę łzę i wobec tej nieoczekiwanej oznaki uczucia, ogarnął go taki poryw miłości i wdzięczności, że odstawił filiżankę, ukląkł, ujął rękę Heleny i przycisnął do niej usta.

— Heleno, Heleno!

Mówił do niej szeptem, na klęczkach, nachylając się ku niej tak blisko, jak gdyby chciał poić się jej technieniem. Zapał jego był szczerym, jakkolwiek słowa kłamały chwilami: „Kochał ją, kochał zawsze, nigdy nie mógł jej zapomnieć! Kiedy ją odnalazł, cała namiętność jego podniosła w nim bunt tak gwałtowny, że aż się jej uląkł, przeraził głęboko, jak gdyby przy świetle błyskawicy ujrzał nagle przewrót zupełny całego swego życia“.

— Milcz pan, milcz! — zawołała Helena nadzwyczaj blada, z wyrazem boleści w twarzy.

Andrzej mówił dalej, wciąż klęczący u jej kolan, zapalając się coraz bardziej pod wpływem wywoływanych obrazów namiętności: „Czuł, że

w tej swojej nagłej ucieczce, ona zabiera z sobą większą i lepszą część jego istoty. Odtąd... Nie zdołałby nigdy wypowiedzieć całej nędzy i rozpacz swego istnienia, utrapień, żalu, bezprze-
stannej, nieubłaganej, pożerającej go wewnętrznej męczarni. Smutek jego rósł ciągle, zrywał wszy-
stkie tamy. Był zgnębionym zupełnie, zabitym moralnie. W głębi wszechrzeczy nie było dla niego nic, prócz rozpacz. Bieg czasu był katu-
szą nie do zniesienia. Mniej żałował dni szczę-
śliwych, niż smucił się temi, co upływały bez
pożytku dla szczęścia. Tamte pozostawiły mu
przynajmniej w pomnienie; te nie pozostawiały
nic, prócz głębokiego żalu, prócz rodzaju wyrzu-
tu gorzkiego... Życie jego trawiło się samo
w sobie, nurtowane tajemnie niewygaszonym ni-
gdy płomieniem jedyne go wyłącznego pożądania,
nieuleczalnem obrzydzeniem do wszelkiej innej
rozkoszy. Czasami nachodziły go szalone pory-
wy, żądze, rozpaczliwe rwanie się ku przyjem-
nościom życia; a były to gwałtowne bunt nie-
zaspokojonych potrzeb serca, zrywanie się na-
dziei, co niechciała pogodzić się z koniecznością
śmierci. Czasami także doznawał zupełnej pro-
stracy i drżał na widok przepaści, absolutnie
pustych swego istnienia; z całej pożogi młodo-
ści pozostała mu tylko garstka popiołów. Chwi-
łami znowu, niby te sny, które brzask dnia roz-
prasza, cała jego przeszłość i teraźniejszość roz-
pływały się, odrywały od jego świadomości,

opadały zeń niby wątła obłotka, niby próżna treści powłoka: nie pamiętał nic już, podobny był do człowieka, co powstaje z długiej choroby, do rekonwalescenta, pełnego tylko zdumienia. Zapominał wreszcie; czuł, że dusza jego wkracza zwolna w dziedzinę śmierci... Nagle jednak, z głębi tego spokoju zapomnienia, wytryskał ból nowy; i zwalone z piedestału bożyszcze podnosiło się, wyższe jeszcze w swej wieczystej, niedającej się zburzyć potędze. *Ona, ona!* to jest owo bożyszcze, co zakłęto swym czarem całą jego wolę, wszystkie serca jego pragnienia, co łamało wszystkie siły jego umysłu, co zajęło wszystkie najtajniejsze drogi jego duszy i zamykało je dla wszelkiej innej namiętności, dla wszelkich innych cierpień, dla każdego innego marzenia, na zawszel...“

Kłamał; ale wymowa jego była tak gorącą, głos tak przejmującym, pieścizota dłoni tak miłosną, że Helenę ogarnęło niezmierne rozrzewnienie.

— Milcz! — wymówiła — Ja cię słuchać nie powinnam; nie jestem już twoją; nie mogę już być twoją nigdy. Milcz! Milcz!

— Słuchaj!

Nie, ja cię słuchać nie chcę. Żegnaj. Muszę odejść. Żegnaj, Andrzej. Późno już; puść mnie.

Uwolniła rękę z uścisku młodzieńca i odnosząc zwycięztwo nad własną tajemną słabością, podniosła się, by powstać.

— Dlaczegoż w takim razie przyszłaś tutaj?— spytał głosem nieco schrypłym, nie pozwalając jej powstać.

Acz lekkim był ten gwałt jej zadany, zmarszczyła brwi gniewnie i nim mu odpowiedziała, zawałała się na chwilę.

— Przyszłam — odparła z wymierzoną powolnością, patrząc w oczy dawnego kochanka do głębi—przyszłam, boś mnie przyzywał. Przez pamięć dawnej miłości, ze względu na sposób, w jaki ta miłość zerwaną została, na to długie, niewytłomaczone milczenie mojej nieobecności, nie mogłam, bez okrucieństwa, odmówić twemu zaproszeniu. A potem, chciałam powiedzieć ci to, com powiedziała: że nie jestem już twoją, że nie mogę być nią już nigdy! Oto, co ci chciałam wypowiedzieć otwarcie, uczciwie, lojalnie, aby i tobie i sobie oszczędzić w przyszłości wszelkich bolesnych złudzeń, wszelkiego niebezpieczeństwa, wszelkiego rozgoryczenia. Rozumiesz to?

Andrzej pochylił w milczeniu głowę tak nisko, że nieomal czołem dotykał kolan Heleny. Ona pogładziła zlekka jego włosy, dawną, tak częstą pieszczotą.

— A potem — mówiła dalej głosem, którego dźwięk dreszczem przejął wszystką krew Andrzeja—a potem, chciałam ci powiedzieć, że cię kocham, że cię kocham tak samo jak niegdyś, że po dziś dzień jesteś dla mnie duszą mojej duszy

i że pragnę być dla ciebie najlepszą z sióstr, najprzywiązańszą z przyjaciółek. Rozumiesz?

Andrzej nie poruszył się. Ona ujęła jego skroń w obie swe ręce, podniosła jego głowę, zagnęła, że popatrzał w jej oczy.

— Rozumiesz? — powtórzyła głosem jeszcze serdeczniejszym, jeszcze cichszym.

Oczy jej, z po za rzęs długich, zdały się skąpane w jakimś płynie przezroczym. Usta były nawpół otwarte, górna ich warga drżała zlekka.

— Nie, tyś mnie nie kochała nigdy; ty mnie nie kochasz! — zawołał wreszcie usuwając z swych skroni dłonie Heleny i cofając się nieco, czuł bowiem już, jak mu się rozlewa po żyłach ogień, który te źrenice rozniecały nawet mimowolnie — i doznawał bardziej jeszcze dojmującego bólu, na myśl, że utracił możność fizycznego posiadania tej tak pięknej kobiety. Nie, tyś mnie nie kochała; nie, tyś mnie nie kochasz! Po tak długiej nieobecności tak pełnej tajemnic, nieczułej i nieubłaganej; po tak długiem oczekiwaniu, w czasie którego trawiłem się w sobie, żywiąc smutek, co mi był drogim, ponieważ pochodził od ciebie; po takim ogromie szczęścia i po takiej bezdni rozpaczy, patrzaj! powracasz w te miejsca, gdzie każdy przedmiot zachowuje dla nas jeszcze żywe wspomnienie i mówisz mi swobodnie: „Nie jestem już twoją; żegnaj“. O! nie, tyś mnie nie kochasz!

— Niewdzięczny, niewdzięczny! — zawołała, wzruszona gniewnym niemal głosem młodzieńca.— Co ty wiesz o wypadkach mego życia i co ty wiesz o tem wszystkim?

— Nie nie wiem i wiedzieć nie nie chcę—odpowiedział surowo, ogarniając ją niespokojnem spojrzeniem, w głębi którego jednak płonąła gorączka żądz. Wiem tylko, że był dzień taki, w którym ty należałaś do mnie cała, niepodzielnie, bezwarunkowo, w bezgranicznej rozkoszy; zupełnie niż kiedykolwiek jakakolwiek inna kobieta; i wiem jeszcze, że ani mój duch, ani ciało moje nigdy nie zapomną chwil tych upojień...

— Milcz!

— Cóż mnie obchodzić może twoja litość siostrzana? Na przekór twej woli, ofiarujesz mi ją ze spojrzeniem kochanki i ręka twoja nie może mnie dotknąć bez drżenia. Zbyt często widziałem twe oczy gasnące w szale rozkoszy; zbyt często twoje ramiona czuły jak drżałem w ich uścisku. Ja cię pragnę!

Podniecony własnymi słowy, ścisnął silnie jej rękę u dłoni i twarz przybliżył tak do jej twarzy, że czuła na niej żar jego oddechu.

— Pragnę cię więcej niż kiedykolwiek—mówił dalej, usiłując przyciągnąć ją ku sobie. otoczywszy ramieniem jej kibić.—Przypomnij sobie! Przypomnij!

Podniosła się, odpychając go. Drżała całym ciałem.

— Nie, nie chcę. Słyszysz?

On nic nie słyszał, nie słuchał. Przybliżał się wciąż jeszcze z wyciągniętymi ramiony, by ją pochwyć w objęcia, nadzwyczajnie blady, zdecydowany na wszystko.

— Czyż zniósłbyś — zawołała głosem zdławionym, oburzona zadany jej gwałtem—czy zgodziłbyś się na dzielenie mego ciała z innym?

Rzuciła to okrutne pytanie, nie zastanowiwszy się nad niem. A teraz patrzyła na dawnego swego kochanka szeroko rozwartemi oczyma, trwożna, nieomal oszalała, jak kiedy, broniąc się, zadamy cios, nie obliczywszy całej jego siły i pogładamy z przestraczem, czy nie zraniliśmy zbyt głęboko.

Zapał Andrzeja zgasł nagle a twarz jego wyrażała teraz boleść tak głęboką, że serce Heleny ścisnął żal szczery.

Po chwili milczenia, rzekł wreszcie.

— Żegnaj pani.

W tem jedynem słowie, była gorycz wszystkich słów niedopowiedzianych, gwałtem stłumionych i cofniętych do gardła.

Odpowiedziała mu łagodnie:

— Żegnaj i przebacz mi.

Czuli oboje potrzebę położenia końca, przynajmniej na dziś wieczór tej niebezpiecznej rozmowie. Andrzej zachował formy przesadzonej niemal grzeczności. Helena stała się jeszcze łago-

dniejszą, słodsza, prawie pokorną; bezprzerwane drżenie wstrząsało nią ciągle.

Wzięła z krzesła płaszcz. Andrzej dopomagał jej z całą usłużnością. Ponieważ z trudem przechodziło jej włożenie jednego rękawa, skierował jej rękę, zaledwie jednak zlekka jej dotknąwszy. Potem podał jej kapelusz i woalkę.

— Lustro jest w przyległym pokoju. Gdybyś pani zechciała...

— Nie, dziękuję.

Na ścianie, obok kominka wisiało małeńkie starożytne, ręczne lustro, którego ramy zdobiły figurki rzeźbione w stylu tak lekkim i swobodnym, że zdały się raczej wykute w złocie, niż wykonane w drzewie. Była to rzecz dziwnej piękności, wyszła bezwątpienia z rąk jakiegoś wytwornego artysty z XV-go wieku, po to, by odbijać wdzięki jakiej księżniczki lub kurtyzany. Po wielokroć, w czasach szczęśliwych, Helena zawiązywała woalkę przed tym przyćmionym kryształem, który miał pozór zmaczonej wody, niece zielonawej... Teraz przyszła na nią kolej przypomnienia... Pode zła do tego lusterka.

Kiedy zobaczyła swój obraz, ukazujący się w głębi, doznała szczególniejszego wrażenia. Fała smutku cięższego jeszcze nabiegła jej do serca. Ale nic nie powiedziała.

Andrzej patrzył na nią z oczyma utkwionemi w jej twarzy.

Kiedy już była gotową, rzekła:

— Musi już być bardzo późno.

— Bardzo późno, o nie. Szósta może.

— Odesłałam mój powóz. Byłabym panu bardzo wdzięczna, gdybyś zechciał posłać po zamkniętą dorożkę.

— Pozwolisz pani, że ją pozostawię samą na chwilę? Nie mam nikogo w domu.

Zgodziła się.

— Sam pan daj adres woźnicy, jeśli łaska: hotel Kwirynału.

Wyszedł, zamykając drzwi za sobą. Ona pozostała sama.

Nagle obiegła oczyma pokój dokoła, ogarniając go nieokreślonym jakimś, niepewnym spojrzeniem; zatrzymała się na wazonach pełnych kwiatów. Ściany wydały jej się szerszemi, strop zdał się jej wyższym jakimś. Patrząc, doznawała wrażenia poczynającego się zawrotu głowy. Nie czuła już odurzającej woni, ale powietrze musiało tu chyba być płomiennem i ciężkim jak w oranżeryi. Obraz Andrzeja stawał przed nią w jakiejś, zda się, błyskawicy, wciąż powracającej peryodycznie; w uchu brzmiał jej echem organ jego mowy. Czyżby miała zasłabnąć? Jakaż rozkoszą byłoby zamknąć oczy i poddać się temu osłabieniu!

Otrząsnęła się; podeszła otworzyć okno; odechnęła wiatrem, co falą wpłynął do pokoju. Orzeźwiona, odwróciła się napowrót. Blade płomyki świec chwiały się, rzucając na ściany nie-

pewne jakieś cienie. Ognisko nie płonęło już, ale głównie oświecały do połowy święte postacie ekranu, sporząd onego widocznie z jakiegoś kawałka malowanego kościelnego okna. Filizarka herbaty pozostała na brzegu stolika, wystygła, nietknięta. Poduszka fotela zachowała jeszcze odcisk ciała, co się w nią wgłębiało. Wszystkie dokoła przedmioty zdały się wyziewać z siebie dziwną jakąś melancholię, która spływała zewsząd i koncentrowała się w sercu Heleay. To słabe serce upadało pod ciężarem wciąż wzrastającym, łamało się pod naciskiem nieznośnego udręczenia.

— Boże mój! Boże!

Rada była uciec. Powiew silniejszy wiatru wzdał u okien franki, zamigotał płomieniami świec i zaszeleścił w pokoju. Drgnęła, przeszło ją mrowie i niemal bezwiednie zawołała:

— Andrzej!

Głos własny, to imię rzucone w ciszę, przejęły ją trwogą, jak gdyby ten dźwięk i to imię nie z jej ust wyszło. „Dlaczego Andrzej nie powraca tak długo?“ Poczęła nasłuchiwać. Nic nie było słychać, prócz zmieszanego, głuchego niewyraźnego a głębokiego szmeru wielkomijskiego życia w ten wieczór Sylwestrowy. Ani jeden powóz nie przejeżdżał placem Trinita de Monte. Ponieważ wiatr od chwili do chwili wpadał falą, poszła

zamknąć okno i dojrzała szczyt obelisku, czarny na gwiszdzistem niebie.

Może Andrzej nie znalazł zaraz zamkniętego powozu na placu Barberini. Czekając, usiadła na otomanie; starała się poskromić szalony niepokój, usiłowała nie patrzeć wgłąb własnej duszy, całą uwagę, siłą woli, skierowała na rzeczy zewnętrzne. Oczy jej mimowiednie skierowały się na postacie ekranu, zaledwie oświecone blaskiem dogasających węgla. Nieco wyżej na gzem-sie kominka, z kryształowego wazonu spadały listki osypującej się wielkiej białej róży, co więdła zwolna. Wypukłe listki kładły się delikatnie na płytę marmuru, niby płatki padającego śniegu.

„Jakież *wówczas* ten wonny śnieg miał urok niezmierny! — pomyślała. — Róże oskubane pokrywały dywan, otomany, fotele. A ona śmiała się, szczęśliwa, pośród tego zniszczenia; kochanek jej zaś, taki szczęśliwy wtedy, był u nóg jej“.

Ale posłyszała turkot powozu, zatrzymującego się przed bramą i podniosła się wstrząsnawszy głową, co zdała się jej pękać w tej chwili, próbując tym ruchem otrząsnąć się z rodzaju odrętwienia, co ją obezwładniało. Bezpośrednio zaraz niemal, wszedł Andrzej zdyszany.

— Wybacz mi pani — rzekł. — Ale nie zastałem portyera i poszedłem sam aż na plac di Spagna. Powóz czeka.

— Dziękuję — wymówiła Helena, spoglądając

nań dziwnie jakoś pokornie z po za czarnego swego welonu.

Był poważny i blady, ale spokojny.

— Mumps przybędzie zapewne jutro—dodała cichym głosem.—Napiszę parę słów, żeby zawiadomić kiedy będę mogła zobaczyć się z panem.

— Dziękuję—odpowiedział Andrzej.

— Do widzenia zatem—dodała wyciągając doń rękę.

— Czy pozwolisz pani, bym cię sprowadził na sam dół, na ulicę? Nie ma nikogo.

— Owszem, odprowadź mnie pan.

Oglądała się dokoła, nieco wahająca.

— Czy zapomniałaś pani czego?—spytał Andrzej.

Spojrzała na kwiaty, powiedziała jednak:

— Ach, tak; mego portfelu do biletów...

Andrzej pobiegł wziąć portfel z herbacianego stołu a podając jej go, rzekł:

— *A stranger hither?*

— *No, my dear. A friend.*

Rzuciła tę odpowiedź żywo, głosem niezmiernie ożywionym. Potem nagle, z właściwym jej uśmiechem, w którym było coś pośredniego między błaganiem a zalotnością, czułością a obawą i który poruszył zlekka brzeg woalki, dochodzącej tylko do wierzchniej wargi i odsłaniającej całe usta, rzekła:

— *Give me a rose!*

Andrzej podszedł po kolei do każdego wazonu, wyjął z nich wszystkie róże, ścisnął w jeden

wielki bukiet, który zaledwie mógł utrzymać w rękach. Kilka spadło na ziemię, z innych opały liście.

— Przecież wszystkie one były dla pani— rzekł, nie patrząc na ukochaną.

Helena wyszła z głową spuszczoną, w milczeniu; Andrzej szedł za nią.

Zeszli ze schodów bez jednego słowa. Andrzej widział jej kark taki świeży i delikatny, gdzie z pod wężła woalki, drobne loczki czarne mięszały się z popielatym futrem kołnierza.

— Helenol—zawołał cichuteńko, nie mogąc dłużej już zapanować nad pożerającą namiętnością, co mu rozpieierała serce.

Ona odwróciła się, kładąc wskazujący palec na ustach, by mu nakazać milczenie, giestem bolesnym i błagalnym zarazem, ale w oczach miała błysk dziwny. Przyspieszyła kroku i siadła do powozu; poczuła jak jej składał snop róż na kolanach.

— Adieu, adieu...

A kiedy powóz ruszył, upadła na poduszki siedzenia, wyczerpana, wybuchając łkaniem, rwąc różę konwulsyjnie.

III.

Przyszła więc, przyszła! Wstąpiła napowrót w te miejsca, gdzie każdy przedmiot przechował dla niej przeszłości wspomnienie i zdołała powiedzieć: „Nie jestem już twoją, nie będę mogła być twoją nigdy“ Rzuciła mu te słowa: „Czy byłbyś zdolny dzielić się mojem ciałem z innym?“ Tak, śmiała rzucić mu w twarz te słowa, w tych miejscach, wobec wszystkich tych przedmiotów!

Ból dziki, niezmierny, złożony z ran tysiąca, oddzielnych i różnych jedna od drugiej, z których każda bardziej dojmującą była od drugiej, owładnął nim i doprowadzał go do rozpacz. Na nowo owładnęła nim namiętność, otoczyła go tysiącznemi płomieniami, zbudziła w nim niewygasły żar dla tej kobiety, co już nie była jego własnością, zbudziła w jego pamięci najdrobniejsze szczegóły minionych rozkoszy, obrazy wszystkich pieczęci, wszystkich szatów, co nie nasycały ani trzymały na wodzy ich żądz, wiecznie się odradzających. A przecież w każdym z tych obrazów wciąż jedna rodziła się trudność zespolenia dawnej Heleny z tą nową, dzisiejszą Heleną.

Podczas kiedy wspomnienia, że ją niegdyś posiadał, rozpłomieniały go i dręczyły, pewność tej świadomości posiadania wymykała mu się ciągle; dzisiejsza Helena wydawała mu się kobietą całkowicie nową, nieposiadaną nigdy, nigdy nieobejmowaną w uścisku... Żądza sprawiała mu tak bolesną męczarnię, iż zdawało mu się chwilami, że chyba przyplaci ją życiem. Był jakby zatruty.

Ta żądza cielesna, którą *wówczas* płomienne skrzydło duszy osłaniało jakimś świętości welonem, otaczało nieomal boską jakąś tajemniczością, ukazywała się teraz bez tej osłony, bez tajemniczości tego płomienia jako rozwiązłość wyłącznie cielesna, jako najpospolitsza, najniższa rozpusta. I czuł, że ten zapach jego dzisiejszy nie był bynajmniej miłością... Nie, to nie była już miłość. Boć ona zawołała doń: „Czyż byłbyś zdolny dzielić się mojem ciałem z innym?“ A więc tak, on byłby zdolnym! Wziąłby ją bez wstrętu, taką jaką była, skalaną uściskiem innego; byłby zdolnym położyć swoją pieśczętę na świeżo odebranej pieśczęcie innego; wycisnąłby swój pocałunek tam, gdzie inny kładł go przed chwilą.

Nic w nim, nic zgoła nie pozostało dietknięciem. Wspomnienie nawet onej wielkiej jego namiętności rozsypywało się w gruzy nędznie, brukało się, zezwierzęcone, spodłone ostatecznie. Ostatni promień nadziei zagasł. Dotknął nako-

niec dna samego, spadając, po to, by już nigdy nie wydostać się na powierzchnię.

Z drugiej strony przecież ogarniał go szal straszliwy, że strąca z piedestału to bożyszcze, które, mimo wszystko, wznosiło się przed jego myślą wielkie, wysokie a zagadkowe. Z cynizmem okrucieństwem począł je lżyć, podkopywać, druzgotać. Tę analizę destruktywną, której skuteczność wypróbował już na sobie samym, zastosował obecnie do Heleny. Wszystkie nieasne problemy, przed którymi dawniej byłby chciał się uchronić, obecnie postanowił rozwiązać; wszystkie podejrzenia, które się ongi przedstawiały i ginęły bez śladu, rozbierał obecnie, śledził ich źródło, znajdował wytłomaczenie, doszukiwał się potwierdzenia. Wyobrażał sobie, że ta zaciekła praca przyniesie mu ulgę, ale przeciwnie, wzmagała ona tylko jego mękę, drażniła rany, poszerzała je.

Jaki był rzeczywisty powód wyjazdu Heleny w marcu 1885? Wiele rozmaitych pogłosek krążyło w tym czasie a i wówczas kiedy wyszła powtórnie za Humphreya Heathfielda. Ale prawdą, jedyną prawdą było to, co mu powiedział pewnego wieczora Juliusz Musellaro, przy wyjściu z teatru, przypadkiem, między innymi gadaninami; Andrzej wówczas odrazu przekonany został o słuszności tego zdania. Helena Muti wyjechała dla pieniężnych powodów, obmyśliwszy „operację“, co ją miała wydobyć z materyalnych

kłopotów, bardzo poważnych niestety, w które ją wplątała nieopatrzna a wielka jej rozrzutność. Jej małżeństwo z lordem Heathfieldem ocaliło ją od ruiny. Ten Heathfield, margrabia Mount Edgcombe i hrabia Bradford, posiadał znaczny majątek i był spokrewniony z najwyższą arystokracją angielską. Helena umiała ze zdumiewającą zręcznością poprowadzić swe interesa i odwrócić grożące jej niebezpieczeństwo. Co prawda, trzyletnie jej wdowieństwo nie było znów zbyt budującym przysposobieniem się do drugiego małżeńskiego związku. Ni budującym, ni nawet roztropnem. Ale bez wszelkiego wątpienia, Helena była kobietą wyższą, wyjątkową..

— Tak, mój kochany, kobietą wyższą! — powtarzał Musellaro.—A ty wiesz to dobrze.

Andrzej umilkł.

— Ale nie radzę ci nawiązywać z nią napowrót przerwanych stosunków— ciągnął dalej Musellaro, rzucając papierosa, który mu zgasł podczas tej paplaniny.—Zapalać na nowo miłość, to tak jak zapalać zgasłego papierosa. Tytoń zatrąwa się a i miłość również. Czy pójdziemy na filiżankę herbaty do Julii Moceto? Powiedziała mi, że można do niej zajść po teatrze. Nie jest zapóźno jeszcze.

Stali pod pałacem Borghese.

— Idź ty tam—ozwał się Andrzej.—Ja powracam do domu wypać się. Dzisiejsze polowanie

zmęczyło mnie cokolwiek. Moje ukłony donnie Julii... Życzę powodzenia!

Musellaro wszedł na górę, Andrzej, puścił się w dół ku Trinita, przez plac Fontanny Borghe-se i ulicę Condotti. Była to noc styczniowa, zimna i pogodna, jedna z przepięknych nocy zimowych, które Rzym zamieniają w miasto z czystego srebra, zamknięte w sferze dyamentu. Księżyc w pełni pośrodku nieba zlewał potrójną czystość: światła, chłodu i ciszy.

Szedł wśród blasków księżyca jak lunatyk, mając poczucie jedynie tylko swej boleści. Ostatni cios był zadany; bożyszcze spadało z piedestału; nie nie pozostawało na tych ruinach; to był koniec wszystkiego, na zawsze. „A więc to prawda: nigdy ona go nie kochała! Bez wahania zawarła małżeństwo z wyrachowania. A teraz wobec niego przybierała pozę męczennicy, drapowała się w zasłonę niepogwałconej, cnotliwej małżonki!“ Śmiech gorzki wydarł mu się z serca. Potem gniew głuchy przejął go względem tej kobiety i zaślepił. Wspomnienia namiętności utraciły moc swoją dawną. Cała przeszłość wydała mu się niby jedno wielkie oszustwo, jedno olbrzymie kłamstwo, potworne i okrutne; i ten człowiek, który w życiu kłamstwo i oszustwo uczynił swym nawykniem, ten człowiek, który oszukiwał, zwodził i kłamał po tyle razy, poczuł, że podstęp drugiego obraża go, przejmuje oburzeniem i wstrętem, jak błąd nie-

wybaczony, jak potworność niewytłomaczona, co więcej: niezrozumiała zupełnie. Nie udawało mu się zrozumieć i wytłomaczyć sobie, jakim sposobem Helena mogła popełnić taki występki; a choć go nie rozumiał, z góry odmawiał mu wszelkiego usprawiedliwienia; odtrącał przypuszczenie, że jakakolwiek tajemna przyczyna mogła ją skłonić do tej nagłej ucieczki. Widział wyłącznie tylko fakt brutalny, podłość, pospolitość czynu; pospolitość przedewszystkiem ordynarną, wyraźną, ohydną, bez wszelkich łagodzących okoliczności. Zsumowawszy wszystko, o cóż tu chodziło: namiętność, z pozoru szczerą, o której przysięgało się, że jest niewygastłą i głęboką, zerwaną zostaje dla spraw pieniężnych, dla materialnego interesu, dla kupieckiego układu.

„Niewdzięczny! Niewdzięczny! Co ty wiesz o wypadkach, co ty wiesz o tem, co mnie przecierpieć przyszło? Co ty wiesz o tem wszystkim?“—Te słowa Heleny powracały mu na pamięć, jasno, wyraźnie; wszystkie słowa, wypowiedziane przez nią od początku do końca rozmowy przed kominkiem powracały mu na myśl kolejno; słowa uczucia, ofiarowane braterstwo, wszystkie te sentymentalne frazesy. I przyszła mu znowu na myśl owa łza, co przysłoniła jej spojrzenie, owe zmiany twarzy, jej drżenie, jej głos zdławiony w pożegnaniu, kiedy jej kładł snop róż na kolanach. „Dlaczegoż więc przystała na przyjęcie? Dlaczego chciała odegrać tę

Dod. do „Prs. Tyg. G. D'Annunsio. „Dziecko rozkoszy“ 23

rolę, wywołać tę scenę, snuć ten nowy dramat czy tę nową komedię? Dlaczego?”

Doszedł do wierzchu schodów, na plac opustoszały. Nagle piękność nocy natchnęła go nieokreślonym, ale rozpacznym pragnieniem jakiegoś dobra nieznanego; obraz siennienki błysnął mu w myśli; poczuł silne uderzenie serca, jakby pod wpływem gorącego pożądania; myślał jakim to byłoby szczęściem trzymać ręce Maryi w swoich, pochylić czoło na jej piersi, czuć że ona go pociesza bez słów, samą tylko swą litością. Ta potrzeba litości, potrzeba jakiejś przystani spokojnej, pożalowania, była jakby ostatniem drgnieniem jego duszy, co się nie mogła zrezygnować na zagładę. Pochylił głowę i wszedł do domu, nie odwracając się już nawet, by spojrzeć na piękność nocy.

Terencyusz, który nań czekał w przedpokoju, poszedł za nim do sypialni, gdzie płonął ogień na kominku. Spytał go:

— Czy pan hrabia kładzie się zaraz do łóżka?

— Nie, Terencyuszu. Przynies mi herbaty — odpowiedział, siadając u ognia i wyciągając przed płomieniem ręce.

Wstrząsał nim lekki dreszcz nerwowy. Wy-mówił te słowa z dziwną słodyczą, nazwał służącego po imieniu; mówił mu ty.

— Panu hrabiemu zimno? — spytał Terencyusz z serdeczną troskliwością, ośmielony dobrocią pana.

Pochylił się nad kratą kominka, by poprawić ogień, do którego dorzucił kilka polan świeżych. Był to stary służący domu Sperellich; przez długie lata pozostawał w służbie u ojca Andrzeja i przywiązanie jego do młodzieńca dochodziło niemal do bałwochwaletwa. Nikt z ludzi nie wydawał mu się piękniejszym, szlachetniejszym, dostojniejszym, bardziej uświęconym od młodego jego pana. Należał on rzeczywiście do tej idealnej rasy, co dostarczała typów wiernych sług powieściopisarzom dawniejszych czasów. Ale różny w tem od powieściowych sług, mówił mało, nie dawał rad, nie zajmował się niczem, prócz posłuszeństwem rozkazom.

— Tak dobrze teraz — wymówił Andrzej, starając się pokonać konwulsyjne drżenie, co nim wstrząsało i przybliżając się do ognia.

W tej złej chwili życia, obecność tego starca dziwnem przejmowała go wzruszeniem. Było to wzruszenie, nieco podobne do słabości, która ogarnia wobec osoby niezmiernie dobrej ludzi, zdecydowanych na samobójstwo. Nigdy tak jak w tej chwili ten starzec nie wywołał w jego duszy wspomnienia o ojcu, pamięci drogiego zmarłego, żałoby po wielkim przyjacielu utraconym. Nigdy jak w tej godzinie nie odczuł potrzeby serdecznej pociechy i umocnienia, głosu i ręki ojcowskiej. Ten ojciec, cóżby on powiedział, gdyby zobaczył syna przybitego tem straszmem zmartwieniem? Jakąby dlań znalazł ulgę?

Jakby go był pocieszył? Coby mógł zrobić dla niego?

Myśl jego biegła ku zmarłemu z żalem niezmiernym. I nie było w nim cienia choćby podejrzenia, że odległą przyczyną jego obecnego nieszczęścia była dwuznaczność rad i nauk ojcowskich.

Terencyusz przyniósł herbatę. Potem zabrał się do przysposobienia panu łóżka, powolnie, z kobiecą niemal pieczołowitością, nie zapominając o najdrobniejszej rzeczy, jak gdyby chciał zapewnić swemu panu sen niezmaćcoay aż do jutrzejszego rana. Andrzej śledził mimowolnie spojrzeniem każdy ruch starego sługi z coraz większem wzruszeniem, w głębi którego było coś jakby niejasne poczucie wstydu. Przykro mu było patrzeć, ile starania ten poczciwy starzec zadawał sobie, by uczynić mu wygodnem to łóżko, przez które przeszło tyle miłostek haniebnych; zdawało mu się, że te dłonie sędziwe bezwiednie poruszają tam wszystkie sprośności ohydne.

— Idź spać, Terencyuszu—rzekł.—Nie już dziś nie będę potrzebował.

Pozostał sam przed ogniem kominka, sam z własnem sercem, z gryzącym smutkiem. Wewnętrzne udręczenie nie dało mu usiedzieć spokojnie; zerwał się i począł przechadzać wzdłuż i w szerz pokoju. Wizya głowy Heleny spoczywającej na odstoniętej poduszce, prześladowa-

ła go ciągle. Ilekroć odwrócił się, dochodząc do okna, zdało mu się, że ją widzi i za każdym razem drgnąć musiał. Niezwykłe osłabienie nerwów podsyciło w nim jeszcze rozprężenie wyobraźni. Halucynacyjny obraz imaginacyi stawał się wyraźniejszym, bardziej, zda się, pochwytym. Stał się, ukrył twarz w dłoniach, by zapanować nad swym pomieszaniem. Potem zarzucił kołdrę na poduszki i poszedł usiąść napowrót.

Wówczas inny znów obraz wystąpił mu przed oczyma duszy: Helena w objęciach męża — i tym razem także z nieubłaganą jasnością. Tego męża, Andrzej znał teraz już lepiej. Któregoś wieczora, w loży teatru, Helena przedstawiła ich sobie wzajemnie i mógł go obserwować uważnie, szczegółowo, z dojmującą ciekawością, jak po to, by zeń wyciągnąć jakie wyjaśnienie, by mu wydrzeć tajemnicę jaką. Słyszał jeszcze głos tego człowieka o dziwacznym brzmieniu, cokolwiek krzykliwy, który na początku każdego zdania przybierał intonację pytającą i stawały przed nim te oczy bardzo jasne, wyblakłe niemal pod wielkim wypukłym czołem, te oczy, co nabierały chwilami odbłysku martwych źrenic szklanych lub znowu ożywiały się nieopisanym blaskiem, przypominającym cokolwiek spojrzenie maniaka. I widział także te ręce białawe, miękie, osypane puszkami niezmiernie jasnych blond włosów, które w każdym swym ruchu czy to sięgając po lornetkę, wyjmując chustkę, opierając się na poręczu łoża,

przerzucając kartki libreta opery, miały w sobie coś sprośnego, rzekłbyś: ręce przesiąknięte zepsuciem, ręce rozpustnika.

Widział jak te ręce dotykały obnażonego ciała Heleny, tego ciała tak pięknego, jak go bezczęściły zuchwałemi swemi pieściami... Co za okropność!

Była to męczarnia nie do zniesienia. Podniósł się znów, poszedł otworzyć okno, drżał całym ciałem pod powiewem wieczornego wiatru; wstrząsnął się. Trinita de Monte połyskiwała na lazurze, zakreślając się wyrazistym profilem, jakby wryta w marmurze, nieco różowawym zaledwie. W dole, niżej nieco, Rzym migotał kryształicznym odblaskiem, niby miasto wyrzeźbione z lodowca.

Ten chłód spokojny i przezroczy, skierował umysł jego do rzeczywistości, powrócił mu świadomość istotnego jego stanu. Zamknął napowrót okno, odwrócił się i usiadł znów. Ponownie zagadka Heleny pociągnęła go ku sobie nieprzeparcie; też same kwestye stawiały się tłumnie, napastliwie. Ale miał siłę ukłasyfikowania ich teraz, podporządkowania, badania każdej kolejno, z dziwną jasnością. Im więcej postępował w ich analizie, tem więcej jasność ta wzrastała; lubował się swem okrutnem dziełem jak zemstą. Nakoniec wydało mu się, że całkowicie obnażył duszę ludzką jedną, że przeniknął jej tajemnicę. Zdawało mu się wreszcie, że posiadał Helenę zu-

pełnie jak kiedyś w dniach największego upojenia.

Czemże była ta kobieta?

Był to umysł pozbawiony równowagi w ciele rozmiłowanem w rozkoszach. Jak wszyscy ludzie, chciwi przyjemności, użycia, miała ona za podstawę moralnej swej istoty bezgraniczny, niepohamowany egoizm. Zdolnością przeważającą w niej i poniekąd osią intelektualną była wyobraźnia romantyczna, podsycona najróżnorodniejszymi czytanemi książkami, bezpośrednio zależna od płci, bezustannie podniecana newrozą. Obdarzona pewną inteligencją, wychowana w zbytku książęcego domu rzymskiego, w tym zbytku papieżkim, na który składały się sztuka i historia, nabyła pewnego estetycznego poloru, wytwornego smaku a prócz tego zrozumiałwszy dobrze charakter swej piękności, starała się zręcznem udaniem i umiejętną grą fizjonomii podnieść jej stronę duchową, pozornym nimbem idealizmu.

To też wносиła ona w ludzką komedję żywioły bardzo niebezpieczne i stawała się przyczyną upadków i rozwiązań daleko więcej, niż gdyby uczyniła nierzęd publicznem swem rzemiosłem.

Pod wpływem żaru jej wyobraźni, każdy kaprys nabierał poetycznego odcienia. Była ona kobietą piorunujących namiętności, niespodziewanych, pustoszących pożarów. Pokrywała płomieniami subtelniemi potrzeby swego ciała i umiała

przetwarzać w szlachetne uczucia najpospolitsze cielesne żądze...

Takim był dziki, okrutny sąd, sformułowany przez Andrzeja o tej kobiecie, niegdyś uwielbianej. I prowadził dalej tę niemiłosierną analizę, nie zatrzymując się przy najpiękniejszych wspomnieniach. W głębi wszystkich czynności i słów Heleny znajdował sztuczność, wystudyowanie, zręczność, podziwienia godną dezinwolturę w wykonywaniu tematu jakiegoś fantastycznego, wypowiedaniu dramatycznej roli, w skombinowaniu niezwyklej, efektownej sceny. Nie oszczędził żadnego z najpamiętniejszych epizodów: ani pierwszego spotkania u Ateletów, ani wenty po kardynale Immenraet, ani balu w ambasadzie francuzkiej, ani oddania się nagłego w purpurowej komnacie pałacu Barberini, ani pożegnania wśród Kampanii sabińskiej w ów wieczór marcowy. Magiczny napój, co go upajał niegdyś, wydał mu się teraz zdradziecką miksturą.

Niemniej przecież czasami zdarzało mu się, że się zatrzymywał zdumiony, jak gdyby zagłębiając się w duszę Heleny, wnikał równocześnie w własną swą duszę, jak gdyby w fałszu tej kobiety odnajdywał fałsz własny. Było tyle wspólności między ich obu naturami, tyle powinactwa! I niepostrzeżenie pogarda jego zamieniła się w ironiczne wyrozumienie: bo już *rozumiał*. Rozumiał wszystko, co odnajdywał w so-

bie samym. Wtedy z chłodną świadomością, jasno nakreślił sobie plan przyszłego postępowania.

Wszystkie szczegóły rozmowy, jaka miała miejsce przed tygodniem przeszło, w dzień św. Sylwestra, powróciły mu na pamięć i z pewnem upodobaniem odbudowywał scenę tę całą, z rodzajem wewnętrznego, cynicznego uśmiechu, ale już bez oburzenia, bez wzruszenia, śmiejąc się z Heleny i z siebie samego. Po co przyszła? Bo ta schadzka nieulożona z góry, z dawnym kochankiem, w miejscu jej znanem, po upływie lat dwóch, wydała jej się szczególną, nęciła jej umysł, chciwy niezwykłych emocyj, nęciła jej fantazyę i ciekawość. Pragnęła zobaczyć do jakich to nowych sytuacji, intryg doprowadzi ją ta gra tak śmiała. Co ją w tem pociągało... może nowość platonicznej miłości z tym samym człowiekiem, który już był przedmiotem zmysłowej jej namiętności. Jak zawsze, tak i tu, włożyła pewien zapal w obmyślenie takiego uczucia a zresztą być może nawet, że wierzyła w własną swą szczerotę i że ta szczerota ułudna dostarczyła jej dźwięków głębokiej tklivosti, pozy zbolatej, łez nawet. To, co jej się zdarzyło, było fenomenem aż nadto znanym: w końcu wzięła za prawdę i uwierzyła w trwałość sztucznego i przelotnego porywu swego ducha; miała ona, jeśli tak się wyrazić można, ro-

dzaj halucynacyi uczuciowej, jak inni miewają halucynacye fizyczne. Utracała świadomość swego kłamstwa, nie wiedziała już co było prawdą, co szczerością a co fikcją.

Otóż prawdopodobnie toż samo właśnie zjawisko powtarzało się i w nim bezustannie. Wobec tego nie mógłby przecież oskarżać jej bez niesprawiedliwości. Odkrycie to wszakże pozbawiało go wszelkiej nadziei rozkoszy, coby nie były cielesnemi. Odtąd nieufność stanie na przeszkodzie całej słodyczy zupełnego oddania, wszystkim upojeniom duchowym. Zwodzić kobietę ufającą i wierną, grzać się przy wielkim płomieniu, wznieconym przez zapal udany, zawładnąć duszą, dzięki podejściu, posiadać ją całkowicie, wydobyć z niej dźwięki jak z instrumentu muzycznego, *habere, non haberi*, to może być niezmierną, wyższą rozkoszą, ale zwodzić, wiedząc że się wzajem jest zwodzonym, to głupia i bezowocna praca, zabawa zmuDNA a bezpotrzebna.

Należało mu zatem osiągnąć to, by Helena zaniechała myśli siostrzanego z nim stosunku a natomiast powróciła, jak niegdyś, w jego objęcia. Winien był koniecznie posiadać napowrót tę kobietę, tak piękną, wyciągnąć z jej piękności najwyższą możliwą sumę rozkoszy i uwolnić się na zawsze od tej namiętności—przesytem. Ale taki plan wymagał przezorności i cierpliwości niema-

łej. Już w pierwszej tej ich rozmowie, gwałtowna żądza złą mu oddała przysługę. Najwidoczniej ugruntowała ona swój zamiar nietykalności na owym sławnym frazesie: „Zdołałżebyś dzielić się ciałem mojem z innym?“ To była sprężyna wielkiej platonicznej intrygi — owa święta groza podziału! Zresztą, możliwa rzecz, że w głębi, groza ta była nieudana, szczerą zupełnie. Wszystkie niemal kobiety, które się oddawały miłości, skoro wejdą w prawe związki, pozują w pierwszych chwilach małżeństwa na niedostępną czystość, biorą sobie za zadanie uczciwość małżeńską z najszczerzem z góry postanowieniem dochowania wiary. Otóż, być bardzo może, że i Helena uległa powszechnym tym skrupułom. A w takim razie nie byłoby nic gorszego nad stawienie jej wprost czoła i jawne zdeptanie nowej jej cnoty. Wypadało przeciwnie, popierać jej aspiracye duchowe, przyjąć ją jako „najdroższą z siostr, najmilszą z przyjaciółek“, upoić ją idealnością, platonizować zřęcznie; potem, zwolna, po maleńku, doprowadzić ją z tego niewinnego braterstwa do rozkosznej przyjaźni a z tej pełnej uroku przyjaźni do kompletnego oddania swej osoby. Prawdopodobnie te przejścia od jednego stadyum do drugiego będą bardzo szybkie. Wszystko zależało od sposobności...

Tak rozumował Andrzej Sperelli, przed ogniem, który oświecał niegdyś kochankę jego Helenę, ob-

nażoną, owiniętą w zodyak i z uśmiechem stąpającą po rozsypanych na posadzce różach. On zaś był znużony bez miary, tem znużeniem, co to nie srowadza snu, znużeniem absolutnego wyczerpania, próżni i rozpaczy, która się równa potrzebie śmierci; przed nim na ruszcie dogasał ogień a na stoliku stygł przygotowany napój.

IV.

Następnych dni daremnie oczekiwał przyrzczonego bileciku: „Napiszę do pana kilka słów, by cię zawiadomić, kiedy będziemy mogli się zobaczyć“. Helena zamierzała zatem naznaczyć mu nową schadzkę. Ale gdzie? Czyżby znowu w pałacu Zuccari? Miałażby popełnić powtórny nieostrożność? Niepewność sprawiała mu niewystowioną męczarnię i spędzał cały czas na wyszukiwaniu jakiegobądź sposobu spotkania jej, zobaczenia. Był kilkakrotnie w hotelu „Kwirynału“, w nadziei, że zostanie przyjęty; ale nigdy jej nie zastawał. Pewnego wieczora, w teatrze zobaczył ją wreszcie, ponownie z mężem, z „Mumpsem“, jak mawiała. Rozmawiając o potocznych rzeczach, o muzyce, śpiewakach, kobietach, obecnych na przedstawieniu, równocześnie miał w oczach wyraz błagalnego smutku. Ona okazywała się niezmiernie zajętą swą instalacją: zamieszkać ma napowrót w pałacu Barberini, w dawnych swych apartamentach, które teraz kazała powiększyć jeszcze; cały czas spędza obecnie na naradach z ta-

picerami, którym wydaje wciąż rozkazy, jak mają wszystko urządzać.

— Czy długo zamieszka pani w Rzymie?—spytał Andrzej.

— O, tak—odpowiedziała—Rzym będzie naszą rezydencją zimową.

I dodała w chwilę później:

— Mógłbyś nam pan udzielić niejednej dobrej rady w przedmiocie umeblowania. Przyjdź pan zatem do pałacu którego rana. Ja tam jestem zawsze od dziesiątej do dwunastej.

Skorzystał z chwili, w której lord Heathfield rozmawiał z Juliuszem Musellaro, co wszedł był do łoży i spytał spojrzawszy jej w oczy głęboko:

— Jutro?

Odpowiedziała spokojnie, jak gdyby nie zwróciła bynajmniej uwagi na akcent, z jakim wypowiedzianą była ta prośba.

— Owszem, proszę.

Nazajutrz rano, około jedenastej, przyszedł pieszo przez ulicę Sykstyńską, plac Barberini i schody Quattro Fontane. Droga ta była mu tak dobrze znaną. Wyobrażał sobie, że oduajduje wrażenia dni ubiegłych; miał to złudzenie przez chwilę; serce wzbierało mu uczuciem. Fontanna Berniniego połyskiwała w słońcu dziwnie jakoś inaczej, jak gdyby delfiny, koncha i tryton nagłą w połowie przerwaną metamorfozą, zmieniły się w jakiś daleko przezroczywszy niż kamień ma-

terytał, który jednak nie stał się jeszcze kryształem. Skrzętna ruchliwość nowego Rzymu zapełniała wrzawę place i ulice sąsiednie. Pośród wózków i koni, uwijały się gromady zdziecziałych dzieci, ofiarujących fiołki.

Skoro przestał sztachety i zapuścił się w ogród, poczuł, że go przejmuje drzenie i pomyślał: „Więc ja ją *kocham* jeszcze? Jeszcze o niej *marzę*?“ Zdawało mu się, że poznaje dawne drzenie. Popatrzał na wielki, uroczy pałac i myśl jego pobiegła ku tej epoce, kiedy to ten pałac w pewne mgliste świty, przybierał iście czarodziejski pozór. Było to w najpierwszych czasach jego szczęścia; wychodził zeń, ogrzany pocałunkami, pełen niedawnego upojenia; dzwony Trinita de Monti, świętego Izydora, kapucynów, odzywały się na Anioł Pański wraz z dnia początkiem, jakimiś stłumionemi dźwięki, jak gdyby były gdzieś nieskończenie dalej; ognie połyskiwały różowawym blaskiem na roguj ulic z pieców asfaltowych; trzoda kóz przesuwiała się pod bielejącemi murami, u stóp uspiętego domu; nawoływania przekupniów wódki, gubiły się we mgle...

Czuł jak w głębi jego istoty zmartwychwstały te wszystkie zapomniane już wrażenia; przez chwilę czuł, jak fala dawnej miłości nabiega mu do serca; na chwilę usiłował wyobrazić sobie, że Helena była tą dawną Heleną i że wszystko co było smutnego dlań teraz, nie istnieje, że dawnemu szczęściu nie było dotąd końca

Ale całe to złudne wrażenie prysnęło, jak tylko przestąpił próg i spostrzegł margrabiego Mount-Edgcumb, wychodzącego naprzeciw gościa, z uśmiechem przenikliwym i nieco dwuznacznym.

Wówczas poczęła się dlań prawdziwa katusza. Helena ukazała się i wyciągnęła doń rękę w obecności męża, wielce kordyalnie.

— Brawo, panie Andrzeju! — zawołała — Pomóżesz nam tutaj.

Mówiła, gestykulowała z wielkim zapałem. Wyglądała nadzwyczaj młodo. Miała na sobie żakiet z granatowego sukna, którego brzegi, wysoko zachodzący kołnierz i rękawy, obramowane były czarnym barankiem; wyszycie z wełnianego sznureczka tworzyło na nim haft delikatny. Trzymała jedną rękę w kieszeni, w pozie pełnej gracyi, drugą zaś ukazywała obicia, meble, obrazy. Prosiła o radę.

— Gdzie postawiłbyś pan te dwa kufry? Patrz pan, Mumps je wynalazł w Lucca. Malowidła są *waszego* Botticellego... Gdzie zawiesiłbyś pan te gobeliny?...

Andrzej poznał cztery gobeliny z „Historyi Narcyza“, które były na wencie kardynała Immenraet. Spojrzał na Helenę, ale nie mógł spotkać się z jej oczyma. Głuche przejęło go rozdrażnienie przeciw niej, przeciw mężowi, przeciw wszystkiemu temu. Chciałby był wyjść; ale trzeba było swój gust oddać na usługi małżonków Haethfield; zmuszony był poddać się również wy-

lewowi archeologicznej erudycyi „Mumpsa“, który był namiętnym zbieraczem i który postanowił pokazać mu niektóre z swych zdobyczy. Poznał w jednej z witryn hełm Pallaiuola, w innej znów czarę z górskiego kryształu, która należała niegdyś do Niccolo Niccoli. Obecność tej czary w tem miejscu, przejęła go dziwnym niepokojem i zrodziła w nim błysk szalonych podejrzeń. Czara ta więc dostała się w ręce lorda Heathfielda?... Po owym sławnym turajaju, który spełził na niczem, nikt już nie zajmował się cennym przedmiotem, nikt nie przyszedł powtórnie, dnia następnego, na licytację; ów zapał przelotny osłabł, przeszedł jak przechodzi wszystko w życiu światowem; a kryształ górski zdany został na pastwę innych współzawodników. Sprawa była całkiem naturalną; ale niemniej w tej chwili wydała się Andrzejowi czemś niezwykłym.

Z pewną intencją zatrzymał się przed tą witryną i długo przypatrywał się drogocennej czarze, na której dzieje Wenus i Anchizesa migotały, jakby wyrznięte w prawdziwym dyamencie.

— Niccolo Niccoli! — rzekła Helena, wymawiając to imię z nieokreślonym jakimś akcentem, w którym młodzieńcowi zdało się, że zadźwiękło nieco melancholii.

Mąż przeszedł do drugiego pokoju, by otworzyć jakąś szafę.

— Pamiętasz pani, pamiętasz pani! — szepnął Andrzej, zwracając się ku niej.

- Pamiętam...
- Kiedyż będę mógł widzieć panią?
- Nie wiem.
- Przyrzekłaś mi...

Lord Heathfield powrócił. Przeszli do innego pokoju i kolejno obchodzili cały apartament. Wszędzie tapicerzy przybijali obicia, zakładali firanki, przynosili meble. Andrzej za każdym razem, kiedy Helena spytała go o radę, musiał używać całego wysiłku, by jej odpowiedzieć, by pokonać swe niezadowolenie, by owładnąć zniecierpliwieniem. W chwili, w której mąż rozmawiał z jednym z tych ludzi, wymówił z cicha, nie ukrywając swej przykrości.

— Po co mi było narzucać tę męczarnię? Miałem nadzieję, że panią zastanę samą...

Na progu jednych drzwi, kapelusz Heleny zaczepił się o źle założoną portyereę i zsunął się nieco na bok. Przywołała Mumpsa ze śmiechem, by jej odwiązał woalkę. I Andrzej widział, jak te ręce ohydne rozwiązywały węzeł welonu na karku upragnionej przezeń kobiety, jak muskały drobne czarne loczki, te loczki, zda się, żyjące, co niegdyś pod ulewą pocałunków wyziewały z siebie woń tajemniczą, niepodobną do żadnej ze znanych woni, ale subtelniejszą, bardziej orzeźwiającą, więcej upajającą od wszystkich innych.

Śpiesznie pożegnał się pod pozorem, że go oczekiwano gdzieś na śniadanie.

— My zainstalujemy się tu na dobre już we wtorek, 1-go lutego — przemówiła doń Helena. — A spodziewam się, że wówczas będziesz pan jednym z stałych naszych gości...

Andrzej skłonił się w milczeniu. Dałby był niewiedzieć co, by nie potrzebował dotknąć ręki lorda Heathfielda. Odchodząc, pełen był żalu, zazdrości i niesmaku.

V.

Tegoż samego wieczora, o spóźnionej już godzinie, wszedłszy przypadkiem do klubu, dokąd oddawna już nie zachodził, spostrzegł u stolika gry Don Manuela Ferres y Capdevilla, ministra Guatemali. Pośpieszył się z nim przywitać i spytał go o Donnę Maryę i Delfinę.

— Czy bawią jeszcze w Siennie? Kiedy powrócą?

Minister, który przypominał sobie doskonale, że wygrał od hrabiego kilka tysięcy franków ostatniego wieczoru w Schifanoia, odpowiedział na jego uprzejmość równą uprzejmością. Uznawał w Sperellim znakomitego gracza w wyższym stylu, skończenie doskonałego.

— Są tu już obie od kilku dni, przybyły w poniedziałek. Marya zmartwiona bardzo, że nie zastała margrabiny d'Ateleta. Zdaje mi się, że pańska wizyta sprawiłaby jej wielką przyjemność!... Mieszkamy na ulicy Nationale. Oto nasz adres dokładny.

I oddał jeden z swych biletów wizytowych Andrzejowi; potem zasiadł napowrót do gry.

Andrzeja przywołał w tej chwili książę Beffi, znajdujący się wśród grupy arystokratycznej młodzieży.

— Dlaczego nie przybyłeś dziś rano do Cento Celle? — spytał go książę.

— Miałem inne rendez vous tego rana — odparł Andrzej bez zastanowienia, ot, byle znaleźć wymówkę.

Książę począł się śmiać szyderczo, przyjaciele mu zawtórowali.

— Rendez vous na ulicy Czterech Wodotrysków?

— Byćby mogło.

— Byćby mogło? Ludwik widział cię wchodzącego do pałacu Barberini.

— A ty gdzie byłeś? — spytał Andrzej Barbarisiego.

— U mojej ciotki Saviano.

— Ach!

— Nie wiem — ciągnął dalej książę Beffi — czy twoje polowanie wypadło lepiej niż nasze; ale myśmy uganiali ze sforami przez czterdzieści dwie minut i wzięliśmy dwa lisy. W czwartek będziemy polować u Trzech Wodotrysków.

— A nie u Czterech, słyszysz dobrze? — podkreślił Bomminaco ze zwykłą swą komiczną powagą.

Przyjaciele zaśmieli się z żartu, a śmiech ten udzielił się nawet samemu Andrzejowi. Ta złośliwość podobała mu się. Więcej nawet; teraz, kiedy te pogłoski były bezpodstawnymi, rad był,

że przyjaciele wierzą w odnowienie jego stosunku z Heleną. Odwrócił się, by pomówić z Musellarem, który wszedł był właśnie. Z kilku słów, co dobiegły jego ucha, spostrzegł, że w tej grupie rozmawiano o lordzie Heathfieldzie.

— Znałem go w Londynie przed sześciu czy siedmiu laty — mówił książę Beffi. — Był on tak zwanym *lord of the Bedchamber* księcia Walii, o ile mi się wydaje...

Potem zniżył głos. Książę musiał opowiadać mesłythane rzeczy. Ucho Andrzeja pomiędzy urywkami frazesów rozpustnych, rozróżniło dwa czy trzy razy tytuł dziennika, słynnego w skandalicznej kronice Londynu „*Pall Mall Gazette*“. Rad był słuchać: ogarniała go niewypowiedziana ciekawość. Wyobraźnia przedstawiała mu ręce lorda Heathfielda, te ręce blade, tak wyraziste, tak znaczące, tak wymowne, te ręce niezapomniane. Ale Musellaro mówił dalej:

— Wyjdźmy, mam ci coś opowiedzieć...

Na schodach spotkali się z wchodzącym na górę hrabią Albonico. Hrabia nosił żałobę po donnie Hipolicie. Andrzej zatrzymał się, by go rozpytać o szczegóły bolesnego tego faktu. Dowiedział się o śmierci pięknej Hipolity jeszcze w listopadzie, podczas swego pobytu w Paryżu, przez Idziego Montelatici, krewnego zmarłej.

— Więc istotnie był to tyfus?

Wdowiec, wyblakły blondyn, w lot pochwycił sposobność do wylewu swego smutku. Obno-

sił on teraz ten swój smutek chętnie, jak poprzednio piękność swej żony. Jąkanie nadawało jego zwierzeniom coś hałaśliwego.

Musellaro, który spostrzegł, że elegie wdowca przeciągają się w nieskończoność, począł naglić Andrzeja:

— Uważaj, bo się spóźnimy...

Andrzej pożegnał się, odkładając do przyszłego spotkania dalszy ciąg tych wspomnień grobowych i wyszedł wraz z Musellarem.

Rozmowa hrabiego Albonico zbudziła w nim to szczególniejsze wzruszenie, które nim owładnęło wówczas w Paryżu przez dni kilka, na wieść o tej śmierci; wzruszenie zmieszane z bolesną jakąś żądzą a następnie z pewnego rodzaju rozmówaniem się w tem usposobieniu ducha. Przez ciąg tych dni, obraz donny Hipolity, nieomal już zatopiony w mgle zapomnienia, stanął przed nim takim, jakim był przed epoką jego choroby i rekonwalescencyi, przedzierając się przez całe fale tylu innych stosunków, po przez miłość dla Maryi Ferres, bardzo gdzieś odległy ale owiany jakimś idealizmem dziwnym. Otrzymał od niej przyzwolenie; a jakkolwiek jej nie posiadał, zawdzięczał jej przecież jedno z najwyższych ludzkich upojeń: upojenie zwycięstwa, odniesionego nad współzawodnikiem, zwycięstwa jawnego, rozgłosnego, w obecności pożądanej kobiety. Przez dni owe, żądza, której wówczas nie mógł zadowolnić, zmartwychpowstała w nim na nowo; i pod wpły-

wem wyobraźni, świadomość, że pragnień tych już nigdy zaspokoić nie zdoła, przejmowała go niewypowiedzianym niepokojem, skazywała na długie godziny istnej męczarni. Później, między pragnieniem a żalem zrodziło się inne uczucie: uczucie poetyczne wyidealizowanej przez śmierć piękności. Znajdował upodobanie w tej myśli, że jego przygoda tak się zakończyła właśnie i to na zawsze. Ta kobieta, której nie posiadał, ale dla zdobycia której bez mała nie utracił życia, ta kobieta zaledwie znana, stawała przed nim jedyną i niedosięglą u szczytu jego myśli w przeobrażeniu boskiem, nieśmiertelnem. *Tibi, Hippolyta, semper!*

Musellaro opowiadał Andrzejowi, w jaki sposób oddała mu się Julia Mocetto.

— Przyszła więc dziś około drugiej — mówił; i w swym zapale przytaczał moc różnych szczegółów, dotyczących rzadkiej a ukrytej piękności bezpłodnej Pandory.

— Masz rację: cudna czara ze słoniowej kości...

Na kilka dni przedtem, w noc pełni księżyca, po teatrze, kiedy przyjaciel jego sam udawał się do pałacu Borghese, Andrzej doznał czegoś w rodzaju lekkiego ukłucia. To ukłucie niemal nieznaczne i teraz czuć się znów dawało i to był powód złego jego humoru, nieokreślonego co prawda, ale w głębi którego kłębiły się zmieszane wspomnienia a może rodziła zazdrość, zawiś

i owa najwyższa nietolerancja, pełna egoizmu i tyranii, będąca podkładem jego natury, tak dalece, że czasami pragnął zaglądy tej kobiety, którą on wybrał i posiadał, dlatego tylko, by odtąd nie mogła już należeć do nikogo. Nikt nie powinien był pić z tej czary, z której on pił kiedyś. Wspomnienie jego przejścia powinno było wystarczać i zapęłnić życie całe. Jego kochanki winne były zostać wiecześnie wiernymi jego niewierności. Takim było marzenie jego dumy. Zresztą niesmaczne wydawało mu się wszelkie rozgłaszanie której z tajemnic piękności kobiety. To pewna, że gdyby Wenera z Knydos należała była do niego, pierwszym jego staraniem byłoby zamknięcie tego arcydzieła w jakimś miejscu niedostępnem i zachowanie dla siebie samego rozkoszy z jego widoku; z obawy, by rozkosz, jakiej ztąd doznawać będą inni, nie zmniejszyła jego własnej przyjemności. Ale w takim razie, dlaczegóż sam przyczynił się do rozgłoszenia tej tajemnicy? Dlaczego sam zastrzył ciekawość przyjaciela? Dlaczego sam życzył temu przyjacielowi powodzenia? Prócz tego łatwość, z jaką ta kobieta oddała się innemu, przejmowała go gniewem i wstrętem a może cokolwiek upokarzała go nawet.

— Dokąd idziemy? — spytał Musellaro, zatrzymując się na placu Weneckim.

W głębi swych wrzrzeń i tych myśli różnorodnych, co mu się snuły po głowie, Andrzej

czuł w duszy niepokój, wywołany spotkaniem z don Manuelem i olśniewającym obrazem sienienki. I właśnie pośród całego tego zamięszania, jakiś rodzaj niepokoju pociągał go ku mieszkaniu ukochanej.

— Ja wracam do domu — odpowiedział. — Przejdźmy przez ulicę Nationale. Odprowadź mnie.

Od tej chwili nie słuchał już tego, co mu mówił Musellaro. Myśl o Maryi oładnęła nim całkowicie. Skoro przybyli przed teatr, zawahał się na mgnienie oka; nie wiedział czy ma wybrać trotoar po prawej, czy po lewej stronie. Aby poznać dom, zamierzał czytać numera na bramach.

— Ale co tobie jest?— spytał przyjaciel.

— Nic. Słucham cię.

Patrzył na numery domów i obliczał, że dom szukany musi być po lewej stronie, niezbyt daleko stąd, prawdopodobnie w sąsiedztwie willi Aldobrandini. Ukazały się też niebawem wielkie jodły willi, lekkie jak koronka na tle gwiazdzistego nieba; noc była lodowata ale pogodna; wieża Milicesa wznosiła się czworogranną swą masą, ciemna pośród gwiazd roziskrzonych; laurowe krzewy rosnące na murze Serwiusza, drzemały w blasku latarni, nieporuszone.

Jeszcze tylko kilka numerów i stanęli przed tym, który był podany na bilecie don Manuela. Andrzej drżał, jak gdyby Marya miała wyjść na

ego spotkanie. Przeszedł obok bramy i nie mógł powstrzymać się, by nie spojrzeć w górę.

— Czemu się przypatrujesz? — spytał go Musellaro.

-- Niczemu. Daj mi papierosa. Chodźmy cokolwiek prędzej; tak zimno...

Szli dalej ulicą Nationale aż do Czterech Wodotrysków, w zupełnem milczeniu. Zamyślenie Andrzeja było tak widocznem, że Musellaro rzekł wreszcie:

— Najniezawodniej dręczyć cię coś musi.

Andrzejowi dziwnie ścisnęło się serce, jeszcze chwila a byłby się dał wyciągnąć na zwierzenia. Ale zapanował nad sobą. Pozostawał wciąż jeszcze pod wpływem złośliwości, zasłyszanych w klubie; opowiadania Juliusza i całej tej roztrzepanej niedyskrecyi, którą on sam wywołał. Kompletny brak wszelkiej tajemniczości w stosunkach miłosnych, tolerancya próżnych kochanków, którzy przyjmują żarty i uśmieszki towarzyszków, cyniczna obojętność, z jaką wczorajsi kochankowie sławią zalety swych metres przed tymi, którzy już są na drodze do ich zdobycia i przesada, z jaką pierwsi udzielają drugim rad, by doszli prędzej do celu, a znowu pośpiech, z jakim drudzy najszybciej opowiadają pierwszym o uzyskanej schadzce, by się dowiedzieć, czy *sposób*, w jaki ta kobieta im się oddała, zgodny jest z tem, co było dawniej, te cesye, koncesye, sukcesye, słowem wszystkie te małe i wielkie podłości, które

są nieodstępnym orszakiem słodkiego światowego wiarołomstwa—wszystko to zdawało się degradować miłość do rzędu jakiegoś potwornego i niesmacznego chaosu, do jakiejś gminności nieszlachetnej, do niedającej się nazwać prostytucji. Wspomnienia Schifanoi przeszły mu przez myśl jak woń orzeźwiająca. Obraz siennenki rozblysnął w nim tak potężną jasnością, że niemal był zdumionym. Najwyraźniej przecież, najjaśniej, ponad wszystko, ujrzał jej zachowanie, postawę, jaką przybrała w lasku w Vicomile, wymawiając płomienne swe słowa. Ach, te słowa, czy on je posłyszysz jeszcze kiedy z tych ust? Co robiła Marya, co myślała, jak żyła od dnia rozłąki?... Niepokój jego wewnętrzny wzrastał z każdym krokiem. Niby fantasmagorye ruchome i znikające, fragmenty różnych wizyj przebiegały mu przez umysł; skrawek krajobrazu, szmat morza, schody w gęstwinie róż, wnętrze jakiegoś pokoju, wszystkie te miejsca, kędy zrodziło się jakieś uczucie, gdzie przeszła jakaś chwila przyjemna, gdzie ona roztaczała urok swej osoby. I doznawał głębokiego dreszczu na myśl, że ona może zachowała jeszcze w sercu tęż samą, jednako żywą namiętność, że może cierpiała i płakała, może również marzyła i spodziewała się. Kto to wie?

— I cóż?—rzekł Juliusz Musellaro —jakże stoja twoje sprawy z lady Heathfield?

Szli właśnie ulicą Czterech Wodotrysków i znajdowali się nawprost pałacu Barberini. Przez że-

łazne sztachety, z pomiędzy kolumn kamiennych, ukazywał się ogród, pogrążony w ciemnościach, ożywiony słabym szmerem spadającej w baseny wody; po nad nim wznosiła się biała masa budynku, gdzie w portyku tylko jeszcze błyskały światła.

— Co mówisz?—spytał Andrzej.

— Jakże idą twoje sprawy z Heleną?

Andrzej popatrzał na pałac. Zdawało mu się, że w tej chwili czuje w sercu niezmierną obojętność, prawdziwe obumieranie żądzy, finalną rezygnację i aby coś tylko odpowiedzieć, wziął pierwszy z brzegu frazes:

— Idę za twoją radą. Nie zapalam powtórnie raz zgaszonego papierosa...

— A przecież na ten raz możeby się to i opłaciło. Czyś jej się dobrze przypatrzył. Zdaje mi się, że wyładniała jeszcze; wydaje mi się, jakżebym to powiedział?—że ma teraz w sobie coś zupełnie nowego... *Nowego*, nie; źle się wyrażam, stała się więcej skondensowaną, skupioną w sobie, nie tracąc przecież nic z charakteru swej piękności; jest ona teraz możnaby powiedzieć *więcej Heleną*, niż Helena z przed dwóch czy trzech lat; krótko mówiąc, jest to teraz „kwintesencya“ Heleny. Skutek to drugiej jej młodości bezwątpienia, bo o ile mi się zdaje, bardzo już niewiele brak jej do trzydziestki. Co o tem sądzisz?

Andrzej poczuł, że te słowa dodają mu bodźca i rozpłomieniają na nowo. By rozdmuchać i rozjątrzyć żądzę mężczyzny, nie ma lepszego środka nad wypowiedzianą przez innego pochwałę kobiety, którą on posiadał za długo lub której za długo pragnął. Bywają dogorywające miłości, co przedłużają się jeszcze tylko skutkiem zawiści drugiego, zachwytu innych; bo kochanek przesycony lub zmęczony, lęka się wyrzec tego, co posiada, lub tego, co zdobywa, na korzyść przypuszczalnego rywala.

— Co o tem myślisz? A potem uczynić z tego Heathfielda... Menelaja, to musi być doprawdy nadzwyczajna przyjemność...

— Sądzę tak samo—przywtórzył Andrzej, usiłując przybrać lekkomyślny ton swego przyjaciela.—Zobaczymy...

Księga czwarta.

I.

— Maryo, nie odbieraj tej chwili jej uroku! Pozwól mi wypowiedzieć wszystko, co myślę!

Podniosła się. Łagodnie, bez gniewu, bez surowości, z widocznym wzruszeniem w głosie, powiedziała:

— Daruj pan, nie mogę cię słuchać. Zawiele sprawiasz mi pan bólu.

— Zamilczę więc. Ale pozostań, Maryo, zaklinam cię.

Usiadła napowrót. Było to tak jak w czasach pobytu w Schifanoia. Nic nie dorównywało wdziękowi tej głowy tak delikatnej, która zdawała się pochylać strudzona, niby pod jakąś karą niebios. Cień chorobliwy, łagodny, podobny do złania się dwóch barw przezroczych, fioletu i lazuru idealnie białych, podkręcał jej oczy, gdzie połykiwały jasne, orzechowe oczy brunetki o anielskim wyrazie.

— Chciałem tylko—podjął Andrzej pokornie—chciałem tylko przypomnieć pani moje ówczesne

słowa, te, których pani słuchałaś pewnego ranka w parku, na marmurowej ławce, w cieniu krzewów mącznicy, w godzinie niezapomnianej dla mnie, której pamięć moja strzeże jak rzeczy świętej, jak relikwii...

— Przypominam je sobie.

— A więc, Maryo, od dnia tego, dola moja stała się jeszcze smutniejszą, jeszcze bardziej chmurną, jeszcze okrutniejszą. Nie zdołałbym nigdy opowiedzieć pani wszystkich moich cierpień, całego upodlenia; nie umiałbym powiedzieć ile razy dusza moja przywoływała ciebie, jak w przedśmiertnej trwodze; nie zdołałbym wypowiedzieć pani tego dreszczu szczęścia, tego porywu całej mojej istoty ku nadziei, jeśli kiedy ośmieliłem się uwierzyć na chwilę, że wspomnienie moje żyje może jeszcze w sercu pani.

Mówił z tym samym akcentem prawdy i zapału, co w ów ranek daleki; zdawało się, że toż samo namiętne upojenie owładnęło nim na nowo. Cała rzewność, wszystek smutek duszy, wybiegały mu na usta. Ona słuchała go z głową schyloną, nieporuszona, w tej samej niemal postawie co wówczas, usta zaś, ten wyraz ust, które daremnie zaciskała gwałtownie jak wtedy, zdradzały jakąś bolesną rozkosz.

— Pamiętasz pani Vicomile? Pamiętasz lasek, przez który przejeżdżaliśmy sami w ów wieczór październikowy.

Donna Marya zlekka skinęła głową na potwierdzenie.

— A czy pamiętasz pani także odpowiedź, jaką mi dałaś? — dorzucił młodzieniec z wyrazem powstrzymywanej namiętności, pochylając się ku niej głęboko, jakby dla zajrzenia w jej oczy, które wciąż miała spuszczone ku ziemi.

Nakoniec wzniosła ku niemu te dobre, zażławione, zbolące oczy, pełne bezmiernej litości.

— Pamiętam wszystko, wszystko, wszystko! — przemówiła. — Dlaczego miałabym ukrywać przed panem stan mojej duszy? Pan jesteś umysłem szlachetnym, wyższym i mam głęboką wiarę w pańską wspaniałość. Dlaczego miałabym postępować z panem, jak postępują kobiety powszednie? Alboż tego wieczoru, który tu wspominałeś, nie przyznałam ci się, że cię kocham?... Pytanie pańskie zawiera w sobie inne jeszcze pytanie, które rozumiem dobrze: chcesz pan wiedzieć czy kocham cię jeszcze.

Zawahała się na sekundę. Wargi jej drżały.

— Kocham cię...

— Maryo!...

— Ale pańskim obowiązkiem jest wyrzec się na zawsze mojej miłości i oddalić się odemnie; obowiązkiem pańskim jest okazać się szlachetnym, wielkim, wspaniałomyślnym, oszczędzając mi walki, która mnie przeraża. Przecierpiałam wiele i umiałam cierpieć; ale myśl, że będę zmuszona stanąć z panem do walki, że będę zmagła-

Dod. do „Prs. Tyg. G. D'Annunsio. „Dziecko rozkoszy“ 25

na bronić się przeciw tobie, przejmuję mnie szalonym strachem. Pan nie wiesz, ceną jakich poświęceń okupiłam wreszcie spokój serca; pan nie wiesz, jakich marzeń wzniosłych i drogich ja się wyrzec musiałam... Biedne sny moje młodociane! Jeżeli stałam się inną kobietą, to dlatego, że trzeba było stać się inną; jeśli stałam się kobietą powszednią, to dlatego, że obowiązki moje tego wymagały.

Głos jej nabrzmiały był poważnym i łagodnym smutkiem.

— Spotykając pana, poczułam nagle odradzające się we mnie dawne sny moje, poczułam jak we mnie odżyła dawna dusza moja; i czasu pierwszych dni naszego poznania, poddałam się temu urokowi, zamknawszy oczy na niebezpieczeństwo dalekie. Myślałam sobie: „On się nie dowie niczego z ust moich, ja z jego ust nic nie posłyszę“. Nieomal nie miałam żadnych wyrzutów sumienia, nie obawiałam się niczego. Ale pan przemówił do mnie; przemówił słowami, których nigdy nie słyszałam; wydarł mi z duszy wyznanie. Niebezpieczeństwo ukazało mi się pewne, nieosłonięte, widoczne... I poddałam się nowemu marzeniu. Pańskie strapienia ścisnęły mi serce, zasmucały głęboko. Myślałam sobie: „Zepsucie go skalało. O! gdybym miała władzę wrócenia jego duszy pierwotnej jej czystości! Jakże byłabym szczęśliwą, gdybym mogła stać się całopalną ofiarą jego odrodzenia!“ Smutek twój pociągał ku sobie mój

smutek. Przewidywałam doskonale, że będę może bezsilną do ukojenia bólu i pocieszenia pana; ale miałam nadzieję, że może pan doznasz ulgi, czując obok siebie duszę, co odpowiada owem wieczystem *amen* na wymogi pańskiej boleści.

Wymówiła ostatnie to zdanie z tak wielkim zapalem, że całą twarz Andrzeja oblała fala mistycznej niemal radości; i w tej chwili jedynem pragnieniem jego było pochwycić obie jej dłonie i wylać na te drogie, niepokalane dłonie, swe upojenie niezmierne.

— Ale to niepodobna, to niepodobna—ciągnęła dalej wstrząsając głową z gestem żalu—Musimy wyrzec się na zawsze wszelkiej nadziei. Życie jest nieubłaganem. Mimowolnie złamałbyś całe jedno ludzkie istnienie i więcej może niż jedno...

— Maryo, Maryo, nie mów takich rzeczy!—przerwał młodzieniec, pochylając się ku niej ponownie i ujmując ją za rękę, nie bez pewnej gwałtowności ale równocześnie z jakąś nieśmiałością błagalną, jak gdyby, zanim to uczyni, czekał z jej strony na znak zezwolenia.—Zrobię co pani zechcesz; będę pokorny i uległy; moją jedyną ambicyą jest być ci posłusznym; mojem jedynem życzeniem—umrzeć, przyzywając twego imienia. Wyrzec się ciebie, to znaczy wyrzec się zbawienia, popaść na zawsze w zgubę, wpaść w przepaść bez ratunku. Kocham cię tak, jak tego nigdy żadne ludzkie nie zdoła wypowiedzieć słow o

Potrzebną mi jesteś do życia. Ty sama tylko jesteś *prawdą*; tyś prawdą, której szuka mój umysł. Wszystko inne jest nicestwem. Wyrzec się ciebie, to znaczy iść w śmierć. Ale jeśli poświęcenie mojej osoby może zachować ci spokój, winien ci jestem to poświęcenie siebie. Nie obawiaj się, Maryo. Ja ci nie zrobię nic złego.

Trzymał jej rękę w swoich, ale jej nie ścisnął. Głos jego nie był płomiennym; był raczej pokorny, zrozpaczony, pełen nieskończonego strapienia. A litość zasłaniała tak dobrze oczy Maryi, że nie usuwała mu bynajmniej ręki i przez kilka minut poddawała się czystej rozkoszy tego lekkiego dotknięcia. Była to dla niej rozkosz tak subtelna, że zdawała się nie mieć fizycznego oddźwięku; był to niby prąd wychodzący z głębin jej serca i przebiegający jej ramię aż po końce palców spoczywających w jego dłoni, falą niezmierną jakiejś harmonii.

A kiedy umilkł, słowa wymówione niegdyś w ten ranek pamiętny, powróciły na pamięć Maryi, żywsze jeszcze, dzięki jego głosowi, posłyszananemu przed chwilą: „Sama obecność pani wystarczyła, by mnie upoić i czułem ją obiegającą we mnie jak krew żył moich, zagarniającą mój umysł, niby nadludzkie jakieś uczucie...”

Nastąpiła chwila milczenia. Od czasu do czasu, słyhać było jak wiatr wstrząsał szybami okien. Z wiatrem dochodziły dalekie zgiełki ulicy, zmieszane z turkotem powozów. Światło wpa-

dało, zimne i przezrocze, jak woda źródła; cienie gromadziły się w kątach pokoju i fałdach firanek z wschodnich materyj; tu i owdzie na meblach połyskiwały inkrustacye z jaspisu, kości słoniowej, perłowej masy; wielki Budda złożony ukazywał się w głębi, pod cieniem bananowego krzewu. Egzotyczne jego liście rzucały na cały salon cień własnej tajemniczości.

— O czym myślisz pani teraz? — spytał Andrzej.—Nie myślisz pani czasem o sposobie, w jaki powinienbym skończyć?

Ona zdawała się pogrążona w zamyśleniu. Na twarzy miała wahanie, jak gdyby słuchała dwu głosów wewnętrznych.

— Nie umiałabym powiedzieć panu — odparła przesuając szybkim ruchem dłoni po czole—nie umiałabym powiedzieć panu jak dziwne przecucie udęcza mnie już odawna. Nie, nie umiałabym; ale to wiem tylko, że się boję.

A po chwili milczenia:

— Kiedy pomyślę, że pan cierpisz, że jesteś chory, biedny mój przyjacielu i że nie mogłabym przynieść ci ulgi, że mogłoby ci mnie braknąć w chwili udęczenia, że nawet nie wiedziałabym czyś mnie przyzywał... Mój Boże!

W głosie jej słabnącym było drzenie łez, jak gdyby miała gardło ściśnięte. Andrzej miał głowę spuszczoną i milczał..

— Kiedy pomyślę, że dusza moja iść będzie za tobą zawsze i że nigdy nie będzie mogła zje-

daoczyć, zespolić się z twoją, że nie będzie nigdy przez ciebie zrozumiana! Biedny mój drogi!

Głos jej nabrzmiały był łzami, usta wykrzywione bólem.

— Nie opuszczaj mnie, o, nie opuszczaj mnie! — zawołał młodzieniec, chwyciwszy obie jej dłonie, niemal klęcząc u nóg jej w uniesieniu. — Nie będę cię prosił o nic; nie żądam od ciebie nic, prócz litości. Litość, pochodząca od ciebie, byłaby mi cenniejszą niż miłość każdej iunej kobiety, ty to wiesz dobrze! Jedynie tylko twoje dłonie mogą mnie uzdrowić, mogą mnie przyprowadzić do życia, podnieść z mego upodlenia wrócić mi wiarę, oswobodzić od wszystkiego tego złego, co mnie zakaża i przejmuje zgrozą. O, drogie, drogie te ręce!...

Pochylił się, by je ucałować; długo trzymał do nich przyciśnięte usta. Z oczyma wpół przymkniętymi, mówił cicho z niedającą określić się intonacją:

— Czuję, że drżysz.

Podniosła się drżąca, nieprzytomna, bledsza niż w ów pamiętny poranek, w którym przechadzała się pod deszczem opadających kwiatów. Wiatr wstrząsał szybami; szmer dobiegał z ulicy, jakby wzburzonego, zbuntowanego tłumu. Okrzyki, które wiatr przynosił od strony Kwirynału, wzmogły jeszcze jej niepokój.

— Adieu. Proszę cię, panie Andrzeju, nie zostawaj tu dłużej. Zobaczymy się z sobą kiedy-

indziej, kiedy tylko zechcesz. Ale teraz, odejdz.
Proszę cię!

— Gdzież panią zobaczę?

— Jutro na koncercie. Do widzenia...

Była mocno wzburzona, jak gdyby popełniła coś złego. Doprowadziła go aż do drzwi salonu. Pozostawszy sama, zawahała się, nie wiedząc co robić, przejęta wciąż jeszcze strachem. Czuła jak palą ją oczy, policzki i skronie, kiedy równocześnie zimny dreszcz wstrząsał całym jej ciałem. Ale zachowała na dłoniach niezgładzone jak piętna, wrażenie dotknięcia ust ukochanych i wrażenie to było rozkosznem dla niej tak, że pragnęła, żeby było równie niestartem jak święte stygmaty.

Spojrzała dokoła siebie. W salonie światło zmniejszało się z każdą chwilą, kształty przedmiotów poczynały już tonąć w cieniu, wielki Buddha gromadził na swem złoceniu szczególniejszą jakąś jasność. Krzyki dochodzące z miasta, wzmagaly się, to znów cichły kolejno. Podeszła do jednego z okien, otworzyła je i wysunęła czoło. Wiatr iodowaty powiewał od alei, gdzie już od strony Termów poczynały zapalać się latarnie. Naprzeciwko, drzewa willi Aldobrandini ugiwały się za ledwie zabarwione zlekka czerwonawym odbłaskiem. Ponad przyległą wieżą, zwieszała się olbrzymia, karmazynowa chmura, samotna na całym niebie.

Wieczór wydał się jej ponurym. Usunęła się od okna. Poszła usiąść na tem samem miejscu, gdzie rozmawiali przed chwilą. Dlaczego Delfina nie powraca? Pragnęła uciec przed swemi myślami, nie potrzebować już zastanawiać nad wszystkim, nie myśleć zgoła; a jednak słabość jakaś niezrozumiała zatrzymywała ją na tem miejscu, gdzie Andrzej oddychał, mówił, gdzie jej odślaniał swą miłość i spowiadał się z swych cierpień. Wszelkie usiłowania, postanowienia, skrucha, modlitwy i umartwienia czterech ostatnich miesięcy, rozpraszały się, zacierały, stawały bezpożytecznymi w ciągu jednej jedynej sekundy. Upadała na powrót, jeszcze więcej zmęczona, rozstrojona, bez woli i siły wobec tego moralnego przesilenia, które ją nachodziło niespodzianie, w obec uczuć, co ją wzburzały całkowicie; i oddając się trwodze i obezwładniającej świadomości, w której słabła cała jej odwaga, równocześnie doznawała wciąż wrażenia, że tam, w cieniu salonu jakaś cząstka *jego* unosi się jeszcze w powietrzu i ogarnia ją całą nieskończone rozkoszną jakąś pieśczęcią.

II.

Nazajutrz przybyła do pałacu Sabinich z sercem bijącym pod bukietem fiołków.

Andrzej czekał już na nią u drzwi sali. Ściskając jej rękę, wymówił z cicha:

— Dziękuję.

Podprowadził ją do fotela i zajął miejsce obok niej.

— Zdawało mi się—mówił półgłosem—że oczekując, umrę z udręczenia. Tak obawiałem się, że pani możesz nie przyjść! Jakim ja ci wdzięczny!...

I znowu mówił:

— Wczoraj, bardzo już późno, przechodziłem przed domem pani. Widziałem światło w jednym z twych okien, w trzecim oknie od strony Kwirynału. Nie wiedzieć co byłbym oddał za to, aby być pewnym, że po za niem pani byłaś w tej chwili...

A potem pytał jeszcze:

— Kto pani ofiarował te fiołki?

— Delfina—odparła.

— Czy Delfina opowiadała pani nasze poranne spotkanie na placu di Spagna?

— Tak, opowiedziała mi wszystko.

Koncert rozpoczął się kwartetem Mendelssohna. Sala była już niemal całkowicie zapelnioną. Audytoryum składały w przeważnej części kobiety cudzoziemki; a było to audytoryum blondynek, pełnych prostoty w stroju, skupienia w postawie, milczących i religijnie niemal zasłuchanych, jak w kościele. Fala muzyki, prześlizgując się po szeregach głów nieruchomych, przybranych w ciemne kapelusze, rozlewała się szersza, pełniejsza, w potoku złotego światła, światła spływającego z góry, przepuszczonego przez żółte firanki, rozjaśnionego jeszcze białymi, nagimi ścianami. I stara ta sala, bez wszelkich ozdób, ta sala, na której jednolitej, monotonnej białości, pozostawał zaledwie jakiś ślad fryzu, w której nędzne błękitnawe portyery groziły spadnięciem lada chwila, miała pozór miejsca, co zamknięte przez całe stulecie, dziś nagle zostało otworzonym po raz pierwszy na nowo. Ale ta barwa starości, ten pozór ubóstwa, ta nagość ścian przyczyniały się jeszcze do nadania szczególniejszego jakiegoś smaku wytwornej uczie artystycznej, która się tu odbywała, i prawem kontrastu, doznawana tu przyjemność wydawała się większą jeszcze, głębszą, czystsza. Było to w środę, drugiego lutego; na Montecitorio, w parlamencie toczyły się rozprawy o rzezi

w Dogali; ulice i place sąsiednie nabite były ludem i żołnierstwem.

Wspomnienia muzyczne Schifanoi stanęły żywo w pamięci obojga zakochanych, odblask jakiś tej minionej jesieni rozświecił ich myśli. Menuet Mendelsohna wywoływał im przed oczy wizję willi, leżącej nad brzegiem morza; salonów, do których wiatr wnosił woń spadzistych ogrodów, przedsionku, gdzie pośród kolumn wznosiły się wyniosłe wierzchołki cyprysów na tle pogodnej morskiej strefy.

Od czasu do czasu Andrzej pochylał się cokolwiek ku sienience i pytał po cichutku:

— O czym pani myślisz?

Ona odpowiadała mu uśmiechem tak słabym, że zaledwie zdołał go pochwycić. Mówiła mu:

— Czy pamiętasz pan 23 września?

— Andrzejowi nie stało dosyć dokładnie to wspomnienie w pamięci, mimo to skinął głową na znak potwierdzenia.

Andante, spokojne i uroczyste, w którym górowała melodia wysoce patetyczna doszło wreszcie po szerokim rozwoju do wybuchu bólesci. Finał opóźniał się w rytmie monotonnym; pełnym znużenia.

Ona ozwała się:

— To zwrot pańskiego Bacha.

A kiedy muzyka rozpoczęła się na nowo, doznali oboje instynktownej potrzeby zbliżenia się do siebie. Łokcie ich dotykały się zlekka. Pod ko-

niec każdej sztuki, Andrzej pochyłał się ku niej, by odczytać program, który trzymała rozłożony w rękę; i w tym momencie przyciskał nieco jej ramię, oddychał wonią fiołków u jej gorsu, udzielając rozkosznego drżenia. Adagio dźwięczało śpiewem tak potężnym, tak gdzieś wzlatywało do szczytów ekstazy, poszerzało się w nieskończoność z taką dziwną pewnością, że zdało się głosem jakiejś nadludzkiej istoty, która wylewa w rytmie radość nieśmiertelnego zwycięstwa. Potok niepowstrzymany unosił z sobą wszystkie umysły. Kiedy ustała muzyka, drganie instrumentów trwało jeszcze kilka sekund w nerwach słuchaczy. Szmer przebiegł po całej sali, z jednego końca w drugi. Spóźnione oklaski wybuchnęły istną burzą.

Spojrzeni na siebie wzajem, oczyma pełnymi marzeń. Muzyka ozwała się znowu; światło przyćmione łagodniało; lekkie ciepło przejmowało powietrze; wiedzące fiołki wzywały woń silniejszą. Andrzej miał złudzenie, że jest *sam* z nią, jedną tylko, ponieważ nie widział dokoła nikogo ze znajomych.

Mylił się. Odwróciwszy się podczas pauzy, spostrzegł Helenę Muti, stojącą w głębi sali w towarzystwie księżnej Ferentino. Natychmiast spojrzenia ich spotkały się z sobą. Skłonił się jej z daleka. I zdało mu się, że spostrzega na ustach Heleny szczególniejszy jakiś uśmiech.

— Komu się pan kłaniasz?—spytała Marya, odwracając się z kolei.—Kto są te panie?

— Lady Heathfield i księżna Ferentino.

Zdało się jej, że poczuła jakieś pomięszanie w głosie Andrzeja.

— Która z tych dwu jest księżną Ferentiuo?

— Ta blondynka.

— Tamta druga jest bardzo piękną.

Andrzej zamilkł.

— Ale czyż to angielfka?—spytała jeszcze.

— Nie, to rzymianka; to wdowa po księciu Scerni, która wyszła powtórnie za mąż za lorda Heathfielda.

— Nadzwyczajnie jest piękną.

Andrzej coprędzej począł się informować.

— Cóż teraz grać będą?

— Kwartet Brahmsa z *e minor*.

— Znasz go pani?

— Nie.

— Druga część jest cudowną.

Mówił, by ukryć tylko swój niepokój.

— Kiedyż ja panią znów zobaczę?

— Nie wiem.

— Jutro?...

Zawahała się. Zdawało się, że lekki cień przyślonił jej rysy.

— Jutro, jeśli będzie dzień słoneczny, przyjdę z Delfiną na plac di Spagna, koło południa.

— A jeśli nie będzie słonecznie?

— W sobotę wieczór będę u hrabiny Starnia...

Muzyka poczynała się na nowo. Pierwsza część wyrażała bój ponury i straszny, pełen zapału. Następna romanca wyrażała jakieś wspomnienia namiętne ale dziwnie smutne, po których następowało skupienie się w sobie i podniesienie ducha powolne, niezdecydowane i bezsilne ku jakiejś niezmiernie daleko świtającej jutrzence. Jedna jasno występująca fraza melodyi rozwijała się w głębokich modulacyach. Było to uczucie wielce różne od tego, które ożywiało adagio Bacha, daleko bardziej ludzkie, znacznie więcej ziemskie, więcej elegijne. W muzyce tej czuć było powiew Beethovena.

Andrzeja przejął tak straszliwy niepokój, że lękał się zdradzić. Cała poprzednia przyjemność zamieniła się w gorycz. Nie miał dokładnej świadomości tego, co znaczyło obecne to nowe cierpienie; nie mógł ani opamiętać się, ani zapanować nad sobą; poddawał się tylko kolejno to urokowi muzyki, to atrakcyi, jaką nań wywierały obie kobiety; ale żadna z tych trzech potęg nie mogła zawładnąć nim bezpodzielnie do samej głębi; doznawał nieokreślonego wrażenia, jakby jakiejś próżni, gdzie dźwięczałyby bezprzestannie mocne uderzenia, po których następowało bolesne echo, i myśl jego łamała się na tysiące fragmentów, rozpryskiwała się, kruszyła, i obraz dwóch kobiet stawał przed nim po kolei, mieszając się z sobą, zlewając, niszcząc i wypierając wzajemnie, tak że niepodobieństwem dlań było odłączyć od siebie oba te

obrazy, określić uczucie swe dla jednej, i uczucie, którem go przejmowała druga. Spostrzegł niejaką zmianę w zachowaniu się Maryi Ferres względem niego; równocześnie zdawało mu się, że czuje upornie utkwiony w sobie wzrok Heleny, i nie mógł zdecydować się, jakie ma przybrać względem nich obu stanowisko, nie wiedział, czy należy mu towarzyszyć Maryi przy wyjściu z sali koncertowej, czy też przystąpić do Heleny; nie mógł rozwikłać nawet tego problematu, czy wypadek ten będzie dlań korzystnym lub szkodliwym u jednej z nich i drugiej.

Pod koniec sztuki Marya powstała.

— Idę już—rzekła.

— Nie czeka pani końca?

— Nie, muszę być w domu na piątą.

— Pamiętaj pani o jutrzejszym ranku...

Podawała mu rękę. Może to gorąco panujące w sali ożywiło bladą jej twarz płomieniem słabego rumieńca. Płaszcz aksamitny, ciemnego koloru ołowiu, obramowany szerokim szlakiem szensylii owijał całą jej postać, a z pod rozchylonego popielatego futra, wyglądał bukiet wędnących fiołków. Wychodząc, kroczyła z tak wytworną elegancją, z takim jakimś dostojeństwem, że kilka pań siedzących w krzesłach odwróciło się, by ją przeprowadzić spojrzeniem. I po raz to pierwszy dopiero Andrzej w tej rozumnej, nawskroś duchowej istocie ajrzał kobietę światową.

Obecnie była to już trzecia część kwartetu. Światło dzienne słabło i odstłonięto żółte firanki jak w kościele. Niektóre panie opuściły salę. Szepty słyszeć się dawały tu i owdzie. W audytorjum poczęło się znużenie i nieuwaga, które cechują zwykle koniec koncertu. Jednym z owych dziwacznych i nagłych fenomenów elastyczności moralnej i zmienności, Sperelli doznał uczucia ulgi, stał się niemal wesołym. Odrazu zapomniał o swych wszystkich uczuciowych troskach; a jedyną rzeczą, która jasno ukazała się jego próżności i zepsuciu, była strona osobistej korzyści tego zdarzenia. Pomyślał sobie, że siennienka, przystając na tę niewinną schadzkę, postawiła już tem samym nogę na owej słodkiej pochyłości u spodu której jest grzech, nieunikniony nawet dla dusz najczujniejszych; pomyślał także, że kto wie, czy cokolwiek zazdrości nie popchnie Heleny do rzucenia się napowrót w jego objęcia i że tym sposobem jedna z tych intryg miłosnych popierałby mogła drugą; przyszło mu na myśl, że kto wie, czy nie pewna nieokreślona obawa właśnie, czy nie jakieś zazdrosne poczucie skłoniło Maryę do tak szybkiego przystania na przyszłą schadzkę.

Był zatem na drodze do podwójnej zdobyczy; i uśmiechał się, czyniąc w myśli uwagę, że w dwóch tych przedsięwzięciach trudność przedstawiała się pod tą samą postacią: dwie kobiety chciały względem niego odegrać rolę siostry a chodziło o to, by je zamienić w kochanki. Zau-

ważył również, nie bez uśmiechu, inne jeszcze podobieństwa między obu wypadkami: „Oh, ten głos! Jakież dziwnymi były w głosie Maryi intonacje Heleny!“. Błysk szalonej myśli przeszedł mu przez głowę: ten głos mógł być materiałem dla jego wyobraźni; na podstawie tej szczególnej wspólności dźwięku, mógł zlać w jedną dwie te piękności i tym sposobem osiąść trzecią piękność imaginacyjną, doskonalszą, skońcześniejszą, *prawdziwszą*, bo będzie idealną...

Trzecia część koncertu, wykonana w właściwym stylu bez wszelkiej usterki, kończyła się wśród oklasków. Andrzej powstał i zbliżył się do Heleny.

— A, przecież jesteś, Ugenta!—zawołała na jego widok księżna Ferentino.—Gdzież byłeś dotąd, mój hrabio? W krainie uczuć?

— A ta nieznajoma?—spytała Helena od niechcenia, wciągając woń fiołków, których bukiet wyjęła z mufki sobolowej.

— To serdeczna przyjaciółka mojej kuzynki: Donna Marya Ferres y Capdevilla, żona nowego ministra Guatemali — odpowiedział Andrzej bez zmięszania. — Bardzo piękna osoba, nadzwyczaj rozumna. Była u Franciszki we wrześniu w Schifanoia.

— A Franciszka? —przerwała mu Helena.—Nie wiesz pan kiedy ma powrócić?

— Mam od niej świeżutkie wiadomości z San Remo. Ferdynand już zdrowszy. Obawiam się Dod. do „Pra.Tyg.“ G. D’Annunzio. „Dziecko rozkoszy“. 26

jednak, czy nie wypadnie jej przedłużyć tam swego pobytu na jaki miesiąc jeszcze a może i więcej.

— Co za szkoda!

Finał kwartetu, bardzo krótki, rozpoczynał się. Helena i księżna zajęły dwa krzesła w głębi, u ściany, pod lustrem, które odzwierciadlało melancholiczną salę. Helena słuchała z głową pochyloną, przesuając między palcami końce połyskującego sobolowego boa.

Skoro się skończył koncert, rzekła do Andrzeja:

— Sprowadź nas pan!

Wsiadając do swego powozu po księżnej, ozwała się:

— Siadaj pan z nami. Pozostawimy Ewę w pałacu Fiano. Potem odwiozę pana gdzie zechcesz.

— Dziękuję.

Przyjął propozycję. Przybywszy na Corso, powóz zmuszony był wolniej jechać: cała szosa wypełniona była zbitym, zgiełkowym tłumem. Od placu Montecitorio i od placu Colonna dochodziły okrzyki, które rozlegały się jak huk bałwanów morskich, podnosząc się, to znów opadając i znów podnosząc wraz z odgłosem trąbek. Pośród wieczora szarawego i chłodnego zgiełk ten urastał; grozą dalekiej rzezi przejęte, ryczało społeczeństwo; mężczyźni przedzierali się przez tłok, biegli podnosząc w górę paki dzienników; wśród krzyków wyraźnie dominowała nazwa Afryki.

Andrzej wyjrzał przez okno karety.

— Dla tych czterystu bydłał raptem, co jak było zginęli — wruknął, cofając się w głąb powozu.

— Co też pan mówisz! — zawołała księżna Ferentino.

Na rogu pałacu Chigi zbiegowisko stawało się już zupełnym tłokiem. Powóz zmuszony był zatrzymać się. Helena pochyliła się nieco, by zobaczyć; a twarz jej, wysuwająca się z cieniu, w tem świetle gazu i refleksach zmierzchu, wydała się bladą, niemal śmiertelną bladością, białością lodowatą, nieco szarawą, która zbudziła w Andrzeju wspomnienie gdzieś już kiedyś widzianej takiej głowy — nie wiedział tylko kiedy, nie wiedział gdzie — w jakimś muzeum, czy w jakiejś kaplicy.

— Przyjechaliśmy — ozwała się księżna, skoro powóz zatrzymał się nareszcie przed pałacem Fiano. — Do widzenia; spotkamy się dziś z sobą jeszcze u księżnej Angiolieri. Adieu, Ugenta! Czy nie przyjdiesz jutro do nas na śniadanie? Zastaniesz Helenę, Barbarellę Viti i mego kuzyna.

— O której?

— O wpół do pierwszej.

— Stawię się.

Księżna wysiadła. Lokaj czekał na rozkazy.

— Gdzie chcesz pan, bym cię odwiozła? — spytała Helena Sperellego, który już zajął był obok niej miejsce po księżnej.

— *Far, far away!* ..

— No, powiedzże pan! Do ciebie?

I nie czekając na odpowiedź:

— Na Trinite de Monti, do pałacu Zuccari.

Lokaj zamknął drzwiczki. Powóz potoczył się i skręcił na ulicę Frattina, pozostawiając po za sobą tłum, hałas i krzyki.

— O, Heleno, po tak długim oczekiwaniu — zawołał, pochylając się, by lepiej widzieć tę, której tak pożądał.

Ona cofnęła się w cień, całkiem w głąb powozu, jak gdyby pragnąc uniknąć zetknięcia.

W przejeździe blask jednej z witryn sklepowych oświecił wnętrze powozu i wtedy zobaczył Helenę bladą bardzo, z uśmiechem pociągającym na ustach.

Wciąż uśmiechnięta tymże samym zagadkowym uśmiechem, zręcznym ruchem zdjęła z szyi boa, zarzuciła je na szyję Andrzeja, niby uzdę. Powiedziała byś, że to zabawka. Ale tą uzdziennicą, przesiąkniętą temiż perfumami, które czuł wówczas w futrze z lisów niebieskich, przyciągnęła ku sobie młodzieńca i bez jednego słowa podała mu usta do pocałunku.

Dwoje tych ust przypomniało sobie dawne rozkosze, te połączenia straszne a zarazem urocze, które przewlekały się aż do męczarni i dawały im oddech rozplywającego się owocu, wilgotnego od rosy. By przedłużyć ten smak ich, podtrzymywali mak oboje. Powóz zwrócił się w ulicę Trytona

i skręcił na Syxtyńską, niebawem zatrzymał się przed pałacem Zuccari.

Helena żywo odtrąciła młodzieńca i rzekła mu głosem, nieco niepewnym.

— Zejdź tutaj. Do widzenia.

— Kiedy przyjdiesz?

— Kto to wie?...

Służący otworzył drzwiczki. Andrzej wysiadł. Powóz zawrócił, kierując się znów ku ulicy Syxtyńskiej. Andrzej, cały drżący jeszcze, z oczyma przysłoniętymi ręką odrętwienia, patrzył czy z poza szyby nie ukaże mu się jeszcze twarz Heleny, ale nie zobaczył, powóz potoczył się dalej.

Wstępując na schody myślał: „Nakoniec poczyna się więc nawracać“. Pozostawał mu w głowie opar upojenia, na ustach smak pocałunku, w oczach błysk uśmiechu, z którym Helena zarzuciła mu na szyję ten rodzaj lśniącego i wonnego węża. A Marya Ferres?... Bez najmniejszego wątpienia zawdzięczał siennence tę rozkosz nieoczekiwaną. W postąpieniu dziwacznem i kapryśnem Heleny było niezawodnie cokolwiek rodzącej się zazdrości. Może z obawy, by się jej nie wymknął, chciała przykuć go do siebie, zwać znowu, zapalić nowem pragnieniem. „Kocha mnie cna, czy nie kocha?“. I cóż go obchodziły wreszcie jej uczucia. Na co mu to wiedzieć? Na co mu zresztą było to przydatne? Dziś już czar ustał. Nigdy cud żaden nie mógłby zbudzić

już do życia najmniejszej cząsteczki zamarłego szczęścia.

Z upodobaniem rozmyślał o tej przygodzie. Przedewszystkiem zachwycił się eleganckim i oryginalnym sposobem, w jaki Helena ubrała swój kaprys. I obraz boa, cwijającego mu szyję, przywiódł mu na pamięć warkocz Maryi, wywołał splątane wszystkie marzenia miłości, które mu podsunęły te bujne dziewicze włosy, przedmiot niegdyś zachwytu wszystkich uczennic w klasztorze. I znowu obie te żądze zlały się dlań w jedną; przyjrzał się uważnie podwójnemu temu obrazowi; i z poza tych dwu, tak różnych, wyłonił mu się trzeci — obraz kochanki idealnej.

Miał on umysł skłonny do refleksyj i analizy. To też ubierając się na obiad, równocześnie przechodził w myśli ubiegłe zdarzenia: „Wczoraj wielka scena namiętności, gdzie niewiele brakło już do wylewu łez; dzisiaj mała scenka niema zmysłowości. A zdaie mi się jednak, że wczorajsze wzruszenie moje było szczerem, jak przed chwilą niemniej byłem szczerym w moich wrażeniach. Co więcej, dziś nawet, na godzinę przed pocałunkami Heleny, miałem chwilę górnieszego jakiegoś, lirycznego polotu przy Maryi. Z tego wszystkiego nie pozostało i śladu. Jutro, to pewna, rozpocznę na nowo. Poddaję się łatwo urojeniom, jestem niestałym, brak mi jednolitości, jestem jak kameleon!... Jakieby nie były moje usiłowania ku osiągnięciu tej jedno-

litości, zawsze pozostałyby daremnymi. Trzeba więc zrezygnować z tej pracy nad sobą. Prawo moje jest w tem jedynem słowie: *Nunc*. „Niech się spełni wola tego prawal“.

Zaczął się śmiać sam z siebie. I doczawszy od tej chwili, dał wolny bieg swej naturze już bez wszelkiego hamulca.

Bez hãmulca, bez żadnego względu, bez skrupułu używał wszystkich swych zdolności na wprowadzanie w czyn tworów chorobliwej fantazyi. Aby zwyciężyć opór Maryi Ferres używał najsubtelniejszych sztuczek, najwyrafinowańszych podstępów, oszukując ją właśnie w kwestyach duszy i życia serca. Aby równocześnie prowadzić skutecznie dwie intrygi miłosne, by pozyskać nową a odzyskać dawną kochankę, aby wyciągnąć korzyść z każdej okoliczności w jednym i drugim przedsięwzięciu, rzucił się w nieskończoną moc kłopotów, przygód; dziwacznych sytuacji; ażeby znów z nich wyjść, uciekać się musiał do tysiąca kłamstw, komplikacyj nędznych, wybiegów poniżających, do niskich podstępów.

Dobroć, prawość, szczerłość Maryi nie rozbrajały go bynajmniej. Wziął sobie za zasadę swego uwodzicielskiego dzieła werset psalmisty: *Aspergesme hyssopo et mundabor; lavabis me, et super nivem dealbabor*. Biedna kobieta wierzyła w to, że ocalała jego duszę, odkupuje jeden umysł, wiedząc go na prostą drogę, że własną swą czystością oczyszcza ze zmas skalanego człowieka; zacho-

wała głęboką wiarę w owe słowa niezapomniane, zasłyszane wówczas w parku, w dzień narodzin ich miłości, w obliczu morza, pod kwitnącemi drzewami. I ta to właśnie wiara umacniała ją i podtrzymywała pośród walk wewnętrznych, w których szczerym chrystyanizmem przejęte jej sumienie rozdarło było straszną rozterką; ja to wiara nie dopuszczała do niej żadnych podejrzeń, upajała ją pewnego rodzaju rozkosznym mistycyzmem, w którym rozpraszała skarby swych uczuć, kwiat najwonnejszy swego życia.

Po raz pierwszy Andrzej znalazł się wobec *prawdziwej* namiętności, wobec jednego z tych wielkich uczuć kobiecych, tak rzadkich, co rozświecają wspañiałą i straszliwą błyskawicą szare i zmienne niebo miłości ludzkich. Nie troszczył się o to bynajmniej. Stał się bezlitosnym katem samego siebie i nieszczęsnej swej ofiary.

III.

W czwartek 3 lutego na placu di Spagna, jak to było umówione na koncercie Andrzej spotkał się z nią przed wystawą złotniczą antykwaryusza; była razem z Delfiną. Zaledwie postłyszala jego powitanie, odwróciła się i płomień rumieńca za-barwił jej bladość. Przyglądali się razem biżu-teryom z XVIII stulecia, koleczykom i dyademom z *pierre de Strassy*, szpilkom i zegarkom emaliowa-nym, tabakierkom złotym, z kości słoniowej, z szyld-krotu, wszystkim cackom zamartłego stulecia, które w przezroczej jasności poranka dawały wrażenie harmonijnego bogactwa. Dokoła nich przekupnie kwiatów z swemi koszykami przechodzili, ofiarując żółte i białe pierwiosniki, dubeltowe fiołki, długie kwitnące gałązki z drzew migdałowych. Powiew wiosny przeciągał już w powietrzu. Kolumna Nie-pokalanego Poczęcia wznosiła się migocąc w słoń-cu, jak łodyga z *rózą mystyczną* u szczytu; Bar-caccia, przeładowana była dyamentami; schody Tri-nita rozwarły radośnie swe ramiona w stronę ko-ścioła Karola VIII-go, którego dwie wieże wznoc-

siły się wysoko na lazurze, uszlachetnionym misternym rysunkiem obłoczków.

— Jakież to cudowne!— zawołała siennenka. — Masz pan rację, że tak jesteś zakochany w Rzymie!

— O, pani nie znasz go jeszcze—odpowiedział Andrzej. — Chciałbym być w nim twoim przewodnikiem...

Uśmiechnęła się.

— ...podjąć wraz z panią tej wiosny taką pielgrzymkę do pamiątek Rzymu.

Uśmiechała się a cała jej osoba przybrała pozór mniej smutny, mniej poważny. Kostium jej ranny był prosty w swej elegancyi, ale wykazywał wytworność gustu, biegłego w rzeczach sztuki, w umiejętnym doborze barw. Żakiecik z popielatego sukna, wpadającego cokolwiek w kolor zielony i obramowany futrem wydry, otwierał się z przodu na takież futrzanej kamizelce. A ponieważ krój był wytwornie stylowy, połączenie, dwu tonów: tego nieokreślonego popielatego i bogatego płowego odcienia, stanowiło prawdziwą dla oka przyjemność.

— Gdzie poszedłeś pan wczoraj wieczorem? — zapytała go.

— Wyszedłem z koncertu w kilka minut po pani; powróciłem do domu i pozostałem w nim, ponieważ zdawało mi się, że czuję tam obecność pani. Myślałem wiele. Czy pani nie czułaś obok siebie mojej myśli?

— Nie, nie czułam jej. Ja przeciwnie znowu miałam wieczór bardzo smutny, choć sama niewiem dlaczego. Zdawało mi się, że jestem tak bardzo osamotnioną!

Hrabina Lucoli minęła ich w eleganckim dogcart, powożąc dereszowatym koniem. Julia Moceto pieszo przeszła tuż obok w towarzystwie Juliusza Musellaro. Isotta Cellesi przeszła także.

Andrzej kłaniał się. Marya Ferres pytała go o nazwiska tych dam. Imię Moceto nie było nowem dla niej. Przypomniała sobie dzień, w którym Franciszka wymówiła je, przypatrując się archaniołowi Michałowi Perugina, kiedy Andrzej pokazywał im swoje rysunki w Schifanoia; i uważnie przyjrzała się dawnej kochance swego ukochanego. Niepokój jakiś ją przejmował. Wszystko, co dotyczyło Andrzeja i przeszłego jego życia, usposabiało ją smutnie. Chciałaby, by to życie, jej nieznanne, nie było nigdy istniało; pragnęłaby mózdz zetrzeć je w zupełności z pamięci tego człowieka, który w niem tak chciwie się pogrążał i wycofał się zeń dopiero śmiertelnie zużony, po tylu stratach, z tylu ranami. „Życie wyłącznie w tobie i dla ciebie, bez wczoraj i bez jutra, bez wszelkich innych upodobań, gdzieś po za światem...” Tak wszakże powiedział... O! jakież to sen pięknym!

Odmienny natomiast niepokój przygniatał Andrzeja: niezadługo nadejdzie już godzina śniadania, na które zaproszono go do księżnej Ferentino.

— W którą stronę pani idzie?— spytał.

— Delfina i ja byliśmy na herbacie u Nazzarich z zamiarem skorzystania ze słońca. Pójdziemy na Pincio i zwiedzimy willę Medicis. Czy chcesz nam pan towarzyszyć?...

Miał chwilę przykrego wahania. „Pincio, willa Medicis w słoneczne letnie popołudnie, z nią”. Ale nie mógł nie stawić się na zaproszenie; a resztą czuł dręczącą ciekawość zobaczenia teraz Heleny po scenie wczorajszej; poszedł był bowiem, rzecz jasna, wczoraj do pałacu Angelieri, ona jednak tam nie przybyła. Odpowiedział z wielce zasmuconą miną:

— Co za nieszczęście! Zaproszony jestem na śniadanie i zaledwie mam teraz jeszcze kwadrans wolnego czasu. Przyjąłem to zaproszenie w zeszłym już tygodniu. Gdybym był jednak wiedział, byłbym wynalazł sposób uwolnienia się od wszelkich zobowiązań. Co za nieszczęście!...

— Idźże pan; nie trać czasu. Może czekać tam będą na pana...

Spojrzał na zegarek.

— Mogę jeszcze towarzyszyć paniom chwilę.

— Mamo — zawołała Delfina — wejdźmy temi schodami, wchodziłam tam wczoraj z miss Dorothy. Gdybyś widziała!...

Ponieważ byli w stronie Babuino, zwrócili się, by przejść placem. Jakieś dziecko biegło za nimi, gwałtownie ofiarując im gałąź migdałową, którą Andrzej kupił i ofiarował Delfinie. Jasnowłose panie wychodziły z hotelów z Baedekerami

czerwonemi w rękę; ciężkie powozy wynajmowane, zaprzężone w parę koni, mijały się z migotaniem metalu swych ozdób staroświeckich, przepuknie kwiatów wyciągali ku cudzoziemkom swe napełnione koszyki z dowolnemi okrzykami.

— Przyrzecz mi pani—rzekł do Maryi, sta wiążąc nogę na pierwszym stopniu — przyrzecz mi pani, że nie wejdiesz do willi Medicis bezemnie. Na dziś wyrzecz się pani tej wizyty. Proszę panią bardzo.

— Ona zdawała się zajęta jakąś smutną myślą. Odparła:

— Dobrze, odłożę to na inny dzień.

— Dziękuję!

Przed nimi wznosiły się tryumfalne schody, których rozpalone kamienie ziały ciepłem, a kamień ten miał ton starego złota, który przypominał fontanny Schifanoi. Delfina biegła przed nimi z kwitnącą gałązką migdałową a w wietrze i biegu drobne listeczki różowe ulatywały jak motyle.

Dojmujący żal przejął serce młodzieńca. Wyobraził sobie całą przyjemność tej przechadzki we dwoje po ścieżkach willi Medicis, pod niememi drzewy w tej pierwszej godzinie popołudnia.

— Do kogo pan idziesz? — spytała Marya po chwili milczenia.

— Do starej księżnej Alberoni — odpowiedział. — stół arcykatolicki.

Kłamał raz jeszcze; instynkt bowiem ostrzegał

go, że kto wie, czy nazwisko księżnej Ferentino nie wzbudziłoby w Maryi podejrzania.

— Zatem do widzenia! — dodała, podając mu rękę.

— Nie, dojdę do placu. Tam powóz mój czeka na mnie. Widzi pani: to dom, który zamieszkuję.

I wskazał jej pałac Zuccari, oblany cały słońcem, który przypominał oryginalną jakąś cieplarnię, co poczerniała pod wpływem czasu.

Marya spojrzała.

— Teraz, kiedy go pani znasz, czy przyjdiesz doń kiedy... w duchu?

— W duchu, zawsze.

— Przed sobotą czy nie będę mógł zobaczyć się z panią?

— To będzie cokolwiek trudno.

Rozstali się. Marya z Delfiną puściły się w alleję, obsadzoną drzewami. Andrzej siadł do swego powozu i odjechał ulicą Gregoryańską.

Przybył do księżnej Ferentino, spóźniwszy się o kilka minut. Przeprosił za to opóźnienie. Była już tam Helena z mężem.

Śniadanie podano w szli jadalnej, bardzo wesołej przyozdobionej gobelinami Barberinich, przedstawiającymi sceny sielankowe w stylu Piotra Loar. Pośród tej dziwacznej dekoracji z XVII wieku, rozpoczął się iskrzący i trzaskający ogień plotek i obmów. Wszystkie trzy panie były żywe i wesołe. Barbarella Viti śmiała się swym drgającym męzkim śmiechem, przechylając nieco

w tył piękną swą głowę Efeba; a czarne jej oczy zbyt często jakoś spotykały się z zielonemi oczyma księżnej. Helena z szczególniejszym zapałem rzucała dowcipy i wydawała się Andrzejowi tak bardzo daleką, obcą, tak niedbającą o nic i ni-kego, że zrodziło się w nim mimowoli pewne powątpiewanie: „Czyż ja śniłem wczoraj wieczór?“ Ludwik Barbarisi i księżę Ferentino podniecali jeszcze humor tych pań. Margrabia Mount Edgcombe podjął się zadania nudzenia na potęgę swego „młodego przyjaciela“, rozpytując go o wiadomości co do przyszłych licytacyj i opowiadając o jakiejś arcyrzadkiej edycji „Metamorphoseona“ Apulejusa, który właśnie nabył przed kilku dniami za pięćset dwadzieścia franków: edycja rzymska z 1469 r. in folio. Przerywał sobie od czasu do czasu, obserwując jakiś giest Barbarelli; w takich chwilach migotał w jego oczach błysk maniaka a ręce, te ręce ohydne, szczególniejszem poruszały się drżeniem.

Irytacja, obrzydzenie, rozdrażnienie wzrastały z każdą chwilą u Sperellego do tego stopnia, że nie b ła już w stanie ich ukrywać.

— Pan dziś coś w złym humorze, Ugenta! — przemówiła doń księżna Ferentino.

— Cokolwiek. Malecho jest chory.

Wówczas Barbarisi począł go dręczyć tysiącem pytań o chorobę konia. Następnie znów Mount Edgcombe rozpoczął na nowo swoją historję o

„Metamorphosecznie“, a księżna Ferentino rzekła ze śmiechem:

— Czy wiesz, Ludwiku, wczoraj na koncercie przyłapaliśmy go, jak flirtował z jakąś nieznaną?

— To prawda—dorzuciła Helena.

— Nieznajomą? — zawołał Ludwik.

— Tak, ale ty będziesz mógł niezawodnie udzielić nam w tej mierze informacji. Była to żona nowego ministra Guatemali.

— A, wiem już.

-- No, więc cóż?

— Jak na teraz, znam tylko ministra. Widuję go grywającego co noc w klubie.

— Powiedzno pan, Ugenta, czy ta twoja nieznajoma była już przedstawioną królowej?

— Niewiem tego, księżno—odparł Andrzej z pewną niecierpliwością w głosie.

Paplanina ta stawała mu się nieznośną; wesołość Heleny sprawiała mu straszliwą torturę, sąsiedztwo jej męża wzbudzało w nim większe jeszcze niż kiedykolwiek obrzydzenie. Jeśli się gniewał, to nietyle na tych ludzi, co na samego siebie. W głębi jego podrażnienia był żal niejasny za przyjemnością, którą dla nich odrzucił przed chwilą. Serce jego, zawiedzione i urażone okrutnem zachowaniem się Heleny, zwracało się ku tamtej drugiej z dręczącą skruchą; widział ją zamyśloną w samotnej alei, piękniejszą i szlachetniejszą niż kiedykolwiek.

Księżna podniosła się, wszyscy powstali, by przejść do przyległego salonu. Barbarella pobiegła otworzyć fortepian, który ukrywał się pod obszernym starożytnym czaprakiem z czerwonego aksamitu, haftowanego matowem złotem; i poczęła nucić półgłosem „Tarantellę“ Bizeta, dedykowaną Krystynie Nilson. Helena i Ewa pochyliły się nad nią, czytając nuty. Z tyłu, po za niemi stał Ludwik, z zapalonym papierosem. Książę gdzieś zniknął.

Ale lord Heathfield nie wypuszczał Andrzeja. Pociągnął go w zagłębienie okna i opowiadał mu o jakichś czarkach Urbana, ozdobionych tematami erotycznymi, które nabył właśnie na licytacyi po hrabi Davila; i ten głos krzykliwy o monotonych pytających intonacyach, i te giesty, co ukazywały rozmiary czarek, i ten wzrok, chwilami zamarły, chwilami zaś przeszywający z pod olbrzymiego wypukłego czoła—słowem cała ta wstrętna powierzchowność była dla Andrzeja najokropniejszą męczarnią; zaciskał tylko zęby jak pacjent pod nożem chirurga.

Miał jedyne teraz życzenie: odejść ztąd. Marzył o tem, że podaży na Pincio; spodziewał się zastać tam jeszcze Maryę i oprowadzić ją po willi Medicis. Mogła zaledwo być godzina druga. Przez okno spostrzegł gzems przeciwległego domu, połyskujący od słońca na błękicie nieba. Odwróciwszy się, widział u fortepianu grupę młodych kobiet w różowym odblasku odbijających się od

Dod. do „Pra.Tyg.“ G. DAnnunzio. „Dziecko rozkoszy“. 27

aksamitu czapraka promieni. Z tym odblaskiem łączył się lekki dymek papierosa; paplaniny i śmiechy zlewały się z akordami, wypływającymi z pod palców Barbarelli Viti. Ludwik szepnął kilka słów do ucha kuzynki, a kuzynkę niezawodnie podzieliła się tą uwagą z przyjaciółkami, bo wzmógł się znowu hałas i śmiech rozgłośny, jak szmer pereł rozsypywanych po srebrnej miednicy. Barbarella rozpoczęła znowu „Allegretto“ Bizeta półgłosem:

— *Tra la la... Le papillon s'est envolé... Tra la la...*

Andrzej czekał na sposobną chwilę, by mózż przerwać rozprawę Mount Edgcumba i oddalić się jak najprędzej. Ale zbieracz wygłaszał całe szeregi gładkich zdań, bez przerwy, bez powstrzymania. Przerwa byłaby ocaliła męczennika, ale ta przerwa nie nadchodziła a męczarnia ofiary rosła z każdą minutą.

— *Oui, le papillon s'est envolé... Oui!... Ah! ah! ah! ah!*

Andrzej spojrział na zegarek.

— Już druga! Wybacz mi, margrabio, muszę już odejść.

I podchodząc ku grupie pań, rzekł:

— Daruj, księżno. O drugiej mam w stajni konsultację weterynarzy.

Pożegnał się pośpiesznie. Helena podała mu końce palców do uścisku. Barbarella ofiarowała mu cukierek i dodała:

— Zanieś go pan odemnie temu biednemu „Mal-lecho“.

Ludwik chciał mu towarzyszyć.

— Nie. Pozostań.

Andrzej skłonił się i wyszedł. Zbiegł ze scho-dów w mgnieniu oka. Wskoczył do powozu, wo-łając na woźnicę:

— Prędko, na Monte Pinciol

Ogarnęło go szalone pragnienie odszukania Ma-ryi Ferres, odzyskania szczęścia, które odrzucił przed chwilą. Rączy bieg koni wydawał mu się zbyt powolnym jeszcze. Patrzył trwożnie, czy nie zobaczy wreszcie ukazującej się już Trinita de Monti, alei obsadzonej drzewami i krat parku.

Powóz przejechał kraty ogrodzenia. Kazał stan-gretowi zwolnić nieco i przejechać wszystkie aleje po kolei. Serce uderzało mu silniej za każdym razem, ilekroć zdaleka między drzewami ukazała się postać kobieca, ale poszukiwanie to było da-remne. Wysiadł z powozu na placu, puścił się wązkami ścieżkami, przeznaczonemi wyłącznie dla pieszych; przeszukał wszystkie zakątki, bez skut-ku również. Osoby siedzące na ławkach przypa-trywały mu się ciekawie: niepokój jego bowiem zbyt był widocznym.

Ponieważ willa Borghese była otwarta, Pincio odpoczywało spokojne pod słabym uśmiechem luto-wego słońca. Rzadkie powozy, nieliczni również piesi wędrowcy przerywali spokój wzgórza. Drzewa

ogółocone jeszcze z liścia, białawe, czasami wpadające w fiolet, wznosiły w górę gałęzie na bladym niebie, na którym snuły się nici pajęcze rozrywane podmuchem wiatru. Sosny, cyprysy, wszystkie zieleniące się drzewa przybierały powszechny odcień bladawy; przyémione, wypełzłe dostrajały się do ogólnej monotonii. Rozmaitość pni i sieć gałązek na tle nieba czyniły uroczytszą jeszcze jednostajną nieruchomość posągów.

Czyliż nie unosiła się tu jeszcze w powietrzu jakaś cząstka smutku Donny Maryi? Oparty o balustradę willi Medicis, Andrzej stał przez kilka minut, jakby przygnieciony jakimś olbrzymim ciężarem.

IV.

Następnych dni pościg ten podwójny trwał z gorzemi jeszcze torturami, z najwstrętniejszemi kłamstwami. Widział Andrzej obecnie — a objaw to bynajmniej nierzadki podłości moralnej ludzi wykształconych — ze straszliwą jasnością, bez przerwy, bez zaślepienia i miał zupełną świadomość tego co robi. Wiedział co zamierza uczynić i sądził zawsze następnie trzeźwo wszystko, co zrobił. U niego pogarda samego siebie szła w parze z zupełnym brakiem woli.

Ale właśnie ta niejednostajność usposobienia, te niepewności, te dziwne chwile absolutnej skrytości, to znów niezwykłych wylewów, słowem wszystkie dziwaczności zachowania, połączone z takim stanem duszy, wzmagają tylko i podniecały wyegzaltowane współczucie siennenki. Widziała, że on cierpi, a to ją przejmowało smutkiem i tklivością: „Powoli ja go wyleczę“. Ale po trochu, nie spostrzegając tego nawet, sama traciła siłę i coraz więcej naginała się do życzeń chorego.

Schodziła po tej spadzistości powolnie.

W salonie hrabiny Starnina nieopisany dreszcz przejął ją, kiedy poczuła spojrzenie Andrzeja na swych obnażonych ramionach. Po raz pierwszy to Andrzej widział ją w stroju balowym. Znał dotąd tylko jej twarz i ręce. Tego wieczoru kształt ramion przejął go zachwytem, przedramię tylko może było nieco za chude.

Ubrana była w suknię z ciężkiego brokatu koloru kości słoniowej, przybraną sobolami. Wązki pasek sobolowego futra otaczał wykrój stanika u gorsu, nadając ciału nieopisaną delikatność, a od osady szyi aż do ramion, linia nieco spadzista miała ten pełen wdzięku rysunek, który jest oznaką arystokracji fizycznej, bardzo już dziś rzadkiej. W obfitych włosach, ułożonych na sposób, które Verocchio obierał najczęściej dla swych posągów, nie połyskiwał ani jeden kamień, ani jeden kwiatek.

Dwa czy trzy razy, korzystając ze sposobnej chwili, Andrzej poszepnął jej namiętne słowa zachwyty:

— Po raz pierwszy widzimy się z sobą w „świecie“—powiedział jej. — Daj mi pani swoją rękawiczkę na pamiątkę.

— Nie.

— Dla czego, Maryo?

— Nie, nie. Milcz pan.

— O, te ręce pan! Czy przypominasz sobie, jak je rysowałem w Schifanoia? Zdaje mi się, że powinnabyś pani oddać mi je w posiadanie i że

z całej twej osoby są one najwięcej duchem twym ożywione, najbardziej uduchowione, powiedziałbym: najczystsze .. Ręce dobrotliwe, dłonie, co dzierżycie moc przebaczenia... Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł posiadać przynajmniej rękawiczkę, pozór, cień ich kształtu, wonną powłokę ich woni... Przed odjazdem pani mi da rękawiczkę?

Nie odpowiedziała mu już nic. Rozmowa się urwała. Nieco później, kiedy ją proszono, by siadła do fortepianu, przystała, zdjęła rękawiczki i położyła je na pulpicie. Ręce jej, wysunięte z delikatnej powłoki, ukazały się, białe bardzo, smukłe, o cienkich palcach, na których połyskiwały pierścionki. Na czwartym palcu lewej ręki błyszczał żywym ogniem wielki opal.

Grała obie Sonaty-Fantazy Beethovena (op. 27). Jedna z nich dedykowana Julicie Guicciardi, wyraża zrzeczenie się beznadziejne, zbudzenie się ze snu, zbyt długo śnionego. Druga, od pierwszych taktów andanta, rytmem swym pełnym i słodkim opiewa ciszę po burzy; potem przechodząc z niepokojów drugiej części, wybucha adagiem iście promiennej pogody i kończy się allegrem, w którym odwaga i zapal biorą znów górę.

Pośród tego uważnego audytoryum Andrzej czuł, że Marya gra dla niego jednego wyłącznie. Od czasu do czasu, oczy jego ściagały na przemiany to palce wirtuozki, to długie rękawiczki, co zwieszały się z pulpitu, zachowując odcisk tych palców, zachowując gracyę niewysłowioną w dro-

bnym otworze u dłoni, gdzie przed chwilą zaledwie, ukazywało się nieco białej skóry niewieściej.

Marya powstała wśród pochwał ogólnych. Nie zabrała jednak rękawiczek, ale pozostawiwszy je, odeszła. Andrzej wówczas doznał pokusy przywłaszczenia ich sobie. „Kto wie, może je pozostawiła tu dla niego?” Ale on pragnął mieć jedną tylko.

Przyrowadzona powtórnie do fortepianu, na skutek nalegania hrabiny Starnina, Marya zdjęła z pulpitu rękawiczki i położyła je u końca fortepianu, w cieniu. Potem zagrała *Gawota Rameau*, *Gawota dam żółtych*, ów niezapomniany taniec Nudy i Miłości: „Jasnowłose damy, co to już nie są młode...”

Andrzej przyglądał się jej uparcie, przejęty lekkiem drżeniem. Kiedy powstała, zabrała jedną tylko z dwu rękawiczek. Drugą pozostawiła na fortepianie w cieniu, dla niego.

*

*

*

W trzy dni później, kiedy Rzym zdumiony zbudził się pod śniegową powłoką, Andrzej zastał u siebie następujący bilecik:

„*Wtorek, 2 godzina po południu.* Dziś wieczorem między jedenastą a dwunastą czekać na mnie będziesz w powozie na wprost pałacu Barberini, przed kratą. Jeżeli nie przyjdę do północy, możesz pan odjechać. *A stranger*”.

Ton tego bileciku był romantyczny i tajemniczy. A może to na pamiątkę 25 marca 1885 r., margrabina Mount-Edgcumb naznaczała mu tę schadzkę w powozie? Czyliż nie zamierzała czasami rozpocząć napowrót tej miłosnej przygody w ten sam sposób, w jaki ją przerwała? I dla czego ten wyraz: *stranger*? Andrzej uśmiechnął się. Powracał z wizyty, złożonej Maryi, z nadzwyczaj miłej wizyty; i umysł jego teraz skłaniał się bez porównania więcej do siennenki niż do tamtej drugiej. Miał jeszcze w uchu zapóźnione echo rozmowy, prowadzonej z siennenką, kiedy oboje przypatrywali się przez szyby okna śniegowi, co opadał, lekki jak kwiecie brzoskwini lub jabłoni, na drzewa willi Aldobrandini, przeczuwające już nową roku porę. Niemniej jednak, zanim wyszedł na obiad, wydał Stefanowi bardzo stanowcze i wyraźne rozkazy.

O jedenastej był już przed pałacem, pożerany dręczącą niecierpliwością. Nowość tej przygody; widok śnieżystej nocy, tajemniczość, niepewność—rozpłomieniały jego wyobraźnię, unosiły go gdzieś daleko po za rzeczywistość.

Ponad Rzymem, w tę pamiętną noc lutową, świecił bajeczną jasnością księżyc w pełni, jasnością, jakiej nigdy jeszcze nie widziano. W tym ogromnym blasku, wszystkie przedmioty zdawały się istnieć tylko jakby w śnie jakimś, wydawały się formami niedosięgniętymi, jak meteory, widoczne

tylko zdaleka przez fantastyczne odbicie, zda się, promieniowanie swych konturów, Śnieg pokrywał wszystkie sztachety żelaznych ogrodzeń, a okrywając żelazo, tworzył haft misterny, delikatniejszy i lżejszy od filigranu; kolosy zaś, przyodziane biało, podtrzymywały ten haft jak dęby podtrzymują sieć pajęczą. Niemy, uroczysty głęboko, wznosił się pałac Barberini na pobludnem uiebie; wszystkie jego naprzód występujące części, olbrzymiały, połyskające białością, ścieląc cień błękitnawy, niemniej od światła przezroczy; a ta białość i cienie, nadawały rzeczywistej architekturze budyku pozór jakiejś napowietrznej budowli, jak w opowieściach Ariosta.

Czekał, pochyłony nieco naprzód, by widzieć lepiej i pod czarem tego widoku czuł, że się w nim budzą napowrót wypieszczona mądrość miłości, że liryczne szczyty jego uczuć poczynają iskrzyć się jak zlodowaciałe lance krat tego ogrodzenia w promiennem świetle księżyca. Nie wiedział jednak jeszcze, którą z dwu kobiet wolałby zobaczyć wśród tej fantastycznej dekoracyi: Helenę Heathfield, przyobleczoną w purpurę, czy Maryę Ferres w szacie z gronostaju. A ponieważ umysł jego zatrzymywał się z przyjemnością na tej niepewności wyboru, w mękę oczekiwania mimo jego woli, wplątywała się inna męczarnia: rzeczywista, w której chodziło mu o Helenę i urojona, gdzie Marya też samą odgrywała rolę.

Wśród ciszy, zegar sąsiedni począł bić, donośnym, drgającym w powietrzu dźwiękiem; za każdym jego uderzeniem zdawało się, że coś krystalicznego rozłupuje się w powietrzu. Zegar na Trinita de Monti odpowiedział na ten odgłos, po nim nastąpiła odpowiedź z wież Kwirynału; dalej znów inne zegary, odleglejsze, zawtórowały słabnącemi dźwięki. Było kwandras na dwunastą.

Andrzej, wyteżając wzrok, poglądał ku portykowi. „Czyżby się miała odważyć na przejście pieszo przez ogród?“ Wobrazil sobie postać Heleny wśród tej olśniewającej białości. I w tejże samej chwili ukazała się znów postać siennenki, zaćmiła sobą tamtą, tryumfalną swą białością, *candida super nivem*. Ta więc noc, księżycowa i śnieżna, poddała była pod władzę Maryi, jak pod niepokonany wpływ astralaj. Z przemożnej czystości wszechrzeczy, rodził się obraz kochanki czystej — symbolicznie. Siła symbolu zawładnęła umysłem poety.

I wówczas, patrząc wciąż czy nie nadchodzi ta druga, puścił wodze marzeniu, jakie mu nasuwał otaczający go obraz.

Było to marzenie pełne poezji, mistyczne nieomal. Czekał na Maryę. Marya wybrała sobie tę noc tak nadnaturalnej białości, aby poświęcić własną swą białość niezmazaną pragnieniom ukochanego. Wszystkie dookoła białe te przedmioty stawały się współwinowajcami wielkiej ofiary i oczekiwały, by okrzykiem *amen* i *ave*, powi-

tać za przyjściem białą swą siostrzyce. Cisza ożyła.

„Otóż nadchodzi *incedit per lilia et super nivem*. Przychodzi przyobleczona w gronostaj; włosy ma zwinięte szczelnie i ukryte pod opaską; krok ma lżejszy od własnego cienia; księżyc i śnieg mniej są blade od niej. Witaj!

„Cień lazurowy, jak światło co prześwieca szafir, idzie tuż za nią. Olbrzymie i bezkształtne lilie nie pochylają się przed nią: mróz je tak zakuł w nieruchomość, uczynił je podobnemi do kwiatów złotogłowu, co ozdabiają ścieżki Hadesu. A przecież jak kwiaty chrześcijańskiego raju mają one swą mowę; i wołają również: niech się tak stanie!

„Uwielbiana oddaje siebie na ofiarę.

„Już zbliża się ku temu, co na nią oczekuje: zimna i niema, ale z oczyma, co płoną i co mówią. A on na dłoniach, na tych drogich dłoniach, co goją wszystkie rany i otwierają snów wrota, kładzie najpierwej pocałunek.

„Tu i owdzie zacierają się kontury kościołów o dumnych kolumnadach, które śnieg przystroił w kapitele i akanty magiczne; zacierają się rozległe forum, zasypane śniegiem, zatopione w błękitnym blasku, gdzie wznoszą się ku tarczy księżycowej zwaliska łuków tryumfalnych i portyków, mniej stałe od własnych cieniów, zacierają się rzeźbione fontanny w skałach z kryształu, co leją nie wodę lecz blaski.

„A potem składa pocałunek na ustach, na tych drogich ustach, co nie znają słowa fałszu, którym obce jest wszelkie kłamstwo. Z pod rozwiązanej opaski rozsypują się włosy, niby szeroka ciemna fala, w której, zda się, zebrały się wszystkie nocne ciemności, co rozpędziły śnieg i księżyc. *Comis suis obumbrabit tibi et sub comis peccabit*“.

A tamta druga nie przychodziła! W ciszy, w pośród poezji, napowrót poczęły zapadać ludzkie godziny, wydzwaniane na wieżach i dzwonnicach kościelnych Rzymu. Kilka powozów, bez wszelkiego hałasu spuszczało się po spadzistości Czterech Fontann ku placowi, lub wdzierały się pod górę na Santa-Maria Maggiore z trudem, a w blasku tej wspaniałej nocy, latarnie ich wydawały się złotemi jak topazy. Wydawało się, że w tę noc co doszła do połowy swego biegu, jasność powiększyła się jeszcze i stała się czystsza. Ażury sztachet migotały, jak gdyby haft ich srebrzysty pokrył się drogiemi kamieniami.

Andrzej pomyślał: „A jeśli nie przyjdzie wcale?“

Dziwna ta fala liryzmu, która nabiegła mu do serca na wspomnienie imienia Maryi, zatopiła mękę oczekiwania, ukołła niepokój, oszukała żądzę. Na chwilę, myśl, że tamta nie przyjdzie, uśmiechnęła mu się. Ale następnie udręczenie niepewności wystąpiło napowrót, silniejsze jeszcze i przejął go niepokojem obraz tego szczęścia, które mógł mieć na własność w tym ciepłym po-

wozie, wypełnionym słodką róż wonią. I jak w ów wieczór Sylwestrowy, cierpienie jego wzmagła jeszcze urażona próżność: żal przedewszystkiem, że wszystkie te wytworne przygotowania były daremnymi.

W powozie, chłód miarkowany był ciąglem ciepłem, które rozlewała napełniona gorącą wodą metalowa ogrzewaczka. Bukiet białych róż, śnieżystych, księżycowych leżał na półeczce. Skóra białego niedźwiedzia ogrzewała kolana. Wszystko zdradzało poszukiwanie rodzaju symfonii w białym majorowym tonie.

I po raz trzeci poczęły wydzwaniać zegary, było już trzy kwadranse na dwunastą. Oczekiwanie trwało już zbyt długo; Andrzej nużył się i był rozdrażniony. W apartamencie Heleny, w oknach lewego skrzydła, nie było zgoła innego światła, prócz blasku księżyca z zewnątrz. „Czy też przyjdzie? I w jaki sposób? Potajemnie? Czy pod jakim pretekstem? I jakim? Lord Heathfield był niezawodnie w Rzymie. Jakim sposobem upozoruje swą nocną nieobecność? Ponownie jątrzyć poczęła duszę dawnego kochanka cierpka ciekawość; ponownie zazdrość poczęła gryźć mu serce a pożądlivość rozpłomieniać. Przypomniawszy sobie żart Musellara na temat męża; i postanawiał sobie odzyskać napowrót Helenę, za jakąbądź cenę, zarówno dla przyjemności jak i przez zemstę. O gdybyż tylko przyszła!

Powóz zajechał i wjechał wprost do ogrodu. Pochylił się, by zobaczyć. Poznał konie Heleny; z po za szyby karety, dojrzał wewnątrz twarz kobiety. Powóz zniknął pod portykiem. Był oszołomiony. „Zatem wyjeżdżała? I powróciła sama jedna?“ Utkwił w portyku wzrok bystry, surowy. Powóz przejeżdżał ogrodem, wyjechał na szosę i skręcił na ulicę Rasella; teraz był pusty.

Za dwie lub trzy minuty, umówiona godzina minie a Helena nie nadchodziła!

Wybiła północ. Straszliwy niepokój ścisnął mu serce, zawiedzione tak okropnie. Ona wciąż nie przychodziła jeszcze!

Nie mogąc zrozumieć powodu tej niesłowności, począł ją obwiniać. Nagle przejął go gniew szalony na chwilę; zaświtało mu nawet w myśli podejrzenie, że chciała go upokorzyć w ten sposób, że była to może przeznaczona dlań z góry kara, albo też kto wie, czy nie pozwoliła sobie z nim tylko kaprysu, czy nie zamierzała podrażnić jego żądz. Rzucił stangretowi rozkaz przez tubę:

— Na plac Kwirynału.

Ulegał atrakcyi Maryi Ferres; raz jeszcze dał się porwać nieokreślonemu uczuciu rozrzewnienia, które, od poobiedniej wizyty pozostawiło mu w duszy woń uroczą i podsunęło myśli i obrazy poetyczne. Zawód obecny, który w jego oczach dowodził tylko obojętności i złośliwości Heleny, popychał go całą siłą ku miłości i dobroci sien-

nenki. Żal za tą piękną nocą straconą tak mar- nie wzrastał w nim wciąż, ale pod wpływem ma- rzenia, które śnił był przed chwilą. A była to w samej istocie jedna z najpiękniejszych nocy, jakie kiedykolwiek zaznało rzymskie niebo; był to jeden z takich widoków, które przygniatają umysł ludzki niezmiernym smutkiem, ponieważ przechodzą wszelką moc zachwytu.

Plac Kwiryntu rozścielał się cały, nieodmien- nie biały, przestronniejszy zda się tą bielą, opu- stoszały, promieniejący, jak olimpijskie akropolis ponad umilkłą stolicą. Dokoła wznosiły się gma- chy dumne, imponujące, na tle głębokiej, niebie- skiej kopuły; w królewskim pałacu, wysoka bra- ma papieska, z wznoszącą się po nad nią loggią, sprawiała wzrokowi złudzenie, że się odrywa od murów i posuwa naprzód, że chce się odosobnić całkowicie w potwornej swej wspaniałości, podo- bna do mauzoleum, wyrzeźbionego w meteorolicie; w pałacu de la Consulta bogate architrawy, fugi, występujące z kolumn, przekształcone były zupełnie przez nagromadzony na nich śnieg. Pro- mienne pośród jednolitej białości, rzekłbyś boskie kolosy zdały się panować nad całym otoczeniem. Postawy Dioskurów i koni, olbrzymiały w świe- tle, obfite grzywy połyskiwały jak wysadzone drogiemi kamieniami czapraki; każdy półbóg miał na ramionach i u piedestału brylanty. A powy- żej, między kołmi, strzelał w górę ebelisk, w do- le otwierał się basen fontanny; i strumień wody i ka-

mienna iglica biegły w niebo ku księżycowi, podobne do łodygi z dyamentu i łodygi z granitu.

Uroczysta jakaś, dostojna powaga biegła ze szczytu posągu. Rzym po przeciwnej stronie, tonął w ciszy śmierci, nieporuszony, opustoszały, podobny do uszpiętego potężnego czarem grodu. Domy, kościoły, wieże, wszystkie te lasy skłębione i pomieszane architektury pogańskiej i chrześcijańskiej, zlewały się w jeden las bezkształtny między wzgórzami Janiculum i Monte Mario, rozplywającemi się w srebrzystym oparze, gdzieś daleko odsuniętymi, zda się bezmateryalnemi niepochwytne, sprawiając wrażenie horyzontów księżycowych pejzaży, wizję jakiejś gwiazdy nawpół wygasłej, zastygłej, gdzie zamieszkują dusze. Kupała św. Piotra, połyskująca szczególniejszym blaskiem metalicznym na błękitcie powietrza, sterczała olbrzymia i tak bliska, że zda się, osiągnąłbyś ją z łatwością. A dwóch młodych półbogów, synów Łabędzia, promieniejących pięknoscią w tej niezmiernej bieli, niby w apoteozie ich pochodzenia, wydawało się nieśmiertelnemi geniuszami Rzymu, czuwającemi nad snem świętego miasta.

Powóz zatrzymał się przed królewskim pałacem i pozostał tam dość długo. Poeta począł dalej snuć wątek swego niedającego się ziścić marzenia. A Marya była tak blisko; ona może również czuwała i marzyła; ona może również czuła jak

ten bezmiar nocy ciąży na jej sercu i tak samo
konała z udręczenia. Daremnie!

Powóz powoli przejechał przed zamkniętą bramą
Maryi Ferres, kiedy w górze szyby okien odbi-
jały blask księżyca w pełni, zagląającego do
wiszących ogrodów Aldobrandinich, gdzie drzewa
wznosiły się jak napowietrzne zjawiska. I przed
drzwiami Maryi, w hołdzie poeta rzucił na śnieg
bukiet róż białych.

V.

— Widziałam; odgadłam... Byłam u okna dość już długo. Nie mogłam się zdecydować na odejście. Cała ta białość dokoła pociągała mnie... Widziałam jak powóz toczył się zwolna po śniegu. Poczulałam, że to pan byłeś, zanim jeszcze zobaczyłam jak rzucasz na próg mój różę. Niema słowa, które mogłoby ci odmalować rzewność łez moich. Płakałam z miłości dla ciebie; i płakałam przez litość dla tych róż, skazanych na zagładę. Biedne róże! Wydawało mi się, że na śniegrzuczone, muszą żyć, cierpieć i dogorywać. Zdawało mi się, jakżeby to panu powiedzieć—zdawało mi się—że mnie przyzywają, że rozpaczają jak istoty opuszczone. Kiedy powóz pański się oddalił, poczęłam im się przypatrywać przez okno. Już zamierzałam zejść na ulicę, by je zabrać. Ale służący czekał jeszcze w przedpokoju. Wymyślałam tysiące sposobów, ale nie zdołałam obmyślić ani jednego wykonalnego. To mnie doprowadzało do rozpaczyny... Pan się śmiejesz? To prawda; nie pojmuję, jakie ogarnęło mnie szaleństwo. Śledziłam przechodniów z trwożną baczno-

ścią, z oczyma łez pełnemi. Gdyby zdeptali róże, zdeptaliby chyba wraz z niemi moje serce. I pośród tej męczarni czułam się szczęśliwą; byłam szczęśliwa twoją miłością, twoim czynem tak delikatnym a tak namiętnym, twoją słodyczą, twoją dobrocią... Kiedy zasnęłam, byłam równocześnie szczęśliwą i smutną; róże musiały już teraz konać. Po kilku godzinach snu, łoskot łopat po bruku zbudził mnie. Zabierano śnieg właśnie z przed naszej bramy. Nasłuchiwałam; i łoskot ten, te głosy, które słyhać było aż do świtu, przejmowały mnie dziwnym smutkiem!... Biedne róże! Ale pozostaną one zawsze żywe w mej pamięci. Bywają wspomnienia, które wystarczają na to, by w duszy jakiejś pozostawić woń swoją na cały przeciąg życia... Czy bardzo mnie kochasz, Andrzeju?

A po chwili wahania:

— Czy kochasz mnie, mnie tylko samą? Czy zapomniałeś wszystko inne? Czy wszystkie twoje myśli do mnie należą niepodzielnie?

Drżała jak listek.

— Ja cierpię okropnie... boli mnie poprzednie twoje życie, to życie, którego ja nie znam; boli mnie twoje wspomnienia, wszystkie te piętna, które po dzień dzień może zachował duch twój, boli to wszystko, czego w tobie nigdy nie będę mogła zrozumieć i nigdy nie posiędę. O! gdyby mi się udało dać ci zapomnienie tego wszystkiego! Słyszę bez przerwy słowa twoje, Andrzeju, te

pierwsze słowa twoje. Zdaje mi się, że słyszeć je będę jeszcze w godzinę śmierci...

Drżała całym ciałem, wstrząsana zwycięzką namiętnością.

— Kocham cię codzień więcej, codzień więcej.

Upoił ją słodkimi, głębokimi, porywającymi słowy; okazywał więcej jeszcze od niej zapału; opowiedział jej swe marzenia w ową noc śnieży-stą i swe rozpaczne pragnienie, dotknął historii owych róż i wypowiedział tysiące innych, arcy-lirycznych obrazów; widział jej oczy, przysłonię-te mgłą obojętności, widział na jej ustach ten kurcz niewysłowiony, który jest jakby ukrywa-niem fizycznej potrzeby pocałunku; widział jej ręce, te ręce delikatne a silne, ręce archanioła, drżące jak struny harfy i ujawniające całe udręczenie jej ducha. „Gdybym był mógł dzi-siaj wydrzeć jej bodaj jeden przelotny pocałunek, myślał sobie, zbliżyłbym się o wiele już do celu, do którego dążę“.

Ale ona, świadoma niebezpieczeństwa, podnio-sła się nagle, wymawiając się czeńs; potem za-dzwoniła, zażądała od służącego herbaty, kazała poprosić miss Dorothy, żeby przyprowadziła Del-finę do salonu. Potem zwracając się do Andrze-ja, nieco niespokojna jeszcze:

— Tak będzie lepiej—wyrzekła.—Wybacz mi.

I od tego dnia unikała przyjmowania go tych dni; gdzie nie było u niej, jak we wtorki i sobo-ty, przyjęć ogólnych.

Niemniej przecież pozwalała by ją Andrzej oprowadzał po Romie cesarów i po papieskim Rzymie, po willach, muzeach, kościołach, ruinach. Kędy przeszła Helena Muti, tam teraz przechodziła Marya Ferres. Bardzo często miejsca zwiedzane podsuwały poecie też same wylewy elokwencyi, które już słyszała Helena. Bardzo często wspomnienie unosiło go zdala od rzeczywistości obecnej i przejmowało niespodzianym niepokojem.

— O czem pan myślisz w tej chwili?—pytała Marya, zaglądając mu w oczy głęboko, z cieniem podejrzenia.

A on odpowiadał:

— O tobie, zawsze o tobie. Chwilami doznaję ciekawości zajrzenia wgląd siebie samego, by zobaczyć czy tam pozostała jeszcze bodaj najdrobniejsza cząsteczka mojej duszy, którejby twoja dusza nie posiadała, najciaśniejszy zakątek, dokądby nie dochodziło twoje światło. Tego badania dokonywam za ciebie, ponieważ ty go dokonać nie możesz. Ty masz nad całą moją istotą absolutną władzę. Nigdy, o ile mi się zdaje, żaden duch ludzki nie był tak owładniętym przez innego ludzkiego ducha. Gdyby usta moje złączyły się z twojemi, moje życie przelałoby się w ciebie; i zdaje mi się, że umarłbym z tego.

Ona wierzyła w to wszystko, co jej mówił, głos bowiem ukochanego nadawał słowom dźwięk prawdy.

Pewnego dnia byli na belwederze willi Medicis i przypatrywali się, pod obszernymi ciemnymi sklepieniami krzewów, złotej fali słońca, co zamierało zwolna i willi Borghese, która powoli zaptapiała się w fioletowym oparze. Przejęta nagłym smutkiem, kobieta wyrzekła:

— Kto wie, ile razy przychodziłeś już w te miejsca, aby czuć, że jesteś kochanym...

Odpowiedział z akcentem człowieka co zatonął całkowicie w marzeniu:

— Nie wiem; nie przypominam sobie. O czym mówisz?

Umilkła. Potem powstała, by odczytać napisy na pilastrach małej świątyni. Były to po większej części napisy, pozostawione tu przez kochanków, młode małżeństwa lub samotnych wędrowców. Wszystkie wyrażały uczucie miłości, smutne czy radosne; opiewały jakąś piękność, lub opłakiwały utracone dobro; były to opowieści o płomiennym pocałunku, lub ekstazie zmysłów; dziękowały starym drzewom gościnnym, wskazywały jakieś tajemne ustronie szczęśliwym jutrzejszym gościom, zaznaczały osobliwość podziwianego ztąd zmięrczu. Pod wpływem niewieściego uroku, wszyscy oni, kochankowie czy małżonkowie, wpaдали w zapał liryczny, w tym samotnym belwederze, do którego prowadzą kamienne schody, pokryte kobiercem mchu, tak miękim niemal jak aksamit. Mury te mówiły; i jakaś nieokreślona melancholia wydzielala się z tych głosów

nieznanych, zamartwych miłości, melancholia grobowa nieomal, jak z napisów kaplicy.

Nagle Marya zwróciła się do Andrzeja:

— I pan tu przye odziteś, pan także—zawołała.

Odpowiedział, patrząc na nią, tymże samym tonem co poprzednio:

— Nie wiem, nie przypominam sobie. Nie pamiętam już niczego. Kocham ciebie.

Ona czytała. Był to epigramat Goethego, wypisany ręką Andrzeja, dwuwiersz ten, co rozpoczyna się od: *sage wie lebst du?* Powiedz jak żyjesz? Żył! I gdyby mi danem było żyć sta set wieków, życzyłbym sobie tylko, by jutro było takim, jakim jest dzisiaj...“ Poniżej zaś była data: *Die ultima februarii 1885*; potem imię: *Helena Amyclaea*.

Zawołała:

— Chodźmy ztąd.

Od sklepienia krzewów padały ciemności na kamienne schody, wysłane mchu dywanem. On spytał:

— Czy zechcesz się pani wesprzeć na mnie?

— Nie, dziękuję—odpowiedziała.

Schodzili w milczeniu, powoli. Obojgu ciężko jakoś było na sercu.

Po chwilowej przerwie, ona ozwała się:

— Byłeś pan szczęśliwym przed dwoma laty...

A on z obmyślonym uporem:

— Nie wiem; nie nie przypominam sobie.

W tym zielonawym zmierzchu, gaj pełen był tajemniczości. Pnie i gałęzie plątały się i obejmowały wzajem węzłowemi sploty. Tu i owdzie liść jakiś połyskał w cieniu, jak oko szmaragdu.

Po nowej chwili milczenia, podjęła:

— Któż to była ta Helena?

— Nie wiem; nie przypominam dziś sobie. Nie pamiętam już niczego. Kocham ciebie. Kocham tylko ciebie jedną. Nie myślę o niczem, tylko o tobie. Żyję dla ciebie samej wyłącznie. Nie wiem nic już; nic nie pamiętam; niczego nie pragnę, prócz twojej miłości. Żadna nić mnie już nie wiąże z przeszłym moim życiem. Obecnie jestem poza światem, całkowicie zatonałem w twojem istnieniu. Jestem cały w tobie, w krwi twojej, w twojej duszy; *czuję siebie* w każdym drgnieniu twych arteryj; nie dotykam cię a przecieź zlewam się w jedno z tobą, jak gdybym miał cię bezastannie w tym uścisku, u moich ust, na mojem sercu. Kocham ciebie i ty mnie kochasz; a to trwa już od wieków, trwać będzie przez wieki całe; było i będzie zawsze. Obok ciebie, myśląc o tobie, żyjąc tobą, doznaję wrażenia nieskończoności, wiekuistości. Kocham cię i ty mnie kochasz. Nic zgoła nie wiem więcej; nic więcej nie pamiętam ..

Jej smutkowi, jej podejrzewaniom, przeciwstawiał falę płomienną wymowy. A ona słuchała go, wyprostowana, przed balustradą obszernego tarasu, co się ciągnie na krawędzi gaju.

— Czy to prawda? Czy to prawda?—powtarzała gasnącym głosem, który zdał się słabnącem echem jakiegoś wewnętrznego okrzyku jej duszy. Czy to prawda?

— Tak, to prawda; i to tylko jest prawdą. Wszystko inne jest tylko snem. Kocham cię i ty mnie kochasz. I jestem twoją własnością jak lwzajem ty jesteś moją. Wiem też tak doskonale jak ty, jak bardzo, jak głęboko jesteś moją, że nie proszę nawet u ciebie pieśczo-ty, nie domagam się żadnego dowodu miłości. Czekam. Co mi jest droższem nad wszystko w świecie, to módz ci być posłusznym. Nie żądam od ciebie pieśczo-ty; ale czuję ją w twym głosie, w twojem spoj-rzeniu, w twem zachowaniu, w najmniejszym twym ruchu. Wszystko, co pochodzi od ciebie, jest dla mnie równie upajajacem jak pocałunek; a kiedy zlekka dotknę twej dłoni, nie umiałbym powiedzieć, co jest silniejszem wówczas we mnie: rozkosz zmysłów, czy ekstaza ducha.

Położył swoją rękę na jej ręce lekko. A ona zadrżała, porwana, przejęta szalonym pragnieniem pochylenia się ku niemu i podania mu nakoniec ust swoich w pocałunku, złożenia na ofiarę całej siebie. Wydało jej się — bo wierzyła głęboko w słowa Andrzeja—wydało jej się, że czyn taki przywiązałby go do niej ostatnim węzłem, węzłem nierozzerwalnym. Zdawało jej się, że zemdleje za chwilę, że się rozplynie gdzieś w prze-stworzu, że umrzeć musi. Wszystkie niepokoje

namiętności które już przecierpiała, zerwały się nagle i wezbrały w jej sercu, wzmagając namiętny niepokój obecnej chwili. Zdało się, że w tej jednej sekundzie zbudziły się w niej wszystkie wzruszenia, odczute od dnia, w którym pierwszy raz poznała tego człowieka. Róże z Schifanoia odkwitały pośród laurów willi Medyceuszów...

— Czekam, Maryo. Nie proszę cię o nic. Pozostaję wierny mym obietnicom. Oczekuję na tę godzinę najwyższego szczęścia. Godzina ta nadejdzie, ja to czuję; bo siła miłości jest niepokonana. I wszystkie twoje obawy, wszystkie trwogi znikną; i godzina ta wyda ci się równie czystą, jak połączenie dusz, bo każdy płomień jednak jest czystym...

Ręka, z której zdjął rękawiczkę, przyciskał rękę Maryi obnażoną. Ogród zdawał się pustym. Z pałacu Akademii francuzkiej nie dochodził żaden szmer, żaden odgłos. Słychać było, donośne w ciszy, szemranie fontanny na środku dziedzińca; aleje wydłużały się ku Monte Pincio, proste, jakby zamknięte między dwoma murami z brązu, na których nie stały się jeszcze złocenia wieczornego słońca; ta nieruchomość wszystkich kształtów sprawiała wrażenie skamieniałego labiryntu; dokoła basenu trzciny jednak stały nieporuszone jak statuy ogrodu.

— Zdaje mi się,—orzwała się siennenka, nawpół przymykając oczy—że znajduję się w tej chwili na jednym z tarasów w Schifanoia, bardzo daleko

gdzieś, bardzo daleko od Rzymu, sama... z tobą.
Zamykam oczy i widzę morze.

Z tej ciszy i własnej miłości widziała, jak rozdził się sen jakiś wielki. Pod wpływem spojrzenia Andrzeja umilkła i uśmiechnęła się tylko nieznacznie. Powiedziała: *z tobą!* Wymawiając dwie te sylaby, zamknęła oczy; a usta jej wydały się promienniejsze jeszcze, jak gdyby na tych wargach zebrał się cały blask przysłonięty powiekami i spuszczoną rzęsą.

— Wydaje mi się, że wszystkie te rzeczy dookoła nas nie istnieją bynajmniej po za moją istotą, ale żeś ty je stworzył w mojej duszy ku mej radości! To głębokie złudzenie odnajduję zawsze, ilekroć stanę w obec jakiegoś prawdziwego piękna, kiedy ty jesteś ze mną.

Mówiła powolnie, z przerwami, jak gdyby głos jej był zapóźnionem echem ionego głosu, niepochwytne dla zmysłów. To nadawało słowom jej akcent szczególniejszy, dźwięk jakiś tajemniczy, co zdał się wydzierać z najtajniejszych głębin jej istoty, nie były one już pospolitym symbolem niedoskonałym myśli; stawały się wyrazem dokładnym wewnętrznych uczuć, wyższym jakimś, drgającym życiem, pełniejszego daleko znaczenia.

„Z warg jej, niby z hiacyntu, pełnego miodowej rosy, spada kropla po kropli szept słodki, od którego zamierają zmysły, przejmujący jak pauzy muzyki planetarnej, zasłyszanej kiedyś w ekstazie“. Poeta przypomniał sobie te wiersze Shelleya

Powtórzył je Maryi, porwany wzruszeniem ukochanej, przejęty urokiem chwili. Przejęło go drżenie, kiedy z kolei i on chciał do niej użyć owego „ty“, tak tajemniczego, mistycznego niemal.

— Nigdy, w żadnym z mych marzeń nie doszedłem do wyobrażenia sobie takiej wyżyny uczuć. Ty się unosisz po nad wszystkie moje złudy, jaśniejsza po nad wszystkimi blaskami mej myśli, olśniewasz mnie światłem, którego ja niemal wytrzymać nie mogę..

Ona stała wyprostowana u balustrady tarasu, oparłszy ręce o kamień, z głową wzniesioną, bledsza niż owego pamiętnego poranku, kiedy to kroczyła pod deszczem opadających kwiatów. Łzy napęłniały jej oczy w pół przyknięte i błyszczały na rzęsach; a kiedy wzrokiem ogarnęła wszystko dokoła, widziała jak niebo poprzec zasłony jej łez przybierało całkiem różową barwę.

Z nieba padał deszcz róż jak w ów wieczór październikowy, gdzie to słońce, zamierając po za wzgórzami Rovigliano, zapalało tysiącem blasków stawy pośród sosen w Vicomile. „Zewsząd padały róże, róże, różel tak powolnie, tak gęsto, tak miękko, że powiedziałbyś, iż to pada śnieg w blaskach zorzy“.

Willa Medicis, wieczyście zielona i bez kwiatów na szczycie swych roślinnych murów, okrywała się teraz deszczem nieprzeliczonych różanych listków, spadłych z niebiańskich o grodów.

Odwróciła się, by zejść na dół, Andrzej podążył za nią. Szli oboje w milczeniu, kierując się ku schodom; przypatrywali się gajkowi, co się rozciągał między tarasem a belwederem. Zdawało się, że światło zatrzymało się na gaju krawędzi, tam gdzie się wznosiły dwa posągi, strzegące wejścia i że nie miało już dosyć siły, by się przedrzeć przez drzew ciemności; a drzewa te zdawały się nurzać swe konary w innej już atmosferze, podobnej do ciemnej, zmacanej wody, w tle morskiego jakiegoś otoczenia, tworząc istic oceanową roślinność.

Przejęła ją nagle trwoga; przyspieszyła kroku, dążąc wprost do schodów, zeszła po pięciu czy sześciu stopniach i zatrzymała się nagle drżąca, nieprzytomna niemal. Słyszała w ciszy tentno własnych arteryj, rozlegające się niby jakiś odległy huk gromu. Willa Medicis zniknęła teraz z przed jej oczu; schody biegły pośród dwu ścian wilgotnych, szarych, porośłych trawą, smutnych jak mury podziemnego więzienia. Ujrzała jak Andrzej pochylał się nad nią niespodziewanym ruchem, by ucałować jej usta.

— Nie, nie, Andrzejul... Nie!

Wyciągał ręce, chcąc ją powstrzymać, przymusić.

— Nie!

Straciwszy głowę, pochwyciła jedną z jego dłoni, podniosła ją do swych ust i ucałowała dwa czy trzy razy gorąco, bez pamięci. Potem poczęła

bieda jak szalona po schodach, na sam dół, ku drzwiom.

— Maryo, Maryo! Zatrzymaj się!

Zrównali się dopiero przed zamkniętymi drzwiami schodów, bladzi, zdyszani, wstrząsani okropnem drżeniem, topiąc jedno w drugiem bezprzytomne, zaćmione spojrzenie; w uszach tętnił im szalony szum krwi własnej, dławił gardła, tak że dusili się prawie. I równocześnie, jednym pchnięci popędem, złączyli się w namiętym uścisku.

Ona, bojąc się, by nie zemdląła, oparła się o drzwi, szepcząc z gięstem błagalnym:

— Dosyć... umieram!

Stali tak z minutę może oko w oko, nie dotykając się nawet. Zdawało się, że cała cisza Rzymu zaciążyła nad nimi w tem ciasnem przejściu odgraniczonym murami, podobnem do odsłoniętego grobowca. Słychać było wyraźnie krakanie kruków, co się zbierały na dachach pałacu, lub przelatywały w powietrzu. Ponownie straszliwa trwoga przejęła serce Maryi. Rzuciła w powietrze, ku szczytowi murów wzrok przerażony. I zapanowawszy nad sobą całą siłą, rzekła:

— Możemy wyjść teraz. Otwórz pan, proszę.

I w tym szalonym pośpiechu ręka jej dotknęła dłoni Andrzeja na klamce drzwi.

A kiedy przechodziła obok dwu kolumn z granitu, pod krzewami jaśminu, Andrzej ozwał się:

— Patrzaj, jaśmin zakwitnie niedługo!

Nieodwróciła się, ale uśmiechnęła tylko a uśmiech ten był nieskończenie smutny, pełen tego cienia, który padł na jej duszę od owego imienia, zapisanego na górze w Belwederze. A idąc tajemniczą, ponurą aleją, czuła, że cała krew jej gorzała płomieniem zamienionego pocałunku; równocześnie zaś nieubłagana męczarnia ryła jej to imię; oh, to imię — w sercu!

VI.

Margrabia Mount Edgcumbe, otwierając wielką sekretną szafę tajnej swej biblioteki, mówił do Sperellego:

— Powinienbyś pan narysować mi klamry stylowe. Książka jest in 4 to, wydana w Lampsakos 1734 r. Ryciny wedle mego zdania są bardzo wytworne. Osądź pan sam.

Podał Andrzejowi rzadkie dzieło, ozdobione erotycznymi winietkami.

— Tutaj, patrz pan, nadzwyczaj ważna figura— dodał ukazując palcem jedną z winiet.—To rzecz, której nie znałem jeszcze. Żaden z moich autorów o tem nie wspomina. .

Nie przestawał mówić, rozprawiając o każdym szczegółiku, posuwając po każdej linii rysunku bladym swym palcem, porośłym w górze włosami a zakończonym paznokciem spiczastym, błyszczącym, sinawym jak paznokieć małpy. Mowa jego wpadała w ucho Sperellego, jak zgrzyt jakiś dziki.

— Tu, patrz pan, edycja holenderska Petrone'a, która jest wspaniałą. A tu „Erotopoegnion“, Dod. do „Prz. Tyg.“ G. D'Annunzio. „Dziecko rokoszy“ 29

drukowany w Paryżu 1798 r. Znasz pan poemat, przypisywany John Wilkesowi „An assay on woman“? Tutaj zaś masz pan edycyę z 1763 r.

Zbiór był bardzo bogaty. Zawierał wszystko to, co umysł ludzki, w biegu wieków, wydał najbezpieczniejszego i najwyrafinowanego, aby służyć mogło za komentarz do starożytnego hymnu na cześć boga miasta Lampsakos.

Kolekeyonista brał książki z półek szafy i pokazywał je swemu „młodemu przyjacielowi“, wciąż mówiąc bez chwili przerwy. Ręce jego stawały się pieśczośliwemi, gdy dotykały ksiąg oprawnych w skórę lub drogie materye. Co chwila miał na ustach uśmiech domyślny. W szarych zaś oczach pod olbrzymiem, wypukłym czołem, migotał od chwili do chwili błysk szaleństwa.

— Mam również edycyę książęcą epigramatów Martialisa, tę wenecką, drukowaną przez Vindelina ze Spirya in folio. Patrzaj pau... Klamry są arcydziełem mistrza. Te emblematyczne ozdoby są prawdziwie stylowe.

Sperelli słuchał i przypatrywał się ze zdumieniem, które z wolna przeradzało się w zgrozę i boleść. Oczy jego pociągał ku sobie bezustannie portret Heleny, zawieszony na ścianie na czerwonym adamaszku.

— To portret Heleny, malowany przez Fryderyka Leightona... Ale przypatrz się pan tej książce! Kartka tytułowa, dedykacya, inicjały, winiety dokoła stronic łączą w sobie wszystko, co jest

najwytworniejszego w zakresie ikonografii tego rodzaju... Przyjrzyj się pan tym klamrom!

Oprawa była precudna. Skóra rekina, pomarszczona i chropawa jak ta, którą dają na pochwy japońskich szabli, pokrywała obie okładki i grzbiet książki; klamry i gwoździe u narożników, z brązu, bardzo bogato pomieszane ze srebrem, cyzelowane były z rzadką elegancją i przypominały najpiękniejsze tego rodzaju roboty z XVI wieku.

— Autor, Francis Redgrave, umarł w domu obłąkanych. Był to młody artysta, prawdziwie genialny. Posiadam wszystkie jego studia i szkice. Zaraz to panu pokażę.

Namiętny zbieracz ożywał się coraz więcej. Poszedł po album do przyległego pokoju. Krok jego był nieco podrygujący i niezupełnie pewny, jak u człowieka, który ma już w sobie zarodek paraliżu, początek choroby mlecza pacierzowego; biust jego pozostawał sztywny, wyprostowany, na przekór ruchowi nóg—istny biust automatu.

Andrzej Sperelli ścisnął go niespokojnem spojrzeniem aż do progu. Kiedy pozostał sam, dziwny owładnął nim niepokój. Ten pokój, wybity ciemno czerwonym adamaszkiem, jak ów, w którym przed dwoma laty oddała mu się po raz pierwszy Helena, wydał mu się ponurym i tragicznym. Kto wie, może to toż samo obicie słyszało słowa Heleny: „Jak ty mi się podobasz!“ Otwarta szafa pozwalała widzieć całe szeregi książek plugawych, dziwacznych, z wyciskami symbolicznymi na okład-

kach. Na ścianie wisiał portret lady Heathfield, tuż obok kopii *Nelly O'Brien* Reynoldsa. Z tła płócien obie te istoty poglądały z tą samą przejmującą potęgą, z tymże samym żarem namiętności, z tą samą płomienną zmysłową żądzą, jednako zdumiewająco wymownie; obie miały jednakie usta zagadkowe, enigmatyczne, usta niezmeńczonych i nieubłaganych wampirów, co wysysają dusze; i obie miały jednako marmurowe czoła, niepokonane, zachwycającej, promiennej czystości.

— Biedny Reudgravel — mówił lord Heathfield, powracając z teką rysunków. — Niewątpliwie był to geniusz. Nigdy imaginacya z erotycznym podkładem, nie przeszła jego wyobraźni. Patrz pan! Patrz!... Co to za styl! Patrz!...

Oddalił się na chwilę, by zamknąć drzwi. Potem powrócił do stołu, stojącego pod oknem i począł znów przerzucać kartki zbioru przed oczyma Sperellego, mówiąc bezprzestannie i ukazując ohydny swym palcem, wzdłużonym jak broń jakaś ostra, osobliwości każdej postaci.

Mówił rodowitym swym językiem, nadając zawsze początkowi zdania intonację pytającą, a kończąc je monotonnym, mdłym spadkiem. Niektóre jego słowa rozdzierały Andrzejowi ucho, jak pisk skrobanego żelaza, lub zgrzyt stalowego ostrza po kryształowej płycie.

A cały korowód rysunków bezecnych przeciągał przed nim długą koleją, rysunków przerażających, w których ujawniała się straszliwa gorączka, kieru-

jąca dłonią rysownika, ten straszliwy obłąd, co trawił mózg jego.

— Tutaj zaś—mówił lord Heathfield—masz pan pracę, która natchnęła twórcę tego arcydzieła... Książka cenna! Najrzadsza z arcy rzadkości!... Pan nie znasz Daniela Maclise?...

Lord Heathfield podał Sperellemu traktat ów, niepodobny niemal do znalezienia teraz. Rozpłomieniał się coraz więcej. Łyse jego skronie płonęły purpurowym rumieńcem, żyły na czole nabrzmiwały; co chwila kurcz lekki wykrzywił mu usta konwulsyjnie.

A ręce, te ręce haniebne, wstrętne wykonywały szybkie urywane ruchy, podczas gdy łokcie pozostawały nieruchome, jakby sparaliżowane. Zwierzę potworne, brzydkie, okrutne, i dzikie ukazywało się w nim bez wszelkich już obłonek. I przed wyobraźnią Andrzeja stawały wszystkie okropności wyuzdania angielskiego, działalność „Czarnej armii“ na trotuarach Londynu, nieubłagany poscig za „zielonemi dziewczycami“, lupanary West-Endu i Halfousn-Street, eleganckie domy Anny Rosenberg i Jefferies, tajne buduary, co to wyscietane od podłogi aż po sufit, głuszą przenikliwe krzyki, które tortura wydiera z ust ofiar...

— Mumps! Mumps! Czyś ty sam?

Był to głos Heleny. Pukała delikatnie do jednych z drzwi pokoju.

— Mumps!

Andrzej drgnął; cała krew chyba przystąpiła mu oczy, rozpłomieniła czoło, szumiała w uszach, jak gdyby nagły zawrót głowy miał go pozbawić przytomności. Pośród niepokoju, jakim go przejęły wszystkie te przeglądane książki, rysunki, rozprawy tego człowieka, szalony instynkt jakiś wyłaniał się z nieświadomych siebie głębin jego istoty, tenże sam popęd, którego doznał był już raz na polu wyścigowym, po porażce Rutola, w ostrym wyziewie spienionego swego wierzchowca. Widmo zbrodni z miłości stanęło przed nim kuszące, potem zniknęło, szybkie jak błyskawica; zabić tego człowieka, zabrać gwałtem tę kobietę, zaspokoić straszliwą swą żądzę, potem zabić się również.

— Nie, nie jestem sam—odpowiedział mąż, nie otwierając drzwi.— Za kilka minut przyprowadzę ci do salonu hrabiego Sperelli, który tu jest ze mną.

Ustawił napowrót książkę w szafie; złożył tekę i odniósł ją do przyległego pokoju.

Andrzej byłby dał niewiedzieć co, by się mógł tylko uchronić od męczarni, jaka go oczekiwała; a równocześnie męczarnia ta dziwną miała dlań przyciągającą siłę. Raz jeszcze spojrzenie jego pobiegło ku czerwonej ścianie, ku tym ramom ciemnym, z których świeciła blada twarz Heleny, ta twarz o oczach, co ścięgały patrzącego, o ustach zagadkowych... Czar jakiś potężny a niestanny wiał od tej nieruchomości dumnej. Ta jedyna bladość zapanowała tragicznie nad całym

czarwonym cieniem pokoju. I raz jeszcze poczuł on wyraźnie, że namiętność jego jest nieuleczalną.

— Czy zechcesz pan przejść do salonu?— spytał mąż, stając napowrót na progu, najzupełniej już spokojny i poważny. A zatem wyrysujesz mi pan model tej klamry?...

Andrzej odpowiedział:

— Spróbuję.

Nie był w stanie zapanować nad wewnętrznym drżeniem. W salonie Helena popatrzała nań ciekawie z drażniącym jakimś uśmiechem.

— Coście tam panowie robili?— spytała go, nie przestając się uśmiechać w tenże sam sposób.

— Mąż pani pokazywał mi kosztowne cacka.

— A!

Miała na ustach wyraz sardoniczny, w głosie wyraźny ton drwiący. Zasiadła na szerokiej otomanie, pokrytej bucharskim dywanem amarantowego koloru, na którym porzucone leżały blade poduszki, posiane w złote palmy. I poczęła rozmawiać o różnych zdarzeniach towarzyskich, ale głosem który wnikał w żyły Andrzeja jak nie-widzialny ogień.

Dwa czy trzy razy pochwycił spojrzenie lorda Heathfielda, utkwione w żonie a spojrzenie to wydało mu się pełnem wszystkich tych bececeństw, poruszonych przed chwilą. Ponownie myśl zbrodnicza przeszła mu przez głowę. Wszyst-

kie fibry w nim drżały. Powstał wyprostowany, poblady.

Lord Heathfield rzekł mu:

— Odchodzisz pan już? Co się panu stało?

I uśmiechnął się dziwnym jakimś uśmiechem.

Sperelli kłaniał się. Helena, niezmięszana bynajmniej, podała mu rękę. Margrabia doprowadził go aż do drzwi, powtarzając po cichu:

— Polecam panu moje kłamry.

Kiedy Andrzej był już pod portykiem, spostrzegł powóz, zajeżdżający aleją. Pan z wielką blond brodą wysunął głowę przez okienko karety. Był to Galeas Secinaro.

I w jednej chwili przyszło mu na myśl wspomnienie owej wenty majowej z słynnym epizodem sumy ofiarowanej przez Galeasa, za to, by Helena otarła o tę brodę piękne swe paluszki, zmaczane w szampanie. Przyspieszył kroku, wyszedł na ulicę. Doznawał niejasnego wrażenia, jak gdyby ogłuszający jakiś łoskot wydierał się z głębin jego mózgu.

*

*

*

Było to w południe na schyłku kwietnia. Powietrze było gorące i wilgotne. Słońce ukazywało się i znikło między zwetnionemi obłoczkami, sunącemi powolnie po niebie. Lenistwo sirocca wprawiało Rzym w oціężałość.

Na trotuarze ulicy Sykstyńskiej, spostrzegł przed sobą damę, która szła powoli, kierując się

ku Trinita. Poznał Maryę Ferres. Spojrzał na zegarek: za chwilę będzie piąta; za kilka minut nadejdzie zwykła godzina schadzki. Marya^{nie}zawodnie idzie do pałacu Zuccari.

Przyśpieszył kroku, by ją dognać. Kiedy już był blisko niej, zawołał ją po imieniu:

— Maryo!

Drgnęła silnie.

— Jakto? Ty tutaj? Ja szłam do ciebie. To piąta.

— Brak jeszcze kilku minut. Biegłem właśnie, by cię oczekiwać. Wybacz mi.

— Tyś taki blady, taki wzburzony?... Co tobie? Zkąd ty powracasz?

Zmarszczyła brwi, przypatrując mu się bystro, z po za welonu.

— Powracam z moich stajen—odparł Andrzej, który wytrzymał ten wzrok bez zarumienienia się, tak jakby nie miał już kropli krwi w żyłach. Koń, na którym mi zależało bardzo, skaleczył sobie kolano z winy jockeya. To też w niedzielę nie będzie już mógł stanąć do biegu Derby. Martwi mnie to i gniewa. Wybacz mi. Spóźniłem się, nie spostrzegłszy, że się już opóźniam. Ale przecież do piątej braknie jeszcze kilku minut...

— Dobrze już. Adieu. Ja odchodzę.

Byli na placu Trinita. Ona zatrzymała się nagle i wyciągnęła doń rękę. Między brwiami miała wciąż jeszcze groźną zmarszczkę. Obok niezmiernej swej łagodności, miewała ona czasa-

mi chwile zniecierpliwienia, szorstkości niemal i porwy dumy, co ją przetwarzały zupełnie.

— Nie, Maryo! Chodź. Bądź dobrą. Idę do domu czekać na ciebie. Dojdź do sztachet Pincia i powracaj zaraz. Czy dobrze?

Zegar na Trinita de Monti wybił piątą.

— Czy słyszysz?—dodał.

Po krótkiej chwili wahania, odpowiedziała:

— Przyjdę:

— Dzięki Kocham cię!

— Ja kocham cię także.

I rozstali się.

Marya Ferres poszła dalej swoją drogą, przeszła plac, potem zapuściła się w aleję, wysadzoną drzewami. Panad jej głową, wzdłuż muru, słabnący powiew sirocca od chwili do chwili wywoływał szmer w zieleni drzew. W wilgotnem gorącu powietrza, subtelne fale woni płynęły i zanikały. Chmury zdawały się zniżać ku ziemi: gromady jaskółek nieomal muskały skrzydłem grunt. A w tej denerwującej ciszy była jakaś miękość, co rozrzewniała namiętne serce siennienki.

Odkąd poddała się żądzy Andrzeja, serce jej rwało się między szczęściem a niepokojem głębokim. Cała jej krew, krew kobiety, nawskroś chrześcianki, zajmowała się płomieniem od niezaznanych nigdy rozkoszy namiętych, to lodowaciała na przemiany pod grozą popełnionego błędu. Na-

miętność jej była przepotęzną, zrywającą wszelkie tamy, niezmierną, tak despotyczną, że często na długie godziny zabierała jej pamięć o tak bardzo ukochanej niegdyś córce. Często docho-
dziło do zapomnienia, do zaniedbania Delfiny! A potem nagle powracały wyrzuty sumienia i żal z całą siłą, budziło się napowrót dawne dla dzie-
cka uczucie; okrywała pocałunkami i łzami głowę zdumionego dziecka, łkając w okropnej roz-
paczy jak nad głową umarłej.

Cała istota jej płonęła w tym ogniu, wydeli-
kacała się, zaostrzała, nabierała zdumiewającej
wrażliwości, rodzaju jasnowiedzenia, zdolności dy-
winacyjnej, która sprawiała jej niesłychaną mę-
czarnię. Niemal za każdym kłamstwem Andrzeja,
czuła jak cień jakiś kładł się na jej duszy, do-
znawała nieokreślonego niepokoju, który czasami
przeradzał się w podejrzenie. I podejrzenia te
trawiły ją, zaprawiały goryczą pocałunki, cier-
pkością pieśczo-ty—do chwili, w której się roz-
praszały pod wrażeniem uniesień i zapału niezro-
zumiałego dla niej kochanka. Była zazdrosną. Za-
zdrość była nieubłagana jej męczarnią; nie za-
zdrość o obecną chwilę, ale zazdrość o przeszłość.
Skutkiem tego okrucieństwa, którem osoby zazdro-
sne dręczą siebie samych, pragnęła czytać w pa-
mięci Andrzeja, odkrywać wszystkie pozostałe tam
wspomnienia, odnajdywać wszystkie ślady, jakie
w niej pozostawiły dawne kochanki, wiedzieć
wszystko... Pytaniem, które jej najczęściej wy-

biegało na usta, kiedy tylko Andrzej stawał się milczącym, było: „O czem myślisz?“ A w chwili, gdy wymawiała te słowa, cień nieunikniony zasłaniał jej oczy i kładł się na duszy, nieunikniona fala smutku ścisnęła jej serce.

Dzisiaj jeszcze, kiedy nadszedł niespodziewanie; czyż nie poczuła instynktownego podejrzenia? Błysk jasnowidzenia nawet przebiegł jej przez głowę; przyszło jej na myśl, że Andrzej wraca z pałacu Barberini od lady Heathfield.

Wiedziała, że Andrzej był kochankiem tej kobiety; wiedziała, że tej kobiecie było na imię Helena; wiedziała rakoniec, że to była owa Helena, ku czci której położył w Belwederze ów napis: „*Ich lebe!*“... Dwuwiersz Goethego bolesnym echem odbijał się w jej sercu. Ten okrzyk liryczny dawał jej miarę miłości Andrzeja dla tej kobiety tak pięknej. Musiał on kochać ją bez miary!

Idąc w cieniu drzew aleją, przypominała sobie zjawienie się Heleny na koncertowej sali, w pałacu Sabini i ten źle skrywany niepokój dawnego jej kochanka. Przypominała sobie okropne wzruszenie, jakiego doznała sama pewnego wieczora, na przyjęciu w ambasadzie austriackiej, kiedy hrabina Starnina powiedziała jej, widząc przechodzącą obok Helenę: „Czy ci się podoba lady Heathfield? Była to, a zdaje mi się, że jest jeszcze, wielka miłość naszego przyjaciela Sperrellego“.

„Zdaje mi się, że jest jeszcze...“ Jakąż mę-

czarnię sprawiło jej to zdanie! Ścisnęła oczyma potężną swą rywalkę, upornie, pośród strojnego tłumu; i wzrok jej spotkał się niejednokrotnie z spojrzeniem tamtej; za każdym zetknięciem się ich oczu, ją przejmował dreszcz okropny. Potem, tegoż samego wieczora, przedstawione sobie wzajem przez baronową Boeckhorst wśród tłumu, wymieniły z sobą proste tylko skinienie głowy. I niemy ten ukłon powtarzał się następnie, ilekroć skutkiem dość rzadkich sposobności, w których Marya Ferres bywała na zebraniach towarzyskich, spotkały się z sobą.

Dlaczego wątpliwości, przyczajone czy tłumione pod nawalą upojeń, zmartwychwstawały z taką gwałtownością? Dlaczego nie udawało jej się zdławić ich, usuwać? Dlaczego w głębi jej istoty budziły się zawsze wszystkie te niepokoje za najłżejszem podejrzeniem?

Idąc w cieniu drzew, czuła jak wzrasta jej strapienie. Serce jej nie było zaspokojonem bynajmniej. Marzenie rozkwitłe w jej sercu w ów mistyczny poranek pod kwitnącemi drzewami, w obliczu morza, nie urzeczywistniło się bynajmniej. Część najpiękniejsza i najczystsza tej miłości, pozostała tam, w osamotniałym gaju, w tym symbolicznym lesie, co kwitnie i okrywa się owocem równocześnie, w obliczu nieskończoności, wiecznie podziwianej.

Zatrzymała się przed parapetem, z kąd widać San Sebastianello. Stare dęby zielone, tak cie-

mnej zieleni, że wydają się nieomal czarnemi, rozciągnęły po nad fontanną istny dach nieruchomości. Pnie ich tu i owdzie miały szerokie rany za pełnione wapnem i cegłą, niby wyłomy w murach twierdzy. O, te drzewa mącznicy, promienne i oddychające w słońcu!... Woda ściekająca kroplami z wysmukłego wazonu granitowego w dolny basen, w odstępach czasu wydawała jakiś jęk czy okrzyk, niby serce, co przepelnia się udęciem a potem nagle wybucha łez potokiem. O! ta melodia Stu Wodotrysków w laurowej alei w Schifanoia! Miasto leżało umarłe, jak pogrzebane pod popiołami niewidzialnego wulkanu, ponure i grobowe, istne miasto spustoszone zarazą; olbrzymie, bezkształtne, przygnięcione kopułą, co się podnosi z jego łona jak olbrzymia, ciężka chmura. O, morze, morze pogodnel

Czuła jak rośnie jej strapienie. Niejasna groźba przemawiała do niej z wszystkich tych otaczających ją przedmiotów. Przejęło ją toż samo uczucie strachu, którego doznała już tylokrotnie. W szczyrze chrześcijańskim jej umyśle, zapłonęła myśl o nieuniknionej karze.

A niemniej przecież na wspomnienie, że tam czeka na nią kochanek, zadrżała aż do głębin swej istoty; na wspomnienie jego pocałunków, pieścizot, słów szalonych, czuła jak płomieniem krew jej się zapala, jak dusza jej słabnie. Dreszcz namiętności wziął górę nad bojaźnią Boga. I skie rowała się ku mieszkaniu kochanka, tak samo

drżąca i pełna niepokoju, jak gdyby szła na pierwszą schadzkę.

— Ach, nareszcie! — zawołał Andrzej, chwytając ją w objęcia, pijąc oddech z jej ust zdyszanych.

Ujął jej rękę, przycisnął ją do swej piersi i zawołał:

— Posłuchaj, co mówi moje serce. Gdybyś się była opóźniła bodaj o minutę jeszcze, chybaby pękł!

Zamiast kłaść rękę, przyłożyła twarz do jego piersi. On złożył na jej karku pocałunek.

— Czy słyszysz, jak bije?

— Tak: ono przemawia do mnie.

— Cóż więc ci mówi?

— Że mnie kochasz.

— Co ci mówi?—powtórzył młodzieniec, gryząc ją w kark i nie dopuszczając, by podniosła głowę.

Zaśmiała się.

— Że mnie kochasz.

Zdjęła płaszczyk, kapelusz, rękawiczki. Podeszła napić się wonią białego bzu, który zapętniał wysokie wazony florenckie, podobne kształtem do owych na *tondo* w galeryi Borghese. Krok jej po dywanie był niezwykle lekkim i nie było nic wdzięczniejszego chyba, nad ten ruch prosty, kiedy zanurzała twarz w delikatnych pękach bzu.

Zębami odgryzła w pośrodku jedno grono kwiecia i trzymając je w ustach zwieszono:

— Bierz! — rzekła.

— Ucałowali się długim, długim pocałunkiem wśród tej woni.

On, głosem nieco zmienionym, przyciągając ją ku sobie, przemówił.

— Chodź...

— Nie, Andrzej; za późno już. Dzisiaj nie. Pozostańmy tutaj. Zrobię ci herbaty...

Wzięła go za rękę, splątała swe palce z palcami kochanka.

— Nie wiem co mi jest. Tak mi dziwnie serce wzbiera uczuciem, że prawie płakaćbym mogła.

Słowa jej drżały na ustach; oczy zachodziły łzami.

— O, gdybym mogła nie opuszczać cię ani na chwilę, pozostać tu wieczór cały!

Tak jej ciężko było na sercu, że w głosie jej dźwięczały tony dziwnej melancholii.

— Kiedy pomyślę że nigdy znać nie będziesz całej mojej miłości! Kiedy pomyślę, że ja twojej nigdy znać nie będę! — przejmuje mnie smutek nieskończony. Czy ty mnie kochasz? Powiedz mi to, powtarzaj zawsze, po sto, po tysiąc razy, bezustannie. Czy kochasz mnie?

— Alboż tego nie wiesz?

— Nie, nie wiem tego.

Wymówiła te słowa głosem tak cichym, że Andrzej zaledwie je dosłyszał.

— Maryo!

Pochyliła głowę na piersi Andrzeja w milczeniu; oparła na nich czoło, czekając by mówił, jak gdyby równocześnie chciała słyszeć co mówi jego serce

Popatrzał na tę biedną głowę pochyloną pod brzemieniem przecucia; czuł lekki nacisk tego szlachetnego i smutnego czoła na swej piersi, zadowolonej od kłamstwa, opancerzonej fałszem.

Bolesne jakieś wzruszenie ścisnęło mu gardło; miłość czysto ludzka zbudziła się w nim na chwilę. I ten poryw duszy znalazł wyraz w słowach kłamliwych, nadał drżenie szeszerości tym słowom, co kłamały.

— *Ty tego nie wiesz!*... Głos twój zniżył się, kiedyś wymawiała te słowa; tężnienie zagasło na wargach; w głębi ciebie samej coś protestowało przeciw temu, coś mówiła; wszystkie wspomnienia naszej miłości, wszystkie, protestowały przeciw temu, coś utrzymywała. O, ty *nie wiesz*, czy ja cię kocham!

Głowę wciąż miała pochyloną, zasluchana, drżąca, poznawała czy zdawało jej się, że poznaje w głosie wzruszonym ukochanego, akcent prawdziwego uczucia, ów dźwięk upajający, który, jak przypuszczała, naśladować się nie daje. A mówił jej do samego niemal ucha, w ciszy pokoju, owiewając kark jej gorącym swym oddechem — z przestankami, słodsze niż słowa.

— Mieć myśl wyłączną, jedyną, nieustanną, każdej godziny, każdej chwili... nie pojmować in-

Dod. do „Prz. Tyg.“ G. D'Annunzio. „Dziecko rozkoszy“. 30

nego szczęścia nad to szczęście nadludzkie, które rozpromienia mi życie samą tylko twą obecnością... żyć dzień cały w niespokojnem, szalonem, okropnem oczekiwaniu tej chwili, w której cię zobaczę u siebie... po twem odejściu mieć wciąż przed oczyma obraz twych pieszczot i posiadać cię jeszcze w widmie prawie pochwytnem... czuć cię, kiedy zasypiam, czuć cię na mojem sercu żywą, oczywistą, dotykálną, złączoną z krwią moją, z mojem życiem... i wierzyć w ciebie *jedną*, poprzysięgać na ciebie *jedną* tylko; w tobie *jednej* pokładać wiarę, siłę, dumę, świat swój cały, wszystko o czem marzę i czego się spodziewam...

Podniosła w górę twarz oblaną łzami. Umilkł, ustami zatrzymując ciepłe krople, co jej spływały po policzkach. Ona płakała i uśmiechała się jednocześnie, pieszcząc jego włosy drżącemi rękoma, oszołomiona, wstrząsana łkaniem.

— Moja ukochana, ukochana duszo!

Posadził ją; ukląkł przed nią, nie przestając całować jej powiek. Nagle zerwał się; poczuł na swoich wargach drganie długich rzęs Maryi, niby bicie skrzydeł zaniepokojonego ptaka. Była to pieszczota, którą darzyła go niegdyś Helena ze śmiechem, po dwadzieścia razy kolejno i tej pieszczoty Marya nauczyła się od niego; często bardzo, czując ją, wywoływał w myśli obraz *tamtej*.

Widząc, że się zrywa tak nagle, Marya się uśmiechnęła. A że jej błyszczała jeszcze spóźniona iza na rzęsach:

— Spij i tę jeszcze — wymówiła.

A kiedy i tę zcałował, poczęła śmiać się, nie domyślając się niczego.

Łzy jej ustały; była nieomal wesołą, uspokojoną, pełną wdzięku.

— Zrobię ci herbaty — rzekła.

— Nie, siedź lepiej.

Nagle, w jej umyśle stanął obraz Heleny.

— Pozwól mi wstać — prosiła, uwalniając się z jego uścisku. — Chcę, żebyś się napił moje herbaty. Zapach jej przeniknie cię do samego serca.

Mówiła o niezmiernie drogiej herbacie, otrzymanej z Kalkuty, z której w wilię dnia tego, zrobiła prezent Andrzejowi.

Podniosła się i poszła usiąść na tym fotelu, gdzie wciąż blakła jeszcze wytworna materya z dawnej dalmatyki koloru *rosa di gruogo*. Na małym stoliku połyskiwały tak samo jeszcze wytworne majoliki Castel Durante.

Przyspasabiając herbatę, rozmawiała z wdziękiem. Wszystko, co mówiła, teńęło dobrocią i tkliwem jej do niego przywiązaniem; z niewinną rozkoszą korzystała z tej tak drogiej, ufnej serdeczności tajonej, w cichym tym pokoju, pośród wyrafinowanego zbytku. Po za nią, jak po za Dziewicą w *tondo* Boticellego, wznosiły się

kryształowe czary, uwieńczone gronami bzu białego; a ręce jej archanielskie poruszały się zwinnie wśród scen mitologicznych Luzia Dolci i heksametrów Owidyusza.

— O czem myślisz? — spytała Andrzeja, który siedział u stóp jej na dywanie, z głową wspartą o poręcz fotela.

— Słucham cię. Mów jeszcze!

— Kiedy nie mam już nic do powiedzenia.

— Mów! Opowiadaj mi cokolwiek bądź, opowiadaj tysiące, tysiące rzeczy...

— Jakich rzeczy?

— Rzeczy, które ty jedna tylko umiesz tak pięknie opowiadać.

Dźwiękiem głosu Maryi zażegnywał to udęczenie, które pochodziło od *tamtej*; dźwięk głosu Maryi wywoływał mu przed oczy widmo tamtej drugiej.

— Czujesz? — zawołała Marya, nalewając wrzącej wody na listki aromatyczne.

Silny zapach rozszedł się wraz z parą po pokoju. Andrzej go wdychał. Potem, zamykając oczy:

— Upajasz mnie — wymówił bardzo blady.

Następnie przechylając w tył głowę:

-- Uściśnij mnie — zawołał.

I za pierwszym dotknięciem ust jej, drgnął tak mocno, że Marya była tem zdumioną.

Napełniła filiżankę napojem i podała mu ją z tajemniczym uśmiechem.

— Ostrożnie. To napój miłosny.

Odmówił przyjęcia filiżanki.

— Nie w ten sposób pić ją będę.

— Dlaczego?

— Chciałbym pić ją... z ust twoich.

— Jakto?

— Ot tak; weź w usta trochę... ale nie połykaj.

— Toż za gorąca jeszcze.

Śmiała się z tej fantazyi kochanka. On, wciąż blady, miał w rysach coś wymuszonego i przykrego. Czekali, by herbata ostygła. Od czasu do czasu, ona zbliżała usta do brzegu filiżanki, aby spróbować, czy już dość chłodna; potem śmiała się śmiechem dziecinny, świeżym, który zdawał się nie być jej śmiechem.

— Teraz pić już można—oświadczyła.

— No dobrze! Weź do ust spory haust. Ot tak.

Zacisnęła wargi, aby zatrzymać w ustach napój; ale w wielkich swych oczach, pełnych blasku od łez niedawno wylanych, miała uśmiech.

— Teraz daj jej spływać powoli.

I pił w pocałunku. Ponieważ czuła, że jej temu braknie, nagięła zbyt powoli i pijącego kochanka, ścisnąwszy mu dłońmi czoło.

— Boże mój, więc chciałeś mnie udusić?

Opuściła się na poduszkach, jakby dla odpoczynienia, osłabiona, szczęśliwa.

— Jakże ci smakowała? Wraz z nią wypiliś mi duszę. Czuję, że we mnie pustka teraz.

On był poważny, z oczyma nieruchomie w jeden punkt utkwionemi.

— O czem ty myślisz? — spytała znowu, prostując się nagle i kładąc mu palec w pośrodku czoła, jakby chciała tam zatrzymać myśl niewidzialną.

— O niczem—odpowiedział.—Nie myślałem nic zgoła. Analizowałem tylko wpływ twego miłego napoju...

Wtedy i ona z kolei zapragnęła spróbować tego sposobu picia; i piła z ust Andrzeja z rozkoszą. Następnie, przycisnąwszy rękę do serca, z głębokim westchnieniem:

— Jak to mi się podoba! — zawołała.

Andrzej zadrżał. Czyż nie wymówiła tych słów z tymże samym akcentem, co Helena, w ów wieczór, kiedy mu się oddała po raz pierwszy? Żywcem toż samo zdanie? Patrzył na jej usta.

— Powtórz!

— Co?

— To, coś powiedziała.

— Dlaczego?

— To takie słodkie słowa, kiedy ty je wymawiasz!... Nie możesz sama tego zrozumieć nawet... Powtórz.

Uśmiebała się, nie domyślając niczego, zmieszana cokolwiek dziwnym jakimś wyrazem oczu kochanka, onieśmielona prawie.

— No, mówiłam, że... to mi się podoba!

— A ja?

— Co mówisz?

— A ja, czy ci...

Zdumiona patrzyła jak się wił u jej nóg, z obłąkanym wzrokiem, w oczekiwaniu tych słów, które jej wydrzeć chciał koniecznie.

— A ja?

— Och, ty.. ty mi się podobasz.

— Tak! Tak właśnie!... Powtórz mi to jeszcze! Jeszcze!

Przystawała chętnie, nie domyślając się niczego. Jemu spazmatycznie twarz się zmieniła, doznawał nieopisanej rozkoszy.

— Dlaczego zamykasz oczy? — spytała, nie przez podejrzliwość, ale że chciała, by jej wytłomaczył czego doznaja.

— By umrzeć.

Położył głowę na kolanach Maryi i pozostał przez kilka minut w tej pozycji, milczący, chmurny. Ona zlekka pieściła dłonią jego włosy, skronie i czoło, to czoło tak blade, pod którym w tej chwili kryło się bezecne urojenie. Dokoła nich pokój tonął w cieniu a zmieszana woń kwiatów i aromatycznego napoju unosiła się w powietrzu, pojedyncze kształty zlewały się w jedną całość, harmonijną i bogatą, nierealną jakąś.

Po chwili milczenia, Marya podjęła:

— Powstań, najmilszy. Muszę cię opuścić. Już późno.

Podniósł się, błagając:

— Pozostań jeszcze chwilkę ze mną!...

I na nowo pociągnął ją na otomanę, gdzie poduszki rzucały odblask w ten cień pokoju. Tam, w cieniu, nagle przechylił ją w tył, pochwycił jej głowę, pokrył twarz pocałunkami. W tej nawale płomiennych pocałunków, był gniew niemal; wyobrażał sobie, że trzyma w uścisku głowę *tamtej*; a wyobrażał sobie tę głowę zbezczeszczoną ustami męża; i myśl ta nie wywoływała w nim obrzydzenia, przeciwnie, dzikszą jeszcze żądzą.

Z głębin instynktu wypływały na powierzchnię jego sumienia wszystkie te wstrętne uczucia, których doznawał w obecności tego człowieka; i wraz z pocałunkami wszystkie te nieszlachetne wrażenia, wszystkie brudne myśli, spadały na policzki, czoło, na włosy, szyję, na usta Maryi.

— Nie, puść mnie—wołała, wydzierając się całym wysiłkiem z jego uścisku.

I pobiegła do stolika zapalić świece.

— Bądź rozsądny—dodała, jeszcze cokolwiek zdyszana, z ujmującym dąsem.

On pozostał był na otomanie i przypatrywał się jej, milczący.

Marya podeszła do ściany w rogu kominka, tam, gdzie wisało lusterko staroświeckie; włożyła kapelusz i woalkę przed tem szkłem przyćmionem, które miało pozór mętnej, nieco zielonawej wody.

— Jak mi przykro opuszczać cię dzisiaj wieczora! — wyszepnęła, zasmucona snąc melancholią tej godziny zmroku.—Dzisiaj wieczora daleko więcej niż kiedykolwiek...

W pokoju sinawe światło zmierzchu, walczyło jeszcze z blaskiem świec. Filiżanka z herbatą stała na krawędzi stolika, wyziębła. W wysokich wazonach kryształowych, pęki bzu wydawały się bielszemi jeszcze. Poduszka fotela, zachowała odcisk ciała, co się opierało o nią.

Dzwon na Trinita de Monti począł wydzwaniać godzinę.

— Boże, jakże to późno! — zawołała biedaczka, podchodząc do Andrzeja. Pomóż mi włożyć płaszcz.

On pochwyił ją ponownie w uścisk duszący, okrywał szalonymi pocałunkami z pewną wściekłością, na ślepo, bez pamięci, bez jednego słowa, tłumiąc na tych ustach wydzierającą się skargę, tłumiąc na nich własną żądę szaloną, wymówienia imienia Heleny. I na tej nieszczęśliwej istocie, która nie odgadywała niczego, dokonał straszliwego świętokradztwa...

Ona po chwili rzekła mu głosem zagasłym:

— Zabierasz mi życie, Andrzeju.

Zdała się szczęśliwą z tego namiętnego wybuchu.

A po chwili milczenia:

— Drogi mój, duszo moja ukochana, moja całkowiec!

I z wyrazem niezmiernego szczęścia:

— Czuję jak bije ci serce... tak mocno, tak okropnie mocno!

Nakoniec z westchnieniem:

— Teraz puść mnie... Muszę już odejść.

Andrzej był blady niezmiernie, wzburzony jak morderca.

— Co tobie?—spytała go tkliwie,

Spróbował uśmiechnąć się i odparł:

— Nigdy nie doznałem tak głębokiego wrażenia. Zdawało mi się, że umieram.

Podszedł do jednego z wazonów, wyjął pęk bzu, który ofiarował Maryi, odprowadził ją do progu drzwi i sam naglił niemal do odejścia; każdy ruch, każde spojrzenie, każde słowo tej kobiety sprawiało mu nie do zniesienia męczarnię.

— Do widzenia, mój ukochany, mój najdroższy!—rzekła doń za progu biedna kobieta z niezmiernem uczuciem. Myśl tu omnie!...

VII.

Dnia 20 maja rankiem, kiedy Andrzej Sperelli szedł przez Corso skąpane w słońcu, postąpił, że go ktoś woła przed bramą klubu.

Stała tam na trotuarze gromadka młodych arystokratów, zabawiających się przyglądaniem, lustrowaniem i obmawianiem przechodzących kobiet. Był tam Juliusz Musellaro Ludwik Barbarisi, książę Grimiti, Galeas Secinaro, Gino Bominaco i kilku innych jeszcze.

— Nie wiesz nic co się stało dzisiejszej nocy! — spytał go Barbarisi.

— Nie. Cóż takiego?

— Don Manuel Ferres, minister Guatemali...

— No i cóż?

— Przyłapano go, jak w grze oszukiwał.

Sperelli zapanował nad sobą, mimo spojrzeń obecnych, które śledziły go ze złośliwą ciekawością.

— Jakże to było?

Galeas był obecnym i grał przy tymże samym stoliku.

Książę Secinaro począł opowiadać drobiazgowo.

Sperelli nie udawał bynajmniej obojętności, przeciwnie, słuchał tej opowieści z uwagą w zamiśleniu. Wreszcie rzekł:

— To dla mnie przykre niesłuchanie.

Pozostał kilka minut jeszcze pośród grupy młodzieży, potem pożegnał się z przyjaciółmi.

— W którą stronę idziesz?—spytał go Secinaro.

— Wracam do domu.

— W takim razie pójdę i ja kawałek z tobą.

Zeszli ku ulicy Condotti. Począwszy od placu Wenecyi aż do placu del Popolo, całe Corso było niby jedna promienna rzeka słońca. Kobiety w jasnych wiosennych ubraniach przechadzały się wzdłuż szeregu witryny sklepowych, połyskujących w blasku słonecznym. Księżna Ferentino przeszła z Barbanellą Viti pod osłoną parasolki koronkowej; dalej Blanka Doleebuono; tam znowu młodzianka z Łionneta Lanza.

— Ty go znasz, tego Ferresa? — spytał Galeas Sperellego, który pozostał dotąd milczący i chmurny.

— Tak jest; zapoznałem się z nim zeszłego roku w Schifanoia u mojej kuzynki d'Ateleta. Jego żona jest serdeczną przyjaciółką Franciszki. Dla tego też cała ta historia jest dla mnie tak bardzo przykrą. Trzebaby postarać się, aby jak najmniej nabrała rozgłosu. Gdybyś mi zechciał w tem dopomóc, oddałbyś mi prawdziwą przysługę...

Galeas przyrzekł mu swą pomoc z całą serdeczną gotowością.

— Zdaje mi się — rzekł — że uniknęłoby się w części przynajmniej skandalu, gdyby minister postarał się o dymisyę u swego rządu i to bezzwłocznie, jak mu to już napomknął prezes klubu. Ale minister wzbrania się. Tej nocy odgrywał rolę obrażonego, podnosił głos, chciał w nas wmówić, że posądzenie było niesłusznem. A przecież dowodów było aż nadto! Trzebaby dać mu do zrozumienia..

Idąc, mówili dalej o całej tej sprawie. Speredli wdzięcznym był księciu za jego gotowość. Secinara zaś ta rozmowa usposobiła do zwierzeń przyjacielskich.

Na rogu ulicy Condotti spostrzegli lady Mount Edgumbe, idącą trotuarem po lewej stronie, przed magazynami japońskimi, krokiem niedbałym, rytmicznym, z czarującym wdziękiem.

— A, ot i donna Helena — wymówił Galeas.

Popatrzyli na nią obadwaj i obadwaj odczuli czar tego rytmicznego chodu. Ale wzrok Andrzeja przenikał po przez ubranie i pod niem widział znane sobie kształty, te boskie plecy...

Kiedy się z nią zrównali, skłonili się razem i wymięli ją. Nie mogli jej już widzieć, ale ona za to ich widziała. A była to dla Andrzeja nowa zupełnie mężarnia, ten pochód tuż obok rywała przed oczyma upragnionej kobiety, z myślą, że kto wie, czy okropne te oczy teraz nie czynią porównań między nimi dwoma. Począł sam w myśli porównywać się z Secinarem.

Secinaro był typem zmysłowym Luciusa Verusa: jasnowłosa, z niebieskimi oczyma; pośród obfitej złotej jego brody, występowały purpurowe usta, bez wszelkiego wyrazu, ale niemniej piękne. Był wysoki, dobrze zbudowany, silny, bez wszelkiej elegancyi wprawdzie, bez dystynkcyi, ale niewymuszony za to ani trochę, swobodny w układzie.

— No i cóż?—spytał go Sperelli, którego szaleństwo czyniło odważnym.—Czy twoje interesa są teraz na dobrej drodze?

Wiedział, że z tym człowiekiem może mówić w ten sposób.

Galeas obrócił się do Andrzeja z miną nawpół zdziwioną, na poły badawczą; nie spodziewał się z jego strony podobnego pytania a mniej jeszcze pytania, postawionego w tonie tak swobodnym i najdoskonalej spokojnym. Andrzej uśmiechał się.

— Oh, jakże też moje obłęzenie trwało długo! —odpowiedział brodaty książę.—Od niepamiętnego już czasu, z kilkoma nawrotami a zawsze bez skutku. Przychodziłem każdy raz nie w porę, za późno: kto inny przypuszczał już szturm razem ze mną. Ale ja nie traciłem bynajmniej odwagi. Byłem przekonany, że prędzej czy później przyjdzie na mnie kolej.. Czekać, by się doczekać. Istotnie też...

— Co?

— Lady Heathfield jest dla mnie litościwsza od księżnej Scerni. Będę miał, jak się spodziewam,

niezadługo zaszczyt, tak bardzo godzien zazdrości, zapisania się po tobie na liście...

I zaczął się śmiać śmiechem cokolwiek ordynarnym, który odsłonił dwa rzędy białych zębów.

— Zdaje mi się, że moje przygody indyjskie, których Juliusz Musselaro nie omieszkał rozgłosić, dodały do mojej długiej bredy kilka pasm bohaterских, niepokonanej własności.

— W tych dniach zatem twoja broda zadrży od wspomnień..

— Jakich wspomnień?

— Wspomnień bachicznych.

— Nie rozumiem.

— Jaktol Zapominasz słynnej wenty majowej w 1884 r.?

— Patrzącież! Ty mi ją przypomniałeś dopiero. Prawda, trzecia rocznica już dobiega, jeśli się nie mylę, w tych dniach nawet.. Ale tyś na niej nie był przecież. Któż ci to opowiedział?..

— Zanadto ciekawy jesteś, mój drogi.

— Powiedz mi, proszę cię.

— Myśl o tem raczej, jak wyciągnąć zręcznie korzyść z tej rocznicy; i zawiadom mnie o tem ewenemencie jak najprędzej.

— Kiedyż się zobaczymy?

— Kiedy zechcesz.

— Dziś wieczorem około 8-ej zjedz razem ze mną obiad w klubie. Będziemy mogli potem zając się razem tamtą sprawą.

— Dobrze. Do widzenia, mój złotobrody. Pędźże teraz!

Rozstali się na placu di Spagna u stóp schodów, a ponieważ Helena przechodziła placem, kierując się ku ulicy Czterech Wodotrysków, Secinaro dogonił ją i poszedł z nią razem.

Po tym wysiłku udawania, Andrzej czuł straszny ciężar na sercu; zdawało mu się, że się nie dowlecze chyba na wierzchołek schodów. Ale był pewien teraz, że Secinaro, na skutek dzisiejszej rozmowy, w właściwym czasie zwierzy mu się ze wszystkiego, a to wydawało mu się już pewnym zyskiem! Skutkiem odurzenia, skutkiem istnego szaleństwa, wynikającego z nadmiernego jego cierpienia, biegł wprost na oślep na nowe męczarnie, coraz to straszliwsze, coraz to niedorzeczniejsze; pogarszał i wikłał tysiąciami sposobami stan swojej duszy; z zepsucia popadał w zepsucie, z obłądu w obłąd, z okrucieństwa w okrucieństwo, nie mogąc już odtąd zatrzymać się ani na chwilę w tym zawrotnym upadku. Trawiła go nieuleczalna, zda się, gorączka, której żar w ciemnych przepaściach jego moralnego organizmu rozwijał wszystkie zarodki ludzkich rozwiązań. Każda z jego myśli, każde z jego uczuć nosiło na sobie tę samą zmasę.

A jednak samo oszukiwanie właśnie przywiązywało go tak silnym węzłem do oszukiwanej kobiety. Umysł jego tak dziwnie przystosował się do tej potwornej komedyi, że nie był niemal już zdolnym

do innych rodzaju rozkoszy, do innego rodzaju cierpienia. To wcielanie jednej kobiety w drugą nie było już teraz u niego wynikiem podrażnionej namiętności; było to nawyknienie zepsucia, nałóg tylko — a skutkiem niego nieprzeparta potrzeba, konieczność. Zwolna, pod wpływem deprawacyi zmysłów przyszedł do przekonania, że istotne posiadanie Heleny nie dałoby mu nigdy tych rzadkich i gwałtownych wrażeń rozkoszy, któremi go darzyło owo urojone posiadanie. Doszedł do tego niemal, że nie mógł już w swych marzeniach oddzielić obu kobiet, jednej od drugiej. I tak jak wyobrażał sobie, że szczęście jego byłoby daleko mniejszem, gdyby jedną z nich posiadał realnie, tak z drugiej znów strony czuł, że wszystkie jego nerwy tępieją, ilekroć skutkiem moralnego zrużnienia, nie mógł wywołać sobie i podstawić cbrazu nieobecnej w obecności rzeczywistej kochanki.

To też przerażony był myślą, że katastrofa don Manuela Ferres pozbawi go Maryi.

Kiedy nad wieczorem przyszła na schadzke, spostrzegł natychmiast, że biedna kobieta nie wiedziała nic jeszcze o swem nieszczęściu. Ale następnego dnia przybiegła zdyszana, wzburzona, blada śmiertelnie i rzuciła mu się w objęcia, kryjąc twarz na jego piersi; łkanie jej przerwał słowami:

— Więc wiesz już?...

Wiadomość o zaszłym zdarzeniu rozeszła się już po mieście. Skandal stał się nieuniknionym; niepodobieństwem było zapobiedz ruinie. Nastąpiły potem rozpaczne dni tortur bezustannych, wśród których Marya, pozostawszy sama po odejździe zdemaskowanego szulera, opuszczona przez nielicznych przyjaciół, jakich posiadała, przesładowana przez niezliczonych wierzyeli męża, nie mogąca się zorientować wśród zajęć komorników i formalności prawnych, wśród lichwiarzy i innych tego rodzaju ludzi, dawała dowody bohaterskiej odwagi; to wszakże nie zażegnało ostatecznej klęski, która zabiła wszelką nadzieję.

Od kochanka nie chciała przyjąć żadnej pomocy; nie powiedziała mu nic o swem męczeństwie, wtedy nawet, kiedy jej wymawiał, pośpiech odwiedzin; nie płakała nigdy, nie rozpaczała; umiała zawsze jeszcze znaleźć dla niego uśmiech mniej smutny; umiała poddawać się zawsze kapryśnej namiętności ukochanego, otaczać głowę swego kata najtkliwszemi objawami uczucia.

Przecucia jej nie były kłamliwe. Wazystko waliło się dokoła niej w gruzy. Kara dosięgała jej gromem najniespodziewaniej.

A jednak nie żałowała bynajmniej, że uległa kochankowi, nie czyniła sobie zgola wyrzutów, że mu się oddała z takim zupełnem zaparciem siebie; nie rozpaczała za utraconą niewinnością i czystością swoją. Jedyną jej boleścią, silniejszą nad wszystkie wyrzuty sumienia, była myśl,

że musi odjechać, że będzie zmuszoną oddalić się od niego, rozstać z człowiekiem, który był życiem jej życia.

— O, mój drogi, ja z tego umrę. Umrę zdala od ciebie, sama, sama zupełnie. Ty mi nie zamkniesz nawet oczu...

Mówiła mu o śmierci z pełnym głębi uśmiechem, z pewnością całkowitej rezygnacyi. Andrzej błyskał jej jeszcze przed oczyma promykiem nadziei, rzucał w jej duszę zarodek marzeń i udręczeń przyszłych.

— Nie, ja ci umrzeć nie pozwolę. Będziesz moją jeszcze i to na długo. Nasza miłość ma jeszcze przed sobą długie dni szczęścia.

Mówił jej o najbliższej przyszłości: „On osiadzie we Florencyi, ztamtąd dojeżdżać będzie często do Slenuy, pod pozorem studyów, zamieszkiwać tam będzie po całych miesiącach, kopiując starożytne obrazy, poszukując w archiwach ksiąg starych, nieodszukanych kronik. Tajemna ich miłość uściele sobie nieznane nikomu gniazdko w jakiejś opustoszałej uliczce, czy gdzie na przedmieściu lub na wsi w jakiejś willi, zdobnej w majoliki i otoczonej sadem. Ona znajdzie zawsze jakąś godzinę na ich miłość. Czasami także przybędzie i ona do Florencyi, spędzić tam z jaki tydzień również, cały długi tydzień szczęścia. Poniósą swoją miłość na wybrzeże Fiesole w wrzesniowe słońce, łagodne jak kwietniowe pogody

cyprysy zaś w Montughi nie będą dla nich mniej przychylne od cyprysów Schifanoi“.

— Gdybyż to było prawdą! Gdybyż było prawdą!—wzdychała Marya.

— Nie wierzysz mi?

— Owszem, wierzę; ale serce powiada mi, że to wszystko jest zbyt piękne, by mogło wyjść z dziedziny snów.

Żądała, by ją Andrzej wziął w objęcia; i pozostawała tak, oparta o jego piersi, w milczeniu, zwinięta w kłębek, kryjąc się na nich z ruchem i dreszczem osoby chorej lub szukającej ochrony. Domagała się od Andrzeja pieśzcot niewinnych, tych, które w języku jej miłości uazywały się „pieśzcotami duszy“, tych, co ją rozrzewniały i wyciskały łzy z oczu słodsze, niż wszelkie rozkosze. Nie mogła zrozumieć, by w tych dniach najwyższego uduchowienia, w tych bolesnych ostatnich minutach ich stosunku, w tych chwilach pożegnania na zawsze może, kochanek jej mógł nie zadawałniać się ucałowaniem jej ręki.

Błagała, nieomal urażona gwałtowną żądzą Andrzeja:

— Nie, mój najdroższy! Zdaje mi się, że jesteś bliższym mi, bardziej ze mną zjednoczonym, bardziej zlanym z moją istotą, kiedy siedzisz obok mnie, kiedy ujmiesz mnie za rękę, kiedy mi zajrzysz w oczy głęboko, kiedy mi mówisz te wszystkie rzeczy, które ty jeden tylko wypowiadać umiesz. Wydaję mi się, że inne pieśzcoty roz-

dzielają nas ze sobą, że między ciebie a mnie rzucają cię jakiś... Nie wiem jaki... może ja źle odaję myśl moją... Ale to wiem, że po innych pieśzotach czuję się tak smutną, tak smutną okropnie... nie wiem czemu... ale tak rozstrojoną, znużoną, tem jakimś złem, niezdrowem znużeniem!... Błagała go pokornie, z poddaniem, w obawie, by nie ściągnąć jego niezadowolenia.

Wciąż teraz wywoływała wspomnienia dawne i najświeższej daty, przypominając sobie wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, aż do słów najulotniejszych, do najmniej znaczących faktów, które dla niej tylko miały zawsze jakieś znaczenie. Zwłaszcza do najpierwszych dni pobytu w Schifanoia serce jej zwracało się z szczególnem upodobaniem.

— Czy ty pamiętasz? Czy pamiętasz?

I nagle łzy zalewały oczy jej strumieniem.

Pewnego wieczora Andrzej spytał ją, mając na myśli męża:

— Odkąd cię znam, czy zawsze byłaś *całkowicie* moją?

— Zawsze.

— Nie mówię tu o duszy...

— Cicho!... Tak, zawsze twoją *całkowicie*, najzupełniej.

A on, co nigdy w tym względzie nie wierzył żadnej ze swoich cudzołożnych kochanek, uwierzył słowem Maryi, bez cienia powątpiewania nawet w prawdę tego, co utrzymywała.

Uwierzył jej; bezczeszcząc ją, oszukując bez skrupułu, wiedział jednak, że jest kochany przez kobietę wyższą duchem i dumną, wiedział doskonale, że stoi wobec wielkiej i strasznej namiętności i miał równocześnie świadomość tej wielkości jak i podłości własnej. Był przekonany, że jest kochanym bez miary; a czasami przecież w gorączce swych urojeń chorobliwych, gryzł aż usta nieszczęśliwej kobiety, by tylko nie wydarło mu się z ust to imię, co niepokonanie wracało mu do gardła; i te biedne, zbolące usta, nieświadome niczego, krwawiące się w uśmiechu wołały doń:

— I tak jeszcze nie sprawiasz mi bólu!..

VIII.

Za kilka dni trzeba się będzie pożegnać. Miss Dorothy odwiozła Delfinę do Sienny i powróciła, aby być pomocną Maryi Ferres w tak przykrych chwilach ostatnich i towarzyszyć jej następnie w podróży. W Siennie, w domu jej matki, nie wiadzą prawdziwej prawdy. Delfina tak samo nie wie. Marya ograniczyła się na napisaniu, że don Manuel odwołany został nagle przez rząd swój. I ona sposobila się do odjazdu; sposobila się pozostawić to mieszkanie, pełne rzeczy sobie drogich, w rękach komorników, którzy już spisali inwentarz i oznaczyli dzień licytacyi na poniedziałek 20 czerwca o dziesiątej rano.

Wieczorem 9-go czerwca, w chwili wyjścia od Andrzeja, szukała zarzuconej gdzieś rękawiczki. Szukając, spostrzegła na stoliku poezye Shelleya, tenże sam tom, który Andrzej pożyczył jej był w Schifanoia, ten tom, gdzie ona zaznaczyła paznokciem te dwa wiersze:

*And forget me, for I can never
Be thine!*

Wzięła go w rękę z widocznem wzruszeniem i poczęła przerzucać kartki; odnalazła stronicę, zakreślenie paznokciem i owe dwa wiersze.

— *Never!* — szepnęła wstrząsając głową. — Pamiętasz?... Toć temu osiem miesięcy zaledwie!

Zamyśliła się; przerzucała jeszcze kartki tomiku; odczytała kilka innych wierszy.

— To nasz poeta—dodała.—Ileż to razy przyrzekałeś mi, że mnie zaprowadzisz na jego grób, na angielskim cmentarzu! Pamiętasz? Powinniśmy złożyć na tej mogile kwiaty... Chcesz, żebyśmy tam poszli? Zaprowadzisz mnie przed odjazdem. To będzie ostatnia moja przechadzka.

Odparł:

— Możemy tam pójść jutro.

Pojechali kiedy już słońce chyliło się ku zachodowi, w zamkniętym powozie; ona trzymała na kolanach bukiet róż. Minęli Awentyn, porosły drzewami. Widzieli zdala w porcie Ripa Grande na kotwicach statki, ładowne winem sycylijskiem.

W pobliżu cmentarza wysiedli z powozu i szli już pieszo aż do wrót cmentarnych, w milczeniu. Marya czuła, że idzie tu nietylko dlatego, by zanieść kwiaty na grób poety, ale i po to, by w tym przybytku śmierci zapłakać za częstką siebie samej, nieodwołalnie już straconą.

Urywek z poezji Shelleya, czytany kiedyś w noc bezsenną, brzmiał jej wciąż w głębi du-

szy, kiedy patrzyła na wysmukłe cyprysy, które biegły w niebo z przeciwnej strony białego muru.

„Śmierć jest tutaj, śmierć jest ówdzie. Wszędy śmierć jest u dzieła; dokoła nas, w nas, ponad nami— to śmierć; a i myśmy śmiercią.

„Śmierć położyła swą pieczęć i piętno na wszystkim, czem jesteśmy, na wszystkim co czujemy, na wszystkim co znamy i czego się lękamy.

„Naprzód zamierają nasze radości, potem nasze nadzieje a potem nasze obawy; a kiedy wszystko to zamarło, proch domaga się prochu, przyzywa go i my umieramy wówczas także.

„Wszystko, cośmy ukochali, wszystko, co nam jest równie drogie jak my sami, musi rozsypać się w proch i zagać. Takim jest los nasz okrutny. Miłość, samaż miłość, powinnaby zamierać pierwszej, nim wszystko inne zamarło..“

Przestąpiwszy próg, wsunęła rękę pod ramię Andrzeja, przejęta lekkim dreszczem.

Cmentarz był pusty. Wzdłuż muru kilku ogrodników podlewało kwiaty, ruchem regularnym, jednostajnym, bez przerwy, chwając polewaczkami pośród milczenia. Grobowe cyprysy, wznosiły się proste i nieruchome w przestworzu; szczyty ich tylko, ozłoczone słońcem, drżały z lekka. Po między sztywnymi i zielonawymi pniami, co wyglądały jakby wykute z kamienia, wznosiły się białe grobowce, czworogranne płyty, złamane kolumny, ury, sarkofagi. Z ciemnej masy cypry

sów zlewał się i kładł na te groby cień tajemniczy, spokój istic religijny, jakieś błogie ukojenie ludzkich uczuć, jak kiedy z twardych ścian skały spływa woda przezroczą i dobroczynną. Ta regularność nieodmienna form roślinnych i ta dyskretna białość marmurów grobowych, sprawiały duszy wrażenie odpoczynku pokrzepiającego i poważnego głęboko. Ale pośród pni drzew, szeregowanych, jak rozgłosne piszczałki organów i pośród żałobnych pomników, falowały wdzięcznie laury i oleandry, zaróżowione świeżemi pękami kwiecia; róże opadały z liścia za każdym podmuchem wieczornego wietrzyku, osypując vonnym śniegiem murawę; eukaliptusy chyliły blade swe sploty, srebrzące się i zieleniejące znów po kolei; wierzby zlewały na krzyże łzy spływających w dół gałęzek; tu i owdzie kaktusy rozkwitały wspaniałemi białemi bukietami, podobne do rojów uspiomych motyli lub do kit piór drogocennych. A od czasu do czasu, krzyk rozbiegających się ptaków przerywał ciszę.

Andrzej, ukazując szczyt wzgórzka, mówił swej towarzyszcze:

— Grób poety jest tam na górze, tuż obok tego zwaliska na lewo, pod ostatnią wieżycą.

Wysunęła rękę z pod jego ramienia, pnąc się wązkimi ścieżynami między niskimi szpalerami mirty. Ona szła przodem, Andrzej postępował za nią. Jej obód był zmęczony cokolwiek; zatrzymywała się co chwila i odwracała z uśmiechem

ku niemu. Była ubrana całkiem czarno; twarz jej osłaniał czarny welon, dochodzący do górnej wargi; a słaby jej uśmiech wprawiał w drżenie czarny obrębek woalki, sam przyémiony jakimś żalobnym, padającym od niego cieniem. Broda owalna, bielszą była i czystsza od róż, które trzymała w ręku.

Kiedy się odwróciła, jedna z róż niesionych, opadła z liści. By zebrać jej listki na ścieżce, Andrzej pochylił się przed Maryą. Popatrzała nań. Przykląkł na jedno kolano i wymówił:

— Uwielbiona!

Wspomnienie błysło w duszy Maryi, wyraziste i dokładne jak wizya!

— Przypominasz sobie — rzekła — ten poranek w Schifanoia, kiedy cię obrzuciłam garstką różanych listków z wysokości przedostatniego tarasu? Zgiąłeś wówczas kolano na stopniu schodów, z których schodziłam... Te czasy, nie wiem dlaczego wydają mi się tak blizkimi i tak odległymi zarazem! Zdaje mi się, że je przeżyła wczoraj zaledwie i że je przeżyłam przed jakimś wiekiem przynajmniej. Ale kto wie, może istotnie patrzałam na nie tylko we śnie...

Pomiędzy szpalerami z mirtu, doszli do ostatniej wieży na lewo, obok której znajduje się grób pęty i jego przyjaciela Trelawny. Jaśmin, co się pnie po starożytniej ruinie, cały był teraz w kwiecie, fiołki tylko znikły już, wyłącznie znacząc się zieloną gęstwą swych liści. Wierzchołki cypry-

sów stały teraz na wysokości wzroku, drżące w ostatniej żywej purpurze słońca, zachodzącego po za czarnym krzyżem na Monte Testaccio. Fioletowa chmura, okrążona szlakiem płonącego złota, płynęła po niebie ku Awentynowi.

„Tu spoczywają dwaj przyjaciele, których życia były z sobą ściśle związane. Niechaj ich pamięć żyje teraz tak samo złączona, odkąd leżą w grobie; i niechaj ich kości nie rozstają się z sobą, skoro za życia dwa ich serca, na jedno tylko składały się serce .. *for their two hearts in life were single hearted!*“

Marya powtórzyła wiersz ostatni.

Potem powodowana delikatną myślą, rzekła do Andrzeja:

— Odwiąż mi woalkę.

I zbliżyła głowę nieco w tył przechyloną, aby jej rozwiązał węzeł welonu na karku. Palce Andrzeja dotykały jej włosów, tych długich włosów, co to skoro były rozsypane, zdały się żyć jak las, życiem cichem a głębokim; tych włosów, w których cieniu tyle razy poił się rozkoszą swych kłamstw, tyle razy wywoływał zdradziecką wizję. Powiedziała mu:

— Dziękuję!

Zdjęła woalkę z twarzy i popatrzyła na Andrzeja oczyma nieco olśnionemi. Ukazywała się w całej pełni swej piękności. Dokoła orbit miała kręgi nieco ciemniejsze i bardziej wgłębione; ale jej źrenice płonęły przenikliwszym jakimś pło-

mieniem. Gęste zwoje włosów przylegały jej do skroni jak grona ciemnych hiacyntów, wpadających w fiolet. Skutkiem kontrastu, środek czoła odświetlony i wolny promieniał białością księżycową niemal. Wszystkie jej rysy wydelikatniały jeszcze i utraciły coś z swej materjalności, w wieczystym płomieniu miłości i cierpienia.

Owinęła w czarny welon łodygi róż, związała jego końce wielce starannie, potem odetchnęła ich wonią, zanurzwszy twarz w bukicie. Następnie złożyła bukiet na prostym grobowym kamieniu, gdzie było wyryte nazwisko poety. A ruch ten jej kiedy składała kwiaty, miał jakiś nieokreślony wyraz, którego Andrzej nie mógł zrozumieć.

Poszli dalej, szukając grobu Keatsa, autora „Endymiona“.

Andrzej, zatrzymując się, by wstecz spojrzeć w kierunku wieży, spytał ją:

— Jakim sposobem postarałaś się o te róże?

Uśmiechnęła się jeszcze ale z zażawionemi oczyma.

— To twoje własne róże, te same, które w noc śnieżystą rzuciłeś pod moim progiem a które odkwitły tej nocy... Nie wierzysz?

Wiatr wieczorny podnosił się; a po za wzgórzem niebo miało wszędy rozpięchłe złote odblaski, pośród których rozsnuwała się tkanka chmury, strawionej, zda się, na ognistym stosie. Na tem tle światła, cyprysy, stojące szeregiem,

wydawały się daleko więcej imponujące, mistyczne niemal, przeniknione promieniami słońca i drgające u samych szczytów. W końcu środkowej alei, posąg Psychy przybrał bladłość ciała. Oleandry wznosiły się w głębi, podobne do różowych kopuł ruchomych. Sierp księżycy wstępował na piramidę Cestiusza po niebie błękitnem i głębokiem, jak wody morskiej zatoki wśród ciszy.

Przeszli środkową aleją aż do bramy cmentarnej z powrotem. Pod murem wciąż jeszcze ogrodnicy podlewali w milczeniu kwiaty, jednostajnym ruchem polewaczek. Dwaj inni ludzie, trzymając za brzegi całun aksamitny, srebrem szyty, trzepali go z całej siły a kurz rozsypujący się, rzucał smugi blasków. Od Awentynu płynął dźwięk dzwonu.

Marya przycisnęła się mocniej do ramienia Andrzeja; upadała pod ciężarem strapienia; czuła za każdym krokiem, jak jej brakło gruntu pod nogami, niby zraniona, co utracą krew wszystką po drodze. Zaledwie zaś wsiadła do powozu, wybuchnęła łzami rozpacz, łkając na ramieniu kochanka.

— Umieram!...

Ale nie umarła.

IX.

W dwa dni później, Andrzej był na śniadaniu z Galeasem Secinaro przy stoliku w „Kawiarni Rzymskiej“. Rano był gorący. Kawiarnia, prawie zupełnie pusta, tonęła w cieniu i nudzie. Służba drzemała po kątach, pośród brzęku mach.

— A zatem—opowiadał brodaty ksiączę—wiedząc, że lubi się oddawać w nadzwyczajnych jakichś zawsze, dziwacznych okolicznościach, ośmieliłem się...

Opowiadał bez ogródek sposób wielce śmiały, w jaki udało mu się pozyskać dla siebie lady Heathfield; opowiadał bez skrupułu i bez wszelkich obstępów, nie opuszczając najmniejszego szczegółu, sławiąc doskonałość takiego nabytku dla znawcy. Od czasu do czasu przerywał sobie, by rozkroić mięso soczyste i krwawiące, z którego unosiła się para, lub wypróżnić kieliszek czerwonego wina. Całe jego zachowanie znamionowało zdrowie i siłę.

Andrzej Sperelli zapalił papierosa. Na przekór swym usiłowaniom, nie udawało mu się przełknąć ani jednego kąska, ni pokonać odrazy swe-

go żołądka, który się ścisnął kureczowym spazmem. Kiedy Secinero dolewał mu wina, zdawało mu się, że wraz z nim pije truciznę.

Była chwila, w której książę, mimo swego braku wszelkiej subtelności, powziął podejrzenie i począł przypatrywać się uważniej dawnemu kochankowi Heleny. Ten jednak, nie biorąc w rachubę braku apetytu, nie zdradzał zresztą żadnego śladu pomieszanania; puszczał wonne kłęby dymu z najkompletniejszym spokojem i uśmiechał się do wesołego naratora zwykłym swym uśmiechem, za-prawnym odrobiną ironii:

Książę mówił:

— Przyjdzie więc do mnie dziś po raz pierwszy.

— Do ciebie? Dziś?

— Tak jest.

— Ten miesiąc w Rzymie wybornie jakoś sprzyja miłości. Popołudniową porą, od trzeciej do szóstej każde gniazdko skrywa swą parkę...

— W samej rzeczy—przerwał Galeas—i ona o trzeciej właśnie ma przyjść dziś do mnie.

Obadwaj spojrzeli na zegarki. Andrzej zapytał:

— Czy idziemy już?

— Chodźmy—odparł Galeas, powstając. —Pójdziemy razem ulicą Condotti. Muszę wziąć kwiatów u Candelii. Ale powiedz mi, ponieważ ty to wiesz przecie, jakie kwiaty najbardziej lubi Helena?

Andrzej zaczął się śmiać i zjadliwe, bezecne słowo zawisło mu na ustach. Ale odpowiedział z zupełną swobodą:

— Dawniej lubiła róże.

Przed Barcaccią rozstali się.

O tej porze plac di Spagna miał już letni swój charakter opustoszenia. Kilku robotników naprawiało kanał, i sterta ziemi, wysuszonej słonecznym upałem, podmuchem wiatru rozwiewana, osypywała przechodniów kłęбами pyłu. Schody na Trinita połyskiwały, białe i puste.

Andrzej wstępował powoli, bardzo powoli, zatrzymując się co dwa lub trzy stopnie, jak gdyby włókł za sobą ciężar niezmierny. Powrócił do siebie i pozostał już w swoim pokoju, na łóżku, aż do trzech kwadransy na trzecią. O trzy kwadransy wyszedł. Skierował się w ulicę Sykstyńską, następnie przez ulicę di Quattro Fontane minął pałac Barberinich i zatrzymał się w niejkiej odległości przed szafką jakiegoś księgarza ulicznego, by się tam doczekać trzeciej. Księgarz, szczupły, maleńki człowieczek, cały pomarszczony z pergaminową cerą, jak żółw zgrzybiały, począł pokazywać mu i zachwalać swój towar. Wybierał jeden po drugim najcenniejsze swe wolumina i przedkładał mu je kolejno, mówiąc przez nos z nieznośną monotonią. Trzecia miała już wybić za kilka minut. Andrzej oglądał tytuły książek, nie spuszczaając z oka bramy pałacu, nawpół tylko słysząc głos księgarza, pomieszany z szumem krwi we własnych jego żyłach.

Jakaś dama wyszła z bramy żelaznej pałacu,

skierowała się lewym chodnikiem ku placowi, wsiadła do dorożki i oddaliła się ulicą Trytona.

Andrzej podążył za nią z oddalenia i powrócił ulicą Sykstyńską do domu. Oczekując przyścia Maryi, rzucił się na łóżko i leżał na niem tak całkowicie nieruchomy, że zdawał się już nie cierpieć zgoła...

Marya przyszła o piątej.

Cała zdyszana zawołała na wstępie:

— Czy wiesz? Dziś mogę z tobą zostać przez cały wieczór, noc całą, aż do rana!

I dodała:

— Będzie to pierwsza i ostatnia nasza noc miłosna. Wyjeżdżam we wtorek.

Wśród łkania, wstrząsana drzeniem, tuląc się do niego z rozpaczą, z ustami na jego ustach, rzekła:

— Zrób co, żebym nie ujrzała już dnia jutrzejszego! Zabij mnie!

Potem patrząc w tę twarz, zmienioną okropnie:

— Ty cierpisz także?— spytała — I ty tak samo... myślisz, że się już nigdy nie zobaczymy?

Nadzwyczaj trudno mu przychodziło mówić do niej, odpowiadać na jej pytania. Język miał zdrętwiały i słów mu brakło. Czuł instynktowną potrzebę ukrycia twarzy, uniknienia wzroku tej kobiety, uniknienia jej pytań. Nie umiał ani jej pocieszyć, ani oszukiwać. Odpowiedział głosem zagasłym, zmienionym do niepoznania:

— Miecz.

Zwinięty w kłębek u nóg Maryi, położył głowę na jej kolanach i długo pozostał tak nieporuszony, bez jednego słowa.

Ona trzymała dłonie na skroniach przyjaciela; czuła pulsację jego arteryj nierówną i gwałtowną; czuła, że cierpi okropnie. I sama zapomniała już o własnej boleści, ale cierpiała jego cierpieniem jedynie.

Podniósł się, wziął ją za rękę, pociągnął z sobą do przyległego pokoju. Ona była mu posłuszną.

Na łożu bezprzytomna, przerażona ponurym jakimś strasznym zapałem szaleńca, wołała:

— Co tobie jest? Co się z tobą dzieje?

Chciała popatrzeć mu w oczy, poznać przyczynę jego obłądu. Ale on wciąż ukrywał twarz na piersiach, szyi, we włosach swej ofiary, zaciekle..

Naraz wydarła się przemocą z jego uścisku, z wyrazem straszliwej zgrozy i wstrętu na twarzy, bielsza niż poduszki łoża, bardziej zmieniona, niż gdyby wyrwała się w tej chwili ze szponów śmierci.

To imię! To imię! Ona posłyszała to imię!..

Wielka cisza opustoszyła naraz jej duszę. Otworzyła się w niej nagle jedna z tych przepaści, w której, zda się, zapada świat cały pod wpływem wstrząśnienia wywołanego jedną wyłączną myślą. Nie słyszała nic już. Andrzej wołał, błagał, rozpaczał daremnie.

Nie słyszała nic już zgoła. Rodzaj jakiegoś zachowawczego, bezświadomego instynktu kierował wszystkimi jej czynnościami. Znalazła swe suknie; ubrała się.

Andrzej łkał na łożu; szalejąc z bólu, spostrzegł, że Marya wychodzi z pokoju.

— Maryol Maryol

Nasłuchiwał.

— Maryol...

Rozróżnił wyraźnie łoskot drzwi zamykanych.

X.

W poranek poniedziałkowy 20 czerwca o dziesiątej godzinie, rozpoczęła się licytacja publiczna gobelinów i mebli, które należały do J. E. ministra pełnomocnego Guatemali.

Był to poranek upalny. Lato już z całą swą siłą zawisło nad Rzymem. Na ulicy Nationale przesuwały się raźnie, bez przerwy tramwaje w jedną i drugą stronę, ciągnięte przez konie w dziwacznych białych kapturach, chroniących je od żaru słońca. Długie szeregi wózków ładowanych zawały drogę. W trzeźwym, rażącym świetle, pośród murów, pokrytych mnóstwem różnokolorowych afiszów, jak plamami trądu, dźwięk trąbek mieszał się z klaskaniem biczów i krzykiem woźniców.

Zanim zdecydował się przestąpić próg tego domu, Andrzej włóczył się po trotoarach długo bez celu, śmiertelnie znużony, tem znużeniem tak nawskroś pustem i rozpaczem, że podobnem bywa nieomal do fizycznej potrzeby śmierci.

Kiedy ujrzał tragarza wychodzącego z bramy z jakimś meblem na plecach, zdecydował się wreszcie. Wszedł, przebiegł szybko schody. W sieni już posłyszał głos wywołującego komornika:

— Obejrzone już dobrze?

Stół, przy którym odbywała się licytacja, znajdował się w najobszerniejszej sali mieszkania, tam właśnie, gdzie pomieszczony był posąg Buddy. Dokoła cisnęli się kupujący. Byli to po większej części kupcy, tandeciarze, handlarze starzyzną, pospólstwo. Ponieważ latem brakło prawdziwych amatorów, zbiegli się przekupnie, pewni, że za niską cenę, uda im się pozyskać cenne rzeczy. Wstrętny wyziew unosił się w gorącym powietrzu, wyziew charakterystyczny, wśród zgromadzeń tego rodzaju brudasów.

— Obejrzone już dobrze?

Andrzej dusił się; brak mu było tchu. Obszedł dokoła wszystkie inne pokoje, gdzie nie pozostało nic, prócz obić, firanek i portyer, ponieważ wszystkie niemal meble, przeznaczone na sprzedaż, nagromadzone były w salonie, w którym odbywała się licytacja. Jakkolwiek szedł po grubym dywanie, słyszał wyraźnie rozlegające się echo własnych kroków, które powtarzały sklepienia.

Doszedł do wpółokrągłego pokoju. Ściany były w nim ciemno-czerwone a na nich tu i owdzie błyskały prążki złote; odcie to nadawało pokojowi pozór świątyni, lub grobu—w każdym

zaś razie jakiegoś smutnego i mistycznego schronienia, przeznaczonego na modlitwę lub śmierć. Przez okna otwarte wpadało jaskrawe światło, które w tem otoczeniu wydawało się jakimś gwałtem. Z okien widać było drzewa willi Aldobrandini.

Powrócił do sali licytacyjnej. Poczut na nowo ten sam wstrętny zaduch. Odwrócił się i spostrzegł księżną Ferentino z Barbarellą Viti. Skłonił się jej, podchodząc:

— I cóż Ugenta, cóżes pan kupić?

— Nic.

— Nic? Myślałam wprost przeciwnie, że kupiłeś pan wszystko...

— Dla czegożby to?

— Ot tak, to był taki mój pomysł... pomysł romantyczny cokolwiek.

Księżna zaczęła się śmiać. Barbarella jej zawtorowała.

— Idziemy już. Niepodobieństwem jest wytrzymać tu w tych zapachach. Adieu, Ugenta. Pociesz pan się.

Andrzej zbliżył się do stołu. Komornik go poznał.

— Czy pan hrabia życzy sobie co nabyć?

Odpowiedział:

— Zobaczę.

Licytacya postępowała szybko. Widział dookoła siebie postacie tandeciarzy, czuł jak go po-

trącają ich łokcie, jak go dotykają ich nogi, owiewał go ich oddech.

Mdłości ścisnęły mu gardło.

— Po raz pierwszy, po drugi, po trzeci!

Uderzenie młotka odbijało się w jego sercu echem; zdawało mu się, że za każdym uderzeniem ugodzony zostaje boleśnie w skronie.

Nabył posąg Buddhy, wielką szafę rzeźbioną, kilka majolik i kilka sztuk materyi. Była chwila, w której nagle posłyszał od strony drzwi wrzawę zmieszanych głosów, śmiechów kobiecych i szelest sukien jedwabnych. Odwrócił się. Zobaczył Galeasa Secinaro z margrabiną Mount-Edgcumbe, dalej hrabinę Lucoli, Gina Bomminaco, Giovanellę Daddi. Panowie ci i panie rozmawiali i śmieli się bałaśliwie.

Spróbował ukryć się, zmaleć, wmieścić w tłum co oblegał stół. Drżał na myśl, że mogą go tu cdkryć. Głosy i śmiechy dochodziły go po przez wał czół spoconych. Na szczęście w kilka minut później wesołe towarzystwo odeszło.

Utorował sobie przejście wśród ciał natłoczonych, zapanowawszy nad obrzydzeniem i z niezmiernym wysiłkiem tylko broniąc się omdleniu. W ustach czuł smak nieopisanej goryczy, smak wstrętny, co pochodził chyba z rozkładu własnego serca. Zdawało mu się, że skalany został zetknięciem się z tym całym tłumem nieznanym, wynosił ztąd jakby zeraźliwy zarodek wszystkich nieznanych mu dotąd i nieuleczalnych chorób. Było

to pomieszanie tortur fizycznych z moralnem udę-
czeniem.

Skoro wyszedł na ulicę, w brutalny blask dzien-
nego światła doznał nieco zawrotu głowy. Kro-
kiem niepewnym poszedł szukać sobie powozu.
Znalazł go wreszcie na placu Kwirynału i kazał
się odwieźć do pałacu Zuccari.

Ale nad wieczorem szalona, nieprzeparta ogar-
nęła go ochota zobaczenia raz jeszcze tych opu-
stoszałych pokojów. Podążył na ulicę Nationale,
wszedł znowu po schodach i znalazł się w da-
wnem mieszkaniu Maryi, pod pozorem, że przy-
chodzi się dowiedzieć czy mu już odesłano zaku-
pione przezeń rzeczy.

Jakis człowiek odpowiedział mu:

— W tej chwili zabrano je właśnie. Pan hra-
bia niezawodnie musiał rozminąć się z tragarza-
mi w drodze.

Nie już niemal nie pozostało w pokojach.
Przez okna, odarte z firanek, wpadał przepych
purpurowego zachodu, wraz z całym zgiełkiem
ulicy. Kilku ludzi zdejmowało jeszcze obicia ze
ścian, odkrywając tapety w wielkie ordynarne
kwiaty, gdzie widać było tu i owdzie dziury i od-
darcia. Inni zdejmowali dywany, które zwijali
w rulony, podnosząc tumany gęstego kurzu w pro-
mieniach światła. A kurz ten zmieszany z dy-
mem fajek, wznosił się aż do sufitu.

Andrzej uciekł.

Na placu Kwirynału, przed pałacem króla, grała muzyka wojskowa. Rozległe fale muzyki metalowych instrumentów rozlewały się w płonącym powietrzu. Rzym olbrzymi, promienny, ponad którym unosił się baldachim chmur z sobą skłóconych, zdał się rozświecać niebo.

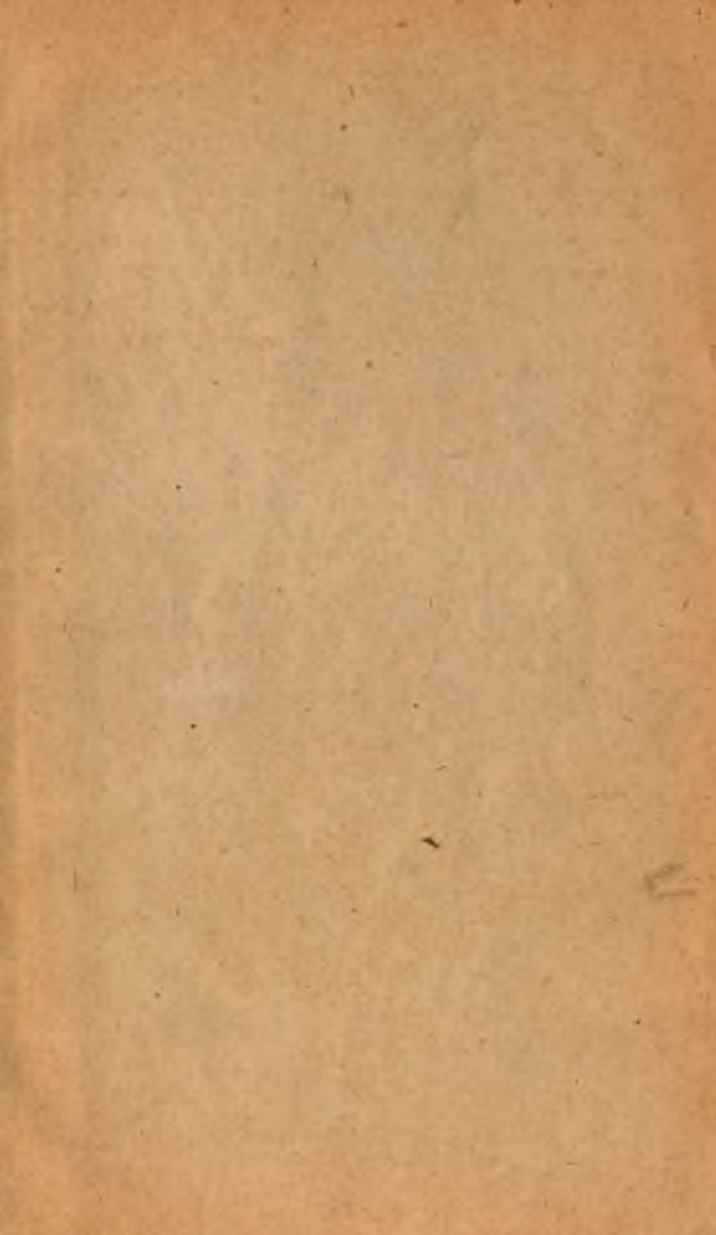
Andrzej uciekł, oszalały niemal. Puścił się ulicą Kwirynału, potem w dół ulicą di Quattro Fontane, otarł się niemal o kraty pałacu Barberini, którego szałby siały snopy blasków. Przybył wreszcie do pałacu Zuccari.

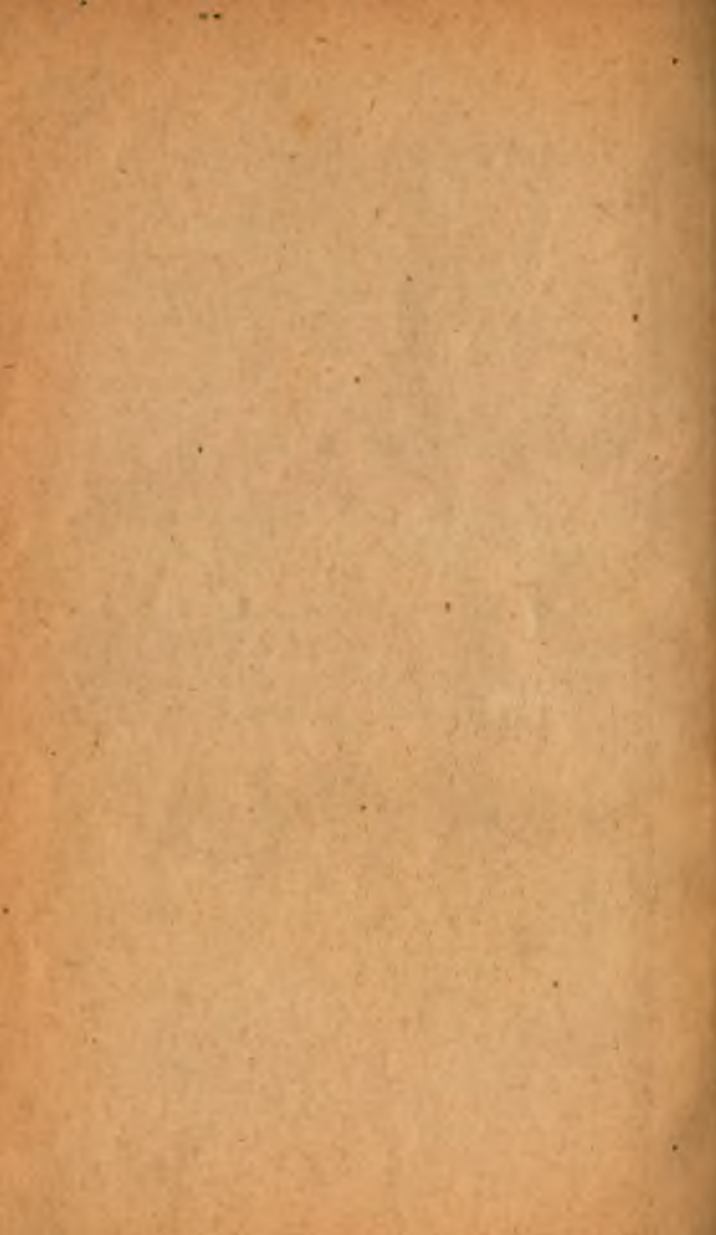
Tragarze zdejmowali właśnie wśród krzyków meble z wózka. Kilku z nich z wielkim trudem wносиło już po schodach szafę.

Wszedł na schody. Ponieważ szafa zajmowała całą ich szerokość, nie mógł wyminąć idących z ciężarem. Postępował więc za nimi, powoli, powoli, stopień po stopniu, aż do drzwi.

K O N I E C .







800.

104/88

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

200932

Biblioteka WSP Kielce



0065239